Zygmunt Kaczkowski

WYBÓR PISM

VII

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF

Stebarowski – 288

WYBÓR PISM ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

TOM VII

KRAKOW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ZYGMUNT KACZKOWSKI

WYBÓR PISM

Z PRZEDMOWĄ IGN. CHRZANOWSKIEGO

TOM VII

GRÓB NIECZUI

Część I.

Z PORTRETEM AUTORA

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

300214

68567

Дозволено Цензурою.
Варшава 28 Іюля 1898 года.

WSTĘP.

Ktokolwiek będziesz kiedy w tym oddalonym zakątku podkarpackiej krainy, kędy się schodzą dawnej Małopolski i Rusi Czerwonej granice — oddawszy cześć twoją niepoliczonym tej ziemi pamiątkom przyszłości — nie zapomnij też także zapytać o miejsce, z którego najlepiej widać ruinę zagórskiego klasztoru.

Miejsce to znajdziesz z łatwością, bo ci go wskażą karczmy i kopce załuzkie, położone przy samym gościńcu; lecz na górze tak bardzo wysokiej, że z niej widać nie tylko tę ogromną i także na wzgórzu położoną ruinę, jak gdyby na dole — ale widać zarazem i cały krąg ziemi, otoczonej górami dokoła, przerzniętej Sanem przez środek i tak dziwnym urokiem pociągającej ku sobie, że i ty, lubo obcy i żadnem dawniejszym z nią niezwiązany wspomnieniem, wzrokiem twoim musisz przylgnąć do niej na długo.

Ty wszakże niebawem przywiążesz się do niej i sercem, i poświęcisz jej cząstkę twojego najtkliwszego uczucia, i niezapomnianą myśl o niej uniesiesz z sobą na zawsze. Ziemia ta bowiem tyle ma w sobie od Boga darowanej piękności, tyle w niej jeszcze niepogrzebanych pamiątek zamierzchającej przeszłości, a wszystko to jeszcze tak żywe, tak wymowne i tak chwytające za serce — że zdaje się, jakoby sama śmierć tutaj, żałując życia w grób zapchniętego zawcześnie, pootwierała wszystkie groby i trumny i siedząc przy nich, opowiadała dzieje przeszłości.

I jeśli tylko masz serce i umiesz rozmówić się z starą basztą zamkową i sterczącemi kolumnami krużganku, z spróchniałą trumną zardzewiałym w niej pancerzem lub kordem, z podruzgotaną kopią i zagniecioną w boju ostatnim misiurką, z olbrzymią skałą zwieszającą się z góry wyniosłej, z wpółrozwaloną kapliczką u dołu i żebrakiem staruszkiem siedzącym przy niej na głazie — to twój umysł i serce już się stąd nie oderwą i gotów będziesz w pierwszym lepszym dworcu gościny poszukać, ażeby się jaknajbliżej obeznać z tą ziemią, która ma tyle czarującej piękności na licu i tyle tajemniczego uroku w swem łonie.

Jakoż i o gościnę pewnie ci trudno nie będzie, bo tutaj, w jakiej czci ziemia przechowuje pamiątki ojców i dziadów, w takiej czci także u ludzi są ich cnoty i obyczaje. Więc w każdym domu, do którego cię los twój zawiedzie — czy to będzie starożytne, szczerniałe, niespożyte wiekami zamczysko, — czy z gruzów dawnego szlacheckiego zameczku wyświeżone mieszkanie, czy wreszcie stary dwór modrzewiowy, nową strzechą pokryty — wszędzie znajdziesz otwarte serca i progi, wszędzie będziesz powitany po Bogu i wszędzie otoczony tą pradziadowską czcią i miłością, która dziś już nieznana na świecie, tu po staremu chowa się jeszcze dla białowłosych starców i gości. Tutaj też pewnie ci na niczem nie zbraknie, bo tu stół zawsze dla ciebie nakryty, misy pełne i dzbany nie próżne, i gospodarz serdeczny, i gospodyni uprzejma, i zgoła wszystko ci rade jak bratu... a kiedy co wieczór ogień na kominku rozpłonie, i już cię w krześle wyzłacanem posadzą, i wszyscy się koło ciebie zgromadzą, i sam gospodarz stoliczek z zapleśniałą butelką węgrzyna ku tobie posunie: to wtedy cisza taka poważna zasiędzie, jak gdyby w kościele, a babunia-staruszka zacznie tobie tak cudne opowiadać powieści, że ci się zdawać będzie, jakobyś jeszcze nic podobnego nie słyszał. W tych bowiem powieściach wystąpi przed ciebie cały świat dawno umarły jak żywy, i wystąpią przed ciebie ich sejmy, zjazdy, czyny, boje, pokażą się tobie ich twarze, domy, serca tak jawnie i żywo, że ci się zdawać będzie, jakoby i w tobie samym ten

stary duch wskrzesnął na nowo, jakbyś ty sam miał pancerz na piersiach i szablę u boku, z nimi tu przeżył całe twe życie, z nimi podzielił wszystko aż do grobu...

Ten widok ziemi tak pięknej i tylą pamiątek zasianej, ten dom półstaroświecki do dziś dnia, ta gościnność serdeczna, ten węgrzyn spleśniały, ta babka-staruszka z swoją czarującą powieścią — wszystko to ciebie tak wzruszy, rozciekawi, rozmarzy, że cię widzę, jako nazajutrz do świtu pniesz się przez gęste zarośle do zawieszonej nad wioską ruiny, tam własnemi rękami oczyszczasz z mchu stare głazy i wyczytujesz z nich wpółzatarte napisy; potem się spuszczasz do grobów, otwierasz trumny i przypatrujesz się prochom i kościom; potem zstępujesz do wsi, pytasz się o najstarszych ludzi i z nimi długie rozpoczynasz gawędy... zgoła badasz najlepiej i umarłe i żywe, ażebyś odgrzebał jeszcze choć kilka odłamków tych czarujących wieści z zagrobów, które w tem życiu naszem, zagłuszonem samochwalczymi wrzaski wrzekomego postępu, a przytłumionem nieukojoną tęsknotą i bólem, tyle naszemu sercu przynoszą ulgi i orzeźwiającego wytchnienia.

Ale któż wie, ażali przyjdzie ci kiedy do tego? — Kto wie, czy ciebie, mieszkańca puszcz nadniemeńskich, albo równin podolskich lub mazowieckich, albo błyszczącej zabawami Warszawy, jaki los szczególniejszy w to ustronie zaniesie? — Kto wie zresztą, czy wtedy, kiedy tu będziesz, już i tej ziemi nietkniętej żelazne nie poprzerzynają koleje? czy tych skał pięknych nie powysadzają w powietrze, czy tych borów odwiecznych nie powycinają do szczętu, czy tych gór samych nie rozorzą lub nie powiercą na wylot? — O! to wtedy i nie przychodź tu wcale, bo nic tu już dla ciebie nie będzie. Kiedy te stare zamki się zamienią na warsztaty i kuźnie, te cudowne ruiny w fundamenta pod wiadukty i mosty, a te dwory i dworki na mieszkania dla tej nowej wędrówki narodów, która tłuszczą przemysłowo-kramarską zalewa świat od zachodu; wtedy stare podania i pieśni już na zawsze umilkną, niemające przytułku wspomnienie precz za wiekami uleci, a i sama śmierć nawet, jeszcze dziś tak wymowna i żywa, wstąpi

do grobu przed tem nowem wprawdzie, lecz niemniej przeto zabijającym życiem.

Dlatego dzisiaj, póki czas jeszcze, chodź, ja cię w tej żmudnej ze starymi grobami rozmowie choć w części wyręczę.

A jakem cię niegdyś oprowadzał po tych zamkach i dworach, i pokazywał dawne ich życie i ludzi, i za ostatnim z ich rodu opowiadał zachowane przez niego powieści, tak ci dziś całą tę ziemię jakby na dłoni pokażę i tego starca grób ci pokażę, i jeszcze jedną powieść o nim samym opowiem.

* * *

Owóż tedy stoimy na górze wyniosłej, zajmującej prawie środkowe miejsce pomiędzy miasteczkami Sanokiem i Leskiem.

Grunt ten, którego się stopa twoja dotyka, należał od najdawniejszych czasów do Kmitów, którzy tu mieli zamek wielki, murowany z kamienia, na szczycie góry Sobieńskiej. Zamek ten niegdyś warowny i zbrojny błyszczał znakomitą świetnością. W nim przyjmował Kmita Władysława Jagiełłę po ślubie, wziętym w Sanoku z Elżbietą Granowską; w nim gromadziła się bitna szlachta Sanocka przed każdem wyjściem na boje i po każdym zwycięzkim powrocie; w nim odbywały się owe królewskie biesiady, pełne najwymyślniejszych igrzysk i wschodniego przepychu, których wieści jeszcze do dziś dnia błąkają się po chatach tutejszego wiejskiego ludu. Tu na takich igrzyskach w broń i odwagę wprawiał się sławny ów Zyndram z Maszkowic, prosty szlachcic sanocki, który wszakże nie długo potem wespół z Witoldem hetmanił wojskom polskim pomiędzy Grünwaldem i Tannenbergiem; tu na tym zamku czasu Zygmunta Starego gromadzili się pierwsi luminarze i pierwsi sekciarze Rzeczypospolitej, przebywał tu Klemens Janicki i Marcin Bielski, Przyłuski i Orzechowski, znachodzili nakoniec przytułek i tacy, jak Krowicki Sakramentaryusz, Pełka zabójca Drohojewskiego, Odolińscy, Roz-

borscy, a wreszcie Balowie, wówczas zachwiani w wierze i budujący aryańskie kościoły po swoich dobrach. Wszystko to się gromadziło na zamku u wojewody i marszałka wielkiego koronnego, odbywało ze sobą zawzięte spory, ważyło główne sprawy krajowe, które lubo w Rzeczypospolitej nieraz smutne na długie wieki wywoływały za sobą skutki, tutaj kończyły się zawsze hucznemi biesiadami przy odgłosie trąb i moździerzy, którym cichymi głosy wtórowali różnych narodów lutniści, krwawymi nieraz zgiełkami goszczący rycerze i szlachta, a lud okoliczny oniemiałym podziwem. W tym zamku, w owe czasy i inne, ach! ileż to świetnych się odegrało dramatów, w których miały udział pierwsze Rzeczypospolitej głowy, a o których wieść niepiśmienna utonęła w niepamięci na zawsze! — Dzisiaj z tego wszystkiego tylko kilka głazów olbrzymich pozostało w mchach i zaroślach. Ale i te jeszcze, zawieszone jak gniazdo orle na szczycie jednej z najwyższych gór okolicznych, jak zawsze w orle krainy podnoszą myśl naszą i serce, tak czasem zdają się chwiać w swych odwiecznych podstawach, jakieś głosy chropawe dają się słyszeć pomiędzy nimi, duch zamku wstaje z swojej kamiennej pościeli, wychyla się na świat do połowy, wymawiając słowa powtarzane za życia: *Non omnis moriar!*

Ta ruina leży po twojej lewej i patrzy nieruchomie na starożytną Grzegorza z Sanoka kolebkę, która, jak żebrak-staruszek, położywszy się krzyżem na brzegach Sanu i zwiesiwszy zamek swój stary ze stromej skały nad wodę, z nią szepce razem swojej dawnej świetności wspomnienia i swoje do dziś dnia jeszcze niewysłuchane skargi. Sanok dzisiejszy, o! jakiż to obraz upadku, zubożenia i nędzy! Kiedy pełni poświęcenia się i zapału szermierze niezmordowanie walczą o prawa ubogich w świecie teoryi — sami ubodzy, nie wiedząc nic a nic o tem, coraz głębiej się pogrążają w ubóstwo. Wolność i równość dla wszystkich, wchodząca w życie w tych krajach, za kłopoty i trudy i niezaradność niemowlęcego życia jeszcze zawsze nic innego nie daje oprócz dalekich nadziei — a dobry byt, spokój i szczęście domowe, zabrała z sobą usunięta opieka

dawnych panujących i możnych. Tak samym sobie pozostawione, wyludniają się gminy, upadają wsie i w coraz większe ubóstwo pogrążają miasteczka. Na tej też drodze i stary Sanok doszedł dziś do tej nędzy, że w niej nietylko coraz więcej się chyli i upada, ale nawet zaciera w sobie wszelkie wspomnienie dawnego szczęścia i zamożności. A przecież dawniej było tu ludno, było bogato, a często nawet i szumno. Zamek tutejszy, którego rok zbudowania utonął w zmroku nierozjaśnionej przeszłości, podczas wojen ruskich zburzony, już Kazimierz Wielki odbudował na nowo i nadał zarazem miastu prawo niemieckie. Król Władysław Jagiełło, z okazyi tutaj branego swego trzeciego ślubu i w dank za sowite przyjęcie, którego doświadczył od tutejszych mieszczan i szlachty, obdarzył miasto znacznymi przywilejami, które później przez króla Kazimierza Jagiellończyka potwierdzone i pomnożone, wspomagając jego rzemiosła, rozszerzając jego handel z Węgrami i Rusią i ustalając jego dochody, otworzyły mu drogę do zamożności i wzrostu. Z tej ojcowskiej opieki królów umieli mieszczanie dzielnie i skrzętnie korzystać — a jak rychło przyszli do znakomitej zamożności i siły, i jak szlachetnie umieli temi wpółnadanymi i wpółnabytymi środkami rozrządzać, świadczy najlepiej sam Zygmunt Stary, który w przywileju (z roku 1510) pozwalającym im miejskie wodociągi przeprowadzać przez grunta królewskie, mówi o nich wyraźnie: „że do wspomożenia dobra Rzeczypospolitej, podług sił swoich *rękami i nogami* chwytają wszelką sposobność.“ — W późniejszym czasie, z łaski swojego brata, króla Zygmunta Augusta, królowa Węgierska Izabella ten zamek wraz z miastem posiadła, co się także nie mało przyczyniło do jego wzrostu, a podług wieści, jeszcze żywej do dziś dnia, nawet mu szczęście na dalsze czasy przyniosło. Nigdy bowiem już odtąd nie nawiedziła go żadna klęska, omijały go wojny, pomory i głody — a kiedy inne kraje i miasta częstokroć w jednym roku utracały swoje kilkudziesięcioletnie dobytki i zamieniając się w obraz z samych ruin i zgliszczów złożony, zaledwie w pokoleniach następnych do dawnego

wracały stanu — ziemia ta, na ustroniu leżąca i swojemi górami jak murem otoczona dokoła, wraz ze swoją stolicą tak pracowitą i skrzętną, rosła ciągle w zamożność i zaludniała się gęściej jak inne.

To też było powodem, że kiedy indziej ziemie tłuste, pszeniczne, nie mogły się nigdy dostatecznie i trwale zaludnić, mniej urodzajne góry tutejsze roiły się ludem pracowitym i szlachtą, która dzieląc się ciągle swemi nieobszernemi dziedzictwy, dziwna rzecz w jakich nieraz wertepach budowała swe dworki i jakie nieprzystępne wierzchowiny i wydmy zamieniała w role rodzajne. Ale to także było powodem, że w tej ziemi, nieprzystępnej dla wojen i wichrów światowych, w takiej czystości także chowała się stara cnota, że niezmienione z pokolenia na pokolenie przechodziły waleczność w boju, poświęcenie się dla wspólnego dobra, religijność uczucia, miłość pomiędzy sobą braterska i owa szczególniejsza pokora, która zmieszana z dziką czasem fantazyą i butą, pozostanie po wieczne czasy najwybitniejszą cechą tutejszego lat dawnych mieszkańca. Ten spokój wewnętrzny, wiekowy, tej ograniczonej od innych ziemi, stał się powodem nakoniec, że się tutaj uchowała tak czysta domowa i publiczna moralność, że wszystkich sumienia i serca były jak jedno, że sprawa jednego stawała się zaraz sprawą wszystkich, że najmniejsze zgorszenie wywoływało zaraz sąd i oburzenie powszechne, a co największa, że od najdawniejszych czasów do końca, pamięć publiczna nie zachowała prawie ni jednej tu popełnionej zbrodni lub głośniejszego występku.

Taka była niegdyś ta ziemia, która strzeżona na zachód obronnymi murami odrzykońskiego zamku i obejmując stąd ku północy odwieczne Junoszów-Załuskich, Strzemieńczyków-Trzecieskich, Ossoryów-Bukowskich siedziby, rozciągały się aż po kopce ziem Krasiczyńskich, starożytną Krasickich-Rogalitów kolebkę Dalej ku północnemu wschodowi strzegła ją swoją cudowną opieką Pacławska Kalwarya, a od samego wschodu wspaniały zamek Dobromilskich Herburtów i równie świetną przeszłość mający gród Maryny Mniszchównej.

Wszakże wszystkie te zamki i grody, strzegące niegdyś z swych szczytów granic tej ziemi rozległej, już są daleko za tobą. Barczyste góry, na których dawniej spoczywały ich niezdobyte warownie, nikną stąd w sinych mgłach oddalenia: tylko garby wyniosłe i z nich do góry wystrzelające ruiny rysują ci się, jakby jakieś fantastyczne postacie, to na niebieskiem tle widnokręgu, to w twojej własnej pamięci. I zdaje się, jakobyś sen miał i widział starców, stojących w daleko zakrojonem półkolu, którzy splotłszy się ramionami ze sobą, poglądają w milczeniu swojemi pozarastanemi twarzami, czy nie zasłyszą jeszcze choćby echa tej pieśni, którą niegdy takim olbrzymim śpiewali chórem, nie dośpiewawszy do końca...

Ale zato przed tobą rozwija się okolica, w której do skał i borów niedostępnych przyrosłe, jeszcze czasem się odzywają ostatnie zwrotki tej pieśni.

Jest to obraz prześliczny, mało mu równych na ziemi, a ledwie który piękniejszy...

Więc najpierwej na ostatnim krańcu południowego nieba malują ci się wspaniałe szczyty Karpat, wielkie, silne, barczyste, zbite gęsto ku sobie i tak czarnymi borami okryte, jak gdyby od dnia stworzenia dopiero im jeden wiek minął i jeszcze ludzka ręka ich nie dotknęła. Z pomiędzy tych borów czarnych wyglądają tu i owdzie ostre i nagie Połonin głowy, które niebieskawą obciągnąwszy się barwą, jakby mogiły na ukraińskim stepie, zdają się łączyć ze sobą, uciekać ku wschodowi i ginąć. Patrząc nieraz na tę grupę Połonin, które istotnie są jakby w ruchu, zdało mi się, że to są branki zakaukazkie lub greckie, które światoburcy w swoim krwawym na Europę pochodzie prowadzili tędy ze sobą. Pozarastanych, czarnych i strasznych najezdców Bóg słowiański powstrzymał w pędzie i w te góry barczyste zamienił — a lekkie branki, wyrwawszy się wtedy z ich straszliwego objęcia, pozarzucały błękitne zasłony na głowy i chciały uciec do domu. Ale żelazne skamieniałych olbrzymów dłonie przytrzymały końce ich szaty i nie puściły od siebie. I tak to tutaj zostało na zawsze... Bliżej ciebie występuje w wyrazistszej

postaci olbrzymiej objętości Magora, koło niej stoi ostrym grzbietem zjeżony Otryt, a po lewej podnosi dumnie poorane zmarszczkami czoło niebotyczny Łopiennik; przed nią zaś wlecze się krokiem leniwym stary Żukow w podartych szatach, oglądając się nie bez zazdrości na swoją młodszą siostrę Czulnię, już tymczasem młodemi zaroślami okrytą.

Na tem tle gór niebotycznych i nieprzejrzanych lasów rysuje się z dawną potęgą i wspaniałością wymurowana na wzgórzu fara leska — a stojąc w takiej ciszy i takiej powadze, jak matka opiekunka opuszczonych przez ojca sierotek, z prawdziwie macierzyńską miłością tuli do siebie całą gromadkę domków podupadłego miasteczka, z których jeden zdaje się zbiegać od wielkiej Skały pogańskiej, stojącej wysoko nad miasteczkiem na górze, drugie od niej uciekać do zamku, który tuż okok, otoczony niezliczoną lip starożytnych gromadą, dumne swe dachy wznosi nad ich najwyższe wierzchołki.

Skała, o której tutaj wspominam, jest to ogromna masa jednostajnego albo przez długie wieki zrośniętego ze sobą kamienia, która stojąc na stromej górze nad miastem, zdaleka wygląda jak część starego, zrujnowanego zamczyska, z basztą obronną na przodzie; zblizka, lubo trudno przypuścić żeby to mógł być twór ludzkiej ręki, widać tu jednak niby okno, gładko w ścianie północno-wschodniej wycięte, i widać ślady schodów kamiennych. A więc i tutaj kiedyś mieszkali ludzie. Lecz któż wie jacy i kiedy? Może tu jaki carzyk, lub hetman której z hord najezdniczych, założył niezdobytą dla siebie twierdzę? może jacy zgłodzeni i okrwawieni wygnańcy, uciekający przed jakiemi hordami, tu się schowali na chwilę? może tu niegdy siedzieli zbójcy i stąd wypadali w równiny na łupieże i mordy? — Dzisiaj tutaj spokojnie i cicho. Mech tylko rośnie w rozpadlinach tych skalisk i pną się po nich karłowate krzewiny, a do mchów i zarośli tulą się roje gminnych podań i pieśni, zwieszając swoje cudowne kwiaty na pokarm duszy wędrowca.

Sędziwy zamek, stojący prawie pod miastem na dole,

starożytna to jeszcze Stadnickich i Ossolińskich, a później Mniszchów siedziba. Przechodząc zawsze wianem z rodu do rodu, od najdawniejszych czasów prawie w niczem nie zmienił swojej zewnętrznej postaci. Ozdobne wspaniałemi rzędami kolumn i ogromną wystawą piersi obróciwszy ku południowi, barczystemi plecyma swemi obrócił się ku północy i ani patrzy w tę stronę. Czasem tylko, a mianowicie wieczorem, kiedy go słońce zachodzące oświeci, zdaje się niby obracać na prawo i gwarzyć coś z temi starożytnemi drzewy, które go otaczają z tej strony i chylą się wszystkie ku niemu. Z tej strony także, niby z podziemiów zamku i ogrodu, wypływa San już szeroki, przejrzysty i niebieski jak błękit majowy, a rozlewając się stąd coraz wspanialej i szerzej w zachwycającej piękności dolinę, jednym brzegiem podmywa cały szereg skał ubarwionych powojem i kwitnącymi bluszczami. Od tego obrazu oddziela ciebie pasmo łąk i zielonych pagórków, które zdają się niby falami zastygniętego morza, lecz na których wszędzie znajdziesz zajmujące twe oko przedmioty; tam na stromym pagórku między staremi drzewami stoi samotna cerkiewka, tutaj z falistymi przeguby wychyla się wioska, ówdzie osłoniony sadami skromny na wzgórzu bieleje dworek, tam przy drodze na skałce stoi krzyż i kapliczka, a w pośrodku San płynie, a Sanem płyną jodły masztowe i tratwy i śpiew flisaków rozlega się aż po dolinach i górach...

Oprócz tego, jak po twej lewej wiszą tuż prawie nad tobą sobieńskiego zamku narożne węgły i mury — tak znów po prawej, niby u stóp twoich, uderzają cię swoją wielkością i rozległością ruiny zagórskiego klasztoru, które o ile ocalały z ostatniego pożaru, tak w swej całości się zachowują jeszcze do dziś dnia.

Dlatego stoi tu jeszcze nietknięty cały front tutejszego kościoła, i wszystkie ściany klasztoru, i mury ogradzające go niegdyś do koła — a wszystko to jeszcze tak ogorzałe i tak swem nieszczęściem wymowne, że zdaje ci się, jak gdybyś widział jeszcze dymy unoszące się nad gruzami i widział mnichów, błądzących z pochylonemi głowami

pomiędzy mury i szukających niedopalonych swych skarbów po zgliszczach.

I mnichy te rzeczywiście błądzili tu długo, i błąkali się po świecie: szukali resztek tych skarbów w popiołach i serc ludzkich u ludzi; lecz nie znalazłszy ni jednych ni drugich, wyszli z tych ruin z bólem w sercu i łzami na oczach, aby już nigdy nie wrócić...

A w ruinach została cisza ponura jak w grobie.

Pomiędzy mury i sterczącemi ku niebu kolumny leżą w nieładzie porozwalane głazy; tam spory kawał marmurowego nagrobku, tu anioł biały obrócony twarzą do ziemi, indziej rycerz kamienny bez rąk i bez głowy, tam ptak wiecznej ciemności i śmierci, sowa bez nóg i bez skrzydeł... Nad tem straszliwym polem podwójnej śmierci, wiecznie ze samej siebie się odradzająca natura odnosi swoje nieodbite zwycięstwo i okrywa te łomy głazów mchem i zielenią, i tu i ówdzie wypędza w góry olbrzymie chwasty i krzewy. Przez rozwalone dachy całym swym blaskiem świecące słońce ogrzewa swem ciepłem to nadgrobowe życie tak samo, jak życie róży rumieniejącej się z brzegu na skale, i lilii białej wychylającej twarz swoją z topielisk, i pieszczonego w grządeczce fijołka. Jakoż i tutaj już nad murami zaczynają wspinać się róże i wiążąc trawy swoje z listkami bluszczów zielonych i trawek, plotą z nich długie festony i wieńce. Tak już i na tym olbrzymim grobie zaczyna we dnie nowe maluczkie życie przygłuszać wielkie wspomnienie śmierci...

Lecz kiedy słońce się schowa za góry, i chłodna noc ziemię okryje i blady księżyc wypłynie na niego, wtedy tu inna gra się zaczyna.

Wtedy tu wszystkie te mnichy wracają nazad, którzy stąd wyszli na wiekuiste sieroctwo. Jedni z nich usiadają na głazach i opierają swe twarze zgrzybiałe na rękach, jak gdyby chcieli ukryć łzy swoje, albo się oddawali wspomnieniom; drudzy idą w gmach dawnego kościoła i tam się gubią między murami. Na widok dawnych swych opiekunów, kamienny rycerz wstaje na nogi i miecz podnosi do góry, sowa uderza w skrzydła i unosi się w górę,

a biały anioł otwiera groby i budzi ze snu umarłych. Ci, jedni w skórach lwich i lamparcich, drudzy w pancerzach i hełmach, inni w delie i długie żupany odziani, wstają na nogi, przecierają swoje kościane czoła, gromadzą się w środku dawnej świątyni i razem z mnichami długi rozpoczynają rozhowor; i tak razem coś gwarzą i radzą, i oglądają smutne gruzy pysznej niegdyś świątyni, i łzy wylewają na gruzach... Inni przez murów wyłomy i bramy wyglądają w świat żywych; radziby widzieć, jaki to świat jest i gdzie się podziało to wszystko, co mu pozostawili puścizną?... Aż nagle światła się zapalają na ołtarzach, kapłan staje na stopniach i poczyna się nabożeństwo jak dawniej — a oni wszyscy uklękają na grobach, kościste ręce w krzyż składają na piersiach i korne głowy pochylają ku ziemi...

I tak garstka umarłych modli się Bogu za żywych.

Widzi to zawsze lud okoliczny i z tego rankiem dziwne wieści roznosi po chatach. Widzi to czasem przejeżdżający podróżny i z niemą trwogą z miejsc tych straszliwych ucieka. Lecz słyszy o tem człowiek myśli i serca, rozważa pilnie i mówi: Jeszcze ta pamięć śmierci ma więcej siły żywotnej, niżeli sztuczne maluczkie życie.

Jakoż tak jest w istocie.

Jeszcze tu bowiem w tej ziemi, niezawianej powietrzem materyalnego postępu, nie zalanej gwarliwą czeredą wielbicieli dnia dzisiejszego, nie umilkły ze wszystkiem te głosy, które wieki pozostawiają wiekom, pokolenia podają pokoleniom, jako najdroższą po sobie puściznę. Jeszcze tutaj w tej ziemi każden kamień coś gada, każda wązka drożyna ma swoją żywą powiastkę, każden dom swoje dzieje, nieprzerwanie się ciągnące do dziś dnia a ginące swoim początkiem w zapomnianej już gdzieindziej przeszłości. Tak jeszcze tutaj cała przeszłość ma żywe życie, a lubo to życie wzięte w karby wprost mu przeciwnych warunków, rozbryzgnęło się w drobne cząsteczki i objawia się tylko w nader maluczkich i rozprószonych odłamkach, toć tych odłamków jeszcze zawsze jest tyle, że z nich myśl ludzka z kochającem sercem w spółce wiąże długie i nieprzerwane całości z taką samą łatwością, jak zgrabna

i prawdziwem uczuciem piękności kierowana ręka dziewicy wije wieńce z luźnie rosnących w ogrodzie kwiatów.

Patrząc z tej góry na ten obraz gór, wiosek, zamków, kościołów i dworów, któren w swojej całości staje przed twemi oczyma i przedstawia ci serce, główne niegdyś tętno sanockiej ziemi, razem z nim i ta myśl staje widomie przed tobą. Będąc obznajmiony z każdem podaniem, błąkającem się po tych miejscach, wtajemniczony w dzieje każdego zamku, kościoła i domu, pamiętając gawędy wszystkich starców tej ziemi do niedawna jeszcze żyjących — kiedy to wszystko w dziwnym bezładzie i sprzeczkach kłębi się w twojej pamięci — tutaj stajesz się panem tego wszystkiego, porozrywane wieści dzielą się same z siebie na oddziały i grupy, pokrewne łączą się z sobą, i wszystko razem potem zbiega się w całość tak jednolitą i spójną, a tak bogatą i rozmaitą w swych częściach, że w niej ani jednego nie brakuje ogniwa — i ten duch owych wieków, którego promienie zdały ci się tak rozpierzchnione i połamane, tutaj staje w całej potędze swojej przed tobą i dla każdego głazu ma nowe tchnienie i życie. Reszty dokona serce i, na widok tego obrazu, samo z siebie się budzące przeczucie...

Odkąd też luźne podania, gawędy starców i pradziadowskie notaty nazbierały się u mnie w takiej ilości, żem je zaczął grupować i składać w powieści, nigdy nie pominąłem tego miejsca, ażebym na niem chwil kilku nie spoczął. Czasem po kilka godzin tutaj bawiłem; nieraz dopiero zmrok mnie napominał, że już nie czytam w tej księdze olbrzymiej rozpostartej przedemną, tylko we własnej pamięci i sercu...

Wszakże i takie czytanie, jak się odbywało miłością, tak nie było bez znamienitej korzyści. Słowa bowiem tej księgi i słowa pamięci zlewały się wówczas w jedno, objaśniały i dopełniały się wzajem i obudzając coraz większą ciekawość, posuwały ją coraz dalej i dalej.

Tym sposobem pomimo woli zapuszczałem się nieraz w te czasy, które tylko jak widma senne występują z nieprzetartej mgły oddalonych od dziejowej jasności wieków;

czasy te — kiedy Wielkopolska roi się jak ul pszczolny pracowitym ludem i szlachtą herbową — w Małopolsce mniej szlachty, lecz zato coraz więksi i coraz możniejsi powstają panowie, a tutaj ledwie pierwsze i to w równinach na brzegach Sanu się pokazują osady. Zaledwie wiek jeden upływa, Wielkopolska już prawie przeludnia się szlachtą i po pięćdziesięciu rycerzy jednego herbu stawia pod jedną chorągwią; w Małopolsce już nieledwie tak samo się rozradzają panowie, tytułują się komesami, murują zamki obronne nad granicą węgierską i aż do brzegów Sanu zasięgają po ziemie — tutaj wtedy dopiero powstaje Sanok, poniżej niego zasiadają Kmitowie i zakładają kamień węgielnego zamku na Sobniu. Wszakże odtąd zaczyna się ta ziemia już coraz żwawiej zaludniać: przychodzą Balowie z Węgier i zabierają całe góry aż pod sam Bieszczad pod swoje dziedzictwo, na żyzniejszych dolinach zasiadają niewyposażeni u siebie małopolscy przybysze, i wszystko rośnie i wzmaga się. Wkrótce potem sobieński zamek jaśnieje już najwykwintniejszą świetnością, a domy szlacheckie rozradzają się do takiej potęgi i liczby, że dają królom własną chorągiew na boje i z pomiędzy nich wychodzi taki Zyndram z Maszkowic, który z księciem Witoldem dzieli się władzą hetmańską.

Jednak jeszcze naówczas, jak ziemia tak ludzie, mają swój własny, całkiem do innych wieków niepodobny charakter. Na ziemi role rzadkie a gęstsze pasieki, bory ciemne i nieprzebyte, pełne dzikiego zwierza i zbójców, a pomiędzy borami tu i owdzie zdaleka od siebie dwory, murowane z kamienia, albo na wysokich podmurowaniach drewniane, a wszystkie obronne. Każdy dwór jak forteca, a każdy szlachcic, nie rolnik jeszcze, ale wciąż żołnierz albo myśliwy. Kiedy jest za domem, to się bije z Ordą, z Krzyżaki, Węgry albo zdradliwą Wołoszą; a kiedy w domu, to poluje na dziki, niedźwiedzie i zbójce. Czasem się pokazuje na zamku sobieńskim i tam uczestniczy w biesiadach, igrzyskach i burdach. Zamek ten wówczas jest pełen bajecznej już dla nas świetności, ale ta świetność przedstawia dziwną zaiste mieszaninę wschodniego

przepychu z rodowitą prostotą. I jak w charakterze ówczesnego szlachcica czy pana miesza się społem niewieścia tkliwość z barbarzyńską dzikością, tak w jego domu, obok prostej ławy dębowej błyszczy przepyszna złotolita makata; tak i on sam wreszcie, w dzień powszedni w baranim kożuchu i grubych butach, a w święto kąpie się w sobolach, jedwabiach i złocie. Pomimo tej pozornej sprzeczności wszakże była tam niezrozumiała dziś wielkość w tych ludziach, nie dlatego tak wielka, że od nas daleka, ale że wielka w istocie. Pomimo tej pozornej sprzeczności bowiem każdy mąż wówczas był z jednej sztuki, i jeden i ten sam zawsze i wszędzie. Zatonął on czasem w miękkościach i zbytkach i ugrzązł nad miarę w biesiadzie, ale były to tylko przemijające fantazye, które nie miały żadnego wpływu na hart jego duszy i surowe sumienie. To też kiedy głos surmy bojowej, albo jęki o pomoc wołającego ucisku doleciały do jego uszu, porzucał on bez namysłu swoje biesiadnicze rozkosze, kładł pancerz na siebie i siadał na konia. Sprawowanie rycerskich obowiązków było daleko większą dla niego rozkoszą, niżeli najwymyślniejsza biesiada. Toż równie święte były mu wszystkie obowiązki, których go nauczono z pacierzem. Zaledwie umiał on czytać, rzadko sam stawiać litery, ale w tem wszystkim co należało do jego zawodu, był mistrzem nieporównanym i dlatego rycerski swój zawód nazywał *rzemiosłem*. A tego rzemiosła duszą były dwa najświętsze uczucia, jakich godne jest serce ludzkie, były to: wiara święta i miłość ojczyzny. W tych świętości obronie walczyć było najpierwszym obowiązkiem tego rzemiosła, a w ich obronie zginąć najpiękniejszym zaszczytem. Dlatego rzemiosło to już sami starzy nazywali zakonem i jak po zakonnemu wykonywali prawa tego zakonu, tak też i godni byli tego nazwiska. Rycerze niemieckiego zakonu, tak nazwani krzyżacy, nosili krzyż na swych szatach; ale ci go nosili w sercu, to też *ci* tylko byli w rzeczy zakonnymi rycerzami świętego krzyża, za krzyż walczyli do ostatnich dni swego życia i krzyż im się dostał w nagrodę po śmierci.

Głównem słońcem, pod którego promieniami i ciepłem

wzrósł i wychował się ten zakon rycerski, nie mający równego sobie na ziemi, była bez żadnej wątpliwości i mogła być tak czysta, głęboka i niezachwiana wiara chrześciańska, która naówczas zastępowała sobą całą wiedzę i filozofią i na swych rękach kołysała wszystkie uczucia.

Wiara też taka chowała się zrazu i na zamku kmitowskim.

Lecz z czasem, kiedy z powodu różnych rzeczywistych i urojonych nadużyć, zaczęła się szerzyć po Europie środkowej wolnomyślność, a za nią tworzyć różne sekty religijne, i kiedy toż sekciarstwo już bez powodu zaczęło znachodzić i w Polsce dla siebie odgłos i oparcie, to i zamek sobieński zachwiał się w wierze i stał się niebawem jakby gospodą, nietylko dla apostołów i kaznodziejów kacerskich, ale nawet dla wszystkich głów niespokojnych całego państwa.

Z tą zmianą na zamku, który był i najwyższym i środkowym punktem całej ziemi sanockiej, cała ta kraina wstępuje w wigilią zmian wielkich i cale nowej dla siebie epoki. Kmita bowiem przyjmuje kacerzy i libertynów u siebie, biesiaduje z nimi, rozprawia i rzuca pomysły różnych rokoszów i niespokojów, a na te biesiady przyjeżdża także i szlachta i bierze udział gorący w tem wszystkiem. Lecz kiedy Kmita po owych ekscentrycznych biesiadach, uśpiony szmerem woniejących wód, tryskających z marmurowej fontanny, pod bisiorami złotolitej kotary jaknajspokojniej usypia — kiedy jego żona, pobożna i zacna Górkówna, modląc się na przetłomaczonym przez Wróbla dla siebie Psałterzu, gorące prośby zanosi do Boga o oświecenie tych głów oszalałych — szlachta nie może strawić tych pociągających ku sobie nowinek i jeżdżąc po nocach od dworu do dworu, radaby na tej drodze jaknajprędzej przystąpić do czynu. Z tego powodu robi się niesłychany rozgwar po całej ziemi, wszczynają się spory pomiędzy sąsiady, powstają na się najlepsi dotychczas przyjaciele, burzą się dzieci przeciw rodzicom i zgoła przygotowuje się epoka najswarliwszej anarchii...

Najgoręcej wszakże ze wszystkich chwytają się tych

nowinek Balowie. Są oni możni naówczas i rozrodzeni; dziedziczą na Nowym-Tańcu, Średniej Wsi, Hoczwi i dalej aż po sam Bieszczad; na swoich dobrach trzymają liczną czeladź wojskową, mają znamienite koligacye w Krakowskiem i Sandomierskiem, i prawie się równoważą z Kmitami. Ci tedy stają się głównymi przywódzcami różnowierczych zastępów, odstępują uroczyście od wiary, osadzają kacerzów w Hoczwi, po wielu miejscach budują zbory, a później nawet stawiają całkiem nowe kościoły, z których jeden aryański, wybudowany w Średniej Wsi, stoi jeszcze w swojej pierwotnej postaci do dziś dnia. Ci nowowiercy znamionują się takim zapałem i wytrwałością, że w końcu, kiedy w całej ziemi sanockiej już nikomu się nie śni o nowej wierze, oni wszyscy chowają się w dawnem odstępstwie, utrzymują ciągłe stosunki z kalwinami w kraju i za granicą, dzieci swe wysyłają na nauki do Niemiec i z taką gorliwością przestrzegają swej nowej wiary, że uczuwających chęć nawrócenia się swoich synów i wnuków, nawet przekleństwami i gwałty do wytrwałości w odstępstwie zmuszają I w ich to rodzinie zdarza się ten wypadek, że kiedy młodzieniec konający na łożu śmiertelnym, rozpaczającym głosem błaga o katolickiego kapłana, rodzona matka przenosi raczej śmierć jego, niżeliby miała go widzieć odstępującego od wiary, w której żyli jego rodzice.

Ta śmierć straszliwa była jednak już ostatnim ważniejszym wypadkiem sekciarskiego żywota Balów.

Od dłuższego czasu już bowiem cała sanocka fortuna Kmitów przeszła była w ręce Stadnickich, a za tem przejściem i cała ziemia sanocka zaczęła przechodzić pomału w tę nową fazę swojego życia, do której się przygotowywała już od czasu śmierci Zygmunta Starego. Jakoż całkiem inna postać rzeczy już teraz, niżeli była za Kmitów. Zamek sobieński już jest w ruinie a w jego miejsce podniósł się, nie taki wprawdzie dumny i wzniosły, ale niemniej poważny i wiele gładszej powierzchowności zamek leski. Powstało przy nim, wzniosło się i zamurowało po części miasteczko Leśko; w niem stanął kościół piękny,

obmurowany i uposażony dostatnio. W miasteczku Leśku osiadają rękodzielnicy i kupcy, zaczyna ożywiać się handel i przemysł, i zgoła wszelka możliwa cywilizacya osiada w mieście i stamtąd rozprzestrzenia się na wsie. A wszystko to ma źródło swoje w Stadnickich. Stadniccy wprawdzie sami pod owe czasy liczą pomiędzy sobą nie mało głów niespokojnych. Dziedzicząc na Zmigrodzie, Łańcucie, Leśku i mnóstwie innych majątków, utrzymują tysiączne na swoich zamkach milicye. Temi milicyami prowadzą prawie wojny domowe z Herburtami i Drohojowskimi, oblegają i zabijają się wzajem, a na zamku leskim chowa się nawet, przez jakiś czas krótki, ów sławny Stanisław, nazwany „*Diabłem*“, który później całą prawie Europę sławą swojego junactwa napełnia, staje się jednym z najgłówniejszych filarów Zebrzydowskiego rokoszu, a w końcu ginie w wojnie domowej, zażegnionej, przeciwko Opalińskiemu. Pomimo to wszakże Stadniccy wpływami swymi o wiele pod każdym względem przenoszą Kmitów. Chowa się bowiem u nich już europejska oświata, pielęgnują się poważne i stateczne nauki i kwitnie w całym blasku owa miłość braterska dla uboższej od siebie braci, która jest jedną z głównych cech różniących nasze rody zamożne od zagranicznych książąt i grafów. Coś z tej nieswojskiej pańskości chowało się w zamku Kmitów i dlatego tak bardzo ich pamięć tutaj zaćmili Stadniccy. I słusznie. Kiedy bowiem Kmita chował na swoim zamku wędrujących śpiewaków ci chowali uczonych i sami się oddawali naukom. Tamten utrzymywał zbrojną czeredę pancernych sług i junaków: ci chowali dwór liczny z zacnych przyjaciół złożony. Tamten spraszał szlachtę sąsiednią do siebie i wyprawiał im uczty, igrzyska i pląsy: ci z bracią uboższą dzielili się chlebem powszednim i trwałym. Jakoż już w owych czasach państwo leskie liczyło przeszło dwudziestu dzierżawców i zastawników, z których każdy trzymał wieś za bezcen, albo gdy trzymał ją drożej, to kwit na odebraną tenutę dostawał rokrocznie w darunku.

Tak już naówczas, ojcowską opieką możniejszego od siebie brata nęcona, zaczęła się ściągać w te strony szlachta

i zaludniać wsie okoliczne; później osadzały się zwolna i dalsze wioski, a po między nie wszystkie rozprzestrzeniała się z zamku oświata, gładkość obyczajów i te wszystkie tradycyonalne cnoty domowe, które później, nabrawszy jednolitego ducha i form wyrobionych, stały się dla młodzieży szkołą tak wyborną i odpowiednią swym celom, że ją żadna nie zdołała zastąpić wszechnica...

Stadnickich wpływ na tę ziemię jest ciągle zbawienny i ważny. Za ich powodem bowiem ściągają się tutaj nietylko dzierżawcy i zastawnicy przez nich zapomagani, lecz osiadają także na wsiach dziedzicznych rody już znane gdzie indziej. Jakoż już wtedy, to jest około końca panowania Zygmunta III, znachodzimy koło państwa leskiego ugrupowanych Korabitów-Laskowskich, Gryffitów-Bobrowskich, Jastrzębców-Strzeleckich, Lelitów-Krajewskich i Górskich.

Lecz około tego czasu już zasługami około ucywilizowania i zaludnienia tej ziemi zaczynają się dzielić ze Stadnickimi i inni, a Balowie nawet sami na własną rękę puszczają się z nimi w zawody.

W familii Balów zachodzi wtedy wielka zmiana. Przechodzą oni bowiem wszyscy napawrót na łono kościoła i stają się najgorliwszymi katolikami W tem zdarzeniu występuje najjaśniej pełna zacności, powagi i poświęcenia się postać Piotra Bala, później podkomorzego sanockiego i głowy familii. Z odstępczych wierze urodzony rodziców, będąc na nauki wysłany na jakąś nowowierczą wszechnicę do Niemiec, sam się przeniósł do Ingolsztadu, już tam na łono katolickiego kościoła powrócił i przywiózł ze sobą do kraju niezachwiane postanowienie wszystko ze swojej strony poświęcić, ażeby całowiekowe grzechy swojego rodu zatrzeć i imieniowi dawną, niepokalaną sławę przywrócić. Walki te, jakie zwodził ze swymi rodzicami, uporczywie trzymającymi się błędów kacerskich i to zwodził w ten sposób, że ani przeciwko swojemu postanowieniu, ani przeciwko powadze rodzicielskiej nie zgrzeszył, przedstawiały obraz tem więcej zajmujący i wzniosły, ile że w końcu przecie uporczywość ich ugiął i zmarłą wiarę w nich wskrzesił.

Za staruszkami, rewokującymi swe religijne odstępstwo, powracają od dawnej wiary i inni, a młody Piotr pierwszy wstęp swój w świat rzeczywisty uświetnia czynem tak wzniosłym i pięknym, że całą familią swoją, składającą się z głów kilkądziesięciu, własną ręką do Pańskiej świątyni wprowadza i oddaje napowrót na usługi Matce Najświętszej i ukrzyżowanemu Synowi.

Tak pięknie zacząwszy, zachęca on się jeszcze tem więcej do usług krajowi i wierze. Jakoż zamiast żyć wygodnie na którym ze swoich zabudowanych i zaopatrzonych we wszystko majątków, idzie on w głąb' gór i borów i tam zakłada miasteczko Balogród. Tam zmurowuje zamek i osadziwszy go licznym zaciągiem zbrojnych, za ich pomocą całe góry sanockie na zawsze oczyszcza z opryszków. Jednocześnie w Balogrodzie muruje kościół, zakłada liczne wsie w okolicy, stawia wszędzie kościoły i przy nich *„szkółki“* dla ludu buduje. Wykonywając te prace ogromne w górach, nie zapomina on i o całej ziemi sanockiej; jakoż on to jest także, który w Nowym-Tańcu nowy funduje kościół, z Hoczwi resztę kacerzy kalwińskich wyrzuca, jezuitów sprowadza do Krosna, muruje im dom i zaopatruje w dochody, a nakoniec i klasztór franciszkanów w Sanoku, spalony do gruntu, odbudowuje na nowo i zakonników do niego sprowadza. Śród tak pracowitego i pełnego poświęceń zawodu doczekuje się późnej starości, której lata ostatnie poświęca pracom piśmiennym o religii i dziejach kościoła.

Tak oczyściwszy góry tutejsze z niebezpiecznych włóczęgów i zbójców, i pobudowawszy wsie w głównych miejscach, ubezpieczył on komunikacyą z Węgrami i założył fundamenta do zaludnienia tych borów, dotychczas ledwie zagorzałym myśliwym dostępnych.

Jakoż od tego czasu zaczynają się rzeczywiście zaludniać te góry, a zaludnienie to postępuje jak na owe czasy w sposób tak szybki, że zaledwie półtora wieku potrzeba na to, ażeby cały ten obszar ogromny aż po sam Bieszczad zasiadł się dobrze osadzonemi wsiami, i to wsiami takiemi,

z których prawie na każdej mieszkał osobiście jej właściciel, a później nawet i kilku.

* * *

Owóż takie są żywe tradycye, te ostatnie zwrotki owej niedokończonej pieśni, które jeszcze tu i owdzie błądzą po tych sanockich górach.

Ale i one nie istnieją już dzisiaj w swojej dawnej całości.

Jak lamowe kontusze, jak złote pasy ówczesne tylko w porozdzieranych kawałkach dadzą się dzisiaj znachodzić po starych skrzyniach i trumnach: tak i żywe podania o tych, którzy je niegdyś nosili, żyją już tylko w porozrywanych ułamkach.

A niektóre z tych rdza wiekowa poprzeżerała na wylot, drugich złotą brantowne nieoddartą okryło się pleśnią, z trzecich zaś zgoła została się tylko garść prochu.

Trzebaż było dopiero Bóg sam nie wie tylko po jakich kątkach odszukiwać te rozpierzchnione atomy, trzeba je było z rdzy i pleśni oczyszczać i ich prawdy na starych księgach próbować — a dopiero te, które wytrzymały tę próbę, składać mozolnie w całości, ożywiać je starym z grobów wskrzeszonym duchem i do nowego obudzać życia.

Praca to nudna i zmudna zaprawdę, choć tak maluczkie zwykła wydawać owoce.

Wszakże wszedłszy raz na tę drogę, nazbierawszy szczegółów dosyć i znalazłszy klucz, jak je wiązać ze sobą, samo się to już jakoś rozwijało ze siebie i jedna podań gromadka, związana z sobą i ożywiona, dawała związek i życie drugiej.

Tak postawały z martwych niegdyś istotnie żywe, lecz dziś już dawno popróchniałe postacie, tak odżyły na nowo te stare i już tak zardzawiałe prawdy, że świat dzisiejszy ledwie je sercem pojmuje i we czci swojej kładzie tylko na równi pamiątek...

Wszakże jak w wieńcu, pomiędzy liście zielone i kwiaty, wije się barwna nitka tej ręki, która je z sobą związała:

tak w wiązankach tych podań, pomiędzy stare i znalezione prawdy, wije się nitka dzisiejszego marzenia...

Jest to grzech wielki — mówią niektórzy sędziowie! grzech to jest wielki w istocie, ale pomimo to usprawiedliwienie z niego nie trudne. Czyjaż to bowiem wina, że tak już bardzo popróchnieli umarli? czyjaż to wina, że ich prochów i kości na całe postacie już nie wystarcza? Mając zaś do wyboru albo dawać drobniutkie, nie mające związku ze sobą ni znaczenia, ułamki, albo wedle gotowych w naturze wzorów pospajane ze sobą, dawać je w składnych całościach, — wybór mój nie mógł być wcale wątpliwym.

Rzeczy te zresztą dzieją się zwykle same ze siebie i całkiem pomimo woli. Patrząc bowiem na owe szkielety ludzi, ruiny zamków i domów, na blade cienie obyczajów, praw i społeczeństw, martwe i nieme już dzisiaj, lecz takie, które żyły niegdyś życiem istotnem — sam ze siebie jakiś duch wstaje, który głos za nie zabiera i w naszych oczach dawne wraca im życie.

Tak widząc w marmurowym głobie kości zmarłego człowieka, widząc kawałek złotogłowiu z szat jego, strzaskaną pochwę wydartego mu z grobu oręża i współzatarty napis na jego trumnie: całkiem pomimo woli naszej zmarły ten człowiek wstaje przed nami jak żywy, przywdziewa nazad na siebie swoje bogate szaty, przypasuje oręż do boku i już się póty od nas nie ustępuje, póki go z naszej strony nie ubierzemy w to wszystko, co nam przynosi wiedza i przypomnienie. Wszakże nie koniec na tem: zbudzona bowiem tem wyobraźnia zrywa się coraz silniej i postępując dalej o własnych siłach, wiedzie nas w całe tego zmartwychwstałego męża życie. A kiedy potem ta wyobraźnia zaprowadzi nas do jego murowanego zameczku, zapozna nas z jego całą rodziną i krewnymi i sąsiadami, i z nich ułoży cały szereg tak rozmaitych scen i obrazów, że w nim się znajdą i bitwy i krwawe zajścia domowe, miłość i zawiść, prywata i poświęcenie, śmierć i ciche życie domowe, poświęcone rodzinie, ojczyźnie i Bogu... a co wiedzieć natenczas, czyli to było tak w rzeczy, czy być musiało, czyli tylko być mogło?...

Czemu się zaś to dzieje, czemu ten jakiś duch niewidomy, będący w nas albo z nami, wszystko martwe co znajdzie, zaraz na powrót powołuje do życia i to prawdą, to snem, to marzeniem, wiąże w nierozerwane całości, Bóg to sam wiedzieć raczy: ja nie wiem...

Tak nie wiem także, czemu mi się jawią raz po raz dawno już pogrzebane postacie, czemu znam ludzi, których nigdy nie widziałem na życiu, czemu słyszę w głos ich rozmowy, perory, waśnie; czemu widzę częstokroć całe jazdy i sejmy i bitwy, tak jakby się działy przedemną, chociaż nigdy przy nich nie byłem?...

Tak nie wiem także, czemu z tych różnych ludzi, ich spraw, i rozmów, i waśni, niektóre tylko pozostają mi trwale w pamięci, a inne się zacierają i giną?...

Ale wszystko to ma swój grunt i przyczynę, która się z czasem wyjaśnia...

Tak przez lat parę nie wiedziałem zaprawdę czemu, ile razy spojrzałem na ruinę zagórskiego klasztoru, zawsze widziałem tam mego starego Nieczuję. Był on już bardzo stary natenczas, tylko wieniec białych jak mleko włosów okrążał jego sędziwą głowę, i był już przygarbiony i drżący. Miał na sobie wypłowiały kontusz z granatowego sukna, pas wystrzępiony na biodrach i białą czapkę na głowie. W takim stroju i takiej postaci siadywał on tam przed klasztorem na głazie, a jakichś kilku ludzi było zgromadzonych około niego, którzy słuchali co mówił. Ale nie było tak zawsze. Czasem opierał swoją zgrzybiałą głowę na ręce i myślał. Potem znowu się budził i udzielał słuchaczom swych myśli. I jakbym go dziś jeszcze widział, jak po dłuższym namyśle patrzy przez chwilę przytomnym w oczy, potrząsa z wątpieniem głową i mówi głosem pełnym powagi i żalu:

— „Nie masz nic smutniejszego, jak być starcem w dzisiejszych czasach. Pięćdziesiąt lat wojen, prowadzonych bronią żelazną i umysłową, uczyniły to, że nowy naród osiadł na starej ziemi. Z dawnego państwa zostały się pod każdym względem ruiny i zgliszcze. Nad szkieletami starych zamków i grodów unoszą się szkielety starych opinij

i wyznań. Niektóre z nich bywają wywlekane stamtąd na krotochwilę żakom i swawolnikom, inne, przystrojone w teatralne koturny, odgrywają komedye dla wynarodowionej i bezbożnej gawiedzi — starzec tylko białowłosy, z przytępionym wzrokiem i trzęsącą się głową, uklęka czasem pod tymi świętymi murami i złożywszy ręce w pokorze, oddaje tam cześć dawnym bogom narodu, dla których niemasz już nigdzie kościoła...“

I tak mówiącego obskakują go znowu wąsate pacholęta nowego wieku, przypatrują mu się, skaczą około niego, szarpią go za pas i za żupan, i mówiąc: — Starcze! powiadaj nam co, bo nam się nudzi.

I dobroduszny starzec kończy z pośpiechem swoje myśli pobieżne, poprawia się na swoim omszonym głazie i zaczyna powiadać powieści. Zgromadzona rzesza, oczy wlepiwszy w niego, słucha go zrazu ciekawie, powtarza sobie jego słowa, dziwi się jemu, że znał wszystkich jej ojców i dziadów... Starzec się zapala i mówi bez przerwy; jemu się zdaje że uwięziwszy ich oczy i uszy przy sobie, uwięził zarazem i serca... i głos jego podnosi się coraz wyżej, biała czapka się na bok przewiesza, wyciągają się ręce, w tył odlatują wyloty... Lecz w w krótce dostrzega on poniewolnie, że jego słuchacze śmieją się tam, gdzie onby płakał, gdyby miał jeszcze łzy w piersiach; inni zasię udają litość i współczucie nad tem, z czego się śmiano po wszystkie czasy i pokazuje się jawnie, że słuchaczów do mówcy nie wiąże serce, tylko oko i ucho. Wtedy nagle starcowi urywa się mowa, głowa jego opada na piersi, oczy wlepiają się w ziemię, a z jego ust pobielałych wymykają się słowa:

„*Barbarus hic ego sum, quia haud intelligor illis!...*“

Po takiem wyznaniu nie otwiera on więcej ust swoich, ani patrzy nawet w tę stronę, gdzie po bezdrożach błądzą nowych pokoleń gromady... ale natomiast wraca pomiędzy mury swej celi, owija się w resztki wypłowiałego żupana, owija się w stare modlitwy swoje i tak czeka w spokoju, póki anioł śmierci nie uderzy brunatnem skrzydłem w jego łoża węzgłowie, mówiąc: — „Czasy twoje

się dopełniły; chodź, zawiodę cię aż do onej marmurowej pościeli, w której śpią twoi hetmani i rotmistrzowie...

Tak widząc zawsze postać mego starego skarbnika pod murami klasztoru zagórskiego, nie wiedziałem przecież, dlaczego mi się właśnie tu zjawia i zjawia w ten sposób, jak gdyby to miejsce zawierało w sobie historyą ostatnich dni jego życia, albo nawet jego kości i prochy? Miałżeby tu być w samej rzeczy grób jego?...

Ta myśl wszakże nawijała mi się wtenczas li tylko przelotnie. Zajęty jego życiem i tem co się działo za jego życia i mając tego tyle do opowiadania, że ledwie jedną cząstkę zdołałem złożyć i spisać, zajęcie się jego śmiercią i grobem zostawiłem sobie na później.

Wszakże niebawem nauczyło mnie doświadczenie, że nie wszystko, co się znalazło w owoczesnych podaniach i pismach, da się opowiedzieć w dzisiejszych czasach... Niektóre rzeczy, lubo w części już zapomniane, są jednak jeszcze zaświeże... Inne mogłyby się na jaw okazać, lecz dopełniwszy pierwej różnorakich warunków... A ponieważ o wszystkich przedmiotach dziejowych, ze sławnym naczelnikiem równie sławnego zakonu, musiałem sobie powiedzieć z góry: „*Sint, ut erant, aut non sint!*“ — więc na bardzo wielką część owych podań musiał paść wyrok: *Non sint!* Tym sposobem daleko prędzej, niżeli się spodziewałem, zbliżyłem się piórem do ich dna i do końca.

Przyszła więc kolej na ostatnie dnie i na śmierć mego starego Nieczui. O tych rzeczach natenczas, jako odłożonych na później, mało jeszcze wiedziałem. Głuche tylko wieści i niepewne wspomnienia snuły mi się po pamięci. Wszakże przyszła mi na myśl także i owa postać jego, jawiąca mi się pod murami klasztoru. Jak tedy niegdyś za jego żywą postacią szedłem w ślad, aby znalezione już wiązać i nowe odszukiwać albo dopełniać podania: tak dziś za jego sennem zjawiskiem poszedłem, ażeby porozrzucane nici tych podań jeszcze raz schwycić i skończyć.

Jakoż pokazało mi się niebawem, że owa postać senna nie napróżno mi się zjawiła pod murami zagórskiego klasztoru. Jp. skarbnik bowiem miał rzeczywiście pod koniec

życia nie małe z temi miejscami styczności. I tak najpierwej jego siostra Jadwiga, podkomorzyna sandomierska, utraciwszy męża i znaczną część jego i własnego majątku, przeniosła się była tutaj i około roku 1781 kupiła była tęż samą wieś Zagórz na własność, w której zaraz po śmierci jp. Macieja Chojnackiego, jej dotychczasowego dzierżawcy, stałe sobie obrała mieszkanie. U swojej siostry, z którą zawsze w najlepszych żył stosunkach, bywał często pan skarbnik i nawet jako jej opiekun stawał w jej imieniu na sądach. Oprócz tego miał on jeszcze i z samym klasztorem osobiste relacye, a nawet zakonnikom tamtejszym jeszcze za życia swego, krom innych dobrodziejstw, summę jakąś zapisał, o czem sam pisze w jednym z swych listów, mówiąc: — Pobożnym zakonnikom zagórskim, którzy się tak troskliwie opiekują zbawieniem duszy mojej, lubo z pomocą Boską już się dla nich uczyniło cokolwiek, co ma i pewne znaczenie, i pewną niesie prowizyą, przecież trza będzie i nadal nie umykać pamięci...“ Z dalszego ciągu tego listu, którego tylko jedna kartka została, zdaje się także wypływać, jakoby skarbnik miał był myśl już natenczas kiedyś na stare lata osiąść w jakim a najpodobniej w tymże samym klasztorze. Domysł ten także potwierdzała i wieść jakaś niepewna, że w tym klasztorze był w samej rzeczy jakiś stary szlachcic na dewocyi, który całe życie straciwszy na wojnach, tam na modlitwach przeżył resztę dni swoich. Wszakże to było wszystko, co mi się dało odszukać. Pod koniec drugiego dziesiątka teraźniejszego wieku klasztor zagórski się spalił do szczętu, a w nim spłonęły wszystkie jego papiery i wszystkie pamiątki; — osieroceni zakonnicy rozeszli się po świecie, a z nimi zaginęły i wszystkie wieści na zawsze...

Pomimo to wszakże postanowiłem zwiedzić jeszcze raz tę ruinę. Nie mogłem się wprawdzie i po niej nader wiele spodziewać, bo od lat przeszło trzydziestu była ona zostawiona burzom i słotom; lecz przecież... może jeszcze jaki kawałek nadgrobka? — może jaka blacha ze starej trumny? może choć myśl jakaś, jeśli nie całkiem prawdziwa, to przynajmniej podobna do prawdy?...

Jednakże błądząc między tymi murami, nie dojrzałem nic, coby odpowiedziało choć w części moim poszukiwaniom. Zimne i nieme głazy dokoła, pomiędzy nimi zielska i chwasty, i owóż wszystko, co tam widziałem...

Wszakże zmęczywszy się bliższem opatrywaniem głazów, kiedy wychodząc stamtąd, aby piersi napojone zgnilizną i pleśnią świeżem odżywić powietrzem, wszedłem w dawny klasztorny kurytarz: w jednem miejscu musiałem się zatrzymać na chwilę, bo mi się zdawało widzieć ślad jakiejś żyjącej i tu zamieszkałej istoty. Kurytarz ten nie miał nad sobą już ani dachu, ani nawet sklepienia i prawa jego ściana była już na wpół zwalona: lecz zato w lewej, która mieściła w sobie niegdyś cały rząd cel klasztornych, pomiędzy drzwiami powywalanemi na wylot, ujrzałem jedne niby na powrót sprawione i na kłódkę żelazną zamknięte. To mnie zastanowiło cokolwiek, lecz wiedząc dobrze, że przed rokiem i dawniej żadnej żywej istoty tutaj nie było, odwróciłem od tego szczegółu moją uwagę, a natomiast zwróciłem ją całą na drzwi same, a właściwie na odrzwia. Odrzwia te bowiem były z jakiegoś ciemnego i twardego kamienia, bardzo ładnie wykute i mając rozmiar daleko większy, niżeli wszystkie drzwi inne, miały na sobie nawet jeszcze dość widne ślady zręcznie rzeźbionych floresów, przedstawionych wypukło. Z tych odrzwi wszakże pozostały teraz już tylko dwa słupy poboczne — całego wierzchu nie było. Na widok tego przejęło mnie jakieś smutne uczucie żalu, bo mi się zdawało (jak to zwykle się zdarza w podobnych razach), że ten wierzch musiał być daleko piękniejszy niż słupy boczne, i że go ktoś wyjął umyślnie... Już mi się zaczęły nawijać różne domysły, różne ciemne przeczucia — kiedy wtem gdzieś o podal odemnie usłyszałem suchy i ciężki kaszel jakiegoś starego człowieka. Obróciłem się w tę stronę i ujrzałem staruszka, zgarbionego pod ciężarem wiązki suchych gałęzi, który krokiem powolnym wchodził właśnie w kurytarz.

Obaczywszy mnie stojącego pod drzwiami, zastanowił się cokolwiek, lecz potem zbliżył się ku mnie pomału i zrzucił ciężar swój tuż koło mnie na ziemię.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków.

— To wy tu mieszkacie, staruszku?

— Ja panie! — odpowiedział z westchnieniem starzec — a cóż robić, mój panie, kiedy człek nie ma innego przytułku...

— Jakże? to nie macie już żadnych krewnych, ni blizkich?

— Może i są tam gdzie jeszcze! ale któż ich tam teraz odszuka, kiedyśmy się ze trzydzieści lat nie widzieli? I nie poznaliby mnie już teraz i nagnaliby mnie od siebie!

— A dlaczegóż tu właśnie wybraliście sobie mieszkanie? wszakżeż lepiejby było gdziekolwiekbądź indziej, byle pomiędzy ludźmi.

— Pomiędzy ludźmi! — powtórzył staruszek, z dziwnie gorzkiem uśmiechem — o! już to panie nie ludzie, którzy dziś mieszkają na świecie. Wolę już tutaj. Tutaj przeżyłem moje lata młode, niechże już tutaj i grób znajdę dla siebie.

— Tuście przeżyli lata młode? — powtórzyłem prędko i począłem dalej i niecierpliwie wybadywać staruszka. I jakież było w pierwszej chwili zdziwienie moje, kiedy się dowiedziałem od niego, że przez lat kilkanaście był ogrodniczkiem klasztornym i był w tej służbie prawie aż do spalenia klasztoru...

Wszakże zdziwienie to i wynikająca stąd uciecha były tylko chwilowe; niebawem bowiem przekonałem się aż nadto dowodnie, że staruszek miał pamięć jaknajzupełniej starganą. W jego całym umyśle nawet był taki nieład, że mi plótł rzeczy niemające ze sobą żadnego związku, a o czemkolwiekbądź zaczął, przechodził zaraz na Węgry, gdzie trzydzieści kilka lat bawił, i których pamięć przygłuszyła w nim wszystkie jego wspomnienia dawniejsze, a nawet i wspomnienia młodzieńcze, które zwykle u starców najżywiej się przechowują w pamięci. Nie tracąc wszakże jeszcze nadziei dowiedzenia się choć czegoś przynajmniej, wyłożyłem mu krótko i zrozumiale o co mi chodzi, i starałem się sam mu te czasy tak żywe przypo-

mnieć, żeby już plótł co mu się będzie podobać, byleby nie zajeżdżał na Węgry. Wysłuchawszy mnie z bardzo poczciwą, a nawet natężoną uwagą, oparł się o krawędź rozwalonego komina i bardzo długo coś myślał, lecz nareszcie się zebrał i opowiedział mi to co wiedział prawie w następujących słowach:

— Onego czasu, ale to bardzo już dawno, bo i nie dobrze pamiętam, jeno jakby sen jakiś mi się to kręci... otóż onego czasu przyjechał tu był do klasztoru jakiś pan wielki i żołnierz wielki, ale już stary, bo był siwy mało nie tak, jak i ja teraz. A ten pan był bardzo bogaty i przywiózł ze sobą znaczne skarby we wielkich skrzyniach, a ojcowie go bardzo grzecznie przyjęli. A potem wybrał sobie jedną celę i dał do niej dorobić drzwi wielkie żelazne i odrzwia kamienne.

— A to pewnie ta sama cela?

— Może i ta — odpowiedział staruszek — ale już tego nie pomnę... Otóż w tej celi schował on swoje skarby i sam w niej zamieszkał i tak Panu Bogu ślubował, że już tu swego życia dokona na modlitwach i na pokucie. Ale jakoś nie dotrwał w tym ślubie. Bo jako to żołnierz był z niego wielki, tak też zaraz, jak tylko nowa się wojna zaczęła, zabrał się stąd i poszedł. A swoją celę zamknął i swoje skarby w niej zamknął, a tak przykazał, że jeśli zginie na wojnie, wszystkie te skarby mają się dostać ojcom, aby się Bogu modlili za jego duszę. Pomnę to nawet, że nade drzwiami tej celi był jakiś napis, co my to nieraz go oglądali, ba! nawet i goście różni oglądali z podziwem, bo to tam były snać wypisane te wszystkie skarby... A już co potem się stało, tego nie pomnę. Jeno tak mi się widzi, że ten rycerz już nie powrócił... O! i pewne nie wrócił, bo pamiętam to dobrze, że w tej celi mieszkał potem ksiądz kaznodzieja, który się lubił bawić ogrodem i nieraz nawet we współkę ze mną robił rydlem na grządkach... A już też wtedy i owego napisu nie było, bo też i skarbów nie było...

Zastanowiwszy się chwilę nad tem tak smutnie poszarpanem podaniem, nie mogłem wątpić jednak, że w niem

jest jakiś cień prawdy, a że ta prawda się nie odnosi do nikogo innego, jak tylko do nieboszczyka skarbnika, byłem więcej jak pewny. Widząc wszakże, że już się więcej od tego staruszka nie dowiem, usiłowałem przynajmniej go naprowadzić na przypomnienie sobie koniecznie, gdzie się podział ów napis z nad owej celi, którym nie mogło być nic innego, jak tylko ów wierzch brakujący tym odrzwiom kamiennym, które dopiero co oglądałem.

Usiłowanie moje nie dawało mi żadnej nadziei — wszakże rozmawiając z nim dalej, jakże się nie zdziwiłem, kiedy z pomiędzy głazów, leżących w kącie tej samej celi i poprzyrastanych chwastami i trawą, na jednym z nich zdawało mi się jaknajwyraźniej widzieć wyrzeźbioną tarczę herbowną, a na niej pień o pięciu sękach z mieczem wbitym weń z góry. Przystąpiłem w ten moment bliżej i znalazłem tam ten sam wierzch owych odrzwi kamiennych, który tak, jak go sobie przerysowałem na prędce, kładę tutaj poniżej:

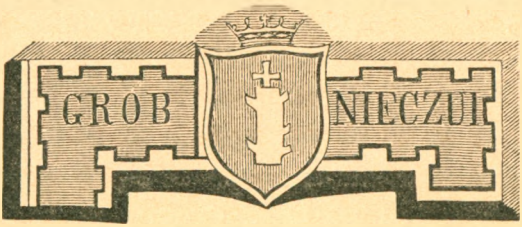

Oparłszy się plecyma o wyłom muru, zastępujący okno w tej celi, stałem tam nad tym głazem, sam tego nie wiem, jak długo. Tysiące myśli snuło mi się przez głowę, tysiące uczuć odzywało się w sercu. Rzeczy prawdziwe zdawały mi się całkiem niepodobne do prawdy, a prawdopodobnych nasuwało się tyle! Smutek ciężki przejął mnie wreszcie, że rzeczy takie jeszcze niedawne już tak niezdartą pokryte pleśnią!... Czy tak jest także i u innych narodów?... O! tam wcale inaczej!... przechowują tam najmniejsze drobnostki, przechowują nawet błędy przeszłości

w niezatartej pamięci, dlatego tylko, że były niegdyś własnością ich ojców i dziadów. I taką pamięć każdy tam rozumie, i nikt jej znaczenia nie patrzy, i nikt jej nie stawa na drodze. Dlatego żyją oni ciałem i duchem a mając przeszłość, mają i przyszłość przed sobą. My czemże dzisiaj jesteśmy? Żyjemyż przynajmniej duchem w nierozerwanej spójni z tymi, którzy nas porodzili? Nie sąż pomiędzy nami tacy, którzy ten związek ducha i serca własnemi rozrywają rękami? Nie sąż, którzy z lekceważeniem rzucając przeszłość, niespokojną swą myślą przenoszą się w kraje cudzoziemskich idei i w nich szukają zbawienia?... Nie wiem i tak nie sądzę. Byłoby to zapewne szaleństwem, z którego zanadto straszne wyniknęłyby skutki, ażeby o nich można pomyśleć bez zgrozy. Tak myślącemu, mimowolnie nasunął mi się obraz życia tego staruszka, którego teraz miałem przed memi oczyma. Staruszek ten urodził się tu na tej ziemi i znalazł chleb i zajęcie w klasztorze. I było mu tutaj zapewne nie źle. Ale klasztor się spalił, a z jego spaleniem zaszła zmiana i w jego losie. Ustało jego dotychczasowe zajęcie i trzeba było innego poszukać. Ale zamiast go szukać w tej ziemi, o jeden zagon dalej, albo o jedną wieś dalej, albo i te same grzędy uprawiać, których przecież pożar nie zniszczył — porzucił on lekkomyślnie te mury, które teraz zniszczały, porzucił wieś i ziemię rodzinną i poszedł w kraj daleki i cudzy, aby tam szukać chleba na dzisiaj i nadziei na przyszłość. Trzydzieści lat błądził po owych krajach nieznanych, przedeptał jego wszystkie ścieżki i drogi i pewnie nie jednego się chwytał rzemiosła — ale cóż stąd za skutek? Oto stargał swe siły w krwawych z losami zapasach, doczekał się ciężkiej, niezaradnej starości i wrócił. Wrócił nazad w te miejsca, gdzie żyli jego ojcowie i gdzie on sam przeżył cały wiek swoj młodzieńczy — ale te miejsca teraz już mu nawet nie były ojczyzną. Cudzoziemiec we własnym kraju, obcy na własnych grzędach, nie pamiętał już nawet, co się działo za jego własnego życia. Tak zerwawszy zupełnie z przeszłością,

nie miał jej wcale — teraźniejszość jego o! jakaż biedna i nędzna! — a cała przyszłość — za grobem.

Tak marząc smutnie nad owym głazem i porównywając w marzeniu losy pojedynczego człowieka z losami krajów, ziem i narodów, nie uważałem wcale, że już słońce się dawno schowało za góry i coraz ciemniejszy zmrok opadał na ziemię. Chłód wieczorny, zawiewający przez wyłom muru, zbudził mnie wszakże o tyle prędzej, ile że parę mil miałem stamtąd do siebie, a konie moje zgłodniałe już od kilku godzin napróżno czekały na mnie na górze. Jakoż żegnając się zaraz dobrem słowem i datkiem ze staruszkiem, chciałem natychmiast wychodzić. Ale staruszek, nałożywszy tymczasem ognia na rozwalonym kominie i ogrzawszy się przy nim, a teraz ważąc w ręku pieniądze, rzekł do mnie:

— Już to jegomość odchodzi?

Zatrzymałem się jeszcze.

— Bo to widzi jegomość — mówił dalej staruszek — mnie to samemu żal wielki, że ja nie umiem już i o tem powiedzieć, na co sam wtedy patrzałem. Ale to dawne czasy! już i własnych krewnych się zapomniało, a nie dopiero cudzych! Przecież może ja sobie jeszcze co o tym panu przypomnę... Anoż teraz znowu mi się coś przypomina i to tak mi się widzi, że kiedy ten pan tutaj siedział, albo może i inny... a nawiedzali go tu drudzy panowie i chodzili nieraz z nim po ogrodzie, to wtedy przychodził tu także do niego leśniczy z Zagórza, który mu nosił zwierzynę. A przychodziła z nim także i jego żona, którą wołali Marcyanna... A to już tak dobrze pamiętam, bo ta Marcyanna zachodziła wciąż do ogrodu i brała stąd jarzyny i szczepy. A z tego powodu była tutaj raz bitwa wielka pomiędzy ludźmi, przytem i mnie się tak dobrze dostało, żem na to leżał przez kilka czasów. A kiedym był chory, to ta Marcyanna odwiedzała mnie i cieszyła i obiecywała mi służbę drugą wynaleźć, kiedybym tę porzucił... A już tam dalej i nie wiem, jeno mi się to jakoś tak kręci, boć i tak było... A ta Marcyanna może jeszcze gdzie żyje, bo młoda była...

Ten szczegół zajął mnie oczywiście daleko więcej, niżeli to wszystko, czego się dotychczas dowiedziałem z ust jego. Jakoż w dalszej na nowo rozpoczętej rozmowie, przekonałem się, że kiedy się staruszek rozrusza i dobrze namyśli, to jeszcze niejeden szczegół mu się przypomina. Wszakże nie mogłem już na ten raz długo z nim rozmawiać, bo było, jak to mówią, i głodno i chłodno i do domu daleko. Powróciłem więc nocą do siebie — a nazajutrz rozpocząłem poszukiwania wyż wspomnionej leśniczynej Marcyanny.

Poszukiwania te wkrótce jaknajlepiej się opłaciły. Leśniczynej tej wprawdzie nie było już w Zagórzu, ale była na kupionym przez siebie folwareczku w dalekich górach. Stała się też ona dla mnie skarbem nieocenionym. Urodzona niegdyś na dworze nieboszczyka skarbnika, ciekawa do najwyższego stopnia i obdarzona osobliwszą pamięcią, wiedziała ona nietylko to wszystko, co sama zapamiętała, ale pamiętała i to, co gdziekolwiek słyszała. Była przytem przez lat kilkanaście w służbie u pani podkomorzynej sandomierskiej i znane jej były najskrytsze tego domu tajniki, co mnie też obchodziło najwięcej.

Tak tedy w części od niej, w części zaś od owego staruszka, który później odżywiony i opatrzony, jeszcze niemało szczegółów dotyczących tej sprawy sobie przypomniał, nazbierałem ustnych podań tak wiele, że z ich pomocą ostatnie lata nieboszczyka skarbnika wyjaśniły mi się prawie zupełnie.

Rzeczy te wszakże są tak ściśle związane i z niektórymi szczegółami jego własnej a daleko dawniejszej przeszłości, i z dziejami jego bliższych przyjaciół i krewnych, że ich nie podobna było rozerwać.

Dlatego zostawiając je w ich naturalnej całości, dopełniłem je tylko temi wiadowościami, których brakło w podaniach, a które dla dzisiejszego słuchacza są prawie niezbędne — z czego wszystkiego złożoną powieść, szereg Nieczujowych powieści ostatecznie kończącą, opowiadam następnie.

I.

Kiedy pan skarbnik z ostatniej wojny do siebie do Bóbrki powrócił, dziwnie był smutny i przygnębiony.

Już to raz niegdyś, kiedy mu jego młodziutka żona, owa anielskiej dobroci Zosia, umarła i wraz ze sobą owe niemowlątka zabrała, przycisnęła go była także tak ciężka żałoba, że ledwie w modlitwach i pobożnych pielgrzymkach dawne swe serce odzyskał; ale dziś było z nim jeszcze daleko gorzej, i słusznie: boć on dziś więcej daleko utracił...

A już to widać było po nim zaraz na samym wstępie. Bo skoro tylko próg swej komnaty przestąpił, zamiast się cieszyć sługami, którzy z szczerą radością na twarzy zgromadzili się koło niego, przyjął ich chmurno i natychmiast odprawił. A kiedy wyszli, rzucił się na kolana przed obraz Chrystusa na krzyżu i długo się modlił samotnie.

Wstał potem, szablę odpasał od boku i rzucił ją między stare graty do skrzyni... a potem chodził chwiejącym się krokiem po komnacie, łzy ocierając i płacząc.

Kiedy było z południa, podstarości staruszek, który jeszcze jego ojca pamiętał, odsunął po cichutku kotarę, która zastępowała drzwi między tą komnatą i drugą, i zaglądnął do niego.

Skarbnik siedział w krześle naówczas, dziwnie był zamyślony i smutny, lecz na szelest kotary zbudził się i patrzył długo w twarz starca.

— No i cóż tam, mój stary? spytał po chwili z westchnieniem.

— Ha! i cóżby, mój panie — oopowiedział staruszek — to! stało się koniec.

— Stało się, mój staruszku, stało — powtórzył skarbnik i umilkł, głowę opuszczając ku piersiom. Wszakże wstał zaraz i przystępując do niego, dodał:

— Proszę cię, każ mi tu ognia na kominie rozłożyć i niech się to pali co wieczór. I proszę ciebie, żebyście mnie choć na jakiś czas zostawili w spokoju. Chory jestem, mam ranę niezagojoną i krew mi jeszcze ciagle upływa... niechaj mi choć cierpieć nikt nie przeszkadza. Gospodarujcie sobie jak chcecie, mało mi teraz już na tem. Kiedy kto przyjedzie, niemasz mnie w domu; dosyć mam już tych ludzi, do syta. I mam już dosyć wszystkiego.

Staruszek chciał jeszcze coś mówić, ale skarbnik go wziął za ramię i rzekł:

— Idź już, idź sobie teraz, mój stary, i nie daj mnie tu nikomu nachodzić. Chcę być spokojny i tobie się w tym poruczam.

I podstarości wyszedł, potrząsając głową i mrucząc.

A skarbnik sobie krzesło do komina przysunał i mały stolik postawił przy niem, a na stoliku położył księgę, w pargaminy i klamry oprawną. Księga ta była to biblia starego i nowego zakonu, przynosiła ona mu zawsze ulgę w cierpieniach i pokrzepiała zbolałą duszę; w niej też sobie i teraz zaczął czytywać półgłosem.

I tak pomiędzy modlitwą, rozmyślaniem a czytaniem pism świętych schodził mu czas jego samotny.

Zamknąwszy się tak szczelnie przed całym światem, rozumiał zapewne skarbnik, że tem snadniej przeboli i strawi ten smutek, który przyniósł ze sobą do domu. Jakoż to lekarstwo bywa często skutecznem dla innych — ale dla niego stało się prawie trucizną. Przyzwyczajony bowiem do gwarliwego życia pomiędzy ludźmi, przyzwyczajony, jak to bywało dawnymi czasy, wszystkie swoje dolegliwości albo mścić zbrojną ręką, albo przy pełnej przebaczać, dziś — kiedy nie mógł ni jedno, ni drugie, i zamknął się jeszcze z sobą — bujna jego wyobraźnia i serce pełne najżywszego uczucia tylko go jeszcze rozmarzyły tem bar-

dziej i rozdrażniły tem głębiej. Jakoż dziwnie się wówczas odmienił był skarbnik.

Czasem całe godziny przesiadywał jak martwy i patrzył w jedno miejsce szklanemi oczyma, jak gdyby już całkiem wzrok stracił i czucie. Kiedyindziej uklękał przed świętym obrazem, modlił się głośno i bił się w piersi z taką żarliwością i skruchą, jak gdyby grzechy całego świata miał na swoim sumieniu i chciał je odmodlić za jedną godzinę. To znowu siedział zwinięty we dwoje, jak liść mrozami zwarzony, a ciche łzy spływały mu wciąż po policzkach.

Później działo się gorzej.

Kiedy bowiem duch jego, niecierpliwy i nieprzywykły dać się uginać niczemu, zrywał się przeciw boleściom ścigającym jego zranione serce, to i on zrywał się wtedy i chodząc wielkimi krokami po komnacie, albo się zaciskając w głąb krzesła, w głos sam ze sobą rozmawiał. Przed jego wyobraźnią snuły się wtedy najstraszliwsze obrazy, które mu się czasem przedstawiały tak żywo, jak gdyby na nie patrzył zdrowemi oczyma. Więc dzisiaj widział całe pola krwią zalane i zaścielone trupami — jutro był wśrodku bitwy i okrwawioną szablą mordował nieprzyjacioły — kiedyindziej pasował się z ludźmi w ognistych sukniach i pudrowanych perukach, którzy przyszli z Zachodu, ażeby i tu zaprowadzić świeżo wynalezioną gilotynę, na niej wyciąć połowę ludzi, a w drugiej zabić wszelką wiarę i ostatki nadziei.

To znowu stawał nagle na środku pokoju i mówił głośno jakby do kogoś, który stał przed nim.

I zdawało się wtedy, że miał gorączkowe widzenia tak jawne że między ich zjawiskami a rzeczywistością nie znachodził żadnej różnicy. Kiedy takie widzenie minęło, był znów spokojny i cicho albo się modlił, albo czytał w swej księdze.

Ale pamięć tych widzeń musiała zostać przy nim, bo dnia jednego zdjął pistolety z nad łóżka, stare naboje z nich prowykręcał, nabił je świeżo i położył na stoliku przy księdze.

A kiedy w parę dni potem niespokojny o niego podstarości poważył się wejść do komnaty, aby mu się przypatrzyć, on przystąpił do niego i spytał: czego chcieli ci goście, którzy tu wczoraj zajechali byli w dziedziniec?

Podstarości, który był pewnym że żadnych gości nie było, nie pomału się zdziwił i przypatrując mu się osobliwszemi oczyma, rzekł w końcu:

— Ja nic nie wiem o żadnych gościach.

Skarbnik na to patrzył chwilę przed siebie, a potem rzekł niby ze smutkiem:

— Jakże więc? to tu żadnych gości nie było?

— Parę dni temu — odpowiedział staruszek — przysyłała tu pani podkomorzyna, ażeby się o zdrowie jegomości dowiedzieć, panna Stanisława kazała się kłaniać i pan kapitan to samo; wczoraj zasie przejeżdżał tędy jakiś dworzanin z leskiego zamku, który tu wstąpił ogrzać się i odpocząć, i także się wypytywał o pana; ale krom tych nikogo tutaj nie było.

— Co mi gadasz! — zawołał na to skarbnik surowo — Niemcy byli, którzy mnie chcieli zarzezać!

Słysząc to, podstarości aż się cofnął o krok od niego, a na jego poczciwej twarzy niewypowiedziana wymalowała się zgroza. Lecz pomyślawszy chwilkę, przystąpił ku niemu i rzekł prawie błagalnym głosem:

— Pozwól mi też jegomość tylko jedno słowo powiedzieć. Jestem stary, wiele już rzeczy widziałem na świecie i warto mnie zawsze posłuchać. Owo tedy jegomość masz ranę na głowie, którą, jak to pewnie już widzę, przygojono zawcześnie. Teraz się to odzywa i sprowadza panu gorączkę. Ale tego tak nie potrzeba zostawiać, bo nie każde zdrowie to zniesie. Więc mnie słuchaj jegomość i albo daj zaraz sobie krwi upuścić i każ się zlewać zimną wodą codziennie, albo pij zioła przynajmniej, które ja zaraz zgotuję.

— Ej! — rzekł na to skarbnik z goryczą — już mi też krwi upuszczono nie mało... zostaw mnie tylko samego, już ja to jakoś przecierpię.

Stał jeszcze staruszek przez chwilę i patrzył, a potem mu się pokłonił do kolan i rzekł jeszcze do niego:

— Chciałbym też przy tem o coś jegomości poprosić. Oto dyspozytorowi naszemu a mojemu zięciowi dał Bóg córkę tej nocy, dziś przed wieczorem chrzcić ją będziemy; otóż prosimy jegomości, abyś ją z łaski swojej potrzymał.

— Ja? — rzekł na to skarbnik z dziwnym na twarzy uśmiechem — mój kochany! jam dopiero grób kopał i grzebał umarłe, a takiemi rękami nie wprowadzać w świat niemowlęta. Ale kiedy chcesz tak koniecznie, to ją potrzymaj w mojem imieniu, a owo masz tutaj na krzyżmo.

To mówiąc, dobył z biurka sakiewkę i oddał ją staruszkowi. Ten zaś, zważywszy ją w ręku i widząc, że jest zbyt ciężka, sam nie wiedział co mówić; lecz namyśliwszy się, odpowiedział:

— Ej! i doczegóż to panu takie sobie robić wydatki? będzie to pewnie ze sto czerwonych lub więcej...

— Nie pytaj wiele, jeno bierz i zachowaj to dla niej. W czasach tych, których ona dożyje, będzie więcej głodnych niż sytych, i nie będzie kto je miał nakarmić. Toż i jej grosz się przyda za czasem. Idź więc, idź już mój stary i chrzcijcie sobie z Panem Bogiem tę dziewkę.

— Kiedy już jegomość tak łaskaw — rzekł na to stary — to niech to panu Bóg wynagrodzi stokrotnie. Na pamiątkę tej łaski damy jej imię Marcyanna i nauczymy ją pamiętać swojego dobrodzieja.

Z powodu wielkiej radości niespodziewanego daru, staruszek zapomniał całkiem o radach lekarskich, dopiero co dawanych swojemu panu, i wybiegł prędko z komnaty — a po jego wyjściu skarbnik znów zaczął się przechadzać wielkimi krokami i myśleć. Zrazu myślał on rzeczywiście nad tem, czyliby mu nie należało jąć się jakiego lekarstwa, ale niebawem już przeszedł na inne myśli i wpadł w swe zwyczajne marzenia, które o tyle więcej nabierały ognia i życia, o ile więcej dzień się chylił ku wieczorowi.

Wkrótce też całkiem się zmierzchło na dworze, bo się to działo prawie w drugiej połowie adwentu, kiedy to dzień bywa najkrótszy.

Ze zmrokiem przyszło chłopię służebne i nałożyło ogień wielki na kominie i zapaliło lampkę oliwną przed obrazem Chrystusa Pana, która się tam paliła co piątek. I wyszło i cisza zaległa staroświecką komnatę, jakby jaką grobową kaplicę.

Skarbnik jeszcze przez jakiś czas przechadzał się po komnacie, stawał, myślał, mówił coś głośno do siebie, lecz w końcu usiadł przy kominie w swem krześle i rozłożywszy księgę, zaczął w niej szukać tego miejsca, na którem rano był przestał.

A miejsce to znajdowało się w proroctwie Jeremiaszowem w rozdziale V, które gdy poznał po założonej karcie, czytał dalej w ten sens:

— „23. Lecz ludu tego stało się serce niewierne i drażniące; odstąpili i odeszli.“

„24. I nie mówili w sercu swojem: Bójmy się Pana Boga naszego, który nam daje deszcz ranny i późny czasu swego, który nam strzeże w zupełności żniwa naszego.“

„25. Nieprawości wasze odwróciły to, a grzechy wasze zahamowały dobro od was.“

„26. Bo się naleźli między ludem moim niezbożni, dybiący jako ptasznicy, zastawiający poniki i sidła na pojmanie ludzi.“

Tu przerwał i głowę oparłszy na dłoni, myślał przez długą chwilę. A potem czytał dalej:

— „27. Jako klatka pełna ptaków, tak domy ich pełne zdrady, dlatego urośli i zbogacieli.“

„28. Potyli i stłuścieli i przestąpili słowo moje złościwie. Sprawy wdowy nie sądzili, sprawy sieroty nie prostowali, a sądu ubogich nie sądzili.“

„29. A więc o to ich nienawidzę, mówi Pan...“

Tu znowu przerwał i myślał. I już zaczęły mu się przedstawiać różne obrazy, przed jego oczyma zaczęły występować różne postacie, jak gdyby żywe: tu zgromadzenie sądów przekupnych, tu trybunalska sesya pod przewagą obwinionego o gwałty magnata, tam kadencya ziemskiego sądu zagłuszona przez zbrojną szlachtę, tu fałszywi

świadkowie, krzywoprzysiężcy, łzy sierot, płacz nędzarzy w łachmanach... kiedy wtem dał się słyszeć w komnacie szelest kotary.

Obudzony tym szelestem, pan skarbnik spojrzał w tę stronę i obaczył tuż pod kotarą stojącą postać człowieka.

A była to postać zaprawdę dziwna w owem miejscu i czasie.

Był nią bowiem człek młody, całkiem czarno ubrany; czarny miał frak na sobie ze stojącym kołnierzem i szerokiemi klapami, czarne pluderki, buty ze sztylpami, czarny trójgraniasty kapelusz i czarną szpadę u boku. Nad piekielną ciemnością ubioru unosiła się twarz blada jakby z kości słoniowej, z zadartym nosem i błyszczycącemi jak węgle oczyma. Zamiast pudrowaną peruką, która zdawała się niby niezbędną przy takim stroju, ubrana była ta twarz przeraźliwa czarnym jak smoła włosem, który, może kiedyś w porządku, teraz jednak się podniósł i w zjeżonych kędziorach zdawał się spadać na plecy.

Kiedy skarbnik to widmo obaczył, wzdrygnął się w krześle i zrazu patrzył nań rozwartemi oczyma...

Tymczasem człowiek ten pokłonił mu się przystojnie i z miną wcale uśmiechnioną i grzeczną, rzekł do niego głosem cokolwiek stłumionym:

— Waszmość pan raczysz mi łaskawie przebaczyć, że przerywam jego samotność...

Wszakże głos mówiącego nie zrobił żadnego na skarbniku wrażenia — zdawało mu się, że to jest widmo zwyczajne — jakoż dziwnie się na to wszystko uśmiechnął i odwróciwszy się nazad ku księdze, zaczął czytać w niej dalej, mówiąc:

— „30. Zdumienie i dziwy stały się na tej ziemi.“

Na te słowa, wzdrygnął się lekko młodzieniec, tak jakby uczuł gniew lub oburzenie, jednak stłumił to w sobie i tylko z wyrazem żalu zaczął mówić dalej:

— Panie! Ty się odwracasz odemnie. Nie trudno mi się domyśleć, że mnie oczerniono nawet i przed tobą. Lecz wierz mi, panie, że nie masz dla was ani cienia złej myśli

we mnie. Bo oto i teraz z złem mnie wysłano do ciebie, a przecie ja z dobrem przychodzę.

Skarbnik zdawał się słuchać tej mowy, tak jakby słuchał swych własnych myśli, ale nie odpowiedział nic na to, tylko znów czytał dalej:

— „31. Prorocy prorokowali kłamstwo, a kapłani przyklaskowali rękoma, a lud mój umiłował takie rzeczy: cóż się tedy stanie na ostatku jego?“

Na to znowu młodzieniec, opuszczając głowę ku ziemi i zakładając ręce przed sobą, zaczął mówić, jak gdyby do siebie:

— Tak mnie niegdyś i ona, tak mnie i matka przyjęła!... Ale ona... Kobieta! Żem ją porwał i uniósł ze sobą, zdawało jej się, żem ją chciał sobie przywłaszczyć! A jam ją przecie porwał li na to, ażeby ją wyratować i ubezpieczyć...

— Dziwne rzeczy! — rzekł na to skarbnik, odpowiadając zawsze jakby sobie samemu — wszyscy ją chcieli ratować i ubezpieczyć... Boże! ty będziesz sądził; jam głupi.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Skarbnik siedział milcząc i patrząc w księgę szklanemi oczyma — gość zaś stał zamyślony przez chwilę. Wszakże prędko się zbudził ostatni i zaczął mówić przerywanym, stłumionym głosem:

— Tak... przesądami jest jeszcze okryta ta ziemia, jak była okryta niegdyś mgłą przedstworzenną... Nadzy się rodzą wszyscy i w jednakowych boleściach i do jednakiej za grobem przyszłości: a przecież... Oh! przeklęty niech będzie ten dzień, w którym upatrzono różnice pomiędzy rodami!

Tymczasem skarbnik, nic nie zważając na to, zaczął znów czytać dalej w następującym rozdziale:

— „1. Zmocnijcie się synowie Beniamina w pośrodku Jeruzalem, a w Thekna trąbcie w trąby, a na Bethakarem podnieście proporzec...

Ale młodzieniec, słuchając go z natężoną uwagą, przerwał mu w tem miejscu i złożywszy ręce, zawołał głosem mocnym i niby radosnym.

— Panie! twójże to głos słyszę!...

Tak mówiąc, chciał się zbliżyć ku niemu — lecz na ten głos zerwał się skarbnik z krzesła i stanął. Spojrzał otwartemi oczyma na gościa i zawołał:

— Któż tu? któż tu jest znowu?

Młodzieniec się cofnął pod samą kotarę.

— Kto tu jest! — krzyknął skarbnik potężnym głosem i patrząc w półciemną komnatę, porwał do ręki pistolet.

— Kto tu jest! — powtórzył czarno ubrany, zaciskając zęby ze złości — ja jestem! Ja! i przychodzę cię wyrzucić z majątku, który posiadasz bezprawnie. To mówiąc, wydobył jakiś papier z zanadrza i podał go jemu.

Ale skarbnik, nie zważając nic na to wymierzył ku niemu pistolet i jeszcze silniej zawołał:

— Ani kroku dalej, bo palę!

Gość na to sięgnął ręką czy do pasa, czyli też do szpady — a wtem padł strzał, który się rozległ po całej komnocie.

Po strzale cisza zaległa jak w grobie.

Kiedy się dym uniósł do góry, nie było ani żywej duszy w komnacie — tylko przestrzelona we środku chwiała się jeszcze kotara.

Skarbnik zawołał na ludzi, wybiegł do drugiej izby, do sieni, ale w całym domu nie znalazł nikogo; wszyscy byli na chrzcinach.

Kiedy powracał do siebie, tuż przy samej kotarze potknął się na czemś leżącem na ziemi. Schylił się i podniósł jakąś niby pieczątkę w złoto oprawną. Przypatrzywszy się jej bliżej przy lampie, znalazł że to była w istocie pieczątka, jaką naówczas przy zegarkach noszono; pieczątka była z krwawniku, a na niej wyrznięty herb jakiś dziwny i wcale u nas nie znany. Była to bowiem ziemia, a raczej globus ziemski, przewiercony na wylot potężnym świdrem, oskrzydlonem dwoma skrzydłami.

II.

Nazajutrz rano skarbnik spał o godzinę dłużej niż zwykle.

Przebudziwszy się, przetarł ręką zmarszczone czoło i myślał przez długą chwilę. Potem oglądał z uwagą ową pieczątkę, znalezioną wczoraj przy progu, i często przytem rzucał okiem na przestrzeloną kotarę. Nie mogąc wszakże niczego się stąd domyśleć prócz tego, że widmo wczorajsze nie było widmem, tylko żywym człowiekiem, wstał raźnie z łóżka i rzekł do siebie:

— Coś tu się kroi nowego; trzeba się mieć na baczności.

Poczem poszedł natychmiast do łaźni i zamiast się parzyć jak zwykle, kazał lać zimną wodę na siebie tak długo, jak długo mógł ją wytrzymać.

Wróciwszy nazad, modlił się i śniadał skromnie jak zwykle, ale był całkiem przytomny i trzeźwy i nawet rozmawiał z chłopięciem.

Po śniadaniu kazał sobie zawołać podstarościego.

— Mój kochany — rzekł surowo do starca — już też się na nikogo z was spuścić nie można. Jakeście zaczęli odprawiać te chrzciny, takeście i mnie zostawili samego i zostawiliście bramy otworem.

— Bramy były otwarte, to prawda — rzekł podstarości — ale przecie tu nie było nikogo.

— Ja wiem, że nie było nikogo — rzekł na to skarbnik stanowczym głosem, rzucając pomimo woli wzrokiem na przestrzeloną kotarę — ale pomimo to domu trzeba pilnować. Odtąd równo ze zmrokiem żeby mi bramy były pozamykane i psy pospuszczane z łańcuchów. A teraz idź każ mi zgotować tych tam ziół twoich, a wracaj zaraz i przynoś ze sobą regestry.

Na przeglądaniu regestrów i obliczaniu przyzbieranych przez czas jego niebytności remanentów zeszedł mu prawie dzień cały, bo skarbnik, kiedy się czem zajmował, to całą duszą i w najdrobniejsze lubił wchodzić szczegóły; jakoż i tutaj tak czynił, i to z taką przytomnością i trzeźwością umysłu, że się podstarości nie mógł mu dosyć nadziwić.

Tak minęło dni parę. Zimna woda, czyszczące krew zioła, najgłówniej zaś jego własna i silna wola odpędziły

stanowczo tę zastraszającą gorączkę, która przy innych okolicznościach Bóg wie jak smutny mogła była wziąć koniec, a z której nie pozostało teraz nic, oprócz jakiegoś przygniecionego smutku, na który żadnego nie było lekarstwa. Przy tym smutku odzywała się jeszcze czasem w skarbniku jakaś niby obawa; osobliwie ilekroć spojrzał na ową kotarę, albo przypomniał ową pieczątkę z tym jakimś nieznanym sobie herbem, oczy jego nabierały niepewnego koloru i zapadał w chwilową zadumę. Lecz kiedy parę dni w spokoju minęło i ów wypadek wieczorny nie przynosił żadnego dalszego skutku, skarbnik się uspokoił zupełnie i rzekł do siebie:

— Bóg sam wie tylko, co to było takiego. Nie mam co o tem myśleć, bo też i nic nie wymyślę. Jeżeli to był świat nowy, chcący mnie wciągnąć do swojej służby, to i lepiej, żem się mu odrazu odstrzelił, bo mnie już więcej nagabywać nie będzie. Rola moja już się skończyła na świecie. Moi rówieśni i współpracownicy już się wszyscy pokładli na wiekuisty spoczynek — a jeśli tam jeszcze są jacy młodzi, którzy po swojemu poczynają pracować, to już to nie dla mnie robota. Panu Bogu tedy niech będzie chwała, że mi w tej głównej powodzi przynajmniej ten domek zachował. Tu sobie będę siedział spokojnie — czasem wyjadę do siostry i z nią się razem posmucę — czasem też po staremu odwiedzę jakieś miejsce cudowne — a zresztą już tak sam w sobie dosnuję tej reszty mego sierocego żywota, którego i tak już nie powinno być wiele.

Tak mówił skarbnik.

Ale jak nikt nie wiedział jeszcze, gdzie się kończy jego rola na świecie, tak i on też nie wiedział. A świat jest nielitościwy nad ludźmi. Nie daruje nikomu ani jednego dnia życia, ani jednej krwi kropli, jeżeli ta mu potrzebna. A choćby się schować przed nim w najodleglejszy zakątek i zamknąć na cztery zamki, to i zakątek odszuka i zamki rozbije, a sługę swego weźmie gwałtem do służby.

Owóż tak także stało się z skarbnikiem i nie długo już trwała ta jego samotność.

Jakoż zaraz dnia następnego, prawie w pierwszej popołudniowej godzinie dały się słyszeć dzwonki zajeżdżających sanek przed gankiem. W chwilę potem weszli z szumem i brzękiem do izby pan Załęski, podstoli drohicki, stary i dawny przyjaciel skarbnika, i pan Łaszewski, łowczyc sanocki, człowiek młodszy i trochę więcej światowy a nawet zdala powinowaty Nieczujom.

— Jak ciebie kocham, panie Marcinie — zawołał zaraz na wstępie wesoły choć białowłosy podstoli — jak ciebie kocham z duszy, tak to się nie godzi! Jakżeż? przyjechać zdrowo, zamknąć się i nie pokazać nikomu, to jest *peccatum mortale* i bodaj czy ci go przepuścimy.

To mówiąc, objął skarbnika w ramiona i lubo miał wąsy jeszcze nie rozmarznięte, obcałował go z obu stron twarzy, poczem objął go znowu łowczyc, nie dając mu ani słowa wymówić.

Skarbnik, który wmówił w siebie w swej melancholii, że wszyscy jego rówieśnicy już wyginęli do nogi, obaczywszy odrazu dwóch z nich żywych, rumianych, wesołych, pomimo woli aż się uśmiechnął z radości i rzekł prawie wesoło:

— Już co za to, to was serdecznie przepraszam, ale powiem prawdę, żem nie miał jakoś serca po temu.

— Ale cóż tam u trzechset katów! — zawołał na to podstoli — bywał człek przecie już nieraz na wozie, to już ma zaraz leźć w mysią jamę, że się raz znalazł pod wozem?

Ale tej wesołości skarbnik już nie podzielił i spojrzawszy na podstolego, odpowiedział poważnie:

— Niech ci to Pan Bóg w swej łasce przebaczy, aleś powiedział bluźnierstwo. Boś ty nie darmo przeżył lat tyle i umiesz dobrze rozróżnić...

— Pozwól-że nam waszmość dobrodziej — przerwał prędko pan łowczyc — ażebyśmy się wytłumaczyli dokładnie. Boć i my mamy serca i umiemy czuć tak głęboko, jak ważność sprawy tego wymaga. Ale przytem tak sobie mówimy. Co jest, to jest, ale czy lepiej będzie

waszmości, jeśli się zafrasujesz przed czasem? czy to się zgadza z rozumem?

A na to skarbnik:

— Czy się zgadza, czyli nie zgadza, nie chcę rozstrzygać, ale to wiem z pewnością, że się musi zgodzić, skoro jest rzeczywistą potrzebą serca.

— Ale daj-no pokój — zawołał na to podstoli — jak mnie kochasz, daj pokój. Bo czyż to my nie znamy Nieczujów? czy to oni są ci, którzy pod każdem brzemieniem uginają kolana i dają się zagryzać frasunkom? Jako żywo, nie oni. A nie dopieroż ty, panie bracie, któremu ledwie pięćdziesiątka się kończy i który masz rękę taką, że choćby i dwadzieścia lat jeszcze rycerki, obejdzie się i bez paska św. Franciszka, boć ci go pewnie nie trzeba.

— Jużby się tam może i bez paska obeszło — odpowiedział skarbnik z uśmiechem — aleć to już minęło. Już się też czasy jakoś zmieniają na inne. Dawniej Francuzi, naród najwięcej rycerski od wszystkich, dawał nam przykład w tym względzie. A dzisiaj, cóż i Francuzi? Mają wojnę u siebie, lecz jaką? Rzezają się nożami po gardłach, gdzie kto kogo dopadnie. Owóż i nowomodne rycerstwo.

Na te słowa łowczyc uśmiechnął się do podstolego, co kiedy obaczył skarbnik, zapytał prosto:

— Cóż to jest, panie bracie?

A na to podstoli:

— Ej! to my się śmiejemy ze swego. Boć tu i między nas tymi czasy zaplątało się jakieś subjektum, które się tam podobno także trochę rzezało z Francuzy. Jakoż cudna to prawie figura, jeno że jakoś *mente captus* cokolwiek. Dziwne rzeczy, co plecie, jeno że czasem aż mrowie przechodzi od tego. Jakoż i byłoby się bać czego w rzeczy, gdyby nie to, że owego straszliwego rycerza każdy z nas wziąłby jak kota w dwa palce i przez domby przerzucił.

— Już też i u nas poczynają się jawić te dziwy — rzekł na to skarbnik — i kto też to nam nawozi?

— O innych nie wiem — odpowiedział podstoli — a ten tutaj przyjechał z jw. chorążym, przy którym się wiesza, nie wiedzieć dobrze czy jako dworzanin, czy jako przyjaciel. Już to jedno jest dziwne, ale cóż powiesz na to, panie bracie, że ten człowiek się najbardziej wypytuje o ciebie, powiada, że zna twoją siostrę jmć panią podkomorzynę z Warszawy i nawet nas obligował, abyśmy go do ciebie zawieźli.

— Do mnie? — rzekł skarbnik z zadziwieniem — a jakżeż się zowie?

— Zowie się Flawiusz.

— Flawiusz? — powtórzył skarbnik i machnął ręką przed siebie — osobliwy być może człowiek, ale też i osobliwe nazwisko.

— A! panie bracie! — rzekł na to łowczyc z uśmiechem — nie takie to liche koniecznie nazwisko, bo pominąwszy tego Flawiusza, który był sławnym legistą i napisał *Jus Civile Flavianum*, toż ród ten przecie przez Wespazyana cesarza przyszedł nawet i do tronu.

— Zapominasz, panie bracie — zauważył na to Nieczuja — że był jeszcze i trzeci Flaviusz, którego zwano Fimbria, a który się dzierżył ciągle Maryusza, prowadząc wojny, haniebnemi okrucieństwy się pastwił nad żołnierzami Mitrydatesa i Sylli, a nareszcie zdradziecko się targnął na życie szlachetnego Mucyusza Scevoli...

— Już to nasz Flaviusz najpodobniej pochodzi od tego — dorzucił z uśmiechem podstoli — lubo są, którzy mu przypisują progeniturę od jakiegoś znakomitego naszego rodu...

Na to skarbnik spojrzał jakby z niedowierzaniem na podstolego i zapytał po chwili:

— A dlaczegóżby się miał taić ze swojem własnem nazwiskiem?

— Ej! ja tam temu nie wierzę — odpowiedział podstoli — bo któż-by mieniał siekierkę na kijek? ale tak mówią, że ma być moda teraz we Francyi nietylko ubierać się w togi rzymskie, ale też brać także i rzymskie nazwiska.

— Dziwna by to była moda zaprawdę — rzekł na to łowczyc — lecz mniejsza o to. Ale ten człowiek w samej rzeczy mnie nie pomału zadziwia. Kilka razy go już widziałem na własne oczy, a jeszcze zawsze mi się tak zdaje, jak gdyby to nie był człowiek żywy, jeno jakieś widmo zaklęte, które mi się jak we śnie pojawia. Pierwszy raz nawet wcale dziwnie mi się pojawił. Było to w Warszawie w owych dniach powszechnego rozpasania i grozy, kiedy tłumy pijanego, rozkiełznanego ludu włóczyły się po ulicach, dobijały się gwałtem do więzień i wywlekały stamtąd upatrzone przez siebie ofiary... Było to wtedy, kiedy już kilka szubienic skrzypiało na różnych miejscach, kiedy książę prymas się zbudził i obaczył przed swojemi oknami wbity w ziemię drewniany słup ze złowrogiem drewnianem ramieniem, sięgającem do pałacu, jak gdyby po niego. Książę prymas dnia tego zażył proszek przysłany mu z małą karteczką od króla, na kilku szubienicach zachwiały się trupy na wietrze i zgoła strach wielkooki owionął wszystkich, jakiekolwiek kto miał sumienie... Owóż dnia tego przed świtem, będąc naówczas dodany na służbę panu wojewodzie, wybiegłem na miasto, ażeby widzieć co się dzieje. Noc jeszcze była, zaledwie zaczynało się szarzeć cokolwiek. Tłumy ludu snuły się po ulicach, inne stawały na placach publicznych, szum i gwar jakby w ulu mruczał po całem mieście a nad miastem, zdało się, jakby wisiał jakiś anioł straszliwy w powietrzu, zapowiadając dzień ostateczny. Wtedy, zdala odemnie, gdzieś podobno od Krakowskiego Przedmieścia, nadciągnął z szumem zbity z przodu, a dalej rozwleczony tłum rozmaitego pospólstwa. Jedni byli odarci i pijani, drudzy krwią obryzgani i błotem, niektórzy z nich wlekli jakieś belki drewniane na sznurach, a wszyscy mieli różnorodną broń w rękach, pałające piekielnymi ogniami oczy, bladość trupią na twarzach, krwawą gorączkę na ustach... Na czele tego tłumu, ciągnącego z przytłumionym gwarem naprzód, który tylko jak we mgle widziałem, szedł młody człowiek, który się zdawał nie iść po ziemi, ale lecieć w powietrzu. Człowiek ten był całkiem czarno ubrany,

włosy czarne rozwiewały się z pod trójgraniastego kapelusza za nim w powietrzu; w ręku niósł szpadę podniesioną do góry, u której ostrza *per modum* chorągwi była przywiązana jakaś chustka barwna jedwabna.

Z twarzy tego człowieka, która była blada jakby z kości słoniowej, błyszczał jakiś ogień taki przerażający, że mnie aż dreszcz przeniknął; w całej postaci i ruchu tego człowieka było coś tak nieludzkiego, że mi ta postać uwięzła na wieki wieków w pamięci, chociaż wcale nie długo na nią patrzyłem, bo cały ten tłum ludu wraz z nim na czele przeciągnął w zmroku tylko, jak widmo jakieś senne, przedemną... Kiedy potem przed samym wieczorem wojewoda mnie z kartką wyprawił do księdza Hugona, a rzecz była tak nagła, że wpadłem jak piorun do jego antykamery, pierwszy człowiek, który z komnaty księdza Hugona także tak jak piorun wypadł do antykamery i potrąciwszy mnie w ramię prosto do sieni wyleciał, był to ten sam czarny młodzieniec, którego rano na czele owego tłumu widziałem. Wypadek ten tak mnie przeraził, żem zdrętwiał na miejscu i nie uważałem wcale, że ksiądz Hugo tymczasem do mnie przystąpił i wyjąwszy mi kartkę z ręku, obrócony bokiem do okna, zaczął ją czytać pomału... O dalszą rzecz tu nie chodzi — zakończył dobitnie łowczyc — ale ten sam młodzieniec, którego tam dnia jednego dwa kroć na tak różnych od siebie miejscach widziałem, jest teraz tu u chorążego na zamku.

Po tej powieści łowczyca wszyscy w komnacie umilkli. Obojętny podstoli przegiął się na kanapie i zaczął się bawić złotymi frędzlami u pasa, łowczyc się czegoś zadumał, jak gdyby sobie przypominał te czasy niedawne, w których się działa opowiedziana przez niego scena — a skarbnik, zamyśliwszy się mocno, chodził dosyć niespokojnymi krokami po izbie.

Tymczasem wniesiono wino, marcepany, pierniki i inne przekąski. Ponalewano kielichy i postawiono przed każdym, ale nikt ich nie tykał.

Wkrótce wszakże zbudził się pierwszy podstoli i podnosząc kielich do góry, rzekł do skarbnika wesoło:

— Dziwnych zaprawdę przyszło nam dożyć czasów! Ale to zwykła kolej ludzkich losów na ziemi, bo nie zdarzyło się snać jeszcze nikomu w takich samych umierać czasach, w jakich się niegdy urodził. Każdy z nas, umierając, zostawia koło siebie świat cale inny, niżeli ten był, który zastał na ziemi, boć to ta wiekuista zmiana to jest *conditio et anima vitae*. A czy ta zmiana jest taka, czy inna, czy po aksamitnych deliach i sobolich kołpakach nastają włoskie i hiszpańskie płaszczyki, jak było czasu Zygmuntów, czy po długich z złotymi guzami żupanach następują żupany krótkie i buty podpinane sprzączkami, jak za Jana Kazimierza, czy wreszcie po naszych długich kontuszach ogoniaste suknie i peruki, toż to podobno na jedno wychodzi; boć i tych ogoniastych sukni nie będzie na wieki, a po nich, któż wie znów, jaka nowa nadejdzie moda, albo która stara się wróci?

— Ot! i tak to zawsze na świecie.

— Ha! tak to bywa! — rzekł na to łowczyc, budząc się z zamyślenia.

— Ale panie bracie — zabrał znowu głos pan podstoli, obracając się do skarbnika, *à propos* zamku leskiego, a czy wiesz o tem, że jw. chorąży jest tu od kilku tygodni?

— Właściwie nie wiem, a lubo się od was dowiaduję nawiasem, jednak nic mnie to nie obchodzi.

— A to źle, panie bracie, bo zdaje mi się, żeby ci trzeba pokazać mu się przy tej okazyi.

— A to dlaczego?

— Bo tu tymi dniami różne wieści chodzą około tej Bóbrki i prawie to jest, dlaczegośmy przyjechali do ciebie.

— Cóż takiego?

— Powiadają, że panowie Grabowscy z Myczkowiec kupują ją od chorążego i już lada dzień targu dobiją.

— Tak mówią? — rzekł na to skarbnik z zastanowieniem — ale nie zdaje mi się, żeby to mogło być. Bo najpierwej panowie Grabowscy nie poczynaliby kupna, nie uwiadomiwszy mnie wprzódy; a powtóre i chorąży nie

może sprzedać tej wsi bezemnie, boć przecie ja mam pozostawione pierwszeństwo jeszcze od wojewody.

— Mój bracie! — odpowiedział na to podstoli — ani na jedno, ani na drugie nie ma się tu co spuszczać. Bo co do pierwszego, to ja ci dziś za nikogo nie ręczę. Takie jakieś czasy nadchodzą, że każdy chwyta co może, nie pytając wcale na dawny obyczaj, a czasem ani na własne sumienie. A co do drugiego, to wojewoda dawno już w grobie, a z nim i jego słowo jest w grobie. A tej sprawy nie należy ci zaniedbywać, bo ty Bóbrkę trzymasz za sześćdziesiąt tysięcy, a Bóbrka warta dzisiaj ze dwa kroć. I to, co warta nad sumę zastawną, to wszystko jest twoje. Boć przecie pomnę dobrze, kiedy ją brał od wojewody twój ojciec, nie było tu ani dworu, ani żadnych prawie budynków. Połowa gruntów ornych były to chaszcze, zarośla i wydmy, które on sam wykarczował i sprawił. Osady nawet nie było, tylko kilkanaście chatek ubogich. A dzisiaj co jest? Gdzież tu jest wieś taka druga w sąsiedztwie?

— Wszystko to tak jest, panie bracie — odpowiedział na to Nieczuja, i nawet takeśmy ją cenili już za wojewody; dzisiaj ona warta jest więcej. I nawet o wiele więcej, bo ci powiem pomiędzy nami, że na dzisiejsze pieniądze jabym dał za nią i trzykroć, a nawet i nad to coś jeszcze. Wszakże pomnisz, żem dwadzieścia i kilka lat temu dał za Rabbe sto sześćdziesiąt tysięcy, a gdzież tu jest porównanie? Lecz powracając do rzeczy, zawsze tak mówię, że to nie może być, boć przecie oprócz sumy zastawnej mam ja tam jeszcze i drugie sto tysięcy na zamku.

— Och! to Rabbe! Rabbe! — zawołał na to Załęski — com się za nie musiał bić z panem podstolim sanockim i do dziś kresę noszę od niego. Ale mi nie żal zresztą, bo mi to przypomina naszą młodość, kochany Marcinie. Gdzie te czasy! gdzie te czasy! Dzisiaj i podstoli już w grobie i o Karsznickich nie słychać, i Błoński chorąży nieboszczyk, i ot! wszyscy się jakoś już gubią powoli. Co roku po kilka głów siwych się spuszcza do grobu, a niemasz, ktoby godny siadł na ich miejscu,

Lada kilka lat jeszcze, a nie będzie przed kim i czapki uchylić!

Wszyscy na to westchnęli — lecz nim który miał czas odpowiedzieć, dały się znowu słyszeć dzwonki zajeżdżających sanek w dziedzińcu.

— Szczęśliwy dzień dzisiaj mam — rzekł na to skarbnik z uśmiechem — otóż i nowi goście nam przybywają.

W tej też chwili otworzyły się drzwi dosyć raźnie i wszedł do komnaty jakiś szlachcic szumny i okazały. Był on nizkiego wzrostu i dobrze zażywny, a lubo już był podłysiały i zresztą siwy, sumiaste wąsy miał wyczernione z żołnierska. Miał zresztą na sobie krótki żupan lamowy i kontusz karmazynowy ze złotymi guzami, na piersiach złoty łańcuszek od zegarka i złote za palcach pierścienie, a nakoniec żółte buty, najmniej do zimy i sanek stosowne, i czapkę białą z pióreczkiem. W całej tej postaci było widać wcale niesmaczne zamiłowanie w świecidłach, które raziło jeszcze o tyle więcej, ile że były to czasy, w których nikt zacny nie myślał o zewnętrznej okazałości i strojach.

Obaczywszy go, skarbnik obrócił się ku niemu, ale patrzył nań tak jakby go nie znał.

— Waszmość pan mnie nie poznajesz? — zapytał gość trochę zakłopotany, lecz sztukujący się to powagą, to flegmą ile możności.

— Coś sobie przypominam, ale nie jestem pewny...

— Jestem Małdrzykiewicz, generalny komisarz dóbr leskich ..

— Ah! jmć pan Małdrzykiewicz! — rzekł na to skarbnik — niegdy komendant zamkowej milicyi za wojewody. Przypominam sobie dokładnie. Bardzo tedy się cieszę... Ale czemuż mam podziękować ten zaszczyt?...

Na to pan Małdrzykiewicz dobył z kieszeni pozłacanej tabakiery i zażywszy szczyptę potężną, rzekł głosem nie podniesionym, ale dobitnym i tryumfująco szyderskim:

— Mój pan, jaśnie wielmożny Mniszech, chorąży wielki koronny, a starosta sanocki, przysyła waszmość panu prze-

zemnie sumę zastawną, za którą trzymasz Bóbrkę i prosi, ażeby mu wieś była napowrót w posiadanie oddana.

Mówiąc to, generalny komisarz mniemał zapewne, iż się go skarbnik ulęknie i nie będzie mógł miejsca znaleźć dla niego.

Ale tymczasem skarbnik odsunął się o krok cały od niego, zmierzył go z flegmą od stóp do głowy i odpowiedział:

— Raczysz waszmość odpowiedzieć swojemu panu, że ja ani wsi nie oddam, ani pieniędzy nie przyjmę, póki się nie rozmówię z nim samym.

— Już to znać nie na wiele się przyda — rzekł na to Małdrzykiewicz, zażywając znowu tabaki — bo suma zastawna już jest z kasy wydana i do niej nazad powrócić nie może. Jakoż i wieś także generalnemu ekonomowi pod zarząd oddana, który tu zapewne w tych czasach przyjedzie.

Na to zaś skarbnik dość sucho:

Generalny ekonom jak prędko przyjdzie, tak jeszcze prędzej odejdzie; o to zaś, czy moja rozmowa z jw. chorążym na co się przyda, czy nie, waćpan się wcale nie frasuj, bo jak we wszystkiem innem, tak i tu sobie dam radę bez niego, tu zaś jeszcze o tyle łatwiej, ile że mi się dowiadywać nie trzeba czyja to sztuczka.

— Jeżeli waszmość pan myślisz — odpowiedział Małdrzykiewicz, mieszając się trochę — że w tem są jakie sztuki, to się waszmość mylisz zupełnie. Lecz mniejsza o to. Życzę szczęśliwego w rozmowie z jw. chorążym sukcesu.

— Żegnam wpana — zakończył krótko pan skarbnik.

Po tych słowach generalny komisarz ukłonił się wszystkim dosyć niezgrabnie i wyszedł, a skarbnik, lubo z jego rozmowy należałoby wnosić, że się nie obawiał zupełnie tej sprawy, po jego wyjściu zamyślił się jednak i milcząc, przechodził się po komnacie.

— To wszystko bardzo ładnie — odezwał się przerywając milczenie podstoli — ale przeciebym pragnął cię

spytać, dlaczego właśnie teraz tak przyjąłeś jp. Małdrzykiewicza?

— Bo nienawidzę tego subjektum — odpowiedział skarbnik porywczo. — Nienawidziłem go dawno, a tem więcej nienawidzę go teraz, kiedy tak utył i stłuściał w czasie, w którym wszyscy inni pochudli: — „Jako klatka pełna ptaków, tak domy ich pełne zdrady, dlatego urośli i zbogacieli“; — czytam właśnie u Jeremiasza proroka, i owóż to także z nich jeden. Korzysta z czasu i kiedy inni, duszą i ciałem się poświęcając, tracą, on ma rozum i zbiera. A ja przyznam ci się, ani takich rozumów, ani takich ludzi znieść nie mogę.

— Nie masz tu wątpienia — zauważył podstoli — że to nie ś. p. pan Tarnowiecki, kochany nasz stolnik borucki, który tę funkcyę sprawował za wojewody; jakoż i o tem wiemy, że to jest liche subjektum: ale co który z nas mógłby powiedzieć bez szkody, to tobie przecież możeby lepiej przemilczeć. Zwłaszcza też tutaj, gdzie chodzi o rzecz tak ważną dla ciebie. Bo lubo ja wprawdzie także tak nie rozumiem, żeby taki pan jak chorąży koronny, dał się takiemu Małdrzykiewiczowi kierować, jednak to zawsze bliższy jest sługą pana, niżeli człek obcy. Jego słowo może nie wiele znaczy, ale na równej wadze lada co już przeważy.

— Jego słowo — powtórzył skarbnik — zapewne, jego słowo mogło przeważyć, ale ponieważ wiem pewnie, że zawsze przeciw mnie ważyć będzie, dlatego też nie dbam już o nie. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że ja w tym jegomościu mam oddawna głównego wroga.

— Ja to już o tem słyszałem — rzekł na to podstoli — ale ledwiebym temu mógł dać wiarę; bo za cóż zresztą mógłby mieć coś do ciebie? Wszakżeście nigdy w żadnych nie bywali ze sobą relacyach.

— Nie bywaliśmy z sobą, to prawda — odpowiedział skarbnik z uśmiechem — ale przecie raz ja go miałem w takiej blizkiej relacyi, że mi tego nie zapomni do śmierci. Śmiać mi się chce na to wspomnienie, bo mi to przypomina czasy mojej krwi młodej i mojej fantazyi,

która i dobrze, że już minęła, bo snać nie byłoby dzisiaj już z nią się gdzie podziać.

— Powiedz też i nam co to było, bo jak mi Bóg miły nie wiemy.

— Ej! toż to nie wiem, czy nawet sam przy tem nie byłeś, panie Janie — zauważył na to Nieczuja — bo się to działo w Lesku czasu konfederacyi, w sam dzień nawrócenia świętego Piotra i Pawła...

— O! jużci byłem tam wtenczas, bo i gdzieżbym był idziej? ale przecie nie pomnę...

Tedy zaczął pan skarbnik opowiadać w ten sens:

— Owo więc kiedyście wy pod komendą Pieniążka, zwerbowawszy owych sto Węgrów pod Bałogrodem, ciągnęli jak chmura gradowa na Lesko, ja z ojcem moim byliśmy wtedy na zamku. Nie wiedzieliśmy jeszcze o niczem, jeno że to już wtedy gęsto wieści o konfederacyi biegały, a mój ojciec nieboszczyk, znając dobrze tę szlachtę naszą, *supponebat* i słusznie, że lada dzień i tu coś wybuchnie — tedy mowa była o tem przez cały obiad i wojewoda był jakoś bardzo frasowny. Mój ojciec, będąc, jako tak stary żołnierz i mąż z gruntu stateczny, wszelkim konfederacyom przeciwny, wtórował wojewodzie w owym frasunku po przyjacielsku, toż i pan pisarz sanocki, jako *dudy wojewodzińskie* (bo go też tak nazywano) — ale pan kasztelan Malicki, człek gorącej fantazyi a wojewody nieprzeparty oponent, chociaż zachowujący się politycznie, a z nim też i inni goście co młodsi, brali otwarcie stronę konfederacyi i jakoś tak ugłaskali jej adwersarzów, że i umilkli nareszcie, a pan kasztelan nawet chciał już podnosić zdrowie wareckiego starosty, od czego go przecież mój ojciec jakoś szczęśliwie powstrzymał, podnosząc czemprędzej zdrowie księcia biskupa Sołtyka. Czem bardzo zręcznie pomiędzy obydwie strony wystrzelił, nie uraziwszy żadnej, a nawet *in hoc casu* dogodziwszy obudwom, bo książę biskup był nie pomału kochany nawet i przez najbardziej konfederackich stronników, a był też także i osobistym przyjacielem wojewody i nawet gościł u niego, kiedy po sejmie *Convocationis* z nieboszczykiem hetmanem

dali *fugam* z Warszawy, co niech im będzie *per non sunt* przepuszczone na strasznym sądzie, bo, prawdę mówiąc, nie było przed kim uciekać. Tak już się zaczęły jakoś moderować przeciwne sobie sentymenty i głowy, i nawet wojewoda już był mrugnął coś na marszałka, aby podano kordyałów francuskich: kiedy wtem wpadł do sali jadalnej ot! ten sam jpan Małdrzykiewicz i porwawszy marszałka na stronę, zaczął mu coś szwargotać na ucho. A był ten Małdrzykiewicz naówczas komendantem zamkowej milicyi i nosił mundur tego samego kroju, jak cudzoziemskie autoramenty, jeno barwy wojewodzińskiej; miał też i trójgraniasty kapelusz z pomponem i ogromne szablisko z furdymentem i felcechem u boku. Ja, obaczywszy go wtedy, mimowolnie się rozśmiałem, bo prawie śmieszna to była figura: tu takie srogie szablisko u boku i buty palone jakby dwa działa na nogach, a tu taki strach wielkooki na twarzy! — Tymczasem marszałek, odebrawszy nowinę od niego, wraz ją komunikował wojewodzie na ucho — a wojewoda zerwał się jakby oparzony z krzesełka, zbladł jako ściana i załamawszy ręce przed sobą, zawołał głucho: Konfederaci! — Wiadomość ta różny efekt zrobiła na różnych, ci się smucą, owi się cieszą, ale *pluralitas* w strachu; aż dopiero wojewodzina, dama wielce roztropna i zacna, wyklarowała materyę, mówiąc głosem spokojnym: — No i cóż w tem strasznego!... Mości marszałku! proszę powiedzieć panom konfederatom, że kiedy zechcą przyjąć gościnę pod naszym dachem, przyjmiemy ich wedle naszego przemorzenia i braterskich afektów. — Na to kasztelan, nie mogąc się posiąść z radości, rzucił się zaraz ku wojewodzinie całować jej ręce — ale wojewoda jakby tego nie słyszał. Wstał on prędko od stołu i wziąwszy mego ojca pod ramię, poszedł z nim do kąta, naradzając się z nim coś bardzo gwarliwie. Co tam mówili, nie wiem, uważałem to tylko, że mój ojciec musiał być zrazu zdania wojewodziny, bo wojewoda załamał przed nim ręce i dziwnie frasobliwym głosem zawołał: — Ale zmiłuj się, panie Marcinie, ja tego *nullo modo* zrobić nie mogę! Kto to wie jeszcze co z tego będzie? Nie deklarowali się z kró-

lem! Oprócz panów Potockich nikogo przy nich nie widzę! — Tedy zamyślił się nad tem mój ojciec, a w tem i pan pisarz do nich przystąpił i tak znów we trzech zaczęli radzić. Lecz kiedy oni tak radzą, a pani wojewodzina znów ze swej strony różne tu i owdzie wydaje rozkazy, konfederaci, u których krótkie bywało *consilium*, wpadli tymczasem na zamek i nie pytając wcale ani o wojewodę, ani o jego ludzi, rzucili się prawie szturmem na dolne gmachy, dobijając się *ante omnia* do piwnic, gdzie były amunicye i arsenały. Znów tedy z tą nowiną wpadł Małdrzykiewicz, ale już ledwie dusza żyła w tym kawalerze, chociaż to na nim się opierała cała zamku obrona. Ja też już nie czekałem, co się dalej dziać będzie na sali, a jako to byłem gorący i pierwszej bitwy dziwnie łakomy, wysmyknąłem się milczkiem ze sali i zbiegłem na dół do konfederatów. Konfederaci wtenczas, przypuściwszy szturm nadaremny do bramy żelaznej prowadzącej do piwnic, stanęli pod nią, naradzając się, kogo mają wysłać do wojewody o wydanie im prochów i amunicyi. Nie podobała mi się taka kunktacya, jakoż krzyknąłem do nich: — Mości panowie! Próżno myślicie o wyprawie poselstwa, bo się tam brzydkie rzeczy dzieją na zamku! Jp. komendant milicyi już tam nabija muszkiety i zaraz tu na was polecą jak grad loftki i grankulki! — Na te słowa moje kiedy to hukną do bramy — puściła! Nuż tedy gospodarować! Było dziewięć solówek prochu, nuż je na dwór wytaczać. Były w beczkach kule, ołowie, leżały w stosach arkebuzy, muszkiety stare, berdysze, osęki i różne inne wojownicze narzędzia. Ci tedy biorą to, drudzy owo, ten zaraz muszkiet wiesza na sobie, innemu się berdysz podoba. A kiedy się to dzieje, ja patrzę, a tu sunie jp. Małdrzykiewicz z kluczami w ręku, człapiąc butami, a trzęsąc się cały od strachu. Nawet i kapelusza przez *reverencyę* nie miał już na głowie. Patrzę ja co z tego będzie, i śmieję się do rozpuku. On zaś, obaczywszy co się to dzieje i że już kluczów wcale nie trzeba, trzyma te klucze w ręku i stanął sobie pod bramą, jak baranek wzdychając. Tedy ja chcę sobie krotochwilę wyprawić z tego

częstochowskiego rycerza, przystąpiłem nagle z gołą szablą do niego i rzekę:

— Mości Małdrzykiewiczu! a dlaczego to waść tak późno z kluczami? — Panie mój miłosierny! — zawołał on — spieszyłem się jak mogłem, a chociaż na to nie było zgody pomiędzy państwem, wżdy je przyniosłem. — Tak! przyniosłeś! ale to jeszcze nie koniec! Bo wiesz waść o tem, że tu trza iść z konfederacyą! Kiedy usłyszał te słowa, zdechł, już myślałem, że padnie, ale opamiętał się jakoś i pociągnąwszy mnie ukradkiem za połę, ażeby inni nie obaczyli:

— Zmiłuj się waszmość! — rzecze cichym głosem — co waszmość mówisz! jakby to tamci usłyszeli, gotowiby doprawdy... — A na to ja srogim głosem: Jakto! to nie pójdziesz z konfederaty? — I porwawszy go lewą ręką za czuprynę, którą miał jeszcze wtedy, pochyliłem go przed sobą ku ziemi, a podniósłszy prawą ręką szablę nad jego karkiem, zawołałem: — albo pójdziesz z konfederacyą, albo zaraz cię zetnę! — Ukląkł przedemną i zaczął wołać ze łzami: — Pójdę panie! ale jakżeby! oczywiście że pójdę! — Parol? — Puściłem go. Wstał nieborak ledwie żywy cokolwiek, a ja wtedy zawołałem do konfederatów: — Słyszycie waszmość! Macie tu towarzysza, który z całą milicyą swoją *accedit* do konfederacyi! — ale oni to już widzieli sami, więc tedy w śmiech jedni, aż się biorą za brzuchy, drudzy zaś obstępują Małdrzykiewicza, ściskając go jako kolegę. Aż ktoś, ufający naprawdę łotrowi, rzecze do niego: Biegajże aść po żołnierzy i staw się tu z nimi natychmiast! — Na te słowa Małdrzykiewicz odżył na nowo i kiedy to skoczy w dziedziniec, ledwieśmy mogli dostrzedz gdzie zniknął. — Co się dalej stało z tą konfederacyą, to już wiecie: nie przyjęli oni ofiarowanego im przez wojewodzinę traktamentu i ruszyli dalej. A Małdrzykiewicz oczywiście nie poszedł. Wypadek jego w piwnicy, który byłby go niezawodnie pozbawił służby u wojewody, utaił się. Szczęściem dla niego, i mnie zależało na tem, ażeby się ta rzecz nie wydała, a więc samem ją trzymał w sekrecie. Tym sposobem Małdrzykiewicz został

nadal w swej służbie, ale został k... w moich oczach, bo nie dotrzymał parolu. Później, kiedy i mnie samemu wolno było pójść do konfederacyi, a nareszcie i niektórzy świadkowie owej piwnicznej sceny popowracali do domów, rozgłosiła się ta rzecz tędy-owędy, i mało który z byłych konfederatów nazywał komendanta zamkowej milicyi inaczej, jak przez cztery litery. Doniosło się to potem i do wojewody i nie wiele już brakowało do tego, żeby Małdrzykiewicz rzeczywiście służby nie stracił, ale na swoje szczęście miał czworo dzieci, a stąd i protekcyę wojewodziny za sobą, i tylko inną funkcyę mu dano. Później z latami zapomniało się to zupełnie... ale Małdrzykiewicz sam dobrze pamiętał i jako widzę już nie zapomni do śmierci.

Słuchający śmieli się z tego zdarzenia, a pan podstoli mówił:

— Ha! panie bracie, wystrychnąłeś szlachcica na dudka, nie dziwże się teraz, że ci tego nie może zapomnieć.

A pan łowczyc znów z swojej strony dawał różne rady, będąc takiego rozumienia, że w tym wypadku trzebaby jmć pana Małdrzykiewicza koniecznie jakoś pociągnąć na swoją stronę, bo przy znacznej słabości charakteru jw. chorążego, koniec końców źle może być z Bóbrką. Ale skarbnik tej opinii nie dzielił i będąc zawsze tego staroświeckiego zdania, że im ród znakomitszy, tem i duch szlachetniejszy i delikatniejsze sumienie, był tak pewnym jak dnia jutrzejszego, że chorąży nie będzie w stanie inaczej sobie postąpić, tylko tak, jak każe sumienie.

Stąd mały spór wszczął się pomiędzy nimi, który tak się przeciągnął, że i wieczerzę dano, i uprzątniono i przeniesiono się napowrót do pierwszej komnaty, a opinie jeszcze ciągle się tarły ze sobą, trzymając jedna za tradycyonalną krwi szlachetnością, a druga za prawem natury i potwierdzającem je doświadczeniem.

Śród tego sporu, właśnie kiedy gąsiory miodu i postne grzanki stawiano na stole, wszedł podstarości do komnaty i podał list skarbnikowi, mówiąc:

— Od jw. podkomorzyny sandomirskiej przywiózł konny posłaniec.

Skarbnik pieczątkę rozłamał natychmiast i list prędko przeczytał. Ale smutna jakaś wiadomość musiała być w liście, bo składając go napowrót, rzekł dziwnie smutnym głosem do siebie:

— Jeszcze też trzeba było i tego!

Wstał potem, przeszedł się kilkakroć w zamyśleniu po izbie i przystąpiwszy do swoich gości, rzekł im z westchnieniem:

— Zaprawdę, wierzcie mi, mili bracia, że dziwnie ciężkie czasy na nas przychodzą. Szczęśliwy będzie ten, kto się nie da zabić zgryzotom przed czasem i taki sam dotrwa do śmierci, jaki przeżył całe swe życie.

III.

Państwo leskie, niegdyś tak rozległe i wielkie, że się od Sanu rozciągało aż do granic pilzieńskiego powiatu, przeszło prawie w całości przez Maryannę Ossolińską w ręce familii Mniszchów. Część tylko jedna, składająca się z wsi ledwie dziesięciu, dostała się równie wianem za drugą córką Potockim; — Lesko zaś samo z kilkudziesięcią wiosek posiadł Józef Mniszech, niegdyś chorąży koronny i starosta sanocki. Pan ten był to jeden z tych ludzi, którzy nie mając w sobie nic dodatniego, żyją życiem koteryi, w której się urodzili i wzrośli.

Całem jego dążeniem było utrzymać odziedziczoną po przodkach puściznę w całości, dodać do niej ile można jeszcze nowego splendoru, a nie wykroczyć nigdzie z granic przyzwoitości. I udało mu się to dosyć dobrze, bo nie skalawszy niczem sumienia, śród powszechnego rozbicia osiadł na znakomitej fortunie, wziął urząd wielki koronny i ozdobił się pięknym orderem i gwiazdą. I wszystko zresztą szło mu dosyć szczęśliwie, oprócz administracyi majątku, która mu się całkiem nie wiodła. Sam się nie zna-

jąc na niczem, a ufający każdemu, lubo udawał surowość i wielką dbałość o małe rzeczy, był jednak okradanym na wszystkie strony i nie był w stanie temu zaradzić. Za jego czasów też i majątek leski znakomicie podupadł, większą połowę wiosek wyprzedano, w innych było gospodarstwo najgorsze, a i zamek sam nawet, niegdyś tak wspaniały i świetny, a teraz pustką stojący, zaczął się chylić, zarastać mchem i chwastami i padać.

W zamku tym już od lat kilkunastu prawie ciągła panowała cisza, jak w grobie. Ożywiał on się li wtenczas, kiedy sam chorąży przyjechał i osiadł na nim na dni kilka lub kilkanaście dla sprawdzenia rachunków. Teraz, już od dwóch tygodni, także taki ruch był na zamku. Chorąży sam z wielkim dworem zajechał i sprawował swe interesa. Ale jak zawsze i wszędzie, tak i tu także sprawował on je nie osobiście, tylko przez swoich pełnomocników, którzy założywszy swą kancelaryę w jadalnej sali, przez cały dzień tam siedzieli dla słuchania stron, czynienia z niemi układów, odbierania należytości i t. d. Chorąży sam siedział zwykle aż w ostatniej komnacie za wielką salą i pisał listy, przeglądał rachunki, albo czytał książki światowe.

Dziś była to już prawie trzecia godzina, ale jeszcze przed obiadowa, bo chorąży jadał zazwyczaj późno, a z nim i dwór cały. Ale sprawy dnia tego były już załatwione i w sali jadalnej już nie było nikogo. Tylko w komnacie wielkiej, do której się wchodziło z kurytarza na prawo, a która była antykamerą za wojewody, siedział jp. Małdrzykiewicz, wypoczywając po dziennej pracy, zażywając tabakę i oczekując obiadu. Wkrótce do tej komnaty wbiegł młody człowiek, z francuska, ale całkiem czarno ubrany, z bladą jak ściana twarzą i czarnymi włosami, dziwnie rozrzuconymi po głowie. Człowiek ten młody, którego postać już się nam przypomina skądinąd, miał coś tak dziwnie ożywionego w sobie, że się zdawało, jakby nie krew, ale żywe srebro kipiące miał w żyłach. Jakoż było widać zaraz na pierwszy rzut oka, że jest to jeden z owych temperamentów krwistych, którym gorące serce nie daje ani jednej chwili spokoju, a podbudzając w nich co moment

coraz nowe i gwałtowne namiętności, zawsze umysłem, a często nawet samem sumieniem igra jak piłką. Tacy ludzie są zdolni występku, a nawet zbrodni, jakoż rzadko im młodość mija bez uczynków dwuznacznych; w późniejszym wieku ich namiętności przechodzą często w nałogi i topią ich w sobie na zawsze; lecz jeśli z tych walk z sobą samymi wypłyną zwycięsko, bywają z nich dobrzy ludzie, zdolni uczuć głębokich i trwałych. Ten, któż wie, jakiej przyszłości niósł w sobie zarody?

Teraz, przyskoczywszy do Małdrzykiewicza, porwał go ręką gwałtowną za ramię i zaczął mówić z niesłychaną szybkością:

— Słuchaj waść tedy, uspokoiłem się z chorążym do reszty. Niech się szlachcic siedem razy postawi na głowie, nic nie poradzi! Albo podkomorzanka za Bóbrkę, albo Bóbrki już nie obaczy, jak swego ucha. Kręcił się jeszcze chorąży o te sto tysięcy, ale to głupstwo. A gdzie skrypt? gdzie skrypt, Małdrzykiewiczu?...

— A może go i ma? — rzekł Małdrzykiewicz z uwagą.

— Ma? cha, cha, cha, ma? nie znasz waść szlachty, panie Jakóbie, nie masz wyobrażenia. Żeby on miał skrypt, taki frant szlachcic, zastawnik! to onby był się nie upominał o prowizyę przez tyle lat? to byłby wojewody jeszcze nie męczył i nie domagał się drugiej wsi? to byłby go nie oprymował przynajmniaj tak samo, jak niegdyś o Zabrodzie, a jak tu widzę z listów? fe, fe! śmiej się z tego, panie Jakóbie! Nie znasz szlachty-dworaków, zastawników, dożywotników, procesowiczów; — to pijawki prawdziwe, takie same, jak niegdy wszyscy. Jak oblegali króla, jak oblegali sejmy, jak się zajadali pomiędzy sobą o starostwa i sinekury, otóż tak samo i ci, którzy oblegają magnatów. *Dum subera suberant, subera suberare memento!* to jest ich ewangelia! Drzeć łyka, kiedy się daje, i jak zaczęli odzierać Rzeczpospolitą z łyka jeszcze za króla Ludwika, tak ją darli dopóty, aż póki ot! co z niej nie zostało! Tak, tak, panie bracie, tylko słuchaj, co mówię: każde słowo jak kamień ciosowy, możesz na niem budować co chcesz.

To wszystko jednym tchem powiedziawszy, przeszedł się parę razy, a raczej przebiegł przez izbę i znów przyskoczył do Małdrzykiewicza.

— Słuchaj! — mówił on dalej — mnie o nic nie chodzi, bo to głupstwo. Pieniądze, dostatki, tytuły, furda; Bóbrka, Zagórz, podkomorzanka, Nieczuja, *je m'en moquet! c'est rien!* Rzeczy puste, obłuda, blichtry, fałsz!... Ale te oczy!!!

— Słuchaj! te oczy jej, te dwa wulkany... oh! O! czemuż ona nie jest córką chłopa, szewca, cygana!... Ale nic, i tak będzie. Tylko, Małdrzykiewiczu! pamiętaj, żebyś mi dotrzymał we wszystkiem, tak jakeśmy umówili. Bo patrz, patrz! — To mówiąc, wydobył sztylet z zanadrza: — Patrz, to żelazo utopiłbym w tobie i śmierć!

— Ale już ja dotrzymam pewnie — rzekł na to dawny komendant milicyi, zażywając z flegmą tabakę — o mnie się pan nie bój, panie Flawiuszu, bo u mnie parol szlachecki.

— Oh! wy! z waszym parolem!

— No! obaczymy — prowadził dalej komisarz — obaczymy, kto lepiej dotrzyma. A ja panu powiadam z góry: czy pan się do podkomorzanki dociśniesz, czy nie, tego nie wiem, ale że jpan Nieczuja pójdzie z Bóbrki, to jak amen w pacierzu. Ja swoje zrobię, *punctum*, nie ma co mówić. Ale to waszmość wiedz, że z tym szlachcicem nie łatwa sprawa. Ja mam sposoby na niego, ale to tylko co do Bóbrki, co zaś się tyczy podkomorzanki...

— To już mnie zostaw, mnie! — zawołał Flawiusz — a ja nie mam sposobów? cha, cha, cha! a nie użyłem ich już z pięćdziesiąt...

— Które na nic się nie zdały — rzekł Małdrzykiewicz, zażywając tabaki.

— Na nic! — krzyknął Flawiusz, tupnąwszy nogą w posadzkę, że aż okna zadrżały — *sacr!*.. Tak! na nic, ale obaczysz jeszcze!

To rzekłszy, patrzył przenikliwemi oczami w Małdrzykiewicza, stojąc jak posąg i milcząc.

A wtem się cichutko drzwi otworzyły i wszedł pan skarbnik do izby.

Skarbnik natenczas dziwnie pięknie wyglądał. Był on wysoki wzrostem i zbudowany silnie jakby z żelaza. Jego wyniosłej i wspaniałej figury nie psuła żadna otyłość, a kiedy w twarzy jego spokojnej, choć cokolwiek surowej, odbijało się jakby uosobienie uczucia własnej godności, włos przypruszony siwizną dodawał mu niepospolitej powagi. Do tego miał on na sobie kontusz czarny sięgający poniżej kolan i czarny żupan gredyturowy z koralowymi guzami, karabelą w jaszczur oprawną u boku, białą czapkę pod pachą i mały krzyżyk złoty na lewej piersi, wyniesiony z ostatniej wojny.

Tak wszedłszy do izby, kiedy obaczył owego czarno ubranego młodzieńca, zdawało się, jakby mu się twarz trochę zmieniła, zachował wszakże całkowitą przytomność i popatrzywszy na Małdrzykiewicza, zapytał:

— Czy jw. chorąży jest u siebie?

Ale zamiast odpowiedzi Małdrzykiewicza, przytomny młodzieniec obrócił się do niego i zawołał wesoło:

— A! jpan Nieczuja! Witamy, całem sercem witamy! Waszmość pan przychodzisz do chorążego względem owego zastawu Bóbrki. Tedy my to tu z panem jaknajpiękniej zrobimy, lubo zapewne nie obejdzie się bez trudności. Wiedz waszmość bowiem, że chorąży jest bardzo niedobrze udysponowany dla pana...

Kiedy to mówił Flawiusz, Nieczuja spojrzał z góry na niego i cofnął się o pół kroku, a tamten na to:

— Cha cha cha! Śmiać mi się chce doprawdy. Waszmość uciekasz odemnie, jak gdybym był dyabłem. Cha cha cha! kule mnie się nie imają? a co? ale mnie pokrop święconą wodą, to się zaraz przekonasz. Cha cha cha! Tedy powiem waszmości...

Ale na to pan skarbnik spojrzał jeszcze raz na mówiącego, który w tej chwili dziwnie jakoś był ożywiony i dziwnie poufale się dobierał do niego; tedy skarbnik, zrobiwszy krok na środek pokoju, pozostawił młodzika za sobą, a sam spytał po raz wtóry Małdrzykiewicza:

— Czy jest pan chorąży u siebie?

Młodzieniec, zbity tem z fantazyi zupełnie, zamilkł na chwilę, a tymczasem Małdrzykiewicz odpowiedział mrukliwie, nie ruszając się z miejsca:

— Jw. chorąży jest u siebie, ale nie przyjmuje nikogo, bo jest pisaniem listów zajęty.

— Raczysz waszmość — rzekł na to Nieczuja — zameldować mnie panu, bo ja chcę się z nim widzieć.

— Ale ja mówiłem już o tem z jw. chorążym — odpowiedział Małdrzykiewicz, wstając i przystępując do niego — i powiadam waszmości, że się to na nic nie przyda. Jestem tu ja, plenipotent, i oto ten pan...

— Ale o cóż chodzi! — zawołał prędko w tej chwili Flawiusz, kiedy pan skarbnik chce się koniecznie sam widzieć z chorążym ..

— To proszę za mną! — rzekł na to z gniewem Małdrzykiewicz i drzwi otworzył.

— Albo przedemną! — dodał dobitnie skarbnik i wyszedł pierwszy w kurytarz.

Słysząc to Flawiusz spojrzał na skarbnika z uwagą i uśmiechnąwszy się złośliwie, został sam jeden w izbie.

Tymczasem Małdrzykiewicz wprowadziwszy skarbnika do sali jadalnej, w której były porozwieszane po ścianach wspaniałe Kmitów, Stadnickich, Ossolińskich portrety, sam poszedł zameldować gościa swojemu panu. Wkrótce Małdrzykiewicz powrócił i wyszedł napowrót do swojej izby, a skarbnik, oparłszy się o krawędź stołu, zaczął się przypatrywać tym poważnym postaciom, które, wyglądając z ram złotych, zdawały się patrzyć na niego tak śmiałemi i poczciwemi oczyma, że lubo nie wielką miał nadzieję dobrego a przynajmniej łatwego skończenia swej sprawy, jednak mu serce urosło i nabrało otuchy.

Wkrótce dały się słyszeć w przyległej sali prędkie kroki delikatnych trzewików, drzwi otworzyły się nagle i przed skarbnikiem stanął pan Mniszech.

Pan chorąży koronny miał już lat wtedy około pięćdziesiąt, ale był raźny i żwawy, jak gdyby młody. Średniego wzrostu lecz nie otyły, ubierał on się jak najści-

ślej wedle mody francuskiej. Więc miał na sobie bramowany frak aksamitny, koronkowe żaboty, trzewiki i jedwabne pończochy, pudrowane włosy w harcap, z tyłu zwinięte i cały był woniejący, jak sklep drogich pachnideł. Jego twarz wyrażała dziwną łagodność i słodycz, jego oczy były pełne tego miłego blasku, który najlepiej świadczy o wrodzonej dobroci serca i czystości sumienia, a koło jego ust igrał uśmiech pełen zalecającej się uprzejmości. Jakoż bardzo to ładnie było, kiedy, wbiegłszy do sali, pokłonił się ręką i głową skarbnikowi i zawołał:

— A! pan Nieczuja, skarbnik zakroczymski, przyjaciel niegdy mojego teścia!

Ale już mu to bardzo było nie do twarzy, kiedy zaczął się gniewać na seryo.

— Waszmość pan — mówił on prędko i dosyć surowo — przychodzisz do mnie w interesie tej wioski, którą trzymasz w zastawie. Jakże to ona się zowie? a! Bóbrka! Otóż muszę panu powiedzieć, że to bardzo nie ładnie od pana, stawiać przeszkody w interesie tak dla mnie korzystnym, jaki mi proponują panowie Grabowscy. Pan trzymasz Bóbrkę, jak się to pokazuje z papierów, już lat blizko pięćdziesiąt, trzymasz ją po dawnemu za bezcen, dorobiłeś się na niej jak słyszę ogromnego majątku... czego panu szczerze winszuję... ale dlaczegoż pan nie chcesz oddać tej Bóbrki? Przecież, zdaje mi się, już dosyć. I nie godzi się zresztą za dobrodziejstwa, a niech tam będzie zresztą, za przyjaźń mojego teścia, tak czarno się wywdzięczać jego sukcesorom.

— Jw. panie! — rzekł na to z przyzwoitem uszanowaniem skarbnik — wieleby tu trzeba jak widzę rozprawiać, ażeby tę sprawę wyświecić...

— Ale mój drogi panie! — zawołał na to prędko chorąży — sprawa ta już jest tak wyświecona, że ją wróble na dachach śpiewają. Dawnymi czasy opadaliście panowie hurmami naszych ojców i dziadów i każdy z was brał co mu się podobało. Ojcowie nasi byli bogaci, a może was zresztą potrzebowali i rozdawali wam wioski to w dzierżawy, to w zastawy, to w dożywocia, i nie dbali o to, że

z nich intrat nie mieli. Ale te dawne czasy już przeminęły. My nie jesteśmy już tak bogaci, życie dziś coraz droższe, intraty mniejsze, dawne zresztą stosunki pomiędzy bracią szlachtą ustały... a panowie chcecie, żeby wasze beneficya nigdy nie ustawały! Ja panu muszę powiedzieć prawdę, że mi bardzo drogiem jest wspomnienie pańskiej przyjaźni z moim ś. p. teściem i ja sam pańską przyjaźń ceniłbym sobie bardzo wysoko, jednak zechcesz pan z łaski swojej mieć wzgląd na to, że ja tutaj nie mieszkam i z tej przyjaźni nie jestem w stanie korzystać. Cóż dopiero powiedzieć o tem, żebym miał jeszcze z tej przyczyny tak znaczne ponosić straty?...

— Jw. panie! — rzekł na to skarbnik z godnością, podnosząc rękę do góry — racz jw. pan zaniechać tych uwag, bo nie odpowiadają one ani prawdzie, ani nawet przyzwoitości.

— Przyzwoitości? hm? — powtórzył półgłosem z uśmiechem chorąży, a tymczasem skarbnik także powtórzył:

— Tak jest, przyzwoitości. Jw. pan mieszasz osoby i mieszasz sprawy i śmiem uczynić tę uwagę, że nie wiesz dokładnie z kim mówisz.

Chorąży się znów na to z lekka uśmiechnął, a skarbnik mówił dalej:

— Więc tedy Bóbrkę wziął od jw. wojewody w zastaw, nie ja, ale ś. p. mój ojciec i nie brał jej wcale dlatego, ażeby miał zasiadać na wojewodzińskim jurgielce, bo był posesyonatem i miał wsi kilka własnych w Sędomierskiem nad Wisłą. Memu ojcu było Marcin na imię i mnie jest Marcin; on był zakroczymskim skarbnikiem i mnie tytułują skarbnikiem, ale ja nim nie jestem i jeżeliby mi się jaki tytuł już koniecznie należał, to raczej tytuł majora, z którą to rangą z ostatniej wojny wyszedłem, i gdzie mnie jw. pan mogłeś był widzieć na własne oczy, gdybyś był raczył zwrócić na mnie uwagę.

— Tak, tak, ranga majora, to bardzo ładnie... — dorzucił w tem miejscu chorąży.

— Co się zaś tyczy Bóbrki — mówił dalej Nieczuja — to muszę jw. panu powiedzieć, że jej nie brał nawet mój

ojciec, bo jej nie było natenczas, tylko był to szmat pola i lasu, a na nim chat kilkanaście, bez budynków gospodarskich i dworu. Że jej nie wziął tanio i nie trzymał nadal tanio, najlepszy w tem dowód, że za te sześćdziesiąt tysięcy wziął i Zabrodzie natenczas, a kiedy jw. wojewoda Zabrodzie sprzedał, ojciec mój, lubo był, jak jw. pan mówisz, z wojewodą w przyjaźni, żadnej nie żądał defalki i za tą samą sumę przy samej Bóbrce pozostał. Że na tej wiosce trochę fortuny przyrobił, tego nie przeczę; ale nie winien on tego wcale tej wiosce, tylko winien swej własnej pracy i temu, że w wieś tę włożył pewnie ze sto tysięcy, które, jak widzę, już się nigdy nie wrócą. Po śmierci ojca ja zostałem przy tym zastawie. Ja, wyznaję to panu otwarcie, nie byłem już z jw. wojewodą w żadnych przyjaznych stosunkach, bo sentymenty nasze innemi nas prowadziły drogami; pomimo to przecież, kiedy jw. wojewoda po konfederacyi potrzebował gotówki, zaliczyłem mu z mojej kieszeni sto tysięcy, od których, li tylko przez pamięć mojego ojca, żadnej nie żądałem prowizyi. Jak zaś ta suma była dawna i brana, nauczy pana skrypt ten, który oto mam zaszczyt prezentować jw. panu...

To mówiąc, dobył skrypt z kieszeni i oddał go chorążemu.

— Jakże więc? jakże? — rozwijając papier, rzekł chorąży — to pan masz rzeczywiście skrypt na tę sumę? A proszę pana! to mnie, jak widzę, całkiem obałamucono względem tej sumy...

— Jw. panie! — odezwał się na to z śmiałością skarbnik — pana tutaj, o ile wiem, a wiem to z pewnością, bałamucą nie w jednym względzie. Nie powinienem się mieszać do tego, bo to nie moje rzeczy, ale nie mogę się powstrzymać, ażebym tego nie powiedział, bo mi żal tego państwa, które sam pamiętam tak rozległem, tak wielkiem, a które teraz tak się co rok, co pół roku, umniejsza i pada. I tak panowie upadacie, my upadamy z wami i tak wszystko już jakoś psuje się i ginie nam w oczach, a za jakie pół wieku, kto wie, ażali prócz wieści jeszcze co po nas zostanie!...

Chorąży tymczasem skrypt przeczytał z uwagą i opierając się o stół plecyma, a skrypt złożony trzymając w ręku, odpowiedział ze smutkiem:

— To bardzo, bardzo prawdę pan mówisz... Ale, proszę pana, cóż na to robić?... Więc tedy na mocy tego skryptu pan dobrodziej masz sto tysięcy w skarbie leskiego państwa?

— Pozwól mi pan chorąży poprawić — rzekł na to skarbnik — że nie na mocy tego skryptu, tylko na mocy tego, że te pieniądze dałem istotnie panu wojewodzie. Czy nie masz o nich żadnego wspomnienia w rachunkach wojewodzińskich?

— A! owszem, owszem. Te sto tysięcy stoją zapisane wyraźnie. Tylko mi Małdrzykiewicz jakoś nie wyraźnie tą pozycyę objaśnił...

— Czy wolno mi się zapytać, co powiedział jmć pan Małdrzykiewicz?...

— O! nie, nie, nie, nic wcale złego. A zresztą, jak tylko ta suma stoi zapisana w moich rachunkach, a pan masz skrypt z mego teścia z podpisem, to już niema co mówić o tem. Więc pan dobrodziej tedy wraz ze sumą zastawną żądasz zwrotu także i tej sumy?

— Jw. panie — rzekł na to skarbnik — ja ani tej, ani tamtej sumy nie żądam. Ja dałem panu wojewodzie tę sumę na to, że mając zawsze zamiar kupienia Bóbrki na własność, uważałem ją poprostu jako część należytości spłaconą naprzód. Pan wojewoda nie miał nic przeciw temu, tylko nie lubiąc się wyprzedawać z puścizny, prosił mnie, ażebym niekoniecznie na zakończenie tej sprawy nacierał, dając mi słowo, że mnie z Bóbrki nie ruszy. To słowo miało swój wigor aż do śmierci pana Ossolińskiego i po jego śmierci jeszcze lat kilka; aż dopiero teraz, kiedy się na mnie inne powaliły nieszczęścia, kiedy się na nas wszystkich zwaliły klęski takie, że nie wiemy jeszcze, ażali je znieść potrafimy na sobie... teraz także podniesiono na mnie rękę i z zamku, ażeby mnie na starość z tej wsi wygnać, w której się urodziłem, w której całe życie moje przeżyłem, w której leżą kości mojego ojca, mojej żony

najukochańszej, moich dwojga do dziś nieodżałowanych niemowląt i w których grobie jest miejsce przygotowane i dla mnie!... Ale...

Tu głos skarbnika mimowoli się stłumił i dwie łzy duże jak perły potoczyły mu się po policzkach.

— Ale panie majorze! — zawołał na to z współczuciem chorąży, porywając go i ściskając za rękę — proszę tylko się uspokoić... a nadewszystko proszę mi wierzyć, że słowo mego teścia jest mi święte na zawsze i pewnie go panu dotrzymam. Przyznam się panu nawet, że to nie moja wina, że panu wypowiedziano ten zastaw. Wszystkiemu temu winien ten nieznośny Małdrzykiewicz. Ja jemu przed rokiem dałem plenipotencyę do interesów leskiego państwa i on zaraz zapozwał pana do sądu...

— A dlaczego zaraz pozywać?

— A! bo pana nie było w domu.

— Jakto? więc nawet wtenczas, kiedy ja nadstawiałem pierś moją...

— A no widzisz pan! — zawołał na to chorąży — co to ja mam z tymi ludźmi!

— Ach! panie chorąży! — rzekł na to z powagą Nieczuja — bo któż też takich ludzi na pełnomocników sobie obiera! wszak jest tyle szlachty, posesyonatów, mających dobrą sławę, rękojmię...

— Proszę pana, niechno pan raczy usiąść; pomówimy o tem obszernie. Przyznam się panu, że nawet bardzo się cieszę, że pana tutaj poznaję... No, więc tedy, ja kazałem natychmiast ten proces powstrzymać, a dowiedziawszy się, że pan już jest u siebie, zgłosić się do pana na drodze zwyczajnej... Tymczasem przyjechali tu do mnie panowie Grabowscy, ofiarując mi znaczną sumę za Bóbrkę...

— Ale na miłość Boga — przerwał prędko Nieczuja — na cóż tutaj Grabowskich, kiedy ja jestem? Ja panu chorążemu każdego czasu dam tę samą sumę, jaką dadzą Grabowscy...

— Ale zapewne! na cóż tutaj Grabowskich! Ale to temu wszystkiemu winien jest Małdrzykiewicz.

— O! ten Małdrzykiewicz! — zawołał na to skar-

bnik — bodajby on pana tylko nie kosztował tyle, ile nie wart z kościami.

— O! już teraz mnie nic kosztować nie będzie — rzekł z przyciskiem chorąży — wypędzać go nie będę, bo służył tak długo u mego teścia i zresztą ma on swoje dobre strony i jest mi zawsze potrzebny; ale już mi tu odtąd całkiem nową kontrolę zaprowadzi pan Flawiusz.

— Kto taki? — spytał ciekawie skarbnik?

— Imć pan Flawiusz — odpowiedział chorąży — czy go pan nie znasz? Wszakże to on jeździł podobno do pana z wypowiedzeniem zastawu.

— On jeździł? nie, ja go nie widziałem na oczy... ale go tutaj widziałem. Więc to on ma kontrolować Małdrzykiewicza? — zapytał skarbnik, patrząc w twarz chorążego z uwagą.

— Czy pana to dziwi?

— A! przyznam się panu — zawołał na to Nieczuja, zrywając się z miejsca — że to trochę zawiele!

— Jakto? jakto? bo ja pana nie rozumiem zupełnie.

— Ale panie chorąży! jakżeż? takiego pędziwiatra jakiegoś...

Ale chorąży się na to tylko uśmiechnął i wytrzymawszy chwilkę, odpowiedział:

— Lubo panu co do Małdrzykiewicza nic zgoła nie przeczę, tu jednak powiem panu otwarcie, że się pan mylisz. Pan bowiem nie wiesz, kto to jest ten pan Flawiusz. A więc panu powiem, że to jest człowiek, który był przez lat cztery na naukach w Paryżu. Tak jak on zna się na naukach, a osobliwie na matematycznych, o tem my obadwa nie mamy nawet wyobrażenia. Dosyć panu powiedzieć, że powróciwszy z Paryża, był u księdza Hugona prawą ręką we wszystkich jego operacyach finansowych, a przecież panu nie może być niewiadomo, jak wielką rolę u księdza Hugona odgrywały finanse...

A na to skarbnik:

— Ja tam nie sądzę tych nauk, bo ich nie słyszałem od niego, ale to panu chorążemu powiem z pewnością, że jak Małdrzykiewiczowi nakoniec całkiem nie stanie rachun-

ków, tak ten młody jegomość pewnie ich nie poprawi. I powiem nawet więcej, bo tak mi się widzi, że jego tu wcale nie sprowadziły pana chorążego rachunki, tylko snać jego własne rachuby, których ja się już po troszę domyślam... ale którym także końca nie dojdzie, za to mu ręczę.

— Jakto? jakto? — zapytał znowu z uśmiechem chorąży.

Skarbnik się zabierał do odpowiedzi, ale wtem wbiegł Małdrzykiewicz do sali, wołając zaraz z progu:

— Jw. krajczy koronny i podobno brat jw. pana właśnie zajechali przed ganek.

— Ah! mój szwagier! jakże się cieszę! — zawołał chorąży — więc tedy panie majorze... ah! ale zrobisz mi pan wielką przyjemność, jeżeli u mnie na obiedzie zostaniesz. Mój szwagier, pan Potocki, to przecie dawny znajomy, a jest z nim pewnie i pan Konarski, to kolega. Cóż więc, dobrze? nieprawda?

— Kiedy pan chorąży tak każe, to z chęcią zostanę, tylko ja muszę się śpieszyć, bo właśnie list odebrałem od mojej siostry...

— Więc nie będziemy mieli już czasu mówić z sobą o Bóbrce? co? — zapytał z uśmiechem chorąży — tak, rzeczywiście, bo ja pojutrze odjeżdżam z tymi panami. Więc tedy teraz mówię panu z pewnością, żebyś pan był o nią jak najzupełniej spokojny. Proszę ją uważać za swoją, a ja tu będę na wiosnę i interes skończymy. Tymczasem pójdę powitać gości... ah! ale pocóż ja skrypt ten trzymam w ręku?... to chyba niech już u mnie zostanie?... albo proszę.

— Ale owszem, niech u pana zostanie, wszakże to tak jakby u mnie. Zresztą to zadatek na Bóbrkę...

— Dobrze, dobrze... jak pan sam zechcesz... owszem, cieszyć mnie będzie...

W chwilę potem wprowadził chorąży do sali swych nowych gości, których było aż siedm osób.

Był tedy obiad suty, na połowę francuski, ale pod koniec staropolski, jak Bóg przykazał, z kielichami na do-

brą miarę i gawędę serdeczną aż późno w noc o niedawnych wojnach i krajowych wypadkach.

Nazajutrz rano było znów sute śniadanie, przy którem, kiedy dobrze podciągniono win przednich francuskich i sektów hiszpańskich, skarbnik się rozweselił i poglądając to na portrety przodków porozwieszane po ścianach, to na swoich współbiesiadników, zawołał głośno:

— Niepodobniśmy do nich, bo niepodobni, ale przecie to tak i krew i fantazya ta sama, z którą bodajby żyć i umierać!

— Brawo! brawo! — zawołali wszyscy dokoła i ściskając rękę starego żołnierza, namawiali go bardzo, aby został z nimi do końca.

Ale skarbnik chcąc nie chcąc, musiał się im wymówić i po południu wyjechał do siostry.

IV.

Ażeby zrozumieć dalszy tok tej powieści, wypada nam teraz cofnąć się w tył o rok cały i zatrzymać się na chwilę w Warszawie.

Owóż tedy działo się to w roku 1793, w samą rocznicę koronacyi królewskiej. W dzień ten odbywały się zwykle solenne nabożeństwa w kościołach, wszystkie gwardye i wojska konsystujące w Warszawie występowały w największej paradzie, po rogach ulic porozstawiane były konne i piesze patrole i tłumy ludu zalegały ulice i place, osobliwie też te, którędy w wielkiej paradzie miał przeciągać sam król z swoim licznym i świetnym orszakiem.

Tak też było i dzisiaj.

Nieprzeliczone tłumy rozmaitego ludu snuły się tam i siam po Krakowskiem przedmieściu, gwarząc o tem i o owem i przyrównując obchód dzisiejszy do różnych innych obchodów, jako Bożego Ciała, konstytucyi trzeciego maja i założenia węgielnego kamienia do kościoła pod tytułem Opatrzności i innych tym podobnych. Pomiędzy te gromady ludu, po obydwóch stronach ulic przeciągające

sunęły karety otoczono pozłocistymi hajdukami lub bośniakami, to znowu inna poprzedzona lauframi, a ciągnąca za sobą kilkunastu nadwornej husaryi, to przesunęło się kilku jeźdźców paradnych na przepysznie ubranych koniach, to cały oddział tej lub owej konnicy, śpieszący kłusem na przeznaczone dla siebie miejsce.

A kiedy to się działo, jedną z bocznych ulic, prowadzących na Krakowskie przedmieście, nadjechała skromna parokonna kareta, która chciała zapewne wjechać w ową główną tłumem nabitą ulicę i nią pojechać dalej. Widząc to wszakże, dwaj gwardyacy konni koronni, którzy stali na rogu ulicy i mieli nakaz nieprzepuszczania żadnego powozu, dali zdaleka znak stangretowi, aby nawrócił albo się w miejscu zatrzymał. Stangret stanął, a obróciwszy się na koźle, zapukał do okienka i powiadając paniom swoim, że dalej jechać nie może, spytał ich, co ma teraz uczynić?

A w karecie siedziało dwie kobiet, bardzo różnych od siebie wiekiem. Jedna z nich była to nie sędziwa ale już poważna matrona, która lubo się stosowała ubiorem do mody i wybrednych wymagań owoczesnej Warszawy, pamiętała jednak o tem, że wiek, przynoszący ze sobą siwiznę, oznacza strojom pewną granicę i nakazuje powagę. Druga zaś była to młodziutka i ledwie co dojrzewająca panienka. Była ona cudownie piękną Jej twarz więcej okrągła niż ściągła, składała się z najpiękniejszych, jakie można wymarzyć, rysów. Jej włosy ciemne, nadzwyczajnie bogate, delikatne i lśniące, byłyby pewnie zaćmiły najpiękniejsze naówczas warkocze sławnej z piękności generałowej Grabowskiej, gdyby były chciały pójść z nią w zawody, — a jej duże, czarne, myślące oczy, byłyby pewnie zachwyciły samego króla, gdyby się były raz tylko pokazały na tych, na których bywał, salonach. Ale to być nie mogło; panienka ta bowiem była jeszcze tak młoda, w jej oczach było tyle niewinnego, niezaćmionego blasku, a w jej twarzy całej tyle porannej, przedświtowej świeżości, że na pierwszy rzut oka nie trudno było odgadnąć, iż tam dusza śni jeszcze daleko więcej o kwiatkach wiosny i aniołach niebieskich, niżeli o rzeczywistym otaczającym ją świecie —

a o świetnych salonach szumiącej zabawami Warszawy marzy ledwie tak samo, jak o czarownych pałacach i królach z opowiadanych jej przez piastunki powieści.

Kiedy więc stangret zapytał, czy ma nawrócić, czy czekać, starsza z tych dam zamyśliła się trochę, a niecierpliwsza panienka spytała prędko:

— No i cóż my teraz poczniemy, ciociu?

— Doprawdy, sama nie wiem co robić — odpowiedziała starsza — odjeżdżać, to daleko, i przyjedziemy zapóźno; ha! to chyba już przejdźmy piechotą.

— I najlepiej piechotą — rzekł na to stangret — toż to już blizko i sucho. A ja tutaj zaczekam, a jak się skończy parada, za paniami przyjadę.

Powiedziawszy to, ufny swym doświadczonym koniom, stangret założył lejce na poręcz kozła i właśnie miał zeskoczyć na ziemię, aby drzwiczki otworzyć, kiedy wtem do karety zbliżył się jakiś młody człowiek i chwycił prędko prawą ręką za klamkę.

Młody ten człowiek był po francusku ale całkiem czarno ubrany, na ramionach miał zarzucony piękny płaszczyk hiszpański, a na głowie maleńki trójgraniasty kapelusz. Twarz jego, lubo blada i z nosem troszeczkę zadartym, nie była wcale brzydka, tylko oczy czarne gorzały jakimś niezwyczajnym płomieniem i sprawiały trochę straszne wrażenie, do czego także nie mało się przyczyniały jego czarne jak heban włosy, na przekór modzie, ani pudrowane, ani katagonem ujęte.

Grzeczny ten kawaler, na usługi damom pośpieszający, otworzył natychmiast drzwiczki i podał ramię wysiadającej z karety matronie. Ta, lubo widocznie nie była przygotowaną na taką grzeczność całkiem nieznajomego człowieka, przyzwyczajona jednak do podobnego rodzaju grzeczności, przyjęła jego ramię z wdzięcznym na twarzy uśmiechem; lecz kiedy przyszła kolej na tamtę, młoda panienka, obaczywszy tego człowieka, zbladła nagle jak ściana, zmieniła się na twarzy prawie do niepoznania i zdawało się, jak gdyby była blizką omdlenia. Wrażenie to wszakże trwało tylko przez mgnienie oka, poczem widać było, że zebrała

swe siły i niepodawszy wcale grzecznemu kawalerowi ramienia, zeskoczyła ze stopnia karety w przeciwległą mu stronę. Śród tego czasu ciotka podziękowała za wyrządzoną sobie usługę pełnym wdzięczności, lecz milczącym ukłonem, i obiedwie damy, zostawiając kłaniającego się im kawalera przy karecie, przeszły na chodnik pod kamienice.

Postępując dalej prosto ku Krakowskiemu przedmieściu, kiedy się już oddaliły o kilkanaście kroków od swego powozu, młoda panienka, która widocznie już odetchnęła swobodniej, pociągnęła ciotkę za połę płaszcza, mówiąc do niej półgłosem:

— Moja ciociu, niech się ciocia oglądnie, bo mnie się zdaje, że on idzie za nami.

— Któż taki?

— Ale ten... ten... przecie to ten.

— Ale któż taki, moje dziecko, bo ja nic nie wiem?

— Ach! przecie to ten sam... kupiec jakiś, czy coś... co się co wieczór zjawia pod naszemi oknami... co ten list do mnie przysyłał...

Ach! doprawdy? to chodźmyż prędko, bo jeszcze gotów się nas uczepić.

To mówiąc, przyśpieszyły kroku obiedwie damy i weszły właśnie na środek Krakowskiego przedmieścia, chcąc przebiedz prędko na tamtą stronę.

Ale w tymże momencie wypadł z bocznej ulicy przeciwnej cały oddział gwardyi konnej koronnej i puścił się pędem do góry. Tłumy ludu, snujące się po środku ulicy, prysnęły jak odstrzelone w bok ku chodnikom, a pod gwałtownem uderzeniem tych tłumów, kiedy jedna fala porwała ciotkę i gdzieś daleko ze sobą uniosła, młoda panienka tak się nagle przelękła, że się zachwiała na nogach i upadła zemdlona na miejscu.

Wtedy szybki jak strzała zjawił się przy niej ów czarno ubrany młodzian, porwał ją w swoje ramiona i jednym skokiem wniósł ją do sieni pierwszej lepszej kamienicy, której drzwi były otwarte.

Śród tego czasu oddział kawaleryi przeleciał, a za nim zaczęły się sypać różnego rodzaju paradne poczty i po-

wozy. Tłumy ludu, widząc że niema się już czego obawiać, a jest co podziwiać, spłynęły napowrót na ulice z chodników, i kiedy wszystkich oczy się obróciły ku przeciągającym błyszczącym orszakom, nikt nie uważał i nie pamiętał, co się dopiero stało w tem miejscu.

Ale tuż zaraz przed drugą kamienicą obok tej, do której została wniesiona omdlała panienka, stało podtenczas dwóch innych młodzieńców. Wyszli oni właśnie przed chwilą ze swojego mieszkania i wysławszy swego ozłoconego strzelca po karetę, która stała opodal i nie mogła się do nich przez tłumy przecisnąć, patrzyli wprost na ulicę. A ulica patrzyła na nich, bo też było co widzieć.

Byli to bowiem dwaj bardzo piękni młodzieńcy i byli bardzo paradnie ubrani.

Więc pierwszy z nich był to smukły młodzian słusznego wzrostu, który lubo tak młody, że ledwie pierwszy mech mu zapowiadał nadzieję wąsów, stał jednak na bardzo pewnych nogach i miał w swojej postaci coś tak wspaniałego i siebie pewnego, że gdyby usposobienie jego umysłu i serca odpowiadało jego postaci zewnętrznej, to możnaby go postawić za wzór wszystkiej młodzieży. Tego też także należało się po nim spodziewać, jego twarz bowiem ściągła i rysów bardzo szlachetnych, jego oczy duże niebieskie i czoło wzniosłe myślące, ocienione pięknymi kędziorami długich blond włosów, nietylko dodawały jego postaci nadzwyczaj wiele powabu, ale i najkorzystniej świadczyły o jego duszy, niby całkiem otwarcie występującej z pod tej pięknej powłoki. Do tego wszystkiego miał on na sobie suty kontusz karmazynowy ze złotymi kameryzowanymi guzami, żupan biały morowy w złote muszki i listki, pas w karpią łuskę bogaty, buciki żółte na czerwonych obcasach, białą czapkę z kasztankiem i kitką o brylantowej spince, i karabelę u boku, z rękojeścią od koralów i pereł.

Drugi, lubo już po francusku, był jednak równie bogato, a jeszcze nawet o wiele pretensyonalniej ubrany, zwracał on bowiem publiczną uwagę na siebie nie tylko bogatymi złotymi haftami u wierzchniej sukni, błyszczą-

cemi kolbertynami u kamizelki i pajęczej delikatności żabotami, ale jeszcze i orderem Białego Orła, albo świętego Stanisława i jakąś drugą gwiazdą na piersiach, które te honorowe oznaki o tyle większe jeszcze zdziwienie obudzały w patrzących, ile że to był także człek bardzo młody, mogący teraz ledwie zaczynać swoją światową karyerę.

Ci młodzi ludzie, nie tak bardzo zajęci podziwianiem pańskich orszaków i karet, które zapewne już nieraz i z blizka widzieli, uważali to dobrze, że pośród tłumu jakaś młoda panienka zemdlała i że ją jakiś młody człowiek z mieszczańska ubrany porwał w ramiona i uniósł. Wiedzieli nawet i to niewątpliwie, do której ją wniósł kamienicy i lubo śród publicznego zgiełku i gwaru żadnych sobie nad tym wypadkiem jeszcze nie uczynili uwag, mieli jednak obadwa oczy na drzwi tej kamienicy nie bez ciekawości zwrócone. Zdawało się, jakby obadwa wyglądali rozwiązania tego zdarzenia, które lubo dość proste i naturalne na pozór, mogło jednak ukrywać w sobie wykradzenie, porwanie, zemstę lub jakąś inną awanturę podobną, dla młodych zawsze ciekawą i w ich młodej wyobraźni przybierającą jakieś fantastyczne kształty i kolory.

Czekali tedy przez jedną chwilkę cierpliwie, lecz kiedy minęła jedna chwila i druga, z owej kamienicy nikt nie wychodził, a tu coraz świetniejsze orszaki zwracały wszystkich oczy na siebie, nie zostawiając nawet nadziei, aby ktoś inny sobie owo zdarzenie przypomniał i wszedł w nie jako pośrednik lub świadek. Młodzieniec blondyn, w polskie suknie przybrany, odezwał się do swego towarzysza:

— A co? chyba chodźmy tam, bo to coś długo trwa to trzeźwienie?

— Ej! a co nam do tego? czy my to marszałkowscy? — rzekł na to drugi, widać nie wielką chęć mający do interwencyi. Ale na to z niecierpliwością zawołał blondyn, biorąc tamtego pod ramię:

— Ale chodź no, chodź. Ja już wiem dlaczego ty nie masz ochoty wejść do tej spelunki... order i gwiazda ci nie pozwala; ale order i gwiazda nie powinny przeszkadzać

nikomu do niesienia nieszczęśliwym pomocy. A zresztą ta nieszczęśliwa, to dama...

— Otóż to dlatego podobno tyś taki skory, że to dama, a jeszcze do tego młoda i podobno niebrzydka — rzekł na to tamten z uśmiechem i dał się pierwszemu pomimo woli pociągnąć ze sobą.

Weszli tedy śpiesznie do owej sieni, która była i dość obszerna i dosyć ciemna, ale napróżno się oglądali na tę stronę i ową, w całej tej sieni bowiem ani żywej duszy nie było.

— Ot masz!... — rzekł na to żabotowy kawaler — nec lecus... dajmy sobie pokój, bo się jeszcze przez to spóźnimy na nabożeństwo i król jegomość będzie nam to potem pamiętał.

— Już tam król jegomość czeka tylko na to, rychło ty twoją personą tę paradę uświetnisz!... chodźmy-no dalej.

I ciągnąc dalej za sobą nieskornego dworaka, przyszli tak razem w samą głąb sieni, gdzie obaczyli na pół otwarte drzwiczki, prowadzące do jakiejś ciemnej sklepionej komórki, będącej zapewne mieszkaniem kamienicznego stróża, i mającej w ścianie drzwiom przeciwległej małe zakratowane okienko, wychodzące w dziedziniec.

Odważniejszy i ciekawszy młodzieniec trącił drzwi nogą, które się zaraz otworzyły na ścieżaj — i owóż jaka ich oczom zdziwionym przedstawiła się scena.

Na środku komórki stało jakieś stare, obdarte, podartemi skórami obite, poręczowe krzesło. W tem krześle na wpół siedziała, a na wpół leżała przyniesiona z ulicy panienka, która piękną swą główkę w bok przewiesiwszy, zdawała się być ciągle omdlała. Tuż przed nią na ziemi klęczał ów czarno ubrany, kapeluszowy młodzieniec, który, — zamiast ją trzeźwić, jak kazało sumienie, — trzymał jej rączki obydwie w swoich gorących dłoniach i okrywając je konwulsyjnymi pocałunkami, szeptał jakieś niezrozumiałe lecz równie konwulsyjne zaklęcia.

Obaczyli to obaj wchodzący; żabotowy kawaler się roześmiał i zawołał z ironią:

— Bon! no! widzieliśmy... a teraz chodźmy.

Ale kontuszowy oburzył się na to i stanąwszy w oka mgnieniu nad młodzieńcem klęczącym, groźnym głosem zawołał:

— A wać co robisz takiego!

To mówiąc, nie dał mu nawet czasu do odpowiedzi, tylko porwawszy silną ręką za kołnierz, postawił go jakby świecę przed sobą.

Przestraszony i oburzony tym niespodziewanym obrotem swojej sprawy i swojej osoby, czarno ubrany młodzieniec stał przed chwilę jak wryty, — kontuszowy kawaler porwał czemprędzej za dzbanek z wodą, aby trzeźwić omdlałą panienkę, — ale panna tymczasem na ów krzyk głośny nad sobą sama się z krzesła zerwała, a obaczywszy tylu ludzi około siebie, jeszcze więcej tem przestraszona, cofnęła się aż ku ścianie, stając tam z główką opuszczoną ku ziemi i założonemi na piersiach rękami.

— Pani! — rzekł do niej prędko jej zbawca — niech się pani nie obawia niczego... czy pani znasz tego jegomości?

— Ja... nie znam... — odpowiedziała cichym szeptem panienka.

— A więc jakże wać śmiałeś!... — krzyknął do niego blondyn; ale tymczasem tamten, otrzeźwiwszy się całkiem, skoczył do niego z największą pasyą:

— Co! — krzyknął on jeszcze głośniej — a cóż panu do tego? co pan się mieszasz w sprawę... Monsieur! ça n'ira pas comme ça! — dodał, mitygując się trochę.

— Et comment? — krzyknął blondyn.

— Vous m'avez insultè, vouz avez commis...

— Pas d'explication! je n'en veus aucune!... Votre nom, monsieur?

— Mon nom... — powtórzył, zacinając się trochę, lecz dodał dobitnie: — Jestem Flawiusz... i zna mnie cała Warszawa.

— Fla-wiusz!?... — powtórzył przeciągle blondyn i uśmiechając się ironicznie, odsunął się od niego, kłaniając mu się zimno i nie bez szyderstwa.

— Cóż to jest? cóż to ma znaczyć? — zawołał Flawiusz.

— To ma znaczyć — odpowiedział blondyn ozięble — że z waścią nie mam nic do czynienia, i żebyś się waść wynosił.

— Ja! — krzyknął na to z wściekłością Flawiusz i już omal, że się nie rzucił na swego przeciwnika. Ale go w tym zapędzie powstrzymał drugi, żabotowy kawaler, mówiąc do niego:

— Ale nie zapominaj się pan przecie... Wszakże będąc Flawiuszem, trudno jest żądać honorowej satysfakcyi od kogoś...

Te słowa jakby piorunem raziły nieszczęśliwego młodzieńca. Widać było po nim, że całe piekło rozdzierających uczuć zawrzało mu w sercu. Stanął, wpół obłąkanemi oczyma spojrzał na mówiącego i porwawszy się obydwiema rękami za włosy, stał tak przez jedno oka mgnienie jak odurzony. Ale w ten moment się zerwał, podniósł z ziemi kapelusz i ochrypłym głosem zawołał:

— *Eh bien! Messieurs! mais nous nous verrons encore!*

Poczem jak gdyby strzała wyleciał z ciemnej izdebki.

Wszakże w tym samym momencie dał się słyszeć kobiecy krzyk w sieni i z nim prawie razem otworzyły się gwałtownie drzwi od izdebki, a przez nie wpadła wystraszona, zalękła, ledwie mówić mogąca, ciotka omdlałej panny. Obydwie te kobiety, kiedy się obaczyły nawzajem, z nieopisanym krzykiem radości padły sobie w ramiona i przez długą chwilę nie było nic słychać, tylko łzy i szlochanie.

Śród tego czasu żabotowy kawaler przystąpił do swego towarzysza, mówiąc do niego półgłosem:

— *Mais vraiment,* mnie się wciąż zdaje, *comme si j'etais au theâtre...* ale może dosyć już tego? Król Jegomość już pewnie w kościele...

Ale kontuszowy młodzieniec, jakby tego nie słyszał, patrzył ciągle na cieszące się sobą kobiety z osobliwszem zajęciem.

W tej też chwili odwróciła się ciotka i patrząc z wy-

razem wdzięczności na obydwóch młodzieńców, rzekła do nich z słodyczą:

— A więc panom-to mam podziękować wyratowanie...

— Pani! — rzekł na to blondyn — żadna najmniejsza wdzięczność nam się nie należy... przybyliśmy tutaj, kiedy ta pani już była wyratowana... *mais le sauveur...*

— *Oh! merci, mille fois merci!* o! bo cóż też to się dzieje teraz w tej Warszawie! A więc jeszcze raz panom dziękuję.

— Pani pozwoli, żebyśmy jej ofiarowali karetę — przerwał prędko blondyn.

— Nie, nie, dziękuję panom — odpowiedziała ciotka — ja tu mam swoją karetę o parę kroków... pragnę się tylko spytać panów, kogo ten los szczęśliwy zdarza mi poznać...

— Ja jestem Jędrzej Rudnicki — odpowiedział blondyn z ukłonem — a to jest..

Tu chciał przedstawić swojego przyjaciela, lecz kiedy się obrócił ku niemu, nie było go już w izdebce...

— Pański towarzysz właśnie co wyszedł — odpowiedziała za niego ciotka — jeszcze raz tedy panu dziękuję i proszę wierzyć, że do końca życia wdzięczną panu będzie Łaszewska, podczaszyna przemyślska, i jej kuzynka Stanisława, podkomorzanka sandomierska. Ale śmiem się spodziewać, że to nieraz ostatni mam przyjemność widzieć pana...

— Owszem pani, będę sobie to miał za obowiązek, choćby dziś jeszcze prezentować się pani i zapytać o zdrowie panny Stanisławy.

To mówiąc, podał obudwom damom ramiona i odprowadził je do karety, która rzeczywiście, podług przyrzeczenia stangreta, czekała jeszcze w przecznicy. Tam pomógłszy damom wleźć po stopniach do tej arki Noego, zamknął za niemi drzwiczki i odebrawszy od nich ukłon ostatni, odszedł powolnym krokiem do siebie.

Idąc wszakże, bardzo był zamyślony. O czem myślał, trudno odgadnąć — to jednak pewna, że tak był cały wewnątrz siebie schowany, tak jakąś ważną kombinacyą czy tak głębokiem wrażeniem zajęty, że wcale nie widział,

co się działo około niego i lubo był właściwie na nabożeństwo solenne i na różne dzisiejsze festyny wybrany, cale o tem zapomniał i szedł prosto do domu.

Ale przed jego domem stała właśnie kareta, w której już siedział i wiernie czekał na niego jego żabotowy towarzysz.

— Jędruś! Jędruś! — zawołał on na niego przez drzwiczki otwarte — a chodźe prędko i siadaj, bo już i tak będzie zapóźno!

Ale Jędruś popatrzył na niego jakiemiś tak zamglonemi oczyma, że ledwie go poznał, a poznawszy go, odpowiedział mu z flegmą:

— Jedź już sam chyba. Ja dzisiaj nigdzie już nie pojadę.

To rzekłszy, obrócił się w bramę i poszedł wolnym krokiem do siebie.

Pani podczaszyna przemyska mieszkała przy ulicy Senatorskiej w domu swym własnym, który odziedziczyła po matce, niegdyś stolnikowej sandomirskiej. Od śmierci męża mieszkała ona ciągle w Warszawie, wychowując tam swoją córkę jedyną, a z nią razem i swoją synowicę Stasię, córkę ś. p. podkomorzego sandomirskiego, który zmarłszy młodo na Wołoszczyźnie, zostawił żonę swoją Jadwigę, siostrę rodzoną jp. Nieczui, na obszernych wprawdzie lecz zadłużonych dobrach w Sandomirskiem nad Wisłą. Dopóki córka podczaszynej przemyskiej była jeszcze panną, matka jej prowadziła dom wesoły, otwarty, który wprawdzie się nie mógł liczyć do najpierwszych w Warszawie, ale w którym przy obyczajach staropolskich i staropolskiej fantazyi, złagodzonej troszeczkę nowoczesną cywilizacyą, bawiono się przewybornie. Od czasu wszakże, kiedy jej córka, wyszedłszy za młodego podstolica wieluńskiego, opuściła dom macierzyński i została w nim tylko ledwie co dorosła, a jeszcze edukacyę kończąca Stasia — dom ten stał się bardzo poważnym i cichym, i bywały w nim tylko stateczne matki z dorastającemi córkami, osiwiali referendarze lub inni starce podobni, pomiędzy których się czasem zabłąkał jakiś prałat stateczny albo pracujący nad ta-

jemniczem dziełem uczony. Tak też poważnie i cicho płynęło i życie tym obudwom kobietom. Słuchając codzień rano mszy świętej, trawiąc resztę dnia nad robotą i na czytaniu nauczających książek, a cały wieczór zwykle na statecznej z doświadczonymi lub uczonymi ludźmi rozmowie, obce one były zupełnie temu gwarliwemu, owoczesnemu światu, który błyskotkami swej głośno brzmiącej a pustej sławy tak zgubne sidła zastawiał na umysły i serca młodzieży. O owych balach świetnych i miliony pożerających festynach, którymi wirowała naówczas rozpaczliwie szalona Warszawa, dochodziły ich tylko zdala jakieś niepewne wieści, niezrozumiałym szumom zaklętych lasów podobne, — a chociaż ciotka sama czasem się dowiedziała o tem lub owem głośniejszem tego świata zdarzeniu, nie udzielała go przecież nigdy swej wychowance, utrzymując ją ile możności w jaknajwiększej niewiadomości tego, co już przeszło w krew społeczeństwa, a co podkopało do gruntu stare cnoty i obyczaje narodu. Tak wychowywała się Stasia, kształcąc umysł i serce na głębokich, religijnych zasadach i wyrabiając w sobie już zawczasu ów spokojny, jednostajny lecz pewny siebie charakter, który zdobił tak niezrównanym blaskiem pół anielskie postacie naszych matek i babek, zostawiając ledwie doścignionym wzór pokoleniom następnym.

Pomimo to wszystko wszakże nie zapominała troskliwa ciotka i o tem, że ostatecznem przeznaczeniem panienki jest wyjść za mąż, a do tego potrzeba koniecznie wejść pierwej w świat ten, gdzie się zwykle spotyka kandydatów na mężów. Wprowadzenie tedy w świat Stasi miało już niezawodnie tego karnawału nastąpić, lecz ażeby się to dobrze udało, trzeba było już przedtem obznajomić Stasię choć zdaleka z tym światem — a do tego był przeznaczony dzień właśnie dzisiejszy. Obiedwie panie miały być na solennem nabożeństwie w kościele, przypatrzyć się zblizka paradzie, a potem kilka domów z wizytami objechać. I wyjechały już rzeczywiście — ale owóż jakie zaraz na pierwszym kroku ich spotkało zdarzenie!

Zdarzenie też to nie mogło im obudwom wyjść z głowy.

Powróciwszy do domu, ciotka przez parę godzin o niczem innem nie mówiła, jak o tem. Już powiedziała wszystko, co tylko mogła była powiedzieć, już o Flawiuszu wyczerpała wszystkie możliwe domysły, już go odsądziła od czci i wiary, naznaczyła mu pochodzenie najciemniejsze jakie być może, zrobiła go jakimś kupczykiem, farmazonem pewnie, a może i jakóbinem, już o Rudnickim i jego towarzyszu wypowiedziała wszystko, a przecież jeszcze ciągle mówiła.

Pani podczaszyna lubiła mówić — Stasia ciągle milczała.

— Ale bo też ty, Stasiu — mówiła dalej ciotka, a już prawie wieczór się zbliżał natenczas — milczysz tak jak zaklęta. Toż przecie także się coś odezwij. Jakżeż? tu taki straszny się zdarzył wypadek, tu byłaś w tak wielkim niebezpieczeństwie, tu prawie już całkiem przepadłaś... i Bóg cię wyratował prawie tak jakby cudem: a ty na wszystko milczysz, jakby nic nigdy nie było.

— Ja milczę, cociu — odpowiedziała podkomorzanka — bo nie mam co na to powiedzieć. Przypadek zdarzył, żem na ulicy upadła, zlękłam się trochę i nie mogłam tak prędko do przytomności powrócić, ale niebezpieczeństwa tak bardzo wielkiego nie było. Bo przecież nie mogę myśleć, żeby mnie ten pan Flawiusz chciał zabić. Prawda jest, że jak spojrzę na tego człowieka, to mnie dreszcz jakiś przechodzi; on jakiś bardzo straszny mi się wydaje... ale znowu tak myślę sobie, że cóżem ja jemu winna? On mnie nie może zrobić nic złego.

— O! zapewne — zabrała głos ciotka — on ci nie może nic zrobić złego i teraz już pewnie nie zrobi, bo już będziemy się mieć na baczności, ale przecie... ach! bo co to za człowiek! co to za człowiek! I skąd takie koncepty chodzić po pod okna, starać się jakiś list tobie oddać, a potem jeszcze porywać!... Ale też za to Rudnickiemu trzeba to przyznać, że się znalazł prawdziwie po kawalersku. Nie znał cię, nie wiedział kto, skąd i dlaczego tam jesteś, a stanął tak walecznie w twojej obronie. I jestem pewna, że byłby się bił nawet o ciebie i to natychmiast,

gdyby był znalazł godnego siebie przeciwnika. Ale tak, jużci trudno. I nawet to mi się w nim podoba, bo to dowodzi zastanowienia i daje mu bardzo piękne, zwłaszcza w tak młodym wieku, świadectwo. Już to wogóle cały ten Rudnicki bardzo mi się podoba... Jak to jemu na imię, bo już zapomniałam?

— Jędrzej — powiedziała cichutko Stasia.

— Ach, prawda, Jędrzej — powtórzyła podczaszyna — sam mi to nawet powiedział. Ale szkoda, że nie powiedział i herbu, bo byłabym zaraz wiedziała, czy się dobrze domyślam... Ale to pewnie tak jest... On jest tam wasz, Sanoczanin... Jaćmierz, to jest gniazdo Rudnickich... A jeżeli tak jest, to wyobraź że sobie to szczególne zdarzenie, że ja znam jego ojca. O! pamiętam dobrze jakby dzisiaj się działo, kiedy się starał o Chwalibożankę. Ci Chwalibogowie mieszkali w Suszycy, a kiedy myśmy mieszkali w Przemyskiem, tośmy tam dosyć często z moim mężem bywali. Ona za mojej pamięci umarła, ale pomimo to utrzymywał się tam dwór wielki, pański, bo pan Chwalibóg był bardzo bogaty. Ale i Rudnicki był także bogaty i jeździł zawsze z wielkim dworem. Przypominam to sobie dobrze, że ile razyśmy wyjeżdżali do Suszycy, to mój mąż zawsze mawiał: „Żebyśmy tylko tam pana Rudnickiego nie zastali, bobyśmy nocowali na dworze“. Ale to tylko był żart mego męża, bo Rudnickiego za coś tam z dawnych czasów nie lubiał. Toż i syn jego musi być także bogaty i pewnie, widać to nawet po jego ubraniu. Nie ubiera się lepiej pan generał Byszewski, chociaż pierwszy elegant, mało też co bogaciej występuje sam książę Radziwiłł, jak go tutaj przed kilku laty widziałam na balu u księcia wojewody ziem ruskich. Bardzom ciekawa poznać bliżej tego Rudnickiego, bo i kto to wie jeszcze... Pan Bóg zsyła na ludzi przypadki, ale nigdy się to nie dzieje bez celu... Ale ty, Stasiu, siedzisz i siedzisz, a tu już czwarta godzina. Dzisiaj po tych festynach pewnie i do nas ktoś się zabłąka. Idź-że, moje dziecko, do siebie i ubierz się. Tylko pamiętaj to, co ci mówiłam. Nikomu nic ani słowa. Ani Józi, ani Basi, ani Marysi, bo to jakby

wyszło na jaw pomiędzy nasze babki kochane, toby się z tego zrobił jakiś taki komeraż, żebyśmy go nie zmyły ze siebie do śmierci. A tak, nie byłyśmy w kościele, bośmy się nie mogły przecisnąć, i koniec.

Zamyślona Stasia zbudziła się ze swego marzenia i poszła powolnym krokiem do garderoby — a jej ciotka, rozkazawszy światła przygotować w salonie i powiedzieć w antykamerze, że przyjmuje dziś wszystkich, zaczęła się przechodzić po przyległej komnacie, myśląc jeszcze wciąż o rannym wypadku.

W pół godziny potem pierwszy gość, którego zameldowano, był nie kto inny, tylko pan Jędrzej Rudnicki.

Pani podczaszyna wyszła prędko przeciwko niemu do głównego salonu, ale jakże się zadziwiła, spotykając tam wcale kogo innego. Zdawało jej się na razie, jakby z nią grano komedyę. Ale to jej się tylko zdawało na pierwszy rzut oka; przypatrzywszy się bowiem bliżej, bez trudności poznała, że to był ten sam Rudnicki, tylko po francusku ubrany. Suknie francuskie nawet daleko piękniej się wydawały na tym pięknym młodzieńcu, a jego zgrabna i smukła figura, nie ginąc teraz w szerokich zwojach zamaszystego kontusza i ciężkiego żupana, z pod aksamitnego błękitnego koloru fraka, z pod haftowanej złotem kamizelki i przezroczystych batystów, wyglądała całkiem swobodnie, w całej swojej świetności i blasku. Tylko tych pięknych jasnowłosych kędziorów było cokolwiek szkoda, które upudrowane na biało, w jednej części się zamieniły w piżony, a zresztą zebrane razem, musiały się schować w czarny kitajkowy katagon.

— Ach! to pan Rudnicki w istocie — rzekła do niego podczaszyna, nie mogąc ukryć zupełnie swojego zdziwienia — zaledwie pana poznałam.

— Pani mnie pewnie dlatego nie poznałaś odrazu — odpowiedział na to z uśmiechem kawaler — że dzisiaj rano wcale w innym mnie widziałaś ubiorze.

— Tak... ale bo też panowie, muszę to powiedzieć otwarcie, tak często teraz zmieniacie stroje, że doprawdy można i nawet trzeba nas usprawiedliwić, jeżeli czasem

się omylimy. Osobliwie też już nas starych. Ale to moda, moda — a któż to będzie trzymał się mody, jeśli nie młodzi?

To mówiąc, zbliżyła się do kanapy i wskazała zarazem gościowi wygodne miejsce w blizkim siebie fotelu.

— Pani podczaszyna masz słuszność zupełną — mówił dalej młodzieniec, zabierając wskazane sobie miejsce — bez mody moglibyśmy się wprawdzie obejść bezpiecznie, chociaż bez niej podobno nigdy nie obchodzono się w Polsce, ale jak nam przeciwko modzie godzi się występować dopóty, dopóki jest modą, tak znowu sądzę, że już nam przed nią uchylić się trzeba wtedy, kiedy się zamieniła w obyczaj. Tak naprzykład dzisiaj, kto mieszka stale w Warszawie i chce żyć w towarzystwie, temu niepodobna jest prawie nosić kontusza i żupana. Starym to wolno, ale młody już tego nie może, bo pomiędzy młodymi będzie sam jeden w kontuszu. Ktoby tak się ubierał, posądzonoby go i słusznie o chęć odróżnienia się rzeczą taką, jaką się nie należy odróżniać. Czasy kontuszów zresztą już, zdaje mi się, niepowrotnie minęły; żałują tego niektórzy, ale jeszcze zawsze im ta pozostaje pociecha, że suknia nie stanowi człowieka.

Pani podczaszyna słuchała tego z uwagą, ale nie mogła ukryć pewnego zdziwienia na twarzy, czego dostrzegłszy w ten moment, Rudnicki powiedział zaraz:

— Panią to dziwi, co mówię, a to zapewne dlatego, żeś mnie rano widziała w kontuszu. Ale ja się pani natychmiast wytłumaczę z tego, jeżeli powiem, że ubierając się zwykle tak jak świat cały, przecież zawsza kontusza używam w takich okazyach, które mają charakter publiczny. Ale nie zgadzam się w opinii z tymi panami, którzy mają sobie za obowiązek swoimi wylotami zmiatać nam puder z peruk w salonach.

— Ja się zupełnie przychylam do zdania pana — rzekła na to podczaszyna — bo co czas przynosi ze sobą, trudno temu stawiać zaporę.

— Nie tylko trudno — dodał do tego młodzieniec — ale nawet i próżno, jeżeli to, co ten czas przynosi, jest

wynikłością rzeczywistej potrzeby. A ktoż też zechce zaprzeczyć temu, że przekształcenie się naszego społeczeństwa gruntowne jest nie tylko potrzebą ale i koniecznością? Prawie wiek cały strawiliśmy w bezczynności zupełnej — pozostaliśmy za wszystkimi oświeconymi narodami i ich moralnym progresem — i dzisiaj wielkie mamy prace przed sobą, nim nabędziemy to, cośmy przez cały wiek zaniedbali.

— Pan dotknąłeś materyi, o której, lubo dziś wszyscy mówią, nie łatwo mieć jednak pewne i jasne wyobrażenie. Zwłaszcza też nam starzejącym się, albo już wcale starym, prawie całkiem już niepodobna. Nam wolno już tylko błogosławić temu nowemu pokoleniu, które z takim zapałem bierze się do pracy w tej Pańskiej winnicy, do której wszyscy powołani, a tak mało wybranych. Cieszy mnie to wszakże nad wszelki wyraz, że w panu, który jeszcze jesteś tak młodym, zastaję zdania tak już dojrzałe i zajmujące się najważniejszemi kwestyami czasu. A co jeszcze ku większej powinno być dla pana pochwale, to niezawodnie to, iż zajęcie się tak ważnemi rzeczami nie przeszkadza mu wcale w pełnieniu tak szlachetnych obowiązków względem swych bliźnich, jakich nam dzisiaj właśnie tak jawne złożyłeś dowody.

— Pani!... — odezwał się na to, pochylając głowę Rudnicki.

— O! niech pan nie myśli — przerwała prędko podczaszyna — że pana chcę obsypywać pustymi komplimentami, które dziś taki dobry kurs mają w Warszawie. Taki czyn piękny da się tylko wdzięcznością zapłacić, a wdzięczność szczera, serdeczna, nie bywa nigdy wymówną. Wzamian też za wymowę a zadość mojemu wdzięcznemu sercu, pozwól się pan zapytać, czy nie zachodzi tutaj wypadek, że ja znałam pańskich rodziców? pan nie jesteś właścicielem Jaćmierza?

— Ja jestem na teraz właścicielem tylko wsi jednej, do jaćmierskiego klucza należącej, ale sam Jaćmierz powinien być kiedyś także mojem dziedzictwem, bo jest własnością mojego ojca.

— Ach! to widzi pan! — zawołała z radością podczaszyna — to ja znałam pańskich rodziców!

Tu pani podczaszyna zaczęła z osobliwszą wymową opowiadać swojemu gościowi, gdzie i kiedy poznała jego ojca, jak znała matkę, jacy to ludzie byli, jakie domy, jakie czasy całkiem inne i do dzisiejszych już niepodobne.

Rudnicki słuchał tego wszystkiego nie bez zajęcia, bo mu to przynosiło najprzyjemniejsze wspomnienia, zwłaszcza o jego matce, której nigdy bez łez nie wspomniał — ale pomimo to przecież czegoś się niepokoił i mimo woli oglądał. Bacznemu oku podczaszynej, lubo ciągle mówiącej, nie uszedł ten Rudnickiego niepokój, a w jej przenikliwym rozumie już się nowy domysł stąd usnuł — ale wtem weszła jej synowica do salonu.

Stasia wyglądała w tej chwili prześlicznie. Miała na sobie suknię białą kaszmirową, spiętą w pasie białym sznurem jedwabnym, włosy długie w bogatych rozpuszczone kędziorach i sznureczek dużych pereł na szyi. To był cały jej strój na dzisiaj — prosty i skromny jak jej umysł i serce — ale jakżeż przytem cudowny!

Obaczywszy ją, młody Jędrzej stanął jakby olśniony.

Dziewczyna także zatrzymała się w miejscu.

Oboje oczy opuścili ku ziemi, jakby nie mieli odwagi spojrzeć po raz wtóry na siebie.

I tak trwała chwila milczenia.

Chwila ta wszakże była dla nich obojga tak wymowną, tak stanowczą i ważną, że po niej zdało im się, jak gdyby się znali już dawno i kochali się jakąś miłością napowietrzną, pół-anielską, siostrzaną, i wiedzieli o wszystkich swoich uczuciach i myślach... I nie zostawało im nic już, jak tylko te uczucia i myśli zamienić w słowa.

Wszakże za chwilę i to się stało.

— Stasiu! — odezwała się pierwsza podczaszyna — to jest pan Rudnicki. Czy nie poznajesz?

— Owszem cociu — odpowiedziała śmiało — na pierwszy rzut oka poznałam.

— Pani pozwoli się spytać — rzekł młodzieniec do

panny — czy pani czuje się całkiem dobrze po dzisiejszym wypadku?

— Zupełnie dobrze. Brakowało mi tylko tego, żebym panu mogła sama podziękować za jego pomoc i opiekę...

— Pani jesteś zanadto dla mnie łaskawą... nie zrobiłem bowiem nic takiego, coby było godne choćby tylko uwagi. Ilu mężczyzn w Warszawie, tylu gotowych do podobnej usługi. A więc przeciwnie, ja tylko powinienem być wdzięcznym szczególnemu losowi, który mi zdarzył szczęście ubieżenia innych w tym obowiązku i podał przez to niewymownie szczęśliwą dla mnie sposobność przekonania się naocznie, że wypadek dzisiejszy nie przyniósł zdrowiu pani żadnych szkodliwych skutków.

— Moje całe nieszczęście — rzekła na to podkomorzanka z uśmiechem — było to tylko, żem z przestrachu zemdlała, co jest bardzo nieładnie... Z zemdlenia zwykle żadne nie wynikają skutki. Ale pan znalazłeś się w położeniu, które w danym razie mogłoby ważne za sobą pociągnąć następstwa. Wolnoż mi spytać się pana, czy pan się jeszcze jakich następstw spodziewasz?

Pani podczaszyna dopiero teraz się spostrzegła, że w rozmowie z swym gościem opuściła pytanie, które powinno być było koniecznem, ale tymczasem odpowiedział Rudnicki:

— Mogę panią jaknajsolenniej zapewnić, że z mego sporu z tym panem żadne dalsze nie wynikną następstwa. Kładziemy życie nasze na szali losu, ale li tylko wtenczas, kiedy obydwie szale są równe. Jest to może przesąd starowiekowy i w gruncie rzeczy niesprawiedliwy, ale podług tych wyobrażeń i taka walka jest także przesądem, a przesądy jedne nie mogą istnieć bez drugich.

— Toś pan nas uspokoił finalnie — dorzuciła do tego ciotka, bośmy tylko tego jeszcze się obawiały.

Ledwie tych słów domówiła podczaszyna, kiedy nowych zameldowano gości. Weszły jakieś dwie poważne matrony, które zabrawszy miejsce na opróżnionej kanapie, bardzo ożywioną o dzisiejszych festynach zaczęły z gospodynią rozmowę. Zaś pomiędzy Rudnickim i podkomo-

rzanką, którzy opodal tuż zasiedli przy sobie, osobna się zawiązała rozmowa.

— Pani już zna cokolwiek nasz świat warszawski — pytał młodzieniec — świat ten tak szumny i gwarny, którego celem zabawa?

— O! nie, zupełnie. I to do tego stopnia go nie znam, że gdybym dziś powróciła na wieś, to nie umiałabym o nim nawet tyle powiedzieć, ile każdy wie na prowincyi.

— To wielka szkoda, może nietyle dla pani, ile dla tego świata, który tak wdzięczne hołdy składa piękności.

— A nawet czasem i wtedy — odpowiedziała oczy spuszczając Stasia — kiedy ta piękność na nie nie zasługuje.

— I to się zdarza... tylko mnie jednemu nie zdarzy się nigdy, bo jestem wielkim nieukiem co do niezasłużonych grzeczności.

— Tego jeszcze dotychczas nie dostrzegłam po panu...

— I pani nie dostrzeżesz nigdy...

— Ale wracając do świata — zawróciła prędko podkomorzanka — to ja się nawet przyznać muszę do tego, że lubo także piękne rzeczy o nim mi powiadają, jakoś nie mam do niego sympatyi...

— Czy pani wiesz także czemu, czy ten brak sympatyi jest tylko instynktowy?

— Instynktowy zupełnie i pewnie krzywdę mu czynię takim niewdzięcznym instynktem, czego bardzo żałuję.

— Ja nie mogę powiedzieć, żebym z panią ten instynkt podzielał, chociażbym wolał, żeby tak było... Ale to tylko stąd pochodzi, że znam ten świat prawie tak jak siebie samego i mam o nim własne przekonanie, a gdzie się ma przekonanie, tam już być nie może instynktu. Ale to przekonanie moje za to bardzo się godzi z pani instynktem. Ja nie potępiam tego świata z góry, jak inni, bo są tam złe rzeczy, ale są także i dobre, są piękne i na brzydkich nie braknie, są szlachetne i są... znowu inne. O! tak zupełnie, jak między wszystkimi ludźmi. Ale tego im darować nie mogę, że się tak bawią szalenie. I pa-

trząc na to, nie raz mnie bardzo smutne przejmują uczucia, bo się obawiam, ażeby po tym karnawale nie nastąpił wielki post z suchotami.

— Są to słowa, które zawsze ciocia powtarza. I mama moja pisze to we wszystkich listach. Tak mówią także i na prowincyi, a osobliwie u nas...

— Ach! u nas, u nas! gdzie już dawno post wielki, chociaż karnawału nie było! — powtórzył z żalem młodzieniec. — Ja, ile razy odbiorę list z domu, ile razy wspomnę moją ziemię rodzinną, tyle razy mi łzy stoją w oczach. Jak ja tu żyję swobodnie, jak się bawię wybornie, jak jestem wesół i na niczem mi zgoła nie braknie — a tam!.. Może już tylko cienie pozostały z tych ludzi, którzy niegdyś byli tak czerstwi i zdrowi, może ojca mego własnego nie poznam, może już domy nie będą stać na tem miejscu, na którem ich zostawiłem w dziecięctwie!... Ale cóż tam! Bawmy się przez to i szalejmy do końca, wszakże to nie daleko.

— Pani dawno była w Sanockiem? — spytał po chwili milczenia młodzieniec.

— O! dawno! — odpowiedziała ze smutkiem dziewczyna — już będzie blizko trzy lata. Miałam nadzieję wrócić już w tym roku do mojej matki, ale się to jakoś rozchwiało. Uradzono tak, żebym jeszcze tutaj została do wiosny i weszła w świat trochę... to jest chcę mówić w światek jakiś maleńki, który dla mnie dostępny. Może to lepiej tak będzie, i pewnie lepiej, kiedy tak uradzili starsi, ale jabym wolała była na wieś powrócić. Pomiędzy temi kamienicami... jakoś tu duszno w Warszawie. Na wsi daleko swobodniej. Kiedy sobie przypomnę te lata, które przeżyłam w Zagórzu, nie mogę się patrzeć na te mury. I potem taka mnie jakaś przejmuje tęsknota, takbym chciała stąd uciec czemprędzej, że gdybym nie wiedziała o tem, że się to na nic nie przyda, tobym zaraz — list napisała do mamy.

Młodzieniec ją słuchał z coraz większą uwagą, a ona mówiła tak dalej:

— Ach! bo jak to tam ładnie w Zagórzu! Tam jest ogród wielki około domu, a w nim tyle drzew starych i takich wielkich, jakich tu nigdzie nie widać... Pomiędzy alejami rozściełają się długie i szerokie gazony, gdzieśmy zawsze grywali w wolanta... Pod samym domem jest wirydarz z kwiatami i moje grządki maleńkie, które zawsze podług mojego planu uprawiał i zasiewał ogrodnik... Na dole rzeka płynie, na której wieczorem widać ognie jakby się błąkające naszych starych rybaków... Zdaleka widać góry ogromne, najeżone lasami, w których dawniej mieszkali zbójcy... Ale dziś już ich nie ma i jesteśmy całkiem spokojni.

— Czy pan także mieszka czasami na wsi, czy na zawsze w Warszawie? — zapytała po chwili milczenia dziewczyna.

— Ja? ja, pani... — odpowiedział roztargniony młodzieniec — ja, tak... o cztery mile, ale nie byłem nigdy w Zagórzu.

— Ja pana nie rozumiem — szepnęła cicho podkomorzanka, spuszczając oczy ku ziemi.

— Odpowiedziałem pani coś niewyraźnie... przepraszam panią. Zdaje mi się, że chodzi o to, czy daleko odemnie jest do Zagórza?

— Jakto? alboż to pan także mieszka w Sanockiem?

— Tak pani. Tam jest moje miejsce rodzinne, tam leży mój majątek i tam będzie kiedyś moje stałe mieszkanie.

— Ciocia miewa szczególniejsze przeczucia... zauważyła na to po chwili zamyślenia podkomorzanka.

— Tak pani — mówił dalej młodzieniec — ziemia ta jest i moją rodzinną, i ja bardzo kocham tę ziemię, ale niestety! nie wyniosłem z niej wspomnień tak pięknych, jak pani. Nie jest też tak pięknie w Jaćmierzu. Podziwiają tam wprawdzie goście pałac nowy od stropu aż do posadzek, anszantują się cieplarniami i wielkich żuisansów doznają, rozsiadając się po aksamitnych meblach wiedeńskich — ale mnie jakoś tam zimno w tych ocieplonych pałacach. A w naszym starym murowanym dwo-

rze, lubo nie jedna szybka była przyklejona papierem a drzwi były otwarte na ścieżaj, jakże ciepło mi było! Lecz nie ma czemu się dziwić. Pałac dzisiejszy ogrzewają tam drzewem — a stary dwór ogrzewało serce mojej nieboszczki matki... które dawno już w grobie.

Kiedy tych ostatnich słów domawiał młodzieniec, taka ciężkość owładnęła głos jego, że nie mógł już dalej mówić i umilkł. Słuchająca go z uwagą dziewczyna pomimo woli podzieliła także i jego smutek, a to uczucie wywołało dwie łezki takie czyste, niewinne, szczere, że jakby dwie najpiękniejsze perły zakręciły się w jej dużych, czarnych, myślących oczach. Spojrzał na nią młodzieniec i patrzył przez chwilę z niewymownem współczuciem — ale nagle, jak gdyby błyskawicą ze snu zbudzony, zerwał się z miejsca.

Za małą chwilę już go nie było w salonie.

Przed kamienicą na dole czekał na niego powóz.

Doszedłszy do powozu, stanął przy drzwiczkach i namyślał się, jakby mu żal było, że tak prędko wyszedł z salonu, albo jakby nie wiedział, dokąd ma jechać.

— Gdzież pojedziemy, panie? — zapytał stangret, oglądający się z kozła na niego.

— Gdzie?.. cóż się pytasz!... Do wojewody.

V.

Przy ulicy Piwnej, tuż obok domu sławnego pasztetnika Szutowskiego, stała kamienica o jednem piętrze, która miała pozór prywatnego pałacu. Okna były duże, w kamiennych ramach ze starożytnemi ozdobami, pomiędzy oknami były powyrabiane z muru kolumny, od frontu balkon wielki, który się wspierał na barkach czterech pobielanych tytanów, a na którym po rogach stało dwóch rycerzy kamiennych. Pod balkonem, nad bramą wjazdową były wmurowane dwie tarcze kamienne, a na jednej z nich był wyrznięty w wypukło-rzeźbie herb Pomian: żubrza głowa przebita krótkim mieczem z góry od lewego boku

na wskroś, a nad nią unosiła się korona, z której wychodziło ramię, uzbrojone długim mieczem takimże samym. Druga obok niej tarcza była zupełnie próżna, ale była jeszcze o tyle wypukła, że mógł się na niej wygodnie zmieścić herb drugi, którego wszakże, wyczekując Bóg wie jak wiele lat, do dziś dnia jeszcze nie otrzymała. Przypatrując się tym ozdobom, mimowolnie się obudzała ciekawość, kto też być może właścicielem tego opuszczonego pałacu i dlaczego, choć ten dom jest tak stary, druga tarcza jest do dziś dnia bez herbu? Wszakże trudno to było odgadnąć. Tego tylko można było się domyślać, że ten herb należy do jednego z tych rodów, które się piszą z Rojema, bo przy mieczu brakowało tam właśnie tego kółka, które jednemu z przodków tej Pomiańczyków dzielnicy, za jakiś niepozwolony romans, kazał był odjąć król Władysław IV; — przy czem zresztą i ten natrącał się domysł, że właściciel tego pałacu musiał także, na wzór swego Władysławowskiego pradziadka, mieć większe szczęście do niepozwolonych niż pozwolonych romansów, bo tę drugą tarczę zostawił zapewne na herb swojej żony, której jednak jeszcze do dziś dnia nie znalazł.

A któż wie, kiedy to było!

Dzisiaj już dom ten tracił z każdym dniem więcej pozoru prywatnego pałacu. Na dole były sklepy, a przy sklepach przed domem zasiadały przekupki. Nad pierwszem piętrem było domurowane drugie pięterko w dachu. W dziedzińcu naprzeciw starej była wyciągnięta nowa oficyna o piętrze, która umyślnie była tak zbudowana, żeby mogła jaknajwięcej zmieścić mieszkańców i która w samej rzeczy mieściła ich wielu i samych ubogich zaś w głębi dziedzińca znajdujące się stajnie i wozownie były najęte dorożkom.

Nad temi stajniami było znowu pięterko, a w niem kilka niewielkich izdebek. W tych izdebkach mieszkał siwowłosy i mocno już przygarbiony staruszek, o którym jednak także nie o wiele wiedziano więcej, jak o kamienicy. Był on tu niby pańskim burgrabią, który od lat dwudziestu rządził samowładnie tym domem, ale jeszcze

za czasu jurydyk zasiadał jako właściciel na posiadzeniach w ratuszu i był ławnikiem, a raz nawet obrany wójtem. Zresztą nikt nic o nim nie wiedział. Mieszkał on sam w swoich izdebkach, nikomu zgoła się nie udzielał i tylko zarządem domu trudnił się z wielką pilnością. Jako burgrabia był wcale znośnym, a ubożsi lokatorowie nawet go bardzo chwalili. Powiadali o nim że jest wyrozumiałym, a kiedy potrzeba, to i litościwym, i widziano nie raz łzy jego, uronione nad bliźnich ubóstwem. Kiedy który z ubogich mieszkańców nie płacił czynszu, on go nie pozywał, nie grabił, a nawet czasem czynsz zaległy darował, ale na oznaczony termin kazał się wyprowadzać. Z takiego postępku jednak nie zaniedbał się nigdy usprawiedliwiać i mawiał wtedy zazwyczaj:

— Gdyby to była moja własność, tobym pewnie na to nie zważał, ale to własność cudza, a dotego sieroca. Trzeba mieć wzgląd na to, trzeba, bo sierota, to już najuboższy ze wszystkich.

Kiedy to mówił lub co innego, uważano że staruszek nie miał czysto polskiej wymowy; mówił dobrze, ale trochę za miękko wymawiał, a kiedy się zdarzyło, że gderał lekko na sługi w dziedzińcu, albo coś mruczał pod nosem, to było słychać wyraźnie same słowa francuskie. Wnoszono stąd, że jest cudzoziemcem, ale nie było na to żadnego innego dowodu. Staruszek bowiem nosił się zawsze po polsku, jakoż we dnie codziennie widać było na nim żupan popielatego koloru, pasik stary jedwabny, kozłowe buty i czapeczkę na głowie — a kiedy w niedzielę lub święto ubrał się w kontusz granatowy, włożył białą konfederatkę na głowę i z grubą trzciną w prawicy, a z książką pod pachą szedł do kościoła, to już taki Polak był z niego, że próżnoby lepszego szukać w całej Warszawie. I zresztą nic zgoła cudzoziemskiego nie pokazywał po sobie — chybaby to aż zaglądnąć do jego książki nabożnej, która pomimo to wszystko bodaj czy nie była francuską.

Otóż ten staruszek, powróciwszy dziś z nabożeństwa, siadł sobie w swojej drugiej izdebce w kąciku i kończył

cichym szeptem modlitwy, których nie doczytał w kościele. Już był prawie na ostatniej stronicy, kiedy się drzwi otworzyły z łoskotem i wpadł Flawiusz do niego.

Flawiusz wracał prosto z Krakowskiego przedmieścia, gdzie go tak szkaradna spotkała konfuzya, i był bardzo zirytowany. Jego twarz, zwykle blada, mieniła się teraz w cienie sinych i ponsowych kolorów, jego oczy były pełne jakiegoś niepewnego siebie i prawie rozpaczliwego ognia, jego usta drgały od chwili do chwili jak w febrze. Staruszek jednak nie zważał nic na to i nie witając gościa, kończył swoje modlitwy. Flawiusz zdawał się mieć wzgląd na to poważne zajęcie staruszka i nie przeszkadzając mu, zaczął wielkimi krokami chodzić po izbie, oddychając z głębi piersi i burząc włosy na głowie.

W chwili potem staruszek zamknął książkę, zdjął okulary i poprawiwszy się w swojem starem poręczowem krzesełku, zapytał:

— Et bien mon enfant! comment ça va-t-il? m'apportez vous des bonnes nouvelles aujourd'hui?...

— Oh! je t'apportes des nouvelles... à ravir! ah! — zawołał na to Flawiusz, uderzając się ręką w czoło.

Staruszek patrzał na niego wzrokiem pełnym ciekawości, ale zarazem i trwogi, lecz milczał.

— Słuchaj, dziadku! — zawołał Flawiusz po chwili, porywając staruszka konwulsyjnie drgającą ręką za ramię — słuchaj! czy ja się nigdy od ciebie nie dowiem, kto jestem?..,

To mówiąc, patrzył w twarz starca przeszywającym wzrokiem — ale starzec spuścił oczy ku ziemi i milczał.

— Milczysz?... o! ty jesteś twardszy od głazu, nielitościwszy od skały, ty jesteś... słuchaj starcze! tobie się zdaje, żeś ty mnie dobrodziejstwo wyświadczył, żeś mnie, znalazłszy gdzieś pod cudzym płotem, podniósł, otulił i wychował; a tyś mnie wychował na to, aby mnie mękom najsroższym oddać na pastwę, aby mnie dać na ofiarę ogniom piekielnym! Tyś mi dał serce, abym czuł zgotowane dla mnie cierpienia, tyś mi dał rozum, abym widział tem jawniej upodlenie moje, tyś mnie zrobił do czło-

wieka podobnym na to, ażebym był bydlęciem pomiędzy ludźmi, deptany i poniewierany przez wszystkich i niemający prawa ani nawet do skargi! To twoje dobrodziejstwa!... Oh! żeby ziemia wyrzuciła tych z swego wnętrza...

— Przebóg żywy! daj pokój! — zawołał na to, składając ręce staruszek — mnie mów co ci się tylko podoba, ale nie tykaj tych, którzy cię na świat wydali. Byli to zacni ludzie oboje. Matka twoja to była córka moja...

— Córka twoja! o! nieszczęśliwy!

— To była córka moja — powtórzył z ciężkiem westchnieniem staruszek — a ojciec...

— Ojciec! ojciec! — powtórzył Flawiusz — tego mi oddaj...

— O! gdybym mógł ci go oddać!

— Możesz, lecz nie chcesz!

— On już nie żyje... Nie mów o nim... Spokój umarłym... — powtarzał cichym głosem staruszek.

— Nie żyje! cha, cha, cha! — zaśmiał się przeraźliwym głosem młodzieniec — za dziecko mnie masz, mój staruszku! On już nie żyje, ale dla mnie, bo się schował przedemną, bo mi chciał ukraść moje nazwisko i ukradł je! I porzucił mnie na śmiecisku tego świata, aby mnie każdy potrącał, deptał, plugawił, a ja abym się nie mógł upomnieć krzywd moich! To ojciec mój!... A jest drugi który go zna i wie kto jest, i gdzie go szukać, i patrzy z zimną krwią na sieroctwo moje, na upodlenie moje, na męki moje — i milczy przedemną jak grób! To dziad mój!...

Tak mówiąc, przeszedł się jeszcze parę razy po izbie i siadł w drugim kącie, zakrył twarz wykrzywioną szerokimi rękami, opierając się łokciami na stole. Cisza była przez chwilę, i słychać było tylko stłumione łkania młodzieńca. Staruszek patrzył na niego z współczuciem i wzdychał ciężko, lecz nie mogąc znieść dłużej jego łez i cierpień widoku, tak zaczął mówić:

— Uspokój się, moje dziecko, nie męcz dłużej i mnie i siebie, bo i na cóż się to przydało? Scena dzisiejsza, od czasu twojego powrotu z Paryża, powtórzyła się między nami już kilka razy, i oprócz łez i zgryzot, żadnych in-

nych nie przyniosła owoców i nie przyniesie nigdy... To, co tam kiedyś się stało, było wielkim nieszczęściem, ale to nieszczęście dało ci życie. Chciałem, ażeby ta sprawa wzięła taki obrót, jakiby mógł być dla ciebie najlepszy, chciałem, abyś dostawszy życie, dostał zarazem i nazwisko, i wierz mi, że nie szczędziłem ku temu żadnych usiłowań, ani trudów, ani nawet poświęceń — ale nie można było... Mieliśmy do czynienia z człowiekiem, który miał zresztą wcale nie heroiczny charakter, ale był niewzruszonym w przesądach... Twoja matka jeszcze żyła natenczas... I ona także nie szczędziła niczego, aby ci przyszłość zapewnić. Chorą będąc i już tak cierpieniami zmęczoną, że tylko cień się zrobił z tej niedawno tak pięknej kobiety, nie wahała się przecież tak dalekich podejmować podróży, do jakich on nas zniewalał. Jakoż dwa razy jeździliśmy za nim do Lwowa, raz na wieś do niego, a raz do matki jego, która nas nie przyjęła i wypędzić kazała z domu... O! było pracy i trudów nie mało, a co cierpień, zgryzot i bólu, tego nikt nie potrafi wyliczyć! Ale pomimo to wszystko nie potrafiliśmy nic doprowadzić do skutku. Wszystkie środki się wyczerpały, nareszcie i sił już nam nie stało. I zamieszkaliśmy wtenczas w Wiśniczu, gdziem ja miał dom darowany od księcia, mego dawnego pana, za wieloletnie usługi. Tam dopiero Bóg się zlitował nad nami i pozwolił choć jakąś część tych zamiarów doprowadzić do skutku, które nas kosztowały tyle daremnych zabiegów. A i toby jeszcze nie było się stało, gdyby nie poczciwi konfederaci, którzy ujęli się za twoją nieszczęśliwą matką i tobą. Modliłem się za nich zawsze i do śmierci modlić się będę; byli to święci ludzie! szkoda i wielka szkoda, że tak smutnego doczekali się końca... Gdyby oni byli nie upadli i nie rozpruszyli się Bóg wie którędy po świecie, gdyby był ksiądz ten, który ślub dawał, nie przepadł gdzieś na zawsze bez śladu, gdyby była matka twoja jeszcze choć ze dwa lata pożyła, wszystko byłoby dzisiaj inaczej! Ale tak, kiedy drużbowie i swaty gdzieś poginęli, księdza nie można było w całej Polsce odpytać, matka twoja w kilka miesięcy potem na zawsze

się pożegnała z nami, — a on, kiedyśmy przyjechali do niego, ani nas poznać chciał, ani sobie dał mówić cokolwiek o synu, — to chwała Bogu, moje dziecko, że się to przynajmniej zrobiło, bo i to już jest wiele. Dostałem wkrótce potem tę kamienicę od niego; sprzedawszy dom mój w Wiśniczu, pobudowałem tu oficyny i urządziłem tak tę ruinę, że zaczęła przynosić dochody. Tymi dochodami mogliśmy żyć obadwa swobodnie, ja miałem ciebie czem wychowywać i przez czas twego dziecięctwa uzbierałem jeszcze tyle, żem cię mógł wysłać na cztery lata do Paryża, — a kiedyś, jeśli dotrzymamy danego przezemnie słowa, jeśli się upominać nie będziem o należące się tobie nazwisko i nie rozgłosim przed światem tajemnicy naszej przedwcześnie, to ta kamienica pozostanie przy tobie i z dwojga złego, które nam zagrażały, jeszcze zawsze zostaniesz przy mniejszem.

— Przy mniejszem? — powtórzył Flawiusz, patrząc dziwnemi oczyma na starca — o dziadku, dziadku! jakże ty nie umiesz czuć mego położenia!

— Moje dziecko, ja pewnie czuję to położenie aż nadto dobrze i Bóg widział, ilem trudów i ofiar nie poniósł, ażeby je zmienić, kiedy jeszcze była pora po temu. Lecz kiedym się przekonał, że nic innego zrobić nie było można, a zrobiłem to wszystko, co się zrobić dało, nie widzę dlaczegobym miał jeszcze rozpaczać, kiedy to się już na nic nie przyda? A zresztą, moje dziecko, czyż to tak wiele zależy człowiekowi na tem pustem nazwisku, które tylko obowiązków przysparza, a oprócz tego nie przynosi nic więcej? czyż to nazwisko stanowi człowieka?

— To jest prawda, to śmieszność — rzekł na to Flawiusz — że mnie czasem napadają te myśli i z taką gwałtownością odzywa się we mnie żądza tego pustego blichtru, który jest niczem w rzeczy i którym sam całem sercem pogardzam. Czyż to nie wiem, żem jest tak dobry jak wszyscy, kiedym wraz z nimi na podobieństwo Boskie stworzony? czym nie lepszy od wielu, usposobiwszy się własną pracą do najpierwszych w społeczeństwie zawodów, uszlachetniwszy serce najgorętszą miłością uciśnionej ludz-

kości, podniósłszy ducha mego odwiecznemi prawdami i gotowością poświęcenia się za nie? czyż mi się uganiać za złudliwymi blichtrami przesądnych, karłowatych koteryj, mnie, któremu świat cały stoi otworem od końca do końca, który mam takie wielkie posłannictwo przed sobą i taką przyszłość pełną rzeczywistej zasługi i chwały? Mnież to się dobijać o tę szmatę pergaminową, na której wymalowane krzyż lub podkowa? — masz słuszność dziadku, ja śmieszny jestem wtedy, kiedy mi takie myśli przychodzą. — Ale popatrzno ty na mnie i z innej strony. Popatrz ty na mnie i uważ, w jakiem społeczeństwie ja żyję? I powiedz mi, bez tego kawałka krzyża i podkowy kim ja jestem pomiędzy nimi? — jestem paryą, który nie ma nawet nazwiska człowieka. Ja, człowiek taki jak oni, z sercem zdolnem najgorętszej miłości, z umysłem ogarniającym ich całą przeszłość i przyszłość sięgający duchem moim daleko wyżej niżeli ich najszczęśliwsze przeczucia, ja, jestem niczem, sługą sług tych, przed którym, zamknięte są nawet antykamery! — I ot, patrz co się dzieje. Jest drobniutka, nic nie znacząca dziewczyna. Ta dziewczyna stała się bóstwem mojem. Jej oczy zawierają w sobie całe niebo niewymownych rozkoszy, jej usta zapowiadają mi przyszłość, która mieści w sobie urzeczywistnienie wszystkich najpiękniejszych snów moich i marzeń, — gdyby stanęła u mego boku, stałaby się moim aniołem stróżem i otworzyłaby mi bramy Edenu na ziemi. Ta dziewczyna jest to córka jakiegoś nieboszczyka szlachcica, którego nie znał nikt w całej Warszawie, i żyjącej szlachcianki, która ma jakąś wieś na Podgórzu. Jej nazwisko nie ma więcej blasku jak świętojański robaczek, jej posag nie stanie może nawet za oficynę naszego domu. I cóż też jest naturalniejszego mój, dziadku, jak żeby ta dziewczyna została moją żoną? Czy taka myśl jest niekonsekwencyą? cóż myślisz?

— Ja nie wiem — odpowiedział staruszek.

— Ale ja wiem — rzekł Flawiusz — taka myśl jest występkiem, taka myśl jest zbrodnią, bo ja jestem paryą, któremu niewzbronne jest tylko powietrze, woda i chodze-

nie po cudzej ziemi. Ale poczekaj-no, starcze! daj ci Boże pożyć jeszcze lat kilka.

— Ale poczekaj-no, moje dziecko — ozwał się na to staruszek — bo twoje widzenie rzeczy jest przesadzone. Wyobrażenia twoje urodziły i ustaliły się we Francyi, a to jest kraj wcale inny.

— O! zapewne że inny! — zawołał Flawiusz.

— Jeżeli chcesz, pomówmy o tem — mówił dalej staruszek — jest to przedmiot nadzwyczaj ważny, osobliwie dla ciebie, który wychowawszy się w wyobrażeniach zastosowanych do społeczeństwa innego, zaczynasz zawód twój tutaj.

— Nie, dajmy temu pokój — przerwał prędko młodzieniec — bo jest to przedmiot nietylko ważny, ale podług mnie nawet tak bardzo ważny, że nad wyobrażeniami o nim strawiłem za nadto wiele czasu i pracy, ażeby zmiana ich mogła być u mnie dziełem jednej chwili. Krótko zaś mówiąc, tamto kraj inny i to jest inny, ale i tu i tam mieszkają ludzie, — a ludziom, czy ich siedziby są pod górami, czy nad wodami, czy w Europie, czy w Ameryce, Pan Bóg jedne dał prawa i jedne prawa dała natura.

— Ale niejedna przeszłość i nie jednakowe warunki bytu — zarzucił dziadek.

— To nie ma nic do rzeczy — odpowiedział prędko młodzieniec — ale słuchaj-no mnie, mój dziadku, o coś się ciebie zapytam.

To mówiąc, przeszedł się w podłuż izby i przeciągnąwszy rękę po czole, zapytał:

— Słuchaj-no mnie, jak to jest u was? Jeżeli takiego Flawiusza obrazi szlachcic, i taki Flawiusz czuje się obrażonym, i zażąda zadosyćuczynienia za krzywdę, czy ten szlachcic jest obowiązany podnieść rzuconą mu rękawicę, czy nie?

— Ha! to wedle okoliczności — odpowiedział staruszek — najczęściej bywa, że w takich wypadkach rękawica pozostaje na ziemi.

— I na to niema żadnego ratunku?

— Jeżeli z tamtej strony jest opór, to niema, ale je-

żeli jest rzeczywiste uczucie godności, to następuje przeproszenie. Bo każdy człowiek szlachetny, jeśli bić się nie może, powinien przeprosić.

— Jakto nie może? mów raczej nie chce.

— Jeśli szala nierówna, to nie może.

— Jakże? i ty to mówisz?

— Mówię tak, bo taki jest dotychczas obyczaj; jak będzie inny, będę mówił inaczej.

— A mnie się zdaje — zawołał na to młodzieniec — że jeśli ktoś tylko umiał uczuć obrazę, to już tem samem okazał się godnym zadosyćuczynienia, i nikt mu go nie powinien odmówić.

— Tak nam powiada nasz zdrowy rozum i zapewne kiedyś przyjdzie do tego, że taki obyczaj się między ludźmi ustali, ale dziś jeszcze tak nie jest.

— Nie jest — powtórzył Flawiusz, chodząc w zamyśleniu po izbie.

— Ach! mój dziadku! — zawołał on z głębokiem uczuciem po chwili — tylko na jedną godzinę, tylko na jeden kwadrans daj mi jakieś nazwisko, a potem weź je sobie na zawsze, na wieki, nigdy się oń nie upomnę!

— Widzę — mówił na to z niespokojnością staruszek — żeś się w jakąś awanturę zaplątał, albo chcesz się zaplątać. Mojem zdaniem, najlepiej takich rzeczy unikać, zwłaszcza kiedy się jest w położeniu podobnem twojemu i kiedy się mieszka w kraju tak surowym w przesądach. Czy nie powiesz mi, co to jest takiego?

— Ej! to nic... gdzież tam! nic wcale... Położenie moje pogorszyło się cokolwiek. W chwili kiedy miałem stanąć na pewnych nogach, albo nawet u celu, upadłem jeszcze daleko niżej. Zwyciężona sprawa podoba się Katonowi, ale kobiety trzymają zwykle z bogami, którym się podobają zwycięzcy. Być może nawet, że dostanę rywala. Ha! ale próżno! Nie mam zwyczaju płakać i narzekać, a obaczymy kto wytrwa.

— Moje dziecko, mówisz jakby hieroglifami. Tobie coś przykrego się stało. Zrazu myślałem, że cię tylko taki gorzki szał napadł, jak cię zwykł często napadać, ale te-

raz widzę, że się to stało dla jakiegoś powodu. Powód ten bardzo mnie zajmuje. Wiesz ile cię kocham, wiesz, że tylko dla ciebie żyję, twoje smutki i twoje radości to wszystko moje. Chodź, siądź tutaj przy mnie, wyspowiadaj się ze wszystkiego przedemną, ciężar twojego serca zrzuć na mnie, ja go przyjmuję w całości. No, chodź i siadaj tu przy mnie.

— Dobry jesteś, mój dziadku — rzekł na to młodzieniec ze łzami w oczach — poczciwy jesteś, najlepszy, ale ty, mój staruszku, nic mi nie pomożesz. Z temi słowami na ustach przystąpił do starca, patrzył na niego przez chwilę, a potem klęknął przy nim i oparłszy głowę na jego kolanach, płakał rzewnemi łzami.

— O! jakże my nieszczęśliwi jesteśmy obadwa!

— Uspokój się, moje dziecko — mówił na to staruszek — nieszczęścia nie są wieczne, tak jak nic nie masz wiecznego na ziemi. Są ludzie, którzy się rodzą pod nieszczęśliwą gwiazdą. Ja w to wierzę. Jest to niby fatalizm, ale nim nie jest w istocie, bo pod temi zdarzeniami, które się w naszych oczach wiążą tylko w jakiś fatalny związek, jest zwykle ukryta jakaś myśl wyższa, wyrok Opatrzności lub wola Boża, której my naszym krótkim wzrokiem dojrzeć nie możemy. Ale są tacy ludzie, ja sam ich znałem niemało. Ci ludzie, ściągnąwszy na siebie klątwę takiej fatalności, jakikolwiek krok zrobią w swem życiu, to najczęściej fałszywy. W ich sercach bywa zawsze najlepsza wola, najszlachetniejsze uczucie, ale kiedy przystąpią do czynu, zawsze zaszkodzą sobie, a nie mogą nikomu. I tak jeden błąd pociąga drugi za sobą, i te błędy wiążą się w taki łańcuch nieskończony, że nakoniec nic im się już nie wiedzie. Ich całe postacie okrąża nawet jakaś tak błędna atmosfera, że otaczającym ich ludziom wszystko się w nich wydaje inaczej. Ich najpiękniejsze myśli napełniają zgrozą słuchaczów, ich najszlachetniejsze uczucia nie wzbudzają żadnego udziału, ich cnoty nawet mają pozór występków. Ja, kiedy się patrzę na twoje życie, pomimo woli na tę myśl przychodzę. Bo i cóż myśleć o życiu człowieka, którego już samo poczęcie było

grzechem rodziców? — ale pociesz się, moje dziecko. Pan Bóg jest litościwszy od ludzi. Wiele jest grzechów na świecie, których nie przebaczą ludzie, a On je przebaczy. Grzechy się mażą, a z nimi niepowodzenia i fatalności biorą swój koniec. I twoje niepowodzenia się skończą. Nie wiem co ciebie czeka, stary jestem i może tego już nie dożyję, lecz pewny jestem, że kiedyś, a może już bardzo niebawem, i tobie słońce zaświeci. Ty masz serce wielkie i czułe, masz umysł bystry i sięgający wysoko, nacierpiałeś się wiele i masz wielkie prawo do szczęścia. Ale twoje serce jest zanadto drażliwe i wrzące, umysł nieoględny, gwałtowny, a stąd zanadto bujne myśli i bezmierne pragnienia. A żyjąc pomiędzy ludźmi, trzeba czuć koniecznie po ludzku, trzeba się na świat zapatrywać po ludzku, trzeba być koniecznie człowiekiem. Kto chce być więcej niżeli człowiekiem, dlatego zawsze się znajdzie Golgota — a ludzkie szczęście jest zgotowane tylko li dla ludzi. Trzeba więc rozsądku i miary, a potem wszystko się znajdzie. A dla ciebie jeszcze wiele rzeczy znaleźć się może. Kto wie jakie spaść mogą kiedyś na ciebie fortuny, kto wie jakie się tobie otworzą świetności? A wszakże on także jest tylko człowiek. Jeżeli jeszcze żyje, lubo był twardym jak głaz, któż wie, czy się kiedyś nie zmiękczy? Czas zmiękcza głazy, poruszają się sumienia najzatwardzialszych grzeszników, kruszą się serca zbrodniarzy. W Boskiem ręku są nasze losy, w naszych cierpliwość i pokora, której nigdy nie omija nagroda.

Kiedy skończył staruszek, Flawiusz podniósł głowę do góry, popatrzył mu w twarz dziwnie spokojnemi oczyma i spytał:

— Dziadku! czy ty mi nigdy nie powiesz, kto on jest i jak się nazywa?

— Ja? nigdy — odpowiedział stanowczo starzec.

— Nigdy?

— Przysiągłem przed krucyfiksem na zbawienie duszy mojej.

— O! czemu ty przysięgałeś!

— Aby ciebie ochronić od głodu i nędzy. To był jedyny ratunek.

Flawiusz chciał jeszcze coś na to powiedzieć, kiedy wtem dały się słyszeć jakieś głosy przed drzwiami. W tej też chwili weszli do izby sławny w rok później Konopka i kilku innej młodzieży różnego stroju.

Flawiusz się zerwał i wybiegł ku nim, a powitawszy ich, wyprowadził zaraz do swego mieszkania, które się znajdowało w tym samym domu od frontu.

VI.

Pomiędzy osobami, zajmującemi pierwsze miejsce w owoczesnym wielkim świecie warszawskim, znajdował się także i pan Rogaliński, wojewoda inflancki.

Był to potomek jednej z najznakomitszych wielkopolskich rodzin, która, pieczętując się Łodzią i będąc spokrewnioną z Leszczyńskimi, Opalińskimi, Zebrzydowskimi i tak dalej, posiadała swojego czasu równie znakomitą fortunę.

Rodzina ta wszakże już w ostatnich latach panowania Augusta III podupadła była cokolwiek. Składała ona się wtenczas głównie z dwóch braci rodzonych: starszego Filipa, który był podczaszym pilznieńskim i dziedziczył na Jaworzu i kilku wsiach innych, — i z młodszego Kaspra, o którymeśmy wspomnieli u góry. Obadwa ci bracia już niewielkie posiadali fortuny, ale obadwa także poszli w świat całkiem różnemi od siebie drogami.

Pan podczaszy pilznieński trzymał się partyi saskiej i mieszkał wprawdzie wciąż na wsi, ale prowadząc dom otwarty i dawnej świetności swojego imienia odpowiedni, nietylko fortuny swej nie pomnożył, ale jej znacznie nadszarpnął. Wcześnie też dorósł i dojrzał syn jego Tadeusz, który, kiedy podczas konfederacyi barskiej cały pułk jazdy swoim kosztem postawił, ten pułk przez nieostrożność do miesiąca utracił i sam się dostał w niewolę na zamek krakowski — fortunę swoją przez to prawie całkiem uronił i to do tego stopnia, że została mu się na końcu

tylko wieś jedna Podolany, odziedziczona niegdyś po Zebrzydowskich.

Nie ufając stronnictwu, którego się trzymał jego brat i synowiec, — drugi wyobraziciel tego znakomitego rodu, Kasper, rzucił się już zawczasu w drogę zupełnie przeciwną. Wychowany częścią w Wiedniu, częścią we Lwowie i już na ławach szkolnych spoufalony z młodzieżą najpierwszych domów, umiał on się zbliżyć natychmiast do króla Stanisława Augusta, jak tylko ten osiadł na tronie. Skarbiąc sobie pomału ufność i łaskę panującego i zakładając na tej drodze fundament do swojej przyszłej karyery, był oczywiście tak roztropnym, że do niczego takiego nie przyłożył otwarcie swej ręki, coby było lub być mogło tej karyerze szkodliwem. Wskutek tego rósł bezustannie w znaczeniu w kole swojej koteryi i awansując w tytułach i urzędach, został już wkrótce członkiem rady nieustającej, w której miał wydział finansów. Później, a mianowicie w roku 1787, jako potomek tak znakomitej familii, posiadający znaczne dobra w Galicyi, a zresztą tak wysoki urzędnik w Królestwie Polskiem, otrzymał od cesarza Józefa patent na tytuł hrabi, — a nakoniec w Polsce został mianowany wojewodą inflanckim. Powiadano naówczas, że ten tytuł ostatni kupił sobie poprostu za cenę pięciu tysięcy dukatów, na co wszakże nie było żadnego dowodu i na co zresztą nie potrzeba dowodu, jeśli tylko kupujący i sprzedający taką bańkę mydlaną byli wzajemnie ze swego handlu kontenci.

Jednak te rozmaite próżnostki nie przeszkadzały wojewodzie zajmować się poważnemi i wcale pożytecznemi pracami. Jest bowiem rzeczą pewną, że był to człowiek na swoje czasy znakomicie uczony; jego naukę, roztropność i rozległe wiadomości w różnych kierunkach cenił wysoko nietylko sam panujący, ale i cała światła powszechność; pracował nawet sam z piórem w ręku i na tej drodze znosił się bardzo często z księciem generałem ziem podolskich, a będąc jednym z bardzo czynnych współpracowników owoczesnych pism peryodycznych, był zarazem, jako człowiek zamożny, jednym z głównych mecenasów owo-

czesnej literatury. A w takim stanie rzeczy, lubo wojewoda miał niektóre swe strony słabe, a ze stron swoich mocnych nie korzystał zawsze stanowczo, nie trudno jednak pojąć, że nie miał wcale opinii dwuznacznej: owszem nawet, gdzie tylko o nim wspomniano, znajdowano go mężem zacnym i nieskalanym, ceniono wysoko jego naukę i pracę, i chwalono powszechnie, klasycznym stylem, *gust do cnoty i szlachetnych uczynków.*

W swojem prywatnem życiu wojewoda się także poprowadził niezgorzej. Nauczony przykładem brata i synowca, lubo fortuny nic nie przyrobił, starał się ją przynajmniej utrzymać; jakoż posiadał zawsze Rogoźnę, Albigową, Krzaczkową z przyległościami pod Łańcutem i miał na Podolu Hołhocze, majątek znaczny, wzięty wianem za żoną. Cała ta fortuna nie była wprawdzie tak wielka, jakaby się była zdała wojewodzie, liczącemu się do najpierwszych dygnitarzy w dwóch oddzielnych prowincyach, ale rządzona dobrze, przy roztropnem zastosowaniu wydatków do intrat, wystarczała mu jakoś i nie zniewalała do nieodpowiednich swojemu stanowi oszczędności.

Co do familijnych stosunków, nie można widzieć z pewnością, ile w nich był szczęśliwym, — wiadomo tylko, że był po dwa kroć żonatym. Z pierwszej żony, która wniosła mu tylko niezisziczoną nadzieję posagu, miał jedną córkę, — z drugiej, wdowy po Zabielskim, było jak mówią pięć córek, może nawet i więcej, co trudno było wiedzieć z pewnością, bo były to wtedy jeszcze niedorosłe panienki, które się wychowywały we Lwowie, a i tam nawet były trzymane z guwernantkami w niedostępnych dla gości apartamentach.

We Lwowie miał wojewoda kamienicę swą własną, czyli tak zwany pałac przy Ormiańskiej ulicy, który miał urządzony bogato i nawet tak obszerne miał w nim salony, że w nich przyjmował cesarza Józefa, podczas jego bytności we Lwowie. We Lwowie też była jego właściwa siedziba, — ale jego urząd w Królestwie Polskiem i stanowisko u dworu Stanisława Augusta kazały mu także nie zaniedbywać Warszawy, jakoż miał dom także i w War-

szawie i przepędzał tu zwykle najmniej kilka miesięcy co roku.

Teraz już prawie rok cały mieszkał nieprzerwanie w Warszawie, — i miał do tego dosyć ważne powody.

Głównym wszakże z pomiędzy tych wszystkich mniej lub więcej ważnych powodów była jego córka najstarsza, którą koniecznie chciał wydać za mąż i to wydać nietylko stosownie, ale nawet i dobrze. Wprawdzie wymagał tego po nim w każdym razie obowiązek ojcowski; w tym stanie rzeczy jednak nakazywał mu to jeszcze szczególnie wzgląd na szczupły majątek, wzgląd na własne stanowisko w dwóch społeczeństwach i na inne dzieci, których było tak wiele.

Zamiar ten wszakże był nie łatwym do uskutecznienia. Młodzież owoczesna bogata, pomiędzy którą wkradała się była wielka wystawność, elegancya, gra, a nawet tu i owdzie rozpusta, była zajęta swoją zwykłą zabawą i dopóki jej do tego starczyło środków, nie myślała wcale o ożenieniu. Kiedy się który z własnego popędu żenił, to tylko z wielkim posagiem, — a który musiał się żenić, ten już nie był bogaty. Oprócz tego wszakże zachodziła tu jeszcze i druga trudność, która stąd wypływała, że najstarsza córka hrabiego już z dziecka nie zapowiadała wcale piękności.

Co wszystko rozważywszy zawczasu, roztropny hrabia równie zawczasu całkiem inny plan sobie względem swej córki założył. I plan ten nawet w wielkiej części wykonał. Jakoż natenczas jeszcze, kiedy jego córka miała zaledwie lat kilkanaście, rozpatrzył on się między młodzieżą prawie równą jej wiekiem i wybrawszy sobie takiego, który mu odpowiadał pod każdym względem, przysposobił go sobie zawczasu. Tego młodzieńca wprowadził on w dom swój, zaczął się nim opiekować jak drugi ojciec, przyzwyczaił i przywiązał go do całej swojej rodziny, a kierując tak swoją opiekę, ażeby się pomiędzy tym młodzieńcem a jego córką zawiązały stosunki jak najbliższej przyjaźni, czuwał już bezustannie na tem dziełem swej przezorności,

oczekując cierpliwie tej pory, w której będzie mógł swoją pracę ostatecznym uwieńczyć skutkiem.

I praca ta, jak dotychczas, wiodła się wojewodzie jak najpomyślniej.

Młodzieńcem tym bowiem, przez niego upatrzonym i przyswojonym, był pan Jędrzej Rudnicki. Jędrzej był synem bardzo bogatych rodziców. Jego ojciec posiadał miasteczko Jaćmierz, otoczone kilkoma dużemi wsiami, inny majątek znaczny na granicy szląskiej, a jeszcze oprócz ziemi, mówiono o nim, że ma sumy bajońskie. Wprawdzie ojciec Jędrzeja także się po raz wtóry ożenił i także z wdową, tak jak i wojewoda, ale ta wdowa, mając jedną córkę z pierwszego męża, nie miała żadnych już dzieci — i Jędrzej był jedynakiem. Oprócz tego Jędrzej był bardzo poczciwym chłopcem. Poznał go wojewoda jeszcze będącego w konwikcie we Lwowie, zażądał się nim opiekować, co parę dni do siebie zapraszać — a Jędruś, znajdując w jego domu po twardych pracach konwiktowych bardzo wesołą rozrywkę, po surowych twarzach swych profesorów twarze tak uśmiechnione i miłe, po nieubłaganych sercach swoich dozorców, serca tak przyjazne i dobre, tak się do tego domu przywiązał, jakby to był dom jego własny. Przyczyniły się do tego niemało jego domowe, familijne stosunki, które później poznamy, — tu dość powiedzieć, że w przywiązaniu się młodzieńca do swego domu wojewoda nie mógł mieć więcej nic do życzenia.

Co do przywiązania się młodzieńca do panny, to się także dosyć udało, chociaż w tem było daleko więcej trudności.

Panna Melania bowiem niezapowiadając już z dziecka piękności, jakeśmy o tem wspomnieli powyżej, dorosła pięknie, ale była wcale niełądną. Jakoż była to teraz dosyć słuszna i szczupła blondynka, której pomimo to jednak nie brakowało ciała. Jej twarz pociągła i pełna, może nie miała rysów zupełnie szpetnych, rysy te nawet były dość regularne, — ale nie było w nich ani cienia urody. Do tego jeszcze żółtawa cera, na której błyszczały dwa dosyć silne na licach rumieńce, wązkie i blade usta i włosy cie-

mno-blond, zbliżające się bardzo do rudego koloru, — czyniły z niej postać lubo nie brzydką bezwzględnie, ale nie ładną nawet pomiędzy brzydkiemi.

Ale nikogo nie upośledził Pan Bóg tak bez litości, żeby mu wszystko odebrał, a przynajmniej nie pozostawił drogi do nagrodzenia sobie niedostatku tych darów, którymi zawsze na ślepo włada często nielitościwa natura. Tak też i panna Melania, w zamian za wdzięki przemijające, miała nie mało wrodzonych przymiotów takich, które nigdy nie giną. Na swoje szczęście poznała ona zawczasu, że musząc ustąpić innym swoim współzawodniczkom na tej drodze, na której one zwykle celują, równie zawczasu zaczęła się starać o to, ażeby je prześcignąć na innej. Jakoż rzecz dziwna, z jakąż osobliwszą pilnością oddała się ona naukom już wtedy, kiedy jej rówieśnice myślały tylko o nieprzerwanych rozrywkach. Starsi przyjaciele domowi pamiętali ją wszyscy, kiedy małą jeszcze będąc dziewczynką, przesiadywała dnie i noce nad książką i niczem od niej się nie dała oderwać. Nieraz rodzice wybierali się na dalekie przejażdżki, często goście bywali w domu i wyprawiano różne stateczne zabawy, do których zawsze zapraszano Melanię, ale ona w tem wszystkiem prawie nigdy nie brała udziału. A jeśli się kiedy zdarzyło, że dla jakiej rozrywki kilka godzin dziennych strawiła bez pracy, to za to zwykle, kiedy w całym domu światła pogaszono, w jej pokoiku jeszcze późno w noc paliła się lampka oliwna i ktoby był zajrzał do niej, byłby ją widział siedzącą przy stoliku nad książką, odpędzającą sen silną wolą i pracą. Przy takiej pracy cierpiało nie mało jej delikatne zdrowie, jej oczka się coraz bardziej zmniejszały, żółkły lica i cała postać się pochylała i więdła; jakoż ostrzegano ją o tem i zwracano jej uwagę na urodę i zdrowie. Ale ona zawsze odpowiadała na to: — Brzydszą jak jestem nie będę, a rozumniejszą być mogę i być trzeba koniecznie. — I trwała w swem przedsięwzięciu z niezwichnioną stałością.

Przy tak znakomicie wykształconym i pielęgnującym nauki ojcu, znalazła ona do spełnienia swojego przedsię-

wzięcia nadzwyczaj wiele ułatwień, a przy takiej pilności jakiekolwiek być mogły jej usposobienia wrodzone, nie mogła prawie uchybić celu. Jakoż dzisiaj wojewodzianka liczyła się już stanowczo do najwięcej wykształconych kobiet swojego czasu. Z każdym prawie cudzoziemcem prezentującym się w domu jej ojca, lub spotkanym w innych salonach warszawskich, rozmawiała jego własnym językiem, — znała całą literaturę polską tak jak ją można było znać naówczas najlepiej, — a utwory literatur obcych były jej znane nawet daleko dokładniej, niżeli samym uczonym, którzy nie z osobliwszą pilnością oddając się umiejętnościom obcych języków, nie mieli do nich tak łatwego przystępu.

Wszakże przy pilności około nauk, nie zaniedbywała ona i strony humanitarnej swego umysłu i serca. Ci, którzy ją znali bliżej, chwalili nadewszystko jej umysł wzniosły, otwarty, szlachetny, jej serce tkliwe, zdolne uczuć głębokich i trwałych, i unosili się nad jej charakterem pełnym spokoju, stateczności, powagi i owej nad wszystkie cnoty najpiękniejszej skromności, która tak wdzięcznie zdobi każdą rzeczywistą zasługę, a jest najwspanialszą koroną każdej wykształconej kobiety.

Pannę Melanię Jędrzej znał jeszcze dzieckiem — a dzieląc z nią wszystkie pół dziecięce uczucia i myśli, już natenczas się nie pomału do niej przywiązał. Później, wyrabiając sobie z nią razem pierwsze jaśniejsze o głównych rzeczach pojęcia i utrwalając w sobie jednakowe uczucia, zlał się z nią duchem jakby w jakąś dwoistą istotę, która wszakże jedną tylko myślała głową i jedno posiadała uczucie. W dalszym czasie, kiedy Jędrzej już jako młodzian pół-męskiem okiem zaczął rozpatrywać po świecie i w temże samem okiem przypatrywał się spotykanym w tym świecie kobietom, nie mógł on tego nie dostrzedz, jak tamte kobiety są piękne, a jak Melania jest brzydką. Ale na szczęście Melanii Jędrzej żył w bardzo blizkich stosunkach z owoczesną młodzieżą i lubo sam nie miał żadnych na tej drodze doświadczeń, od tej młodzieży niejednokrotnie dowiadywał się o tem, jaka pod tymi błyskotliwymi

wdziękami sławnych piękności kobiet kryje się często szkarada. Tak uprzedzony z góry do otaczającego go świata, wzburzony nieraz do gruntu nowemi doświadczeniami innych, znudzony czczością a częstokroć bezwstydem ówczesnych salonowych paplanin, kiedy się znalazł u boku swojej rówieśnicy i przyjaciółki, zdawało mu się, jak gdyby po długiem i nużącem brodzeniu po skwarnej afrykańskiej pustyni, znalazł się u brzegu zielonej, orzeźwiającej oazy. Jej czyste, niezbrukane uczucia były dla niego balsamem, który odżywiał jego boleścią znękane serce, — jej wzniosłe i szlachetne myśli chroniły jego chwiejący się umysł od chwilowego upadku — a spokój jej duszy i religijna ufność w ostateczne zwycięstwo cnoty, dodawały hartu jego charakterowi i obudzały tem gorętsze pragnienie czynów i poświęcenia. Przy niej czuł się Jędrzej o wiele lepszym i moralnie silniejszym, i jakiekolwiek być mogły jego wrodzone sympatye, wyrobiło się w nim dla niej tak głębokie uczucie szacunku, a stąd przyjaźń tak otwarta i szczera, że się jej nie mógł zaprzeć przed sobą samym i nie zapierał przed nikim.

Widząc to, wojewoda był bardzo zadowolony i już myślał stanowczo o połączeniu tych dwojga osób, komunikując się coraz częściej z Jędrzeja ojcem, a nawet i z jego macochą. Ale nie można było się bardzo z tem śpieszyć, bo nie były to czasy po temu. Niedawno co skończyła się jedna wojna, w której Jędrzej już czynny miał udział pod komendą księcia Józefa, — a teraz znowu, kto tylko cokolwiek głębiej widział, nie mógł się nie spodziewać nowych i zapewne jeszcze nieznanych wypadków. Wiedział to wojewoda i wiedział jeszcze daleko lepiej od niego ciekawy i gorąco czujący Jędrzej, — było nawet pomiędzy nimi na tej drodze niejakie nieporozumienie, które lubo nie łączyło ich zdań różnych od siebie w jedno, stanowiło wszakże aż nadto ważny powód do zaniechania wszelkich myśli o sprawach prywatnych. Nie pozostawało tedy nic wojewodzie, jak ze swoim dawnym zamiarem na teraz umilknąć i czekać cierpliwie swobodniejszego czasu.

Tak stały rzeczy, kiedy nadszedł dzień świętej Katarzyny.

Wojewoda dzisiaj odbywszy swoją obowiązkową asystencyę na nabożeństwie, był tylko krótką chwilę na zamku i zaraz do siebie powrócił. Nie były to już te czasy, w których czynny członek Rady nieustającej nie dawał się nikomu wyprzedzać w dworszczyźnie. Od chwili upadku konstytucyi trzeciego maja, której był zapalonym zwolennikiem i współmotorem, bardzo on się w swej gorliwości o rzecz publiczną oziębił i coraz bardziej się od czynności usuwał. Uważano to nawet, iż i u dworu bywał teraz tylko o tyle, o ile musiał, i różnie o tem mówiono: ale wojewoda sam nigdy tej drażliwej materyi nie tykał, i jak się rzecz miała w istocie, nie objaśniał nikogo.

Powróciwszy do siebie, trochę był niespokojny, bo już się była rozeszła wieść głucha o jakiemś roztratowaniu młodej panienki przez gwardyę konną koronną, inni coś wspominali o wykradzeniu, inni opowiadali jakąś dziwnie niejasną awanturę, w której miał mieć udział Rudnicki. Po południu posyłał wojewoda do Rudnickiego, ale nie zastano go w domu, — i tak w niepewności zeszedł dzień do wieczora.

W wieczór kilka osób obcych pojawiło się w salonie wojewody. Przyszło parę matron poważnych i zajęło z Melanią główne miejsce salonu. Przyszło kilku uczonych, kilku znakomitszych wojskowych, a z nimi i ksiądz Podlewski, tytułujący się kanonikiem i proboszczem rawskim, ale od niejakiego czasu mieszkający ciągle w Warszawie. Był to mąż znakomitszych zdolności, nie młody już, ale pełen młodzieńczej energii, żył w bardzo blizkich stosunkach z księdzem podkanclerzym Hugonem, wspólnie z nim pracował i podobno za jego protekcyą dostąpienia jakiejś wyższej posady oczekiwał. Dziś książę podkanclerzy, jak wiadomo, był w Dreznie, przyjaciel jego wszakże w Warszawie pozostał i opiekując się niektóremi sprawami księdza podkanclerzego, miał nadzwyczaj rozgałęzione w stolicy stosunki, dosyć przyjazne z wojewodą, lecz daleko bliższe z Rudnickim.

Rozmowa gromadzących się w salonie wojewody osób toczyła się zwykle około poważnych naukowych lub politycznych przedmiotów; teraz wszakże nie mówiono o niczem innem, jak tylko o tej jakiejś awanturze dzisiejszej, o której jednak nic nie wiedziano pewnego. Młody sekretarz pana marszałka utrzymywał, że to było wykradzenie, które się nie udało, — ksiądz kanonik wietrzył w tem jakąś intrygę dworską i marszcząc brwi na to, w swoim jak zwykle niepowściągliwym ferworze, wybuchał z gniewem i oburzeniem, — rotmistrz gwardyi koronnej śmiał się i stawił sto butelek szampana za tem, że w tej plotce brukowej niemasz ani krzty prawdy, — tylko wojewoda zachowując statecznie swoją klasyczną flegmę, nie wyrywał się z żadnem niedowiedzionem zdaniem i mówił:

— Ale poczekajcież asaństwo, jak się dowiemy prawdy, osądzimy tę sprawę jak każe słuszność. Pokaże nam się tu pewnie niebawem jegomość pan Rudnicki, a kiedy był temu, jak powiadacie, przytomny, to nam na wiarogodnej relacyi nie braknie.

Ale mijała siódma godzina, nadchodziła już ósma, — a Rudnickiego nie było. Panna Melania zaczęła się już niecierpliwić cokolwiek, ale nie śmiała nic mówić, aż się odezwał kanonik:

— Ale ten pan Jędrzej, jak widzę, nudziarz niepospolity. A wiedział przecie, że tutaj będę i że mamy z sobą co do mówienia.

Na te słowa wojewoda spojrzał badawczym wzrokiem na mówiącego, a ośmielona Melania rzekła, przystępując do ojca:

— Możebyśmy posłali, papo, do pana Jędrzeja, bo zaczynam się w istocie obawiać, czy mu się nie zdarzył jakiś niespodziewany wypadek.

Ale wojewoda dobył z pod atłasowej kamizelki licznymi wisiorami obciążony zegarek, spojrzał nań przy lampie z uwagą i odpowiedział córce:

— Mamy teraz pięćdziesiąt siedem minut na ósmą, jeżeli nie przyjdzie do w pół do dziewiątej, to poszlemy do niego i na godzinę dziewiątą będziemy mieli wiadomość.

Panna Melania westchnęła i siadła napowrót na swoje miejsce, a tymczasem jej ojciec, spojrzawszy parę razy z uwagą na kanonika, tak zaczął mówić:

— Przerwaliśmy materyę, którą pan pułkownik wniósł na stół, a która domaga się swego końca. WPan dobrodziej tedy, księże kanoniku, jesteś rozumienia, że dobrze jest dla młodzieży, jeśli rzucając się na tę stronę i ową wszystkiego spróbuje i wszystkiego sama na sobie doświadczy; co więcej, raczyłeś nam nawet powiedzieć, iż być to może tylko z tem większą dla jej późniejszego życia korzyścią, jeśli na samym wstępie w świat rzeczywisty przejdzie przez krwawe z losem zawistnym zapasy, czyli, (że twoje własne tu powtórzę wyrazy) w uszy jej się naleje. Masz bowiem taką, z własnego doświadczenia konwikcyę, iż charakteru stateczność i męzka wytrwałość w raz powziętych zamiarach, nie będąc nikomu daną od Pana Boga, da się tylko wyrobić przez ciężkie walki i trudy. Takie jest zdanie wpana. Ja z mojej strony nie śmiem wprost utrzymywać, że to zdanie nie zgadza się z prawdą, bo też i trudno zaprzeczyć, że nas na nie naprowadzają niektóre doświadczenia czerpane z życia. Ale żeby to była jedyna droga, albolitež najlepsza, na której można sobie wytrwały, pewny i roztropny uformować charakter, ośmielę się zanegować stanowczo i moje argumenty zaraz wpanu dobrodziejowi wyłuszczę.

Tu wojewoda dobył złotej tabakiery z portretem Stanisława Augusta i zażywając tabakę, patrzył w oczy kanonikowi wzrokiem takim, jak gdyby mu nim już z góry ogłaszał, że jego zdanie zburzy do gruntu i na miazgę rozetrze. I byłoby się to stało najniezawodniej, jeśli nie za pomocą samychże argumentów, to za pomocą ich klasycznej długości, — ale wtem wszedł Rudnicki.

Na widok oczekiwanego gościa zerwali się wszyscy z miejsc swych i zarzucili go gwarem różnobrzmiących zapytań, a kiedy nawet poważne matrony opuściły na chwilę kanapę, ażeby do ciekawego gościa się zbliżyć, jeden tylko wojewoda pozostał nieruchomy na swojem miejscu, czekając cierpliwie uciszenia się gwaru. Nim się jednak to stało,

Rudnicki, zniecierpliwiony natarczywością ciekawych, odpowiedział w głos wszystkim:

— Ale co też państwu takiego? skąd awantura? ja o żadnej nic nie wiem. — To rzekłszy, przedarł się przez tłum zastępujących mu osób i przystąpił do wojewody, witając go ukłonem pełnym uszanowania.

— Jak się masz, panie Jędrzeju? — rzekł wojewoda z flegmą, zażywając tabaki — bardzo się cieszę, że cię widzę całego, bo nas tu już straszono wieścią, żeś miał jakąś przygodę. Jakże tedy? czy była jaka przygoda w samej rzeczy?

— Nie wiem czy to można nazwać przygodą — odpowiedział Rudnicki — jeżeli się jest świadkiem czegoś, co się obok nas dzieje.

— Cóż więc się stało? co się stało? — spytało kilka głosów razem, a nie pytająca o nic, ale zapewne najwięcej ciekawa, Melania stanęła w tej chwili za fotelem ojcowskim, patrząc w twarz siadającego na miejsce wskazane młodzieńca i milcząc.

— Ale nic się zgoła nie stało — odpowiedział raz jeszcze Jędrzej — rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem, nie warta nawet wspomnienia.

— Powiedz-że nam z łaski swojej i tę rzecz zwyczajną — rzekł wojewoda — niechaj przynajmiej wiemy, z czego urosła plotka.

— Z czegóż też plotka nie urośnie w Warszawie? — odpowiedział Rudnicki — tu był ten wypadek, że jakaś panienka, przestraszywszy się nagłego tententu nadjeżdżającej gwardyi konnej koronnej, na ulicy omdlała i została wniesioną do najbliższego domu. Ja byłem przypadkowo temu przytomny, widziałem jak taż panienka wkrótce powróciła do przytomości, jak ją odszukała jej matka czy ciotka i jak ją zabrała z sobą do domu. I owóż cała ta wielka awantura.

— Proszę asaństwa — rzekł na to wojewoda — to w istocie nie było z czego robić tak wielkiego hałasu.

— Alboż to nie mówiłem? — zauważył z zadowole-

niem rotmistrz gwardyi koronnej — byłbym się założył nie tylko o sto butelek szampana, ale nawet o życie.

— Jakże więc? — spytał ciekawie marszałkowski sekretarz — to nie było przytem żadnego sporu, ani zajścia, ani nic podobnego?

— Był tam wprawdzie jakiś jegomość — odpowiedział Jędrzej — któremu się zdawało, żem tam był niepotrzebnym i chciał się na mnie pogniewać, ale nie przyszło do tego.

— Jakto nie przyszło? Któż to był ten jegomość? — spytano z różnych miejsc.

— Ten jegomość był to jakiś aplikant, czy kupczyk, czy coś podobnego... nie wiem. Podobno nazywa się Flawiusz.

— Flawiusz tam był? — zawołał prędko kanonik — Flawiusz? a toż go znasz przecie?

— Nie, nie znam zupełnie.

— Któż jest ten jegomość pan Flawiusz? — zapytał hrabia.

— Flawiusz — odpowiedział kanonik — jest to młody człowiek pełen znakomitych zdolności. Niedawno wrócił z Paryża, gdzie był na akademii, a teraz aplikował w zawodach politycznym i finansowym przy księdzu Hugonie.

— Dziwna rzecz, że go nie znam — rzekł wojewoda — musi to być młodzieniec obiecującej przyszłości, kiedy go ksiądz Hugo wziął pod swoją protekcyę. Ale przyznam się, że i dziwne nosi nazwisko.

— A któż była ta nieszczęśliwa panienka? — zapytała z kolei Melania, która omdlała z przestrachu.

— Ta panienka? — powtórzył Jędrzej — ta panienka nie wiem także kto była, podobno ze wsi.

— A czegóż chciał ten pan Flawiusz od pana? jakie miał prawa do gniewu? czy to była jego narzeczona ta panna? — pytali wszyscy.

— Przepraszam państwa, że nie odpowiem na te pytania. Wszystko już powiedziałem, com wiedział, a zresztą niemasz nawet i o co pytać, bo cóż też komu na tem zależy?

To rzekłszy Rudnicki, wstał z miejsca, ażeby się usunąć ciekawym z widoku, ale ledwie co wstał, kanonik wziął go natychmiast pod ramię i poprowadził ku oknu. Melania odprowadziła ich wzrokiem, zdradzającym nietylko ciekawość, ale nawet jakby jakiś instynktowy niepokój; spojrzał także na nadchodzących i wojewoda swemi czarnemi z pod gęstych szpakowatych brwi błyszczącemi oczyma; ale tymczasem kanonik doszedłszy z Jędrzejem do najoddaleńszego okna salonu, stanął w framudze i rzekł:

— Proszę cię, powiedz-no mi, co to tam miałeś z Flawiuszem?

— Albo cóż księdzu kanonikowi na tem zależy?

— Zależy mi bardzo wiele, potem się dowiesz.

— Spór miałem z nim przy tej pannie omdlałej, którego skutkiem było to, żem go za drzwi wyrzucił.

— Jakto? za drzwi! — zawołał z przestrachem kanonik.

— Aha, za drzwi — odpowiedział z uśmiechem Rudnicki.

— Ale zmiłuj się, cóż to było?

— Było to, że znalazł się tak, jak się człowiek szlachetny nie powinien znachodzić.

— Ach! proszę cię, Flawiusz! zaledwie mogę temu dać wiarę.

— No, ale któż-bo jest u Pana Boga ten Flawiusz?

Kanonik milczał i myślał przez chwilę. Potem zaś rzekł na pół w zamyśleniu:

— To bardzo źle, bardzo źle się to stało... To trza koniecznie zagładzić... Ja się spodziewam, że kiedyś go obraził, to nie będziesz miał nic przeciw temu, ażeby go przeprosić.

— Jakto? przeprosić?... ja! pana Flawiusza?

Kanonik patrzył na niego z jakimś dziwnym wyrazem pół-uśmiechu, a pół-zadziwienia, a potem, załamawszy ręce, zawołał:

— O! karmazynowe rozumy! o wielkie serca, kulejące w pergaminowych kajdanach! czyż nie zdołacie nigdy uczcić godności człowieka? I teraz, teraz to pora po temu...

— To wszystko bardzo ładnie — przerwał młodzieniec — lecz koniec końców...

— No, daj-no pokój — przerwał mu znowu kanonik — już ja to biorę na siebie.

— Ale nic ksiądz kanonik nie bierz na siebie — odpowiedział stanowczym głosem Jędrzej — bo ja względem pana Flawiusza nie obowiązuję się do niczego i zawiodę wszelkie nadzieje.

— Dobrze, dobrze — rzekł na to z uśmiechem kanonik — znam cię zanadto dobrze, ażebym miał niewiedzieć, czego się mam po tobie spodziewać. Zresztą mniejsza o to. Powiedz-że mi teraz, czy był u ciebie Prozor?

— Nie, nie był.

— A Sierakowski.

— Także nie.

— Tedy nic nie wiesz. Odebraliśmy listy... są ważne wiadomości... zdaje się, że będziemy musieli tymi czasy kogoś wyprawić do Drezna.

— Do Drezna? — podchwycił prędko Jędrzej, chwytając za rękę księdza — ja pojadę.

— Dlaczegóż tak ci się to podoba? — zapytał z uśmiechem kanonik.

— Tak... miałbym teraz ochotę — odpowiedział przeciągle Jędrzej, reflektując się trochę — nudzi mnie ta Warszawa... a zresztą jak potrzeba, dlaczegóżbyście nie mieli wyprawić mnie, kiedy mnie to łatwiej niż komu innemu?

— Zapewne... i zapewne tak będzie. Ale to jeszcze kto wie kiedy? W każdym wypadku bądź u mnie jutro rano. A teraz powracaj do gości...

To rzekłszy, wziął kanonik Jędrzeja napowrót pod ramię i zbliżył się z nim do głównego stołu.

Patrząc na nich, wojewoda zmarszczył brwi trochę, lecz rzekł niby z niechcenia:

— Już tedy po posiedzeniu sekretnem... czy solwowano do jutra, czy tylko chwila spoczynku?

— *Solvitur, solvitur*, nawet aż do przyszłego roku — odpowiedział na to kanonik, rzucając znaczącym wzrokiem na Jędrzeja.

— A, co temu, to nie mogę dać wiary — rzekł wojewoda — bo jak widzę, waćpanowie obadwa macie tyle pomiędzy sobą sekretów, że się i jednego dnia nie możecie obejść bez siebie.

— Nasze sekrety, mości hrabio — rzekł ksiądz — mogłyby być drukowane w gazecie, bo też pewnie od nich nikogo głowa nie zaboli.

— Tak się spodziewam — odpowiedział wojewoda i zaczął mówić dalej do księdza obszernie, długo i dosyć mglisto, z czego się jednak kanonikowi nie trudno było domyśleć, że wojewoda w pomienionych sekretach wietrzy rzeczy takie, które mu się wcale nie podobają; mówił przy tem wiele o dzisiejszej młodzieży, która jest tak usposobioną, że raczejby ją trzeba zimną wodą oblewać, niżeli tajemniczemi rozmowami rozpłomieniać jej wyobraźnię i jeszcze bardziej niepokoić i tak już niecierpliwe umysły. Z tego wywiązała się długa dysertacya o stanie dzisiejszym kraju i innych ważnych sprawach publicznych.

Z początkiem tej długiej i zawikłanej rozmowy, w której brali udział prawie wszyscy mężczyźni, Jędrzej usiadł na boku, bliżej kobiet, a tuż przy Melanii. Ale nie uważał tego zupełnie. Był jakiś zamyślony, patrzył szklanymi oczyma przed siebie i niby się budził co chwila, ale zaraz znowu w zamyślenie zapadał. Zdawało się, jakby w tych chwilach zbudzenia się przypomniał sobie, że siedzi obok Melanii, i uczuł to, że należy mu z nią rozmawiać, a nie wiedział, coby miał mówić.

Melania patrzyła na niego wzrokiem pełnym niespokojności — ale także milczała.

Nareszcie Jędrzej zbudził się jeszcze raz, przetarł ręką po czole, obrócił się do niej i spytał:

— Pani była dzisiaj w kościele?

Na te słowa Melania popatrzyła wielkiemi oczyma na niego; pytanie to miało w sobie tyle chłodu, tyle obojętności i takie lodowate zrobiło na niej wrażenie, że ją dreszcz mimowolny przejął. Spuściła oczy i odpowiedziała:

— Pan Jędrzej dziś roztargniony.

— Dlaczegóż pani? o! nie, zupełnie nie. Jestem taki jak zawsze — odrzucił żywo młodzieniec.

Ośmielona temi słowy Melania, mówiła dalej:

— Mnie się zdaje, że pan Jędrzej jakiś inny jest dzisiaj. Ale ja się temu nie dziwię. Widzieć kogoś blizkim nieszczęścia, jeszcze do tego kobietę, to nie może nie zrobić na naszem sercu wrażenia...

— Tak... istotnie... pani ma słuszność... taki wypadek bardzo jest wzruszającym.

— I pan nie wie doprawdy, kto była ta panienka? — zapytała cichszym głosem Melania:

Jędrzej spojrzał na nią, zatrzymał się chwilę, lecz odpowiedział:

— Wiem pani. To była podkomorzanka sandomierska, mieszkająca dziś z matką swoją w Zagórzu, o kilka mil odemnie.

— A dlaczegóż pan tego nie powiedziałeś wszystkim?

— Miałem słuszne do tego powody. Pamiętałem na to, że ten wypadek się zdarzył młodej panience w Warszawie, gdzie dosyć jakiegoś cienia tylko, ażeby czyjeś dobre imię narazić na pociski tysiąca plotek i komerażów.

— Pan sobie postąpiłeś bardzo roztropnie — odpowiedziała z umysłu Melania. — Ale wie pan, że ja znam tę pannę podkomorzankę. Ona bawi przy pani podczaszynie przemyskiej, przyjaciółce, a nawet dalekiej krewnej mojej niekoszczki matki. Ona jest jeszcze bardzo młodziutka, ale bardzo ładna.

— Ach! jaka ładna! — zawołał młodzieniec.

Melania umilkła. Lekkie rumieńce jej na twarz wystąpiły, ale to przeszło niebawem.

— I proszę pana — zapytała znowu po chwili — cóż tam pan miałeś za zajście z tym jakimś panem Flawiuszem?

Jędrzej opowiedział mniej więcej całe zdarzenie.

Melania myślała nad tem przez chwilę. Namyśliwszy się zaś, rzekła do niego:

— Kiedy się to tak stało, to jabym była zdania, że panuby wypadało koniecznie ten spór z Flawiuszem w do-

bry sposób załatwić. Bo jeżeli pan tego nie zrobisz, to on, szukając koniecznie środka do pomsty nad panem, zdarzenie to sam po całej Warszawie rozniesie i przez to gotów jeszcze o tyle więcej dobre imię podkomorzanki na złośliwe domysły narazić. Przeproszony zaś jaknajprędzej, będzie milczał, a z nim i inni umilkną.

— Tak pan sądzi?

— Ja tak sądzę, bo taki wniosek sam ze siebie wynika.

— Ale zmiłuj się pani, jakżeż takiego Flawiusza przepraszać?

— A to dlaczego?

— Bo Flawiusz.

— Więc pani będziesz się bił z nim?

— Nie mogę.

— A to trzeba przeprosić.

— To go tem uszanuję.

— Czy to grzech będzie? czy on nie jest człowiekiem? i czy każdy z nas nie był pierwej człowiekiem, nim wszystkiem innem?

— Pani mówisz bardzo rozsądnie, ale są rzeczy, które mają dla siebie całkiem inne prawidła.

— Nie mogę się zgodzić na żadne prawidła, które się nie zgadzają z rozsądkiem.

— O pani! — zawołał na to Jędrzej — niech pani tylko rozsądku nie przyjmuje za najwyższego sędziego ludzkich uczynków. Tak sądząc, ozdobiłabyś pani krzyżami nagrody wszystkich tchórzów, wszystkich polityków, siedzących na dwóch stołkach i wszystkich samolubów, dbających o swoje śpichrze i kalety, a potępiłabyś niejedno najszlachetniejsze serce za to tylko, że mu nie posłużyło szczęście.

Nastąpiła chwila milczenia.

W tej chwili, z uderzeniem godziny dziesiątej, wszyscy powstali z miejsc swych i zaczęli się żegnać. Wstał także i Jędrzej.

— Więc pan nie myślisz tego pana przeprosić? — zapytała półgłosem Melania.

— Nie, pani — odpowiedział stanowczo Jędrzej.

Melania chciała jeszcze coś na to powiedzieć, ale już nie było czasu do tego. Wszyscy się żegnali i wychodzili.

Za chwilę już nikogo nie było w salonie.

Wojewoda, powiedziawszy córce dobranoc, wyszedł także do swojej sypialni.

Ale Melania, zabrawszy napowrót swoje miejsce w fotelu, pozostała jeszcze w salonie, pełna jakichś dziwnie niespokojnych myśli i pełna najsprzeczniejszych ze sobą uczuć, z których sobie sama sprawy zdać nie umiała.

I długo tak samotna siedziała, przechodząc od myśli do marzeń, a od marzeń do snów, coraz więcej mglistych i niewyraźnych.

Nareszcie lampa zgasła i otoczyła ją nieprzedartą ciemnością.

Oby tak z dniem dzisiejszym nie zgasło i słońce jej życia, które dotychczas takim jasnym blaskiem oświecało drogi jej upragnionej przyszłości!

VII.

Dzień świętej Katarzyny był dla Jędrzeja rzeczywiście fatalnym.

Być wprawdzie mogło że dzień ten, jakkolwiek zatrważające były jego pierwsze objawy, mieścił w sobie zarody jego przyszłego szczęścia. Tak sobie myślał Jędrzej. Takie myśli przychodzą nawet śród rzeczywistych niebezpieczeństw natenczas, kiedy się jest młodym, pełnym wiary w swe siły i w przyszłość najlepszą — ale zawsze wypadki dnia dzisiejszego napełniły go jakimś niepokojem, jakiemś zamyśleniem pochmurnem, jakimś smutkiem umysłu i serca, którego lubo nie mógł dociec prawdziwej przyczyny, czuł jednak jego ciężar nieznośny.

Od chwili do chwili nawet dreszcz go przejmował całego i zdawało mu się, jak gdyby dzisiaj podniosła się przed nim zasłona i odkryła mu jakieś drogi ciemne i kolcami zajeżone, jakieś światła niepewne i cienie pełne nieodgadnionych tajemnic, jakiś świat cały pełen trudów i walk, pełen niebezpieczeństw dla dobrej sławy i życia,

pełen grozy i przepowiedni, objawianych niezrozumiałymi głosami.

Wszystko mu było dziś nie na rękę, lubo sam nie wiedział dlaczego. Położył się spać i snu nie miał. Przywidywały mu się jakieś larwy straszne i twarzyczki anielskie, i miał inne, to złote, to zatrważające widzenia, które się przed nim, jakby w ruchomym kalejdoskopie, ustawicznie zmieniały.

Jedna twarz tylko unosiła się nad nim w powietrzu, zawsze jedna i nieodmienna, otoczona lazurowem światłem czystego nieba, uśmiechniona promieniem rajskiego szczęścia, ozłocona cudownym blaskiem jakichś krain nadziemskich.

Była to twarz Stanisławy.

Tak mignęła noc cała.

Bóg wie jaką tam noc przepędziła Melania i z jakiemi myślami obudziła się ze snu!

Jędrzej wstał czerstwy i trzeźwy, choć trochę chmurny i zamyślony. Pierwsza myśl, która mu się z dnia wczorajszego dziś nasunęła, było to, że obiecał kanonikowi być dzisiaj rano u niego. Sprawom, jakie miał z tym zacnym kapłanem i jego przyjaciołmi, zawsze dawał pierwsze miejsce nad wszystko inne — toż i dziś ani przypuścił do siebie żadnej innej myśli, tylko ubrał się prędko i do niego pospieszył.

Ksiądz proboszcz rawski, lubo pochodził od zamożnej i szlachetnej familii i miał znaczne fundusze prywatne, obracając je prawie w całości na cele publiczne i korzyść ubogich bliźnich, sam żył w dobrowolnem ubóstwie. Mieszkał w kamienicy starej nad drugim piętrem w poddaszu i miał tylko trzy maleńkie i nizkie izdebki. Tam przepędzał całe ranki na statecznych z zacnymi przyjaciółmi rozmowach, całe noce przy stoliku nad książkami lub z piórem w ręku. Czy to przy pracy, czy przy gościach, przesiadywał zawsze w ostatnim pokoju i w każdym razie drzwi jaknajstaranniej zamykał. Nie lubił aby mu przeszkadzano i trzeba było dobrze pukać do niego, aby go wreszcie do otworzenia przymusić — a czasem, zwła-

szcza kiedy się z gośćmi zagadał, to i najwytrwalsze pukanie na nic się nie przydało.

Dziś jednak Jędrzej, jako gość oczekiwany, zastał drzwi dla siebie otwarte. Wszedłszy do ostatniego pokoju, lubo to jeszcze było tak rano, znalazł tam już kilka osób, pomiędzy któremi trzech było wojskowych. Rozmawiano o rzeczach publicznych, nadzwyczaj tedy ciekawych. Były to czasy, w których każdy dzień prawie dorzucał znaczną wagę na tę lub ową szalę, na których się przeważały losy opinii społecznych, losy państw i narodów.

I były to straszne te czasy, pełne tajemnic, przepowiedni i grozy.

Duch dziewiętnastego wieku zapowiadał ognistemi gromami swe na świat przyjście.

Francya już cała gorzała wtedy niezgaszonym płomieniem; Niemcy się rozpadły jak ziemia, skwarnymi upałami zwarzona; dawno zagasłe wulkany nowym ogniem wybuchały we Włoszech; Polska drżała w najgłębszych swych podwalinach.

Było więc o czem rozmawiać. Czytano listy z kraju i z zagranicy, roztrząsano opinie i sentymenty, przychylano się ku wojnom, ku gwałtownym wstrząśnieniom, mówiono o rozpaczy jak o rzeczy koniecznej i śmierć przenoszono nad życie, nie radząc się wcale rozsądku, na który już miejsca nie było.

Tak trwała rozmowa przeszło godzinę, kiedy wtem dało się słyszeć nowe pukanie do drzwi.

Kanonik wyszedł i powrócił za chwilę — z Flawiuszem.

Flawiusz, stanąwszy na progu i obaczywszy Jędrzeja, stanął jak wryty.

Jędrzej spojrzał na niego i przybrał postawę sztywną i nieugiętą.

— *Monsieur!* — zaczął mówić Flawiusz.

— Ale co tam *Monsieur!* — zawołał prędko kanonik — posprzeczaliście się wczoraj niechcący, podajcie sobie teraz ręce i kwita! No, panie Jędrzeju!

Jędrzej założył rękę za kamizelkę.

Wszakże na to kanonik załamał ręce przed sobą i zawołał prawie ze łzami:

— Ale przez Pana Boga żywego! Jędrzeju!...

Wszyscy przytomni spojrzeli prawie z zadziwieniem na niego.

Co widząc, Jędrzej zaczerwienił się cały i przystąpiwszy z nietajoną niecierpliwością do Flawiusza, rzekł do niego:

— Obraziłem pana wczoraj, więc przepraszam... Bardzo pana przepraszam.

— A no! więc o cóż chodzi! — zawołał na to kanonik, obracając się do Flawiusza — wszakże już po gniewie i po obrazie! nieprawdaż?

— Już — odpowiedział Flawiusz przez zęby, obracając się plecami do Rudnickiego.

Widząc to, kanonik westchnął z głębi piersi i zaczął długie kazanie o niezgodzie domowej.

Ale Jędrzeja niebawem głowa zabolała i opuściwszy mieszkanie księdza, powrócił dosyć kwaśny do siebie.

Przez parę dni następnych, Jędrzej zupełnie nie wychodził z domu.

Codzień wojewoda, albo raczej wojewodzianka przysyłała do niego, zapytując o zdrowie, a Jędrzej codzień posyłał do kanonika, zapytując o swoją podróż do Drezna.

Nicby teraz nie było przyjemniejszem dla niego, jak jakaś podróż daleka.

Co godzina, co chwila przychodziła mu na myśl piękna Stanisława, ale tuż za nią przychodziła na myśl Melania — a ile razy o Melanii pomyślał, zawsze mu się jakoś tak ciężko zrobiło na sercu, tak duszno w piersiach, że mu się w samej rzeczy zdawało, jakby był chorym. A czasem nawet było mu tak, jakby się odzywało do niego jego własne i już obrażone sumienie; pokazywała mu się wtedy żywa postać Melanii, cicha, milcząca i dziwnie pobłażającym wzrokiem patrząca na niego, ale ten wzrok spokojny na wskroś go przeszywał i musiał się Jędrzej chować przed nim — wtedy rzeczywiście był chorym.

Ale w parę dni podczaszyna przysłała do niego, pro-

sząc go na herbatę do siebie. Jędrzej był zdrów wtedy jak ryba. Ubrał się w oka mgnieniu i jeszcze dopiero światła zaczynano zapalać, kiady się znalazł w podczaszynej salonie.

Wchodząc, dopiero spostrzegł się, jaką popełnił niezręczność. Ale nie frasował się bardzo swoim etykietalnym grzechem, który może gdzieindziej byłby nazwał nieszczęściem. Tutaj nawet nie było do tego powodu. Podczaszyna, kobieta serca a nie niewolnica etykiety, przyjęła go serdecznie, jakakolwiek to była godzina. Ze skromną wprawdzie, ale też i zupełnie szczerą radością przyjęła go piękna podkomorzanka.

O! i jakżeż szczęśliwym był przy niej!

Jeżeli kiedy, to tu najpewniej powinien się był przekonać o tem, że przed wszystkiem innem jest się człowiekiem.

Ale na to nie miał on teraz czasu. Wszystkie myśli codzienne, choćby nie wiem jak ważne, ulotniły się z jego pamięci. Wszystkie inne uczucia zakrzepły teraz i zbladły, i umilkło nawet samo, przed chwilą jeszcze tak rozdrażnione sumienie.

Piękna Stanisława była dzisiaj cudowną.

Miała na sobie suknię jasno-błękitnego koloru z ciężkiej jedwabnej materyi, sznur ogromnych korali na szyi i jakiś kwiatek pąsowy we włosach. Było to całe jej ubranie, tak skromne i proste, że zepsuty smak ówczesnego świata nie śmiałby o niem nawet zamarzyć i byłby je niezawodnie najsurowiej potępił. Ale Jędrzejowi ta prostota nadzwyczaj się podobała. Jemu już z góry podobało się wszystko, co tylko odnosiło się do Stanisławy, a zwłaszcza dzisiaj! Była ona bowiem jakaś tak promieniejąca radością, od jej twarzy bił jakiś taki uśmiech wesoły, a w jej oczach było tyle pogodnego, jasnego blasku, że zdawało się Jędrzejowi, jak gdyby ją otaczała jakaś atmosfera nadziemska, zlana z księżycowego światła i tęczy, a pełna tej balsamicznej woni, jaką ziemia się łączy z niebem w jasny dzień majowej pogody.

Stanisława była dziś w złoto-różowym humorze. Jak

obłoczek różowy, ozłocony po brzegach promieniami złotego słońca, płynęła ona po majowym błękicie swoich marzeń półanielskich, półsennych...

Jędrzej stał zrazu na ziemi, jak człowiek umiejący czuć i kochać piękności natury, ale patrzący przytem w niebo i tęskniący za jakąś nieznaną dotąd krainą, w którejby było więcej ducha, mniej ziemi, więcej uczucia a choćby szału, a mniej wymierzonego, klasycznego rozsądku, którym go na uwięzi przy ławach codziennego życia trzymano... I odrosły mu skrzydła od ramion, w jego sercu zawrzał prąd jakiś ognisty, unoszący go w niedojrzane dotychczas krainy .. Młodzieniec otrząsł się nagle z ziemskiego pyłu i w niebo poleciał... Różowy obłok ze złotymi brzegami był mu sternikiem w tej napowietrznej podróży.

Oboje młodzi rozmawiali ze sobą jak dzieci. Przedmiotem ich rozmowy były znów tylko drzewka domowego ogrodu, ognie rybaków błąkające się nocą po skalistej karpackiej rzece, smutne wspomnienie serca nieboszczki matki, tęsknota za miejscem rodzinnem i za temi górami, w których tak świeże, wonne, orzeźwiające powietrze... W tej rozmowie nie było ani krzty książkowego rozumu, ledwie cień jakiś rozsądku; ale było tyle wiosennej świeżości, tyle miłości dla świata i ludzi, tyle tajemniczego, zachwycającego uroku, że Jędrzej stracił ziemię zupełnie z oczu, stracił świadomość czasu i przestrzeni, i zaledwie zachował świadomość siebie.

W salonie podczaszynej było dziś wiele osób, bawiono się żywą, zajmującą rozmową, podawano kawę, herbatę, wino, owoce, torty, ktoś grał na klawikordzie, jakaś panna śpiewała i ktoś deklamował; Jędrzej brał od czasu do czasu udział w ogólnej rozmowie, pił wino i jadł owoce, słuchał śpiewu i deklamacyi, ale o tem wszystkiem nic zgoła nie wiedział.

Kiedy wszedł do salonu, *jeszcze* nie było nikogo, — a kiedy się spostrzegł, że jest w salonie, *już* nie było nikogo.

Podczaszyna patrzyła na to roztargnienie Jędrzeja

z wielkiem zadowoleniem, i kiedy już wszyscy goście wyszli, wyniosła list jakiś z przyległego pokoju i podając go Jędrzejowi, rzekła do niego z uśmiechem:

— Odebrałam dzisiaj list bardzo oryginalny. Muszę go panu pokazać i ciekawam, jak też pan go osądzisz?

Na te słowa podkomorzanka się mocno zarumieniła i zrobiła ruch taki, jak gdyby chciała przeszkodzić, żeby list ten doszedł do ręki Jędrzeja, ale to się udać nie mogło — odeszła więc ze smutną miną do okna.

Tymczasem Jędrzej rozwinął ten list i zbliżywszy się do świecy, czytał go cicho.

Był to list pisany przez Flawiusza do podczaszynej. List ten był nastrzępiony szumnemi ogólnikami, ale przytem pełen gorącego uczucia, które podnosząc się raz do pożaru i sięgając iskrzącemi się rakietami do nieba, drugi raz się zniżało do najuleglejszej i prawie pełzającej pokory. Dziwne zaprawdę było wrażenie, jakie ten list sprawiał na czytającym; było bowiem zeń widać człowieka kochającego się do szaleństwa, krwawo rozpaczającego o dobrą przyszłość swojej miłości i gotowego w tej rozpaczy chwycić się wszystkiego, czego tylko można ludzką dosięgnąć ręką. Jakoż ta strona listu mogła rzeczywiście wzbudzić współczucie, ale druga jego strona była pełna najszumniejszej ambicyi, opartej na najgorętszej wierze w ziszczenie się jakichś mglistych i wypiętrzonych ambicyj, ale nieopartej na żadnej rzeczywistej podstawie. To było śmieszne. Całym zaś sensem tego długiego listu była prośba do podczaszynej o pozwolenie przedstawienia się jej osobiście. To była już tylko śmieszna niezręczność.

— I cóż pan sądzisz o tej korespondencyi? — zapytała podczaszyna.

— Ja, pani? — powtórzył Jędrzej — mnie się zdaje, że to pisał ktoś, który ma lekkie pomieszanie rozumu.

— Otóż i mnie się tak zdaje — powtórzyła podczaszyna ze śmiechem i mówiła potem wiele o tych osobliwszych dziś czasach, w których skądsiś się biorą ludzie szczególniejszych pretensyj i szczególnie przewrotnego rozumu.

Ale Jędrzej niewiele z tego rozumiał.

On był cały zatopiony w tym świecie, który mu się dziś odkrył w całej swojej piękności i tak go upoił swoim nieopisanym urokiem.

Cały też upojony i zupełnie sobie nieprzytomny wyszedł z salonu.

I w takiem upojeniu i nieprzytomności minęło mu blizko dwa tygodnie.

Przez te dwa tygodnie bywał u podczaszynej prawie codziennie i codziennie się więcej upajał, nie myśląc wcale nad stanem serca swego i nie mając nawet siły po temu.

Stanisława była mu wszystkiem i oprócz niej nic więcej nie widział.

Przez ten czas był tylko kilka razy u wojewody.

Siedząc obok Melanii, był zamyślony i milczał, a na zapytania odpowiadał przez zęby. Melania widziała to, że w nim jakaś ważna zachodzi zmiana, ale nie mogła dociec przyczyny. Jej domysły trącały o wszystkie niepodobieństwa, ale ani razu nie potrąciły o prawdę. O coś podobnego, jak sprzeniewierzenie się, nie mogła ona Jędrzeja ani nawet we śnie posądzić. Tem gorzej dla niej. Im głębsza wiara, tem boleśniejsze rozczarowanie!

Wszakże po dwóch tygodniach stan ten serca Jędrzeja — stan złotych marzeń na lazurowem tle nieba — najpiękniejsza chwila ludzkiego życia, czyniąca nas podobnymi aniołom — nie każdemu dostępna, a u każdego tak krótko trwająca — skończyła się prostym i dawniej już przewidzianym wypadkiem.

Jednego dnia bowiem, przed samym wieczorem, wpadł do niego kanonik i lubo się tego nie spodziewał, zastał go w domu.

Rozmarzony młodzieniec właśnie dzisiaj zaczął się był trzeźwić cokolwiek.

Obok serdecznych marzeń, zaczęły mu się w głowie rozjaśniać myśli i zwracać jego uwagę na stan jego serca i różne stosunki i obowiązki dla ludzi.

Obok Stanisławy zaczęła stawać przed nim Melania, jego przyjaciółka, towarzyszka lat dziecięcych i wiecznie mu towarzysząca do dziś dnia, dzieląca sercem wszystkie

jego smutki i wszystkie żałości, wspomagająca go rozsądkiem we wszystkich wątpliwościach jego niedoświadczonego życia i mająca już miejsce trwałe w jego sercu na całą przyszłość. Jędrzej zaczął rozmyślać nad tem dziwnem swem położeniem, w któremby się trzeba koniecznie rozedrzeć, ale wtem wszedł kanonik.

— Chwała Bogu! — zawołał zacny kapłan — że cię zastaję w domu. Oto masz listy — posyłaj zaraz po konie pocztowe — i niech cię Bóg prowadzi.

— Jakto? co? jakto? — zapytał Jędrzej — to ja mam jechać koniecznie?

— A toż co znowu! — zawołał kanonik — to sam się naparłeś tej podróży i dałeś słowo, a teraz cię to zadziwia?

— Ja dałem słowo? — powtórzył Jędrzej.

— W imię Ojca i Syna! — rzekł, żegnając się kapłan i patrzył na Jędrzeja z zadziwieniem i niepokojem.

Jędrzej, odebrawszy już przedtem listy od kanonika, chodził teraz po pokoju i wyciągając rękę, ustawicznie przecierał czoło. Albo też w nim odbywała się jakaś walka wewnętrzna, albo go tylko pamięć opuściła na chwilę, którą chciał gwałtem przywołać. Jedno czy drugie, stało się wszakże, i wkrótce Jędrzej przystąpił z wypogodzoną twarzą do księdza i podając mu rękę, rzekł prawie wesoło:

— Przepraszam pana... byłem czegoś roztargniony i nieprzytomny... jadę dziś w nocy, tylko muszę jeszcze na moment wpaść do wojewody, aby się z nim pożegnać.

— No! to z tem mniejsza! — rzekł, odetchnąwszy kanonik — tylko tam z wojewodą nie zapuszczaj się w nadto długie gawędy.

— Choćby w najdłuższych — odpowiedział Jędrzej, to zawsze nie powiem tylko tyle, ile sam zechcę. A zresztą nie znam człowieka godniejszego bezwzględnej ufności od wojewody.

— I ja także, ale mam zwyczaj ufać tylko tym ludziom, którzy są ze mną jednego zdania. Ale wieleby mówić o tem, a tu nie ma na to czasu. Więc kiedyż jedziesz?

— Dziś jeszcze w nocy.

— Im prędzej, tem lepiej. Żegnam cię tedy i niech Bóg prowadzi. Kiedy się obaczymy i w jakich okolicznościach, Bóg to sam tylko wiedzieć może. Mam jednak w każdym razie nadzieję, iż się obaczymy niebawem i będziemy się witać wesoło. A kiedy się tak witać mamy, żegnajmyż się także wesoło, a przynajmniej nie smutno.

I to mówiąc, objął młodzieńca w swoje ramiona, zrobił krzyż święty nad jego głową i wyrwawszy się w ten moment z jego przyjacielskiego objęcia, zniknął z komnaty, jak gdyby go w niej nigdy nie było.

Jędrzej zaś kazał w ten moment zaprzęgać, ubrał się prędko i pojechał do wojewody.

U wojewody nikt jeszcze nie wiedział o tej podróży i kiedy Jędrzej na samym wstępie oświadczył, że się przyszedł pożegnać, i ojciec i córka nadzwyczajnie się zadziwili.

Ojciec nawet nie chciał zrazu uwierzyć, myśląc, że to są jakieś żarty albo komedya, a kiedy się przekonał, że to jest prawdą istotną, zaczął Jędrzeja wybadywać jaknajusilniej, jakieby były tej podróży powody. I tu dopiero Jędrzej po raz pierwszy i dość dowodnie się przekonał, jak daleko się rozciągała nad nim opieka hrabiego i jak dalece w tym domu go uważano za swego. Hrabia bowiem wziął Jędrzeja na prawdziwe tortury. Ani mu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby w jego domu wychowany młodzieniec, żeby jego zięć przyszły, mógł mieć przed nim jakiebądź tajemnice, a cóż dopiero tak ważne, jak podróż za granicę? Jędrzej się pocił jak w łaźni. Gdyby był to przewidział, byłby się uzbroił w jakąś zręczną wymówkę, ale tak nie mógł ufać sobie, że mu się uda powód jakiś zmyśleć tak zręcznie, żeby się na nim wojewoda nie poznał. Dać mu zaś do zrozumienia rzeczywisty powód podróży, zdawało mu się niepodobieństwem. Aż nareszcie sam wojewoda wpadł na myśl, że w tem nie może być nic innego, jak jakaś sprawa honorowa i sam to natrącił.

Na szczęście Jędrzej miał dosyć przytomności, ażeby się tego domysłu uchwycić i kilku słowy w nim wojewodę utwierdzić. Wojewoda tedy nie miał już co na to

powiedzieć i tylko bardzo czule i z ojcowską troskliwością go żegnał. To pożegnanie wszakże dziwne na Jędrzeju zrobiło wrażenie. Przy niem bowiem, zimnemu zresztą i prawie niczem niewzruszonemu dyplomacie, głos całkiem się zmienił, łzy mu stanęły w oczach i zaledwie mógł mówić. Jędrzej płakał jak dziecko. Nie umiał być niewdzięcznym, widząc jak go kochano...

Wszakże to pożegnanie jeszcze niczem było wobec tej sceny, jaka go czekała z Melanią.

Melania nie była przytomną jego rozmowie z ojcem i nic o powodach podróży jeszcze nie wiedziała. Była ona przez ten czas w swoim pokoju. Zapewne się Panu Bogu modliła, aby jej dał siły nad sobą przy pożegnaniu, albo może nawet, aby ten odjazd odwrócił. Wiele nieraz od Pana Boga wymagamy, zwłaszcza kiedy jesteśmy w nieszczęściu...

Wojewoda przeczuwał to, że ta scena może się stać cokolwiek jaskrawą, a przynajmniej, że jest niebezpieczną dla jego córki, która właściwie nie była jeszcze niczem upoważnioną do otwartego żalu przy pożegnaniu z Jędrzejem — i dlatego uczynił rozumną introdukcyę, jak tylko weszła do salonu Melania.

Ale cóż pomogą choćby najwymowniejsze introdukcye sercu, które jest pod przemocą uczucia?

Melania była bladą, jakby jej wszystka krew ustąpiła z twarzy; na jej licach wybladłych osiadła boleść tak wyraźna, tak niezgłębiona i przejmująca, że Jędrzej na jej widok oniemiał.

Teraz dopiero rozjaśniły się przed nim jego wszystkie do niej stosunki, teraz dopiero poznał, czem on jest dla niej i jakieby powinny być jego względem niej obowiązki.

Poznał — mówię — ale czy uczuł także i sercem? Jego serce nie ostrzegałoż go o tem i dawniej? Jego serce czyż dzisiaj żadnego nie miało głosu?

Nie będziemy tego w tej chwili rozstrzygać.

Wiemy tylko, że był blady teraz jak nigdy, zdawało się jakby drżał mimowolnie, a na jego twarzy malował się

jakiś wyraz niepewności samego siebie i jakiegoś przestrachu.

— Pan odjeżdża? — wymówiła cichym, stłumionym głosem wojewodzianka.

— Z boleścią serca, lecz muszę — odpowiedział równie cicho młodzieniec.

— Ta podróż nie da się żadną miarą usunąć, ani nawet odroczyć? — zapytała już śmielej cokolwiek i patrząc mu w oczy Melania.

— Na żaden sposób — odpowiedział stanowczo Jędrzej.

Na te słowa Melania się nagle zarumieniła i znowu nagle pobladła, ale w jej oczach zagrały ognie jakby jakiejś myśli prędkiej a groźniej i z tym ogniem porwała go za rękę, pytając niecierpliwemi usty:

— Pan jedzie po śmierć swoją lub cudzą! To Flawiusz!

Widząc to, wojewoda odszedł w kąt przeciwległy salonu, a tymczasem Jędrzej, przerażony tem jeszcze więcej, odpowiedział wyraźnie:

— Mogę panią jaknajsojenniej zaręczyć, że ta podróż nie ma żadnego związku z Flawiuszem.

— Ach, i cóż pana tak nagle od nas oddala?

Te słowa wymówiła Melania głosem tak rzewnym i tak z głębi serca wydartym, że Jędrzej aż się wstrząsnął na nie, lecz całą siłą panując nad sobą, rzekł do niej półgłosem:

— Jeśli mi pani dasz słowo, że dotrzymasz tajemnicy nawet przed ojcem...

— Nawet przed ojcem... — powtórzyła prędko Melania.

— Więc powiem pani — rzekł Jędrzej — że tej podróży sprawa kraju wymaga.

Melania patrzyła przez kilka sekund w twarz jego, potem odetchnęła z głębi piersi, jakby jej jakiś ciężar spadł z serca i zaraz rękę wyciągnęła ku niemu, mówiąc głosem pogodnym:

— Jedź pan... z panem moje modlitwy i błogosławieństwa!

Jędrzej spojrzał na nią z uczuciem uwielbienia, uści-

snął podaną sobie rękę, pożegnał jeszcze raz wojewodę i wyszedł prędko z salonu.

Zbiegłszy po wschodach na dół, wskoczył do czekającej na niego karety i kazał się zawieźć do siebie.

Powróciwszy do swego mieszkania, zastał już wszystkie rzeczy popakowane i wszystko do podróży gotowe. Uradowany podróżą służący czekał już tylko na niego i ledwie go obaczył, zawołał prędko:

— Już panie wszystko gotowe, niech tylko jaśnie pan jeszcze tę suknię aksamitną zrzuci ze siebie, bo szkoda tego na drogę.

— Czekaj-no, daj mi pokój! — odpowiedział Jędrzej słudze i zaczął chodzić wielkimi krokami po komnacie.

Na jego twarzy widać było szczególniejszą niecierpliwość i pomieszanie. Chodził chwiejącym się krokiem, wyciągał niecierpliwie mankiety od rękawów i miął żaboty na piersiach, dotykając się drżącą ręką swego lewego boku, jak gdyby tam czuł boleść jakąś albo bolesne ciśnienie. Widać inne już teraz przychodziły mu myśli do głowy, a co gorsza, inne podobno w nim się odzywały uczucia.

Niecierpliwy służący patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Jaśnie panie! — mówił on — konie pocztowe lada chwila nadejdą, trzeba nam się spieszyć z pakowaniem.

— Precz! — zawołał Jędrzej do niego — precz! do antykamery! i nie pokazuj mi się, aż cię zawołam.

I wypędziwszy sługę, sam został w komnacie.

W samotności wezbrały jeszcze bardziej jego niecierpliwe uczucia. Jego suknia była całkiem pomięta, fryzura najzupełniej zburzona. Wszakże nie koniec na tem. Niebawem bowiem zaczął ręce łamać przed sobą, jakby w najsroższej rozpaczy, a kiedy mu łzy nagle trysnęły z oczu, uderzył się nagle ręką w czoło i zawołał do siebie głosem pełnym rozpaczliwego żalu:

— Okropność!... ja jej nigdy już nie obaczę!...

Z temi słowami rzucił się w fotel, zakrył twarz obydwiema rękami i płakał, łkając głośno, jak dziecko.

Ale po krótkiej chwili zerwał się.

— Nie! to być nie może! muszę ją widzieć!... raz jeszcze! obaczę... i pożegnam na zawsze!

Ledwie tych słów domówił, miał już płaszcz na sobie i kapelusz na głowie.

— Hej! niech zajeżdża! — zawołał do służącego.

— Któż, panie?

— No któż? — kareta!

— On już wyprzągł.

— To nie trza! — zawołał Jędrzej i pobiegł pieszo do pani podczaszynej przemyskiej.

Pani podczaszyna siedziała ze Stasią w salonie i była zajęta czytaniem jakiejś książki światowej. Nie spodziewała się ona już dziś nikogo, bo to było już blizko dziewiątej, i była trochę w negliżu. Kiedy jej więc zameldowano Jędrzeja, wybiegła prędko do przyległej komnaty, aby poprawić coś koło stroju.

Jędrzej zastał Stanisławę samą w salonie.

Nie było w tem nic dziwnego, już się to nieraz i przedtem zdarzało. Ale dziś Stanisława, czy to jakimś szczególniejszym ostrzeżona instynktem, czy dlatego, że obaczyła go tak bardzo pomieszanym i jeszcze z nieoschłemi łzami na twarzy, przelękła się go i powstawszy z kanapy, wpatrzyła się weń wystraszonemi oczyma.

Jędrzej ukłonił się jej, ale milczał.

To jeszcze więcej zmieszało młodziutką dziewczynę, która nie umiejąc taić wzruszeń swojego serca, a tutaj może nawet nie widząc tego potrzeby, zapytała otwarcie:

— Co panu?

— Pani! — rzekł na to Jędrzej, zbierając wszystkie swe siły — przychodzę do pani z ważną i niewymownie smutną dla mnie nowiną.

— Przez Pana Boga! cóż to?

— Nic, pani. Przychodzę się żegnać. Odjeżdżam.

— Pan jedzie! — zawołała podkomorzanka, i jakby ją opuściły siły, napowrót na kanapę usiadła, spuszczając oczy ku ziemi i skubiąc chusteczkę trzymaną w ręku.

Jędrzej patrzył, drżąc i nie mogąc odetchnąć z wzru-

szenia. Ale w tej chwili dwie łzy duże jak perły wytrysnęły jej z oczu i upadły prosto na chustkę.

Te łzy takie jawne i wymowniejsze nad wszystko, co ludzkie usta mogą powiedzieć, odebrały Jędrzejowi pamięć wszystkiego, co kiedykolwiek się stało, odebrały mu przytomność i wszelką władzę nad sobą.

Zerwał się więc jakby piorunem rażony i rzucił się przed nią na kolana. Porwał jej ręce i przyciskając je do ust, wymówił ciężkim, łkającym głosem:

— O Boże? czemuż muszę odjeżdżać!

— Nie jedź... — szepnęła cichym głosem dziewczyna.

— O! mój aniele! — łkał dalej młodzieniec — czemuż nie wiedziałem pierwej, że mi tak ciężko będzie odjechać!

— Nie jedź... — szepnęła jeszcze ciszej dziewczyna i chciała dalej coś mówić, ale łzy jej stłumiły głos w piersiach.

W tej chwili powróciła podczaszyna, lecz obaczywszy co sie dzieje, zatrzymała się w progu. Przez kilka sekund nie wiedziała co robić.

Ale wtem obaczyła ją Stasia i wzdrygnęła się.

Zbudzony Jędrzej, zerwał się na nogi i stanął na boku w dziwnie trwożnej postawie.

Podczaszyna weszła do salonu.

Przez długą chwilę trwało powszechne milczenie.

Wszyscy mieli do mówienia tak wiele, a nikt nie umiał słów znaleźć.

Aż nareszcie podczaszyna odezwała się sama:

— Och! dzieci, dzieci!... Nie trudno mi się było domyśleć już dawniej, że do tego przyjdzie pomiędzy wami... Ja nic na to nie mówię... Zdaje mi się, że widzę w tem Boskie zrządzenie,. Bóg też sam zaczął, Bóg to jakoś i skończy... Ale trza mieć cierpliwość, bo nie od nas wszystko zależy... Macie oboje rodziców, oni niech sądzą...

Jędrzej słuchał tej mowy i sam nie wiedział co się z nim dzieje.

Słowa podczaszynej ochłodziły go bardzo. Pomimo woli przypomniała mu się teraz ta scena, którą przed go-

dziną miał w domu wojewody. Było to niemal jej powtórzenie. Zachodziły pomiędzy temi dwiema scenami wprawdzie wielkie różnice, ale te mu się teraz wydały niczem. I objął go dreszcz straszny od stóp do głowy, i jakaś nieznana dotychczas trwoga zatrzęsła jego sumieniem... Zdało mu się, jakby ciężki popełnił występek, jakby był zbrodniem najpodlejszym na świecie...

I pod wrażeniem tej myśli, która jakby gromem weń uderzyła, zerwał się z miejsca, chwycił Stanisławę za rękę, przycisnął ją do ust i rzekł do niej:

— Na wieki!

Poczem się rzucił ku drzwiom, przeleciał jak wicher koło podczaszynej — i zniknął.

Napróżno zdumiona podczaszyna chciała go choć na chwilę zatrzymać; zanim spostrzegła, co się stało, on był już na ulicy.

Po jego wyjściu młodziutka Stasia była jak odurzona. Łzy lały się strumieniami z jej oczu, a przez płacz spazmatyczny, pomimo gęstych zapytań ciotki, nie mogła ani słowa wymówić. Należało się obawiać i słusznie, aby biednej dziewczyny jakaś ciężka nie powaliła choroba. I byłoby się to stało najniezawodniej, bo nawet było widać po niej, jak niewymownie cierpiała — ale śród tego cierpienia ostatnie słowa Jędrzeja: Na wieki! — brzmiały jej ciągle w uszach, i te jej oddały napowrót siły i ochroniły od cierpień nadal.

W tych słowach ważnych mieściła się cała jej ufność i wiara, wszystkie nadzieje na przyszłość, całe jej życie!

Ale czy takie znaczenie przywiązywał do tych słów i ten także, który je wypowiedział?...

Było to wielkie pytanie.

Nie przyszło ono wszakże, ani przyjść mogło na myśl Stanisławie. Te słowa podniosły ją i utrzymały przy zdrowiu i wierze. Na drugi dzień Stanisława była tylko smutną, jak po pożegnaniu swojego oblubieńca, ale oblubieńca takiego, którego wkrótce miała znowu obaczyć i zapewne się z nim połączyć — na wieki.

W kilka dni potem przyjechała do Warszawy jej ma-

tka. Dowiedziała się ona od podczaszynej o wszystkiem, co dotyczyło jej córki. Długie i rozmaite były pomiędzy obydwiema matronami debaty, jak tu wypada postąpić.

Ale nakoniec zdecydowała się matka zabrać córkę ze sobą na wieś, ażeby już nigdy do Warszawy nie wrócić.

I odtąd była już Stanisława ciągle na wsi u matki.

* * *

Tymczasem Jędrzej, wybiegłszy tak nagle z salonu podczaszynej, dopadł czemprędzej do domu, a znalazłszy już konie pocztowe zaprzężone do podróżnego powozu, rzucił się jak był do powozu i kazał pędzić co prędzej.

Jakie były jego uczucia, jakie myśli, jaka ta podróż cała, nic już o tem nie wiemy.

Wiadomo nam tylko tyle, że istotnie był w Dreźnie, a z Drezna się udał do Lipska. W miesiącu styczniu do Warszawy powrócił, ale tylko dwa dni zabawił i do Wilna wyjechał.

Wkrótce potem wybuchła wojna.

W tej wojnie Jędrzej służył zrazu jako adjutant Sierakowskiego, ale niebawem przeszedł do linii, i w linii bił się do końca.

Po ukończonej wojnie powrócił do Galicyi, do ojcowskiego majątku i osiadł w Górkach, wsi należącej do jaćmierskiego klucza, a oddanej mu tymczasowo przez ojca.

Jesteśmy tedy znowu u końca roku 1794 i w owej chwili, kiedy skarbnik załatwiwszy tymczasowo swe majątkowe sprawy z chorążym koronnym na leskim zamku, puszcza się do Zagórza do swojej siostry.

VIII.

Pani podkomorzyna sandomierska przyszła do posiadania wsi Zagórza przez kupno. Jej mąż nieboszczyk, dawniejszy stolnikowicz sandomierski, wziąwszy za nią dwie wioski dziedziczne w Sandomierskiem, dorobił się był zna-

cznej fortuny. Był to człowiek znakomitej głowy a cnót jeszcze znakomitszych zapewne, kiedy mając lat zaledwie czterdzieści, był już obrany podkomorzym, co się rzadko komu zdarzyło. Ale przy rozumie i cnotach był on zanadto przedsiębierczym — i to stało się przyczyną jego własnej zguby, a wielu zmartwień i zgryzot dla żony. Ufając swojej głowie i siłom młodego wieku, nakupował on był wsi daleko więcej niżeli miał gotowizny i zaprowadzając wszędzie rządne i rachunkowe gospodarstwo, zrazu się bardzo rzetelnie i bez kłopotu z pozaciąganych długów wypłacał. I końcem końców byłby się niezawodnie ze wszystkiego wypłacił, bo mu się wiodło bardzo szczęśliwie i jego rachuby nie omylały go nigdy. Ale podkomorzy, pomimo wielkiej dbałości o swój byt materyalny, był także człowiekiem zacnym i pamiętał o tem, że oprócz gospodarzem i ojcem jest także i obywatelem kraju, względem którego także się ma obowiązki. Jakoż póki tych obowiązków dopełniał tylko w swoim powiecie, nie przeszkadzało to nic jego sprawom majątkowym. Ale podkomorzy włożył także na siebie nie mało obowiązków względem całej ojczyzny. Z tych obowiązków tedy wyniknęło w końcu, iż wyjechawszy w jakiemś poselstwie do Wołoszczyzny i Turek, w Jassach zachorował nagle i umarł.

Jego żona została się tutaj na obszernym wprawdzie majątku, ale obciążonym licznymi i zawikłanymi długami.

Przybył jej wtedy w pomoc brat jej, jmć pan skarbnik — ale skarbnik, tęgi wprawdzie do korda lecz żaden jurysta, nie umiał jej pomódz inaczej, jak tylko w ten sposób, że pozostawił powikłane majątki wierzycielom na łaskę, a za wyratowane pieniądze kupił siostrze wieś Zagórz, niedaleko położoną od Bóbrki. Po żołniersku to wprawdzie i jednem cięciem rozciął skarbnik ten węzeł gordyjski, ale podobno nie z wielką oględnością na przyszłość, bo siostrze jego dostała się wieś intratna i duża i nawet trochę gotówki, ale z wierzycielami nieboszczyka nie zostały poczynione ostateczne układy, — a ponieważ na skryptach nieboszczykowskich był także tu i owdzie kładziony podpis podkomorzynej, więc wierzyciele dzisiaj

obracali się do niej i prowadzili z nią ciągłe procesy. Procesy te toczyły się w forum tarnowskiem i były oddane całkowicie jednemu z tamtejszych patronów, który wprawdzie ciągle podkomorzynę upewniał, że wszystko idzie jak można najlepiej, — ale podobno tam te rzeczy stały wcale inaczej.

Jakkolwiekbądź, podkomorzyna dzisiaj posiadała dziedzicznie Zagórz i rządziła się w nim dość dobrze. Sama się wprawdzie na gospodarstwie niewiele znała, ale miała do tego wybornego człowieka.

A był ten człowiek daleki krewny jej męża, który, wstąpiwszy za młodu do cesarskiego wojska, służył w niem przez lat kilkanaście i wyszedł z rangą kapitana. Przez ten czas prawie całkiem się był zniemczył, nabrał form dziwnych i sztywnych i nawet język sobie był złamał. Cały, jak był, wyglądał i dosyć dziwnie i śmiesznie: niskiego wzrostu, pękaty, tłusty, całą twarz miał ogoloną jak Niemiec. Całą głowę miał łysą i tylko z tyłu podczesywał sobie jasno-siwawe włosy na czoło, które w dzień powszedni podpinał wielkim, półokrągłym grzebieniem, a w święto zawijał w harcap, a na łysinę kładł czubatą, rudawego koloru perukę. Jego twarz okrągła jak dynia, musiała mieć pewnie jakiś zdecydowany wyraz, ale tego wyrazu nie można było w żaden sposób uchwycić, — bo najpierwej kapitan miał krzywe usta, które zdawały się ciągle uśmiechać, — a oprócz tego jedno z ócz jego było do połowy zamknięte, które od czasu do czasu mrugało, a kiedy to mrugało, tamto spoglądało tak ostro, że patrząc na tych ócz dwoje, tak między sobą niezgodnych a zawieszonych nad wykrzywionemi ustami, można było pęknąć od śmiechu.

Kapitan się ubierał z niemiecka, ale podobno raczej z cudacka: nosił bowiem najczęściej frak granatowy ze stalowymi guzikami i niesłychanie długim a wązkim ogonem, wielki krawat włosienny na szyi i buty ze sztylpami. Do tego kładł na głowę zwykle trójgraniasty kapelusz, ale czasem, kiedy miał fantazyę po temu, brał czapkę wielką czworograniastą, która mu jak bróg siedziała na

głowie, — i wtedy wyglądał istotnie jak straszydło na wróble.

Tego człowieka kto po raz pierwszy obaczył, był przekonany, że trafił na kandydata do czubków. Kapitan bowiem, oprócz swojej cudackiej powierzchowności, jakichś dziwnych grymasów i niewyraźnej, sepleniejącej wymowy, mówił jeszcze do tego częstokroć rzeczy, które żadną miarą nie licowały z rozumem. Oryginalne miewał zawsze koncepty, a kiedy co opowiadał ze swego życia, to same takie rzeczy, które na pozór nie miały żadnego sensu. Pomiędzy innemi utrzymywał także, że miał trzy żony, które wszystkie żyją do dziś dnia. Ale jakim się to stało sposobem? Oto, odebrawszy wiadomość o śmierci swej pierwszej żony, z którą nie mieszkał, ożenił się z drugą, ale niebawem dowiedział się, że wiadomość była mylną, a żona pierwsza przy życiu. W obawie tedy procesu o dwużeństwo, ożenił się z trzecią. I wytoczono mu proces istotnie; ale go wolno puszczono, — bo dowiódł przed sądem, że ma trzy żony: a jakkolwiek na takiego, który pojął dwie żony, jest ciężki w kodeksie paragraf, wszakże na poślubienie trzech żon niemasz paragrafu żadnego. Takich anegdot opowiadał on mnóstwo, i Bóg sam wie, co to było? Może tylko misterne i głębokie satyry.

I to było najpodobniejsze. Kapitan bowiem był tylko tak nielogicznym w rozmowie, ale jego uczynki były nadzwyczaj logiczne. I tak zarządzał on gospodarstwem w Zagórzu i zarządzał wybornie. U niego w polu był ład taki, jak w książce — a między służbą, jak w wojsku. Dyscyplinarna tablica wisiała wypisana przed kancelaryą i z wypadającej z niej cyfry za każdą przewinę nie brakło ani marnej jednostki. W sobotę wieczór zaglądał regularnie do swojej czarnej księgi i podług dyscyplinarnej tablicy wymierzał kary, — ale za to w niedzielę rano zaglądał do białej księgi i z niej rozdawał nagrody. I tak wszystko tam było usystematyzowane ledwie nie do śmieszności, ale do śmieszności niedoświadczonych chłystków, albo starych młokosów, bo ten ład na cyfrach oparty był fundamentem i duszą całej gospodarskiej machiny i przynosił dla wszyst-

kich najpiękniejsze owoce. Nikt tam nie marzył o niebieskich migdałach i nikt nie był przez całe życie biedny, ale każdy pracował rzetelnie i sumiennie w swoim zawodzie, każdy był okryty i syty, i ćwiczył siły, i gromadził zapasy na przyszłość. Zagórz wtedy ogromne przynosił dochody, podkomorzynie wystarczało dla siebie i innych, i jeszcze się zostawało na dogodzenie fantazyom.

Jakoż pod tym względem był kapitan nieoceniony i dlatego i podkomorzyna i wszyscy przebaczali mu jego cudactwa. Kapitan wiedział o tem i dumnym był z tego, — czasem niestworzone rzeczy plótł o swoim gospodarskim rozumie, — ale za to żadnej innej nie wymagał nagrody, jak tylko utrzymania się na swojem stanowisku do śmierci.

Wieś Zagórz leżała w bardzo pięknej okolicy. Stanisława miała smak wcale nie zły, kiedy umiała piękność tego miejsca ocenić i tak się do niego przywiązać. Do koła góry wielkie, gęstymi zarośnięte borami, — w dole piękna i położysta dolina, — środkiem rzeka Osława, — w dali klasztor wspaniały, zamurowany i okryty dostatnio, położony wyniośle. Brzegiem wieś z chatek i sadów spleciona, — we środku ogród wielki pełen drzew starożytnych — a w ogrodzie dwór ogromny, okolony dębowymi częstokołami pod zasłoną głogowych płotów, cokolwiek okopany i niby trochę obronny. Dwór ten był na wysokiem, kilkołokciowem podmurowaniu, ale sam zbudowany z drzewa. Jeden wielki ganek wyprowadzał w dziedziniec, a drugi w ogród, gdzie się pięły powoje i winogrady po ścianach i gdzie były grządki kwiatowe, pielęgnowane niegdyś przez Stasię. Wewnątrz dworu były obszerne i dostatnie komnaty, poobijane makatami i barwnem płótnem, poozdabiane pięknymi kominkami i kolumnami, pełne luster, zegarów i innych częstokroć drogo cenionych sprzętów, które z wielką starannością zbierał jeszcze nieboszczyk Chojnacki, a co wszystko ryczałtem zakupiła po nim podkomorzyna. Oprócz tego było tam jeszcze wiele i innych rzeczy wcale znacznej wartości, jako to sreber domowych, makat, kobierców, drogocennych obrazów i tym podobnych, które podkomorzyna poprzywoziła ze sobą i któremi dom swój

przyozdobiła. To też na samym wstępie widziało się zaraz, że się wstępuje w dom zamożny, dostatni, którego zamożność nie od dziś się datuje, ale o którą dbają jeszcze i dzisiaj.

Żeby tylko taką samą dbałość roztaczano i na te sprawy, które się odprawiały po forach!

Ale o tem podkomorzyna podobno niewiele myślała. Podkomorzyna miała już dzisiaj lat czterdzieści z okładem, ale w uczuciach i myślach zachowała świeżość jeszcze prawie dziewiczą. Urodzona i wychowana w domu zamożnym, ani umiała pojąć tego, co to jest niedostatek, i o tem najmniej myślała. Była to jeszcze wcale przystojna kobieta. Słuszna, brunetka, z dużemi czarnemi jak węgle oczyma, miała bardzo wiele powagi, a może nawet i trochę dumy w swojej całej postawie. W jej twarzy było widać cokolwiek śladów przebolałego cierpienia, co zapewne stąd pochodziło, że straciła kilkoro dzieci, straciła męża, którego nadewszystko kochała. Ale to wszystko przeszło... Człowiek stworzony jest na to, ażeby cierpiał, i zapominał cierpienia, i był zawsze gotów do nowych cierpień i bólów...

Dzisiaj podkomorzyna była głównie zajęta swoją córką jedyną. Stanisława od tego czasu, jak powróciła z Warszawy, bardzo się odmieniła. Z pół-dziecinnej, smukłej lecz wiotkiej dziewczynki stała się teraz panna form skończonych i pełnych. Jakoż był to istotnie wzór dziewiczej piękności. Jej rysy twarzy najregularniejszych rozmiarów, jej oko duże pełne spokojnych myśli i jednostajnego blasku, jej wzrost wyniosły i ruchy zgrabne, okrągłe ale zarazem poważne, uczyniły z niej postać łączącą w sobie ciszę grecką i rzymską powagę... Jeżeli tym oznakom zewnętrznym odpowiadał i jej charakter, to można było pozazdrościć takiej córki podkomorzynie...

Ale przejdźmy do zdarzeń.

Dzisiaj był to już wieczór, wczesny jeszcze lecz ciemny i świszczący zamiecią po szybach, jakim najczęściej bywa wieczór grudniowy. Ale w dobrze zaopatrzonej komnacie cicho było i ciepło, na stoliku przed kanapą palił się sta-

roświecki kaganiec z zegarem, a przy nim Stanisława siedziała pochylona nad jakąś drobną robótką.

W tej chwili weszła podkomorzyna do tej komnaty i rzuciwszy okiem na córkę, wzruszyła mimowoli ramionami i rzekła:

— Jaka też ty jesteś zimna na wszystko Stasiu, to doprawdy ja nie pojmuję. Ja przez cały dzień chodzę od okna do okna, wyglądam go tędy i tędy i sama już nie wiem, co myśleć, że go dotychczas niema, a ty siedzisz sobie spokojnie jak posąg i ani myślisz o tem, że wujowi twojemu mógł się zdarzyć jakiś przypadek.

Ale na to odpowiedziała Stasia:

— Nie mam zwyczaju martwić się niczem, dopóki nie mam do tego powodu. Wujaszek odpisał nam, że przyjedzie; znam wujaszka, że nigdy słowa nie chybia, a gdy dotrzymać nie może, uwiadamia zawczasu, i jestem jak najzupełniej spokojną.

— Bardzo ci winszuję tego rozsądku i spokoju, będziesz żyć długo i będziesz szczęśliwą. Ale ja tego nie umiem. Ja wiem, że wuj był wczoraj na leskim zamku, tam na tym zamku jest Flawiusz... to jest jakiś szaleniec... wuj także nie na zimno kąpany... kto wie, do czego tam przyjść mogło pomiędzy nimi?

— Ja jestem pewną, że do niczego nie przyszło. Taki pan Flawiusz mógł być strasznym li dla mnie i to wtedy, kiedym była pół dzieckiem, ale dzisiaj już nie jest strasznym i dla mnie. A cóż dopiero dla mężczyzny i do tego jeszcze żołnierza? A zresztą ten pan Flawiusz jest zanadto głośnym w swoich pogróżkach, aby mógł być strasznym w istocie... Groził on także i Rudnickiemu, a przecie mu nic nie zrobił...

— Wszystko to prawda... ale ja się takim heroizmem nie mogę pochwalić. Od złych ludzi zawsze się złego obawiam i nie mogę być wtedy spokojną.

— Ale proszę mamy, gdzież też na to jest dowód, że ten Flawiusz jest istotnie zły człowiek?

— Aa! piękne rzeczy! to może i z niego zechcesz zrobić anioła?

— Ja w nim anioła nie widzę — odpowiedziała spokojnie Stasia — bo wątpię, ażeby aniołem był ktokolwiek na ziemi. Ale też nie wiem także, dlaczego zeń uczyniono szatana? Można nie mieć dla niego sympatyi, tak jak ja jej nie mam zupełnie, można mieć nawet wstręt do niego, tak jak i ja go mam troszkę, ale to wszystko nie dowodzi jeszcze, żeby człowiek nam wstrętny był już złym niezawodnie. Aby kogoś uznać złym i za takiego ogłaszać światu, trzeba mieć na to koniecznie z jego uczynków dowody, — a czy my wiemy coś o uczynkach pana Flawiusza?

— Jakże więc? to i ty nic nie wiesz o jego uczynkach?

— Mnie nie wiadomo nic zgoła.

— A owo wykradzenie ciebie w Warszawie?

— Ja o tem nic nie wiem. Bo on mnie nie wykradał zupełnie, tylko mnie wyratował. Wyratowawszy mnie, o ile sobie przypominam jak przez sen, chciał mi tam podobno deklarować swą miłość, co było dość niestosownem i zresztą cała ta myśl była od rzeczy... ale... miłość niektórych ludzi, jak to prawie codziennie widzimy, nie zawsze ma czas na to, ażeby siebie samą osądzić...

— Ale proszę ciebie — przerwała matka — tylko ty mnie daj pokój z tem twojem usprawiedliwianem Flawiusza. Ja to pojmuję bardzo, iż widząc go kochającego się w tobie i wiedząc że możesz się tylko litować nad jego miłością, robisz co możesz, litujesz się nad nim. Ja to pojmuję, jest to ludzkie uczucie... ale tym razem to piękne uczucie upada w kał. Ten szatan wybiłby alboby wytruł nas wszystkich do nogi, gdyby tylko wiedział, że mu to do osiągnienia jego zamiarów pomoże...

A kiedy podkomorzyna tych słów domawiała, wszedł kapitan do komnaty.

— No! dobry wieczór! — mówił on akcentem mocno niemieckim, obracając się do podkomorzynej — no, więc powiem Jadwisi, że pan brat już za moment zajedzie.

— Gdzież zajedzie? czy tutaj?

— No, pewnie tutaj.

— A skądże stryj wie o tem?

— No, muszę wiedzieć przecie, bo on się utopił w zaspie tu na granicy i przysłał tu swego bursza, no! to ja posłał po niego cztery konie i ludzi.

— To on zagrzązł w zamieci! — zawołała podkomorzyna — czemuż mi stryj tego zaraz nie powiedział?

— A na co ja to miał gadać? żeby się Jadwisia martwiła? a teraz, kiedy on tu, to ja mówię.

— Już to stryj zawsze poczciwy! — zawołała podkomorzyna — a wtem i dzwonki sań dały się słyszeć przed gankiem.

Podkomorzyna wybiegła przeciwko oczekiwanemu gościowi, ale nim kilka komnat przebiegła, skarbnik wszedł już do pierwszej.

Jmć pan Nieczuja, pomimo zmrożenia i kopania się przez zamiecie, był w najlepszym humorze. Załatwiwszy sprawę swoją wedle życzenia i rozweseliwszy się z gośćmi na zamku, całkiem zapomniał o swoich smutkach i można go było do rany przykładać.

Podkomorzyna była z tego nadzwyczajnie kontenta i witała brata jeszcze z tem większą radością, on zaś, oddając jej braterskie uściski i przytuliwszy siostrzenicę do swojej szerokiej piersi, wyciągnął rękę do kapitana:

— Dzielny, mężny, waleczny kapitanie! jak się masz! cóż tam? gospodarujesz z kłopotami, jak zawsze!

— No, jako tako, jako tako — odpowiedział kapitan — urodziło się, chwała Bogu, to się teraz i młóci.

— Młócisz? młócisz przez cały tydzień snopy a co sobotę parobki?

— No, nie tak mocno, nie tak mocno. Jest już teraz porządek, nauczyli się, nauczyli.

— Bardzo wierzę, że się musieli nauczyć, kiedyś ich uczył z tak potężnej tablicy — rzekł na to skarbnik z uśmiechem, dochodząc wraz z wszystkimi do ostatniej komnaty.

— Mój braciszku! — odezwała się w tej chwili podkomorzyna — tyś zziąbł i pewnieś głodny, ja każę zaraz dawać wieczerzę, a potem zasiądziemy do pogadanki.

— A nie pilniejsza pogadanka niżeli wieczerza? — zapytał skarbnik.

— Nie, nie, nie pilniejsza, tylko będzie dłuższa cokolwiek.

— Chwałaż Bogu i za to, bo już myślałem, że tu już jakie *periculum in mora.*

Podkomorzyna wyszła a skarbnik tymczasem żartował sobie ze Stasią, prześladując ją amantami.

Wkrótce potem dano wieczerzę.

Po wieczerzy wszyscy powrócili nazad do ostatniej komnaty, obsiedli stolik przed kanapą dokoła — i zaczęła się rada familijna pomiędzy nielicznymi potomkami tego zacnego, ale dogasającego już rodu.

Skarbnik, jako głowa familii, zabrał głos pierwszy, mówiąc do siostry:

— Z twojego listu, który odebrałem przed pięciu dniami, wyrozumiałem, że cię jakieś nagłe napadły zgryzoty. Z circumstancyj i różnych innych premisów domyślam ja się wprawdzie, o co tu chodzi, ale nie chcę prejudykować i oddaję tobie głos pierwszy. Zaindukuj więc, moje dziecko, twoją sprawę, a my, wyrozumiawszy ją dokumentnie, poradzimy na nią, co będziem mogli.

— Niema tutaj tak bardzo co indukować — rzekła na to podkomorzyna, zmieszana trochę solennością uczynionego przez brata wstępu — i nie będzie podobno bardzo co sądzić. Bo oto cała rzecz jest taka. Ułożyłam sobie wyjechać na całą zimę do Lwowa, mam już wszystko do podróży gotowe, lecz przed wyjazdem chciałam jeszcze zasięgnąć twojej rady.

Na to oświadczenie krótkie i węzłowate, skarbnik spojrzał na siostrę i milczał przez chwilę.

— No! to niema co robić — odezwał się na to kapitan, korzystając z milczenia — kiedy Jadwisia tak chce, to trzeba jechać.

— Zapewne — rzekł na to skarbnik — kiedy Jadwisia zechce, to będzie mogła pojechać. Ale ja sądzę, że nim się przedsięweźmie jakiś krok ważny, a do tego ko-

sztowny, należy pierwej zbadać jego powody i osądzić sumiennie, czyli jest rzeczywiście potrzebny.

— Ale o powodach tu niema nawet co mówić, bo ich jest więcej, jak trzeba.

Na te słowa skarbnik już brwi zmarszczył widocznie i odpowiedział:

— Ha! więc o nich nie mówmy.

Wszakże zapytał po chwili:

— Powiedźcież mi tedy przynajmniej, na jakim punkcie stoi wasza sprawa z Rudnickim?

Stanisława się na to lekko zarumieniła, a podkomorzyna odpowiedziała krótko:

— Na żadnym.

Ale tego skarbnik już nie mógł wytrzymać i zauważał.

— Odpowiadasz mi tak, jakbyś się na mnie gniewała, a rozumiem przecież, żem ci nie dał do tego żadnego powodu.

— Przepraszam ciebie, kochany bracie — odpowiedziała na to prędko podkomorzyna, ściskając rękę braterską — ale jestem już tak tem wszystkiem znudzona, że każde wspomnienie o tem wszystką krew we mnie burzy. Jużbym wolała... sama nie wiem co, niżeli patrzeć na te intrygi różne i Bóg sam nie wie jakie inne historye! Jednę mam córkę, i tej nie można wydać za mąż po ludzku!

— Moje dziecko — rzekł na to pogodnie skarbnik — temu się niema co dziwić. Już to tak widać jest zapisano, żeby żadna panienka, pochodząca od Nieczujów, czy to po mieczu, czyli też po kądzieli, nie wyszła za mąż zwyczajnym na świecie trybem. Świętej pamięci mój ojciec opowiadał mi kilkanaście historyi, potwierdzających tą naszą predestynacyę, i mówił przytem: „Jeśli waść kiedy będziesz miał córkę, miej ją dobrze na oku, bo Nieczujówny prędkie są a zuchwałe, gorące miewają serca a siarczystą fantazyę, rozumy tęgie lecz nóżki małe i słabe, toż i o pośliźnięcie się im nie trudno. Ale się waść nie frasuj bardzo, bo pomimo to Pan Bóg czuwa nad niemi i po różnych niepowodzeniach wydają się *tandem* dobrze i przyzwoicie“. — Ale na co tu sięgać tak daleko? Wszakże i ty sama po-

szłaś zamąż jak gdyby cudem. Nosiłaś na palcu pierścionek Wisłockiego i dla niego było przygotowane wesele, a stanęłaś na kobiercu z Michałowskim.

— Ale to były inne czasy i cała rzecz inna! — odpowiedziała podkomorzyna.

— Zapewne — mówił dalej pan skarbnik — że to były inne czasy natenczas. Ale moje dziecko, ziemia zawsze ta sama, ludzie ci sami i ten sam Pan Bóg nad nimi! Powiedźcież mi tedy najpierwej, jak stoicie z Rudnickim, bo ja zgoła nic nie wiem. Wiem tylko tyle, że zagaił swoją sprawę około Stasi w Warszawie, wiem, że się bił potem statecznie i pięknie, bom się wypytywał o niego i nawet sam go w ogniu widziałem. Przyjechał z jakąś depeszą do naczelnika od Sierakowskiego albo też od Zajączka, bo już tego nie pomnę; a że właśnie była okazya po temu, więc stanął z nami i niema co mówić, bił się regularnie, jak stary żołnierz. Co mnie nawet dziwiło, bo to smyk jeszcze i nie wiem skąd praktyka i doświadczenie. Jakoż uważałem to prawie, że jeszcze trochę zagorący. W moich oczach wszył się był sam jeden w taką gęstwinę, że już myślałem: po nim! Ale jakoś go stamtąd drudzy, na to patrzący, wypruli! Nie dobra to taka siarczystość, bo można zbyć duszę bez potrzeby, a nawet i bez korzyści, ale młodemu to i nie szkodzi: dostanie plejzer, nauka, a wyjdzie cało, pociecha. Tym też sposobem nabiera się doświadczenia.

— To wujaszek widział pana Jędrzeja w wojnie? — rzekła na to podkomorzanka z dziwnie rozpromienioną w tej chwili twarzą — a wujaszek nam o tem nic nie wspominał?

— Nie było też co i wspominać — odpowiedział skarbnik — bo owo tyle tego wszystkiego, co mówię. Wyczerkiesiwszy się przyzwoicie w tej niewielkiej okazyi, że aż na nim potrzaskał jego opięty mundurek... a także to jest smykowstwo, brać ciasny mundur do eksperyencyi...

— Ale on, mnie się zdaje — odezwała się Stanisława — nie przyjeżdżał tam do eksperyencyi, tylko z depeszami, jak powiada wujaszek...

— A! z depeszami... prawda... wcale nie źle go bronisz... ale choć i tak, to zawsze w służbie ciasny mundur, to smykowstwo...

— No więc cóż się dalej stało?

— A prawie nic już. Tylko po bitwie przyskoczył do mnie i spytał:

— „To waszmość jesteś jpan Nieczuja?“ — „A tak jest“. — „Pozwól mi waszmość — mówi on — uściskać rękę starego konfederata. Jestem Jędrzej Rudnicki. Polecam się waszmości i proszę mnie zachować w swojej przyjaźni. Mówiłbym więcej, ale służba. Da Bóg kiedyś, przy swobodniejszym czasie, nie zaniedbam się znowu zaprezentować waszmości. Tymczasem Panu Bogu polecam“. — I to mówiąc, spiął konia, a tęgiego miał bachmata pod sobą, bodaj nie turecki prawdziwy, zniknął mi jakby iskra z przed oczu. Trudno było inaczej, bo kiedy służba, to służba. Ale teraz to już i nie rozumiem, dlaczego... Siedzi tutaj podobno w Górkach, o mil kilka odemnie...

— Albo i to, proszę ciebie! — zawołała podkomorzyna — kiedy myśli rzetelnie około Stasi, to nie powinienże się zaprezentować jej rodzonemu wujowi?

— Ale proszę mamy — odezwała się Stanisława — przecie to jeszcze nie uciekło...

— Mhm! — mruknął na to skarbnik, spoglądając z uśmiechem na siostrzenicę — no, ale powiedzcież mi tedy porządkiem... bo jeszcze zawsze nic nie wiem. Więc pan Rudnicki bywa u was, i często?

— Bywa — odpowiedziała matka — ale co tam z tego bywania? Przyjedzie, siedzi, opowiada różne historye, i niema co przeciw niemu powiedzieć, dosyć to człowiek światowy, a nawet i nie głupi; ale co to z tego wszystkiego? Ja takich wszystkich ceregelów nie lubię. Kiedy młody zacznie zajeżdżać do takiego domu, gdzie panna jest na wydaniu, powinien być raz, drugi i trzeci, i koniec. Albo się deklarować, albo się pokłonić i z Panem Bogiem. Nie będzie ten, będzie drugi. A takie wszystkie kunktacye i namysły i oglądania się poza siebie, to się na nic nie zdało. Może to modne, ale nie dla wszystkich wygodne. To są

tylko bałamuctwa. I jabym się ledwie nie założyła o to, że w tym panu Jędrzeju niemasz szczerych chęci, bo gdyby były, toby ich w tajemnicy nie trzymał.

— Więc tedy — rzekł na to skarbnik — pan Jędrzej bywa, tylko jeszcze nic nie powiedział. No! a cóż Stasia na to?

— Ale co tam Stasia! — rzekła matka — ona wierzy w niego jak w pismo święte i gotowa jest czekać, choćby i całe życie. Ale to tak nie idzie. Piękna to cnota cierpliwość, ale tu nie na miejscu.

— No i cóż ty na to Stasieńko? — zapytał skarbnik.

— Ja? — odpowiedziała pewnym głosem podkomorzanka — mama już zna moje myśli. Ja wierzę.

— Otóż to masz jej konfesyę! — zawołała podkomorzyna — ale spytaj ją się, na czem opiera tę wiarę, to podobno dowodu nie stanie.

— Już to żadna wiara podobno — zabrała głos Stanisława — niema tak bardzo długich dowodów. Wierzy się tak, bo tak Pan Bóg natchnął serce człowieka. Ale ja tu znowu nie jestem tak całkiem bez dowodów, żeby mnie można o lekkomyślność obwinić. Przecież pamięta mama, że kiedyśmy powróciły z Warszawy i zaczęły głośne wieści chodzić o wojnie, mama mi wtedy wciąż powtarzała: — „Wybij ty sobie z głowy tego twego Jędrzeja, bo to nic z tego nie będzie. Wojna kto wie jak długo potrwa, a choć się skończy, to po wojnie każdy ma inne myśli, niż miał przed wojną“. — Ale ja mówiłam na to: — „Choćby wojna trwała niewiedzieć jak długo, to ja jestem pewną, że Jędrzej zdrów i cały powróci, a jak powróci do domu, to i do mnie powróci“. — Otóż jak mówiłam, tak się też stało. I teraz mówię: Jeśli pan Jędrzej się nie oświadcza, to musi mieć jakieś ważne do tego powody. Albo może niema jeszcze dosyć majątku, albo mu domu brakuje, albo się może sprzeciwiają rodzice, albo kto wie, jaka tam jest przeszkoda, ale że jest jakaś przeszkoda, to pewna. Ta przeszkoda się przy pomocy Boskiej i jego dobrych chęciach usunie, i wtedy Jędrzej przyjedzie i pokłoni się ma-

mie, prosząc o moją rękę. Tak jest, bo też i nie może być inaczej, ja znam dobrze Jędrzeja.

Skarbnik słuchał tego wywodu podkomorzanki z wielkim zadowoleniem, ale matka przeciwnie. Patrzyła ona prawie z niechęcią i rzekła zarazem:

— Otóż masz jej codzienne słowa! Ale ty dziecko jesteś, moja panno Stanisławo! Ty nie znasz świata i ludzi. A jeśli Jędrzej jeździ sobie do nas tylko tak dla rozrywki i ani myśli o deklaracyi?

— Nie, moja mamo. Gdyby pan Jędrzej o deklaracyi nie myślał, toby u nas nie bywał.

— No więc dobrze. A jeśli przeszkód tych nie usunie, które, prawdę mówiąc, Bóg wie, skądby się wziąć mogły u niego?

— On przeszkody usunie.

— Hm! — mruknęła podkomorzyna, wzruszając ramionami — mówisz tak jakby z pisma. Niby to Jędrzej jest wszechmogącym!

— On nie jest wszechmogącym, ale to zrobi.

— To jest doprawdy osobliwsza dziewczyna — rzekła podkomorzyna, obracając się do skarbnika. A na to odezwał się milczący dotychczas kapitan:

— No? a jak pan Jędrzej jeździ do panny Stanisławy, aby spolował jej posag? he? a co panna Stanisława powie na to? he?

Ale na to nietylko panna Stanisława, ale nikt nic nie odpowiedział, a natomiast zabrał głos skarbnik, obracając się do siostry:

— Powiedzże mi, kochana siostro, cóż przez to myślisz zrobić lepszego, jeśli do Lwowa wyjedziesz?

— Przez to rzecz skończę krótko i węzłowato, albo tak, albo owak. Jeżeli pan Jędrzej ma zamysły rzetelne, to za nami przyjedzie, a w mieście to już jest całkiem co innego. A zresztą w mieście nie będzie ten, to będzie drugi i dziesiąty i setny...

— Już ja mamie dziękuję za wszystkich innych...

— Ale poczekaj-no, wysłuchaj-no mnie do końca. Bo tu nie o to idzie, żeby cię wydać koniecznie za innego,

ale jak cię obskoczą i ci i owi, jak to w mieście bywa zwyczajnie, to już chybaby był z kamienia... albo też pokaże się jawnie, że doprawdy mu to nie w głowie.

— To prawda — rzekł na to skarbnik — to środek delikatny, uczciwy i wcale niezły; ale dlaczegoż się aż takich misternych dobierać środków? Czyby to nie lepiej po staremu, po polsku? Pocóż jechać po taką rzecz aż do Lwowa i kupować ją za drogie pieniądze, której tutaj dostanie na gruncie gratis, kosztem jednego zapytania?

— Już to, co do podróży do Lwowa, to ja mam i inne przyczyny — powiedziała podkomorzyna.

— A, jeżeli inne, to co innego, ale ja się podobno i tych innych przyczyn domyślam. Będzie to pewnie drugi amant Stasieńki?

— Oczywiście! — odpowiedziała podkomorzyna i powstawszy z miejsca, tak dalej mówiła: — Bo też proszę ciebie! I gdyby to już zrobił kto inny, mniejsza o to, ale pan chorąży koronny żeby dawał u siebie przytułek ludziom tego rodzaju i przyjeżdżającym w celach takich haniebnych, to jest zaledwie podobna.

— Mnie się zdaje, moje dziecko — rzekł skarbnik — że ty niesłusznie chorążego obwiniasz, bo jużciż rzecz jasna, że on o tem nic nie wie.

— Jakże? więc już wiesz tą całą historyę? — zapytała podkomorzyna.

— Złożywszy razem to, co się jeszcze stało w Warszawie i to, com się tutaj dowiedział, wyjaśnia mi się rzecz cała o tyle, że się reszty domyślam.

— No, więc wyobraź sobie! I żeby też się takie rzeczy działy na świecie! Jakiś kupczyk, czy pisarczyk, czy coś podobnego, żeby też śmiał oczy podnieść na Stasię! I to jeszcze z jakim zuchwalstwem! Chciał ją wykradać w Warszawie, pisał listy do podczaszynej i jeszcze tutaj przyjeżdża! I wyobraź sobie mój przestrach. Jesteśmy kiedyś w kościele, modlimy się jak zwykle, nic o niczem nie wiedząc, a Stasia czegoś zbladła i przycisnęła się do mnie. Patrzę bliżej, kto stoi pod chórem? Jpan Flawiusz. W jakimś czarnym płaszczyku, z kapeluszem trójgraniastym pod

pachą, jak istny szatan wyglądał. Ludzie się przed nim żegnali i obchodzili go jak najdalej. We mnie aż krew zastygła. Oprócz tego, jak mi to powiadają, jeszcze i tu po pod oknami się kręci. Trzebaż jeszcze tylko tego, żeby powiedziano, że tutaj bywa i o moją córkę się stara! Sama myśl ta napełnia mnie taką zgrozą, że cała od niej drętwieję. Ten zły duch śni mi się nawet po nocach i zrywam się ze snu i zasnąć potem nie mogę. A na co mnie tego?... Otóż i z tych i z owych przyczyn postanowiłam wyjechać do Lwowa i skończyć już raz tę historyę. I jestem pewną, że ty nie będziesz przeciwko temu, bo to jest rzecz konieczna i na dzisiaj jedyna.

Na to tedy zabrał głos skarbnik:

— Zaraz tedy, moje dziecko, rozbierzemy tę sprawę, tylko idźmy porządkiem, kategorycznie. Owo więc co do Flawiusza, niema kwestyi, że się to bardzo źle stało, iż takiego pędziwiatra jakiegoś i bodaj nie coś gorszego jeszcze nie wystraszono odrazu. Trudno było tego wymagać od pani podczaszynej przemyskiej, bo cóż może kobieta? Ale co Rudnicki, to mógł był go dokumentnie wystraszyć. Jużby tam zresztą był przez to cześci nie stracił, żeby się pobił na szablę i z szewcem. A byłoby przytem przecie i satysfakcyi cokolwiek wjechać z szablą na harcap i batystowe żaboty...

— Saperment! — zawołał na to całkiem niespodziewanie kapitan — saperment, żeby ja dostał był taki jakobiner! jabym jemu wystrzelił prościuteńko do głowy. No! to oni przecie zabili Maryę Antoanettę...

— O! — rzekł na to skarbnik do siostry — otóż zaraz masz dowód, że się nie masz czego obawiać Flawiusza. I ja tak myślę istotnie. Bo końcem końców cóż zrobi? Będzie jeździł po pod okna, będzie się wam przypatrywał w kościele i to będzie trwać póty, póki nie trafi na kapitana, a kapitan jak mu palnie z arkebuza prościuteńko do głowy...

— Ale bo tobie żarty na myśli, mój bracie...

— Nie, moje dziecko, seryo to mówię. Jpana Flawiusza niema się co obawiać...

— Ale ja rozumiem, że niema się co obawiać jego tam gwałtu jakiegoś albo napadu, ale proszę cię, cóż poczną, jeżeli mi go ktoś w dom mój przywiezie? A to może zaprawdę lada chwila nastąpić.

— Hm, zapewne, toby było niemiłe — rzekł na to skarbnik z namysłem.

— I potem te gadania, te plotki, te komeraże! Proszę cię, czyż można do tego dopuścić, żeby o pannę takiego rodu, takich koligacyi, wychowania, a nareszcie posagu...

— Toby było nie miłe — powtórzył skarbnik — ale na to mojem zdaniem niema innego sposobu, tylko trza pannę jak najprędzej wydawać za mąż. Przejdźmy zatem do jpana Jędrzeja. Owóż tedy w tym punkcie to ja bardzo sobie podobam w Stasi. Jej sentyment stateczny i jej niezachwianą ufność w Jędrzeja trzeba w niej umieć szanować. Daj Boże każdemu takiej żony, któraby w nim miała taką ufność jeszcze przed ślubem. I ma ona istotnie swoje powody, że jemu ufa. Jakoż i o nim to dobrze świadczy, że potrafił wpoić taką ufność ku sobie. Ja też trzymam tutaj za Stasią i trzymam także za Jędrzejem. I mam także taką samą wiarę jak ona, że się to zrobi powoli. Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego i tak ognisty kawaler tutaj trochę kunktuje, ależ to mogą być tysiączne powody... Zresztą też i czasu nie minęło jeszcze tak wiele. Co się działo w Warszawie, to nie powinno wchodzić w rachubę... Nastała wojna... A po wojnie wszakże to niedawno jakośmy powrócili do domów! Jędrzej teraz jest starszym i już sam się pewno namyśla nad każdym krokiem; ma rodziców, a rodzice mają także swe zdania... i tak dalej, i tak dalej, co wszystko go dosyć jeszcze usprawiedliwia i broni od potępienia stanowczo. To kunktatorstwo wszakże jest nam tu bardzo nie na rękę i trzebaby nam je koniecznie przeważyć. Ja sam jestem za tem, bo już to widziałem nieraz, że kto długo myśli, ten się łatwo rozmyśli. Jakoż doskonałem remedium na to byłaby podróż do Lwowa, — ale ja tej podróży byłbym z innych względów przeciwny...

— Proszę cię z jakich?

— Ze względów majątkowych. Chcąc zabawić przez całą zimę we Lwowie, to trzebaby zaraz kamienicę najmować, trzeba brać z sobą ludzi, konie, powozy, kuchnie, srebra i porządki domowe; trza frekwentować bale, reduty i wszystkie inne asamble, trzeba też dać jaki figiel u siebie... a to wszystko dziś niesłychanie kosztuje. Nuż dopiero sukienki, a kornety, a czuby, nuż koronki, a pudry, a inne rozmaite wymysły, od czego się pewnie despensować nie będziecie, widząc to także na innych. A na to, to już pójdą tysiące.

— Ej! nie będzie to tak wiele kosztować — rzekła podkomorzyna — przecież mamy chwała Bogu sukien aż nadto. O precyozach niema co i wspominać, boby nam wystarczyło jeszcze i kogo ubrać przy sobie. Wydatki będą więc małe, na które mam moją podręczną szkatułkę. A zresztą kapitan młóci, to nam coś przecie namłóci.

— Moje dziecko, kapitan wam ani na korki do trzewików nie namłóci. To Lwów! to drożyzna! kroku jednego nie zrobisz, żebyś się nie musiała opłacić. A ze srebrem ani się tam pokazuj. Kiedy nie rzucisz dukata za podanie płaszcza lub kapelusza, to drugi raz nikt na ciebie nie spojrzy.

— Przecież sądzę, że damom podaje kapelusze i młodzież, która tak słynie z grzeczności...

— To jeszcze gorzej, bo drożej. Tym znów trza płacić inaczej, trzeba ich karmić, poić, kapelę dla nich sprowadzać... Kiedyby się jeszcze skończyło na takiej zapłacie. Boć to nic dzisiaj darmo nie dają, a słyszałem ja nieraz podczas wojny w obozach, jaką to monetą każą sobie ci łotrzykowie płacić za podawanie płaszczów i kapeluszów. Bodajby ich paralusz naruszył, nieraz i słuchać nie można było. Pfe miasto! poco to jechać do miasta! To tylko dla wielkich panów, albo dla rzemieślników, albo dla wykpigroszów i innego wędrownego narodu; ale my szlachta, ziemianie, którzyśmy się porodzili na naszych skibach, żyjmy też sobie na tych skibach w łasce Boskiej do śmierci.

— Ale mój braciszku, już też mi tego nie zechcesz odmówić, żebym choć na jedną zimę pojechała do miasta, zwłaszcza też teraz, kiedy jest tego rzeczywista potrzeba. I nietylko mi nie odmówisz, ale i sam też z nami pojedziesz...

— Ja? w Imię Ojca i Syna! a pocóż ja też do miasta? chybaby wróble miejskie postraszyć, albo zgromadzać koło siebie lamparty. Toż to we Lwowie, jak powiadają, na lekarstwo już nie obaczy kontusza, ani czapki rogatej, ani butów barwistych! Kędy spojrzysz, peruki a peruki, że aż duszno od samego pudru i piżma. Chyba żebym też i ja łeb wsadził w perukę i posypywał się pudrem! Cha, cha, cha! masz tobie, mościa podkomorzyno, jakiegobyś ze mnie zrobiła błazna!

— Ale żartujesz, żartujesz sobie, braciszku, nie jest tam tak jeszcze we Lwowie. Większa połowa osób, nawet w dystyngowanym świecie, ubiera się jeszcze po polsku; mówią nawet, że u pani kasztelanowej kamińskiej niema nikt wstępu w niemieckich sukniach, a przecież u niej gromadzi się pierwsze towarzystwo.

— Tedy zapewne puste u niej bywają ściany, chociaż zaprawdę wstydby był i hańba szlachcie mieszkającej we Lwowie, gdyby takiej zacnej matrony nie odwiedzali tak gęsto, jak ona sama zapragnie. Miałem szczęście być jej prezentowany przed kilku laty we Lwowie, kiedym tam dla kompromisu Załeńskich siedział kilka tygodni, byłem też u niej na wsi, kiedym jeździł do Bessarabii za końmi, ale tak mówię, że jako żyję nie widziałem kobiety sentymentów tak męzkich i takiego dowcipu. Chyba że to aż Stasia kiedyś ją zakasuje...

— Widzisz więc, bracie kochany, i tobie tam nie brakuje na statecznej rozrywce, a oprócz pani kasztelanowej znajdziesz tam pewno niemało i innych zacnych znajomych. Kto tyle żył w świecie, jak ty, ten też musi być także temu światu znajomym. A prawdę mówiąc, rozrywka teraz byłaby ci bardzo potrzebną. Nacierpiałeś się tyle, przeszedłeś tyle zgryzot i bólów, czasby też także i rozweselić się trochę...

— Ej! nie czas to nam teraz do wesela, nie czas. I raczej mówić, bodajbyśmy byli nigdy nie doczekali...

— Ot! już i stara piosenka! — przerwała podkomorzyna — jeżeli mnie kochasz, nie wspomnisz mi o żadnych smutkach już ani słowa. U mnie jest taki przepis, że nie wolno nikomu mieć twarzy smutnej. Na smutek, na pomarszczone czoło, na brwi ściągnięte i wszystkie tym podobne oznaki nieukontentowania, są osobne paragrafy, wypisane na dyscyplinarnej tablicy. Prawda, kapitanie?

Ale kapitan drzemał zlekka i kiwał głową, jak słonecznik na wietrze.

— Nie, moje dziecko, żart na stronę, ja rzeczywiście jestem przeciwny tej podróży do Lwowa, i to, jak mówię, z majątkowych powodów. Nie idzie tu o te miejskie wydatki, bo i tobie na gotówce nie braknie, i możeby też wreszcie, kiedyby tego było potrzeba, i wujaszek ruszył tam jakiejś szkatułki, ażeby też między równymi sobie nie być ostatnim. Nie przeczę nawet, że w gruncie rzeczy jest i fortuna po temu, boć kiedyby to złożyć razem i moje i twoje, to posag Stasi możeby dolazł i do miliona... tych naszych dukatów teraźniejszych. Ale popatrz-no, moje dziecko, w jakim stanie jest ta nasza fortuna? Ot! ja dopiero co omal nie wyleciałem z Bóbrki i chociaż sobie poradziłem na to skutecznie, jednak zawsze jeszcze wiszę tylko na obietnicy, jak ptak na gałęzi. Obietnica to Mniszcha, niema co mówić, ale choćby też i królewska, zawsze to jeszcze nie rzecz. Toż i ty także z twoim Zagórzem jeszcze nie stoisz na pewnych nogach. Te twoje palestranty tarnowskie wcale mi się nie podobają. Wloką, wloką i wloką od lat dziesięciu, a skutku nic. Proces jak trwał, tak i trwa. A proces to zaprawdę niemiły, rozziawił gębę na cały Zagórz, a pożarłby jeszcze i więcej. Nuż przegrasz?

— Ale gdzieżtam, mój bracie! to wcale nie może być. Ja tam nie znam dokładnie wszystkich szczegółów tego procesu, ale wiem, że o tem ani mowy nie może być, żeby mi mieli aż Zagórz zabierać!...

— No, i ja też tak myślę, ale zawsze to tak bywa

na świecie, że dopóki się nie stoi na pewnych nogach, to się nie przymnaża wydatków. Jakoż, choć tam ta podróż do Lwowa, porwawszy nam nawet i kilkanaście tysięcy, nie potrafiłaby nas zrujnować, nie jestem ja przecież za nią i wolałbym, żeby się bez niej obeszło. Może być, że w swoim czasie i ja też będę za tą podróżą, ale pierwej inną rzecz ci zaproponuję.

— Słucham cię, mój braciszku, z uwagą.

Tedy skarbnik tak mówił dalej:

— Nie jestem ja wcale za tem, żeby kawalera wprost zapytywać w oczy, w jakich intencyach bywa w domu, gdzie panna jest na wydaniu. Praktykowano to dawniej za naszych ojców, praktykuje się jeszcze i dzisiaj; ale ja tego nie chwalę. Jest to zawsze rodzaj przymówki, a przymówka to robota kwestarska, w której jest pewno dosyć upodlenia się, bardzo dla kwestarza stosowna, ale wcale nieodpowiednia dla nikogo, który umie cenić swoją godność i niema chęci poniewierania się własną ręką. Mimo to jednak dowiedzieć nam się o tem trzeba koniecznie, co wiedzieć chcemy. A jak na wszystko na tym świecie są skuteczne sposoby, tak też i na to. Bo chcąc się dowiedzieć czegoś, nie koniecznie trza pytać o to, dosyć czasem popatrzeć w oczy... Czasem też i inni coś wiedzą, można tedy delikatnie wybadać innych... Takeśmy to postępowali niegdyś, kiedyśmy jeszcze miewali własny nasz pradziadowski rozumek, a rozumek to był mały i prosty, ale, jak ciebie kocham, skuteczny. Z nim nie przychodziliśmy nigdy do desperacyi i wiedzieliśmy zawsze co robić...

Tu kapitan chrapnął troszeczkę, zląkł się swego własnego chrapnięcia i zbudził się. Przetarł oczy, zażył tabaki i zaczął słuchać. Skarbnik zaś, uśmiechnąwszy się, prowadził dalej swój wniosek.

— Owóż tedy i tutaj można użyć tego prostego rozumu i z nim po prostu do Jaćmierza pojechać. Jp. Rudnicki ojciec, dawniej podkomorzyc krakowski, a dzisiaj ot! i nie wiem doprawdy, jak go tam tytułują, jest mi dawno i bardzo dawno znajomy. Byłem jeszcze prawie wyrostkiem, kiedym go poznał w Suszycy, gdzie się starał ra-

zem z jw. starostą bełzkim o Chwalibożankę, i wtedy zdarzyło mi się nawet wyrządzić jemu niepoślednią przysługę. Później, czasu konfederacyi barskiej, przypadkowym sposobem stałem się mu znowu pomocnym... i tak mogę powiedzieć, żem to ja jego ożenił.

— To wujaszka wiążą z panem Rudnickim takie bliskie stosunki — rzekła na to podkomorzanka — a wujaszek nam nic nie powiadał?

— Ot! bo mi to jakoś wyleciało z pamięci! Dawne też to czasy są, moje dziecko! i czasy takie, z których niemało do pamiętania zostało... Zapomniały się większe rzeczy, cóż się nie miały zapomnieć mniejsze?... Ale kiedy mi się teraz to nasunęło, to wam tą całą historyą opowiem.

Tu przyniesiono wino, skarbnik sobie nalał lampeczkę, kapitanowi drugą, trącił z nim żartem z życzeniem dobrego snu i zaczął opowiadać mniej więcej w ten sens.

IX.

— Owóż tedy — zaczął swoje opowiadanie pan skarbnik — działo się to prawie pierwszego roku naszej konfederacyi. Ja z ojcem moim byliśmy na Kalwaryi pacławskiej, na zwyczajnym odpuście letnim, i odprawiwszy nabożeństwo przystojne, które przy starodawnej mojego ojca zelozyi do trzeciego dnia się przeciągnęło, jużeśmy stamtąd wracali. A na takie odpusty jeździł mój ojciec zazwyczaj dworno i prawie szumno, bo mawiał: — „Kiedy się pragniemy uczciwie prezentować przed ludźmi, tedy jeszcze uczciwiej powinniśmy stawać przed Panem Bogiem“. — Więc lubośmy na ten odpust szli pieszo z domu aż na miejsce, szła za nami otwarta karoca o czterech koniach, za nią bryka, ładowna ofiarami i jałmużną dla kalwaryjskiego klasztoru, a za bryką jeszcze i konie wierzchowe, żeby to nie być w kłopocie, kiedyby trzeba gdzieś na bok odskoczyć, albo też *in casum* jakiej napaści. Ale wracając, jużeśmy też miejsca zabrali w karocy i kazaliśmy się powozić. — Kiedyśmy więc ruszyli z miejsca, oglądnie się

ojciec tędy owędy i rzeknie do mnie: — „Pomodliliśmy się Panu Bogu jak przynależy, godziłoby się też z powrotem zażyć jakiej rozrywki. Owo więc albo pojedźmy pod ruinę dobromilskiego zamku i oddajmy cześć temu miejscu, które już prawie świętem jest dla nas, albo wstąpmy w gościnę do pana Chwaliboga, który mieszka w Suszycy. Tu waść się przypatrzysz z góry naszej kochanej ziemi jako jest piękną i godną naszej miłości zawsze, a krwi w każdej potrzebie, i obsłuchasz się ciekawych rzeczy o Herburtach i innych starodawnych rycerzach, które ci będę powiadał — tam zaś obaczysz dom zacny i ludny, prawie pański dostatkiem, a przecie po staremu serdeczny. Wybieraj tedy raźnie, bo niema czasu do długiego namysłu.“ — Sam tedy nie wiedziałem co wybrać, i to mi się podobało i tamto, więc rzeknę ojcu: — „Panie ojcze! a nuż po staremu: *et haec facienda, et haec non omitenda?*“ — „Jakże tedy? dwa grzyby w barszcz? — powie ojciec — anoż pomnę po twoich kalwaryjskich modlitwach, przy którycheś się waść pracowicie oglądał, że bodaj czyś na jeden zasłużył“. A mówił to chmurno, tedy powiem mu prędko: — Jedźmy już chyba do pana Chwaliboga, bom to dziwne rzeczy słyszał był o tym dworze.“

Więc tedy ojciec już rozchmurzony kazał jechać prosto do Suszycy, a przez drogę tak mówił:

— „A żebyś waść wiedział, że pan Chwalibóg tytułuje się kasztelanem halickim. Już to porzucił ten urząd, a na jego miejsce mianowany pan Rozwadowski, ale tytuł ten mu się zawsze należy, bo nie postąpił na inny. A jego żona Rozwadowska jest z domu, dzisiejszego kasztelana halickiego rodzona siostra — więc obadwa to zacne bardzo imiona i trza na to pamiętać. Anoż znowu nie bardzo, bośmy to także nie lada skąd się wzięli na świecie. Więc z respektem, a miernie, żeby też miejsce zostało i *vice versa* na respekt. A z samym jegomością ostrożnie, bo ma zwyczaj rozdawać prezenty, tedy trza wiedzieć, z jakim fantem co począć. Tedy i to jeszcze ci powiem, że dawnymi laty lubiał on bardzo wyprawiać różne igrzyska u siebie, więc tedy harce na broń rozmaitą. Kiedy kto do takiej

experyencyi zaprosi, *denegare* nie można, bo kto nie chce wyciągnąć szabli, temu podają kota i każą mu go ciągnąć za ogon; tedy w tem cała sztuka, aby uniknąć zaproszenia od takiego, po którym się umiarkuje, że się mu nie da rady.

I tak mi ojciec różne dawał nauki, aż do samej Suszycy. Alem ani pomyślał, żeby to taki dwór miał być w tej Suszycy. Spojrzę tedy, ba! a tu nie dworno, jeno prawie zamczysto. Idą piętra i skrzydła, murowane, bielone, a wszystko pod dachówką i blachą. Jest i baszta graniasta i inne zabudowania duże po obudwóch stronach dziedzińca, a dziedziniec ogromny, choćby też i we Lwowie, mógłby obstać za rynek. A wszystko to razem obwiedzione srogim murem dokoła — jest też brama murowana o piętrze, a na około niej przyzwoita galerya.

Wjeżdżamy tedy — a tu gwałt, hałas, wrzawa, ludzi pełno w dziedzińcu, jakby na jakim jarmarku. Patrzymy bliżej, jedni się potykają na koniach, inni się przypatrują z koni, drudzy pieszo. W wielkim ganku kamiennym siedzi kasztelan, koło niego goście, jakoż i damy. Służba roznosi kielichy, piją, wołają wiwat! a kapela daje salwy z galeryi, nie żałując trąb, tarabanów i kotłów. Przez tłum ludzi i koni nie można było jak należy zajechać i ojciec mój był na to markotny, mówiąc: — „Już nam widzę trza dojść pieszo do ganku, jakbyśmy przyjechali za służbą.“ — Ale przecie nas jakoś zawczasu obaczył pan Chwalibóg i ojca poznał, jakoż nie tylko sam zaczął wiać chustką ku nam, ale też i syna wysłał ku nam, który nas przybiegł przywitać. Młokosik to był jeszcze; Kazimierz mu było na imię, i był prawie na równi ze mną, tylko mniejszy cokolwiek. Ale złote serce i fantazya niczego; zabraliśmy zaraz czułą przyjaźń ze sobą i przez lat kilka kolegowaliśmy razem w konfederacyi. Ożenił się potem gdzieś na Podolu, a dziś i nie wiem, co się z nim dzieje.

Otóż więc kasztelanic zbliżył się do nas i eksplikując ojca, że dla pedogry sam powstać nie może, witał nas

w jego imieniu i z przystojną atencyą prowadził zaraz w ganek.

A tu już woła do ojca kasztelan:

— Otóż to mi gość upragniony! kolega! Gdańszczanin! hej! a dajcie-no mi kielicha! a to syn twój, panie Marcinie? jest pociecha dla siebie, jest co i ludziom pokazać. A będzie prawie rówieśny mojemu. Niech-że tedy da Pan Bóg, aby w takiej przyjaźni żyli ze sobą, jak i ich ojcowie!

To mówiąc, wypił zaraz kielich do mego ojca i wlał w niego drugi, a tuż zaraz i trzeci, przyczem też i mnie nie minęła kolej i podpiliśmy z Kazimierzem na fantazyę cokolwiek. Tedy ojciec został przy kasztelanie, a my szliśmy do dam. Pani kasztelanowa, nie ma co mówić, zacna bardzo matrona, jeno trochę ułomna, przyjęła mnie uprzejmie i bardzo chwaliła pobożność naszą, żeśmy to dopiero teraz powracali z odpustu. Przymówiła się też do nas i panna, ależ to panna, bodaj czym widział gdzie urodziwszą. Bo to wzrostem jakby młoda sosenka, włosy ciemne, a oczy jasne jak błękit. Kiedy co przemówiła, człowiek aż się rozpływał i żebym się był zaraz nie dowiedział, jak to tam było, to kto wie, coby się stało i ze mną. — Ale już tam za jej krzesłem stał i wtedy kawaler, który jak widać był jej zapisany od Boga. Stał i szeptał jej coś ustawicznie do ucha i widać było, że panna wcale go mile słucha. Spojrzę tedy, ba! nie kawaler, ale prawie persona. Nie osobliwie słuszny, ale też i nie mały, wąs i czupryna od ciemnej gwiazdy, a już na nim ledwie nie sam aksamit i złoto. A zdało mi się tak, jakbym go gdzieś widział. Mrugnę tedy na Kazimierza, aby mnie z nim zapoznał, a on na to:

— Alboż to się panowie między sobą nie znacie? wszak Sanoczanie obadwa. To pan Rudnicki z Jaćmierza, podkomorzyc krakowski.

Toż i jemu moje powiedział nazwisko.

A on mnie zaraz w ramiona:

— Panie bracie i jak Pana Boga kocham żywego, takbym był nigdy nie poznał! A toż to jeszcze nie da-

wno żaczkiem ciebie widziałem u ojca! A teraz już i mnie przerósł o głowę. Ale jakżeż, toż to waszmość nie w konfederacyi?

— A waszmość? — rzekłem — wżdy i waszmości nic nie brakuje.

— Ale ja byłem, byłem pod Rymanowem i trochę dalej, jenom się jeszcze na mały czas wrócił do domu.

To mówiąc, rzucił okiem na pannę, a panna oczy ku ziemi.

Tedy ja mówię tymczasem:

— O! i jabym był tam pewnie, ale cóż, kiedy mi jeszcze nie wolno.

— Czy pan skarbnik nie chce zezwolić?

— A nie chce.

— Poczekaj waść — rzecze na to Rudnicki — ja tobie wyrobię pozwolenie u ojca i pójdziemy razem. Ale kiedy ja pójdę, to siła jeszcze zabiorę z sobą i bodajby nie wszystkich.

To mówiąc, znowu rzucił okiem na pannę, a panna na to:

— Bodajby tylko niektórzy nie przeczuli tego, że ich waszmość chcesz zabrać ze sobą, i właśnie dlatego nie przyjechali.

— Ale przyjadą dziś, niezawodnie przyjadą — rzekł na to kasztelanic — mam ja już wiadomości, że nocowali w Samborze.

Widzę ja tedy, że tu jakieś tajemnice wieszają się między panną i podkomorzycem krakowskim, więc pomówiwszy jeszcze słów kilka, wziąłem zaraz Kazimierza pod ramię i odprowadziłem na stronę. Poszliśmy tedy niby przypatrzyć się harcom, ale kiedyśmy się już oddalili od dam, rzeknę ja do niego, jak to pomiędzy młodymi nie wiele potrzeba do konfidencyi:

— Panie bracie! cóż to jest takiego? Już na pierwszy rzut oka nie może to być tajno nikomu, że podkomorzyc się ma dobrze do jmć panny kasztelanki, ale też widać zarazem, że w tej imprezie coś mu stoi na drodze. Radbym tedy wiedzieć, co wy o tem myślicie, bo kiedyby

była wasza wola po temu, dobrzeby poczciwemu człowiekowi dopomódz.

A na to kasztelanic:

— Otóż właśnie miałem z tobą pomówić o tem, bo już my tu dobrze sobie łamiemy głowę i mamy różne projekta, jeno niema komu ich wykonać.

A jakom to był smyk cały natenczas i fantazya była we mnie jak płomień, a rozwagi ni za złamany szeląg, tedy mu mówię zaraz:

— A tożto do mnie z takiemi rzeczami jak w dym, panie bracie! Dajże mi zaraz rękę, już ja z tobą i z Rudnickim na zawsze... chociaż, prawdę mówiąc, nie wiem jeszcze, przeciwko komu.

Tedy mnie zaraz uściskał i opowiedział całą historyę w ten sens:

— Owóż tedy — mówi mi kasztelanic — Rudnicki zaczął tu zajeżdżać do mojej siostry, a jako to jest chłopak zacny i przystojny, i zresztą *acceptabilis* pod każdym względem, więc i podobał się. Mówiąc pomiędzy nami, moja siostra także go kocha. Jakoż i rodzice nie mieli zrazu nic przeciw temu, bo Rudnickiemu choćby i po najpierwszą rękę sięgnąć nie grzech. Były też zrazu jak najlepsze aspekty. Ale tymczasem wybuchła konfederacya. Rudnicki poszedł. A tu tymczasem, ni stąd, ni z owąd, zjawia się w domu naszym jw. starosta bełzki, który od razu dał poznać rodzicom, że ma intencye względem ich córki. Starosta bełzki w gruncie rzeczy niczem nie jest lepszy od Rudnickiego. Ma on może troszkę większą fortunę, lecz to prawie na jedno, bo i ten nie ubogi, a kto się pieczętuje Pomianem i pisze się z Rejowa, czy Radwanem i pisze się z Rudnik, toż to także na jedno. Ale jw. starosta jest najpierwej jw.; powtóre ma order świętego Huberta, po trzecie ma aspekt blizki na kasztelanią, więc to tak zbałamuciło ojca, że mu się ten starosta nadewszystko podobał. Nie podobał on się wprawdzie ani mojej matce, ani też siostrze, ale u nas wszystko na ojcu. Jeszcze trzeba tego nieszczęścia, że podkomorzyc poszedł do konfederacyi i przez parę miesięcy go tutaj nie było,

więc przez ten czas starosta, zajechawszy tu dwukrotnie i traktując rzecz z pańska, a przy tem mądrze, tak mego ojca dla siebie pozyskał, że ani klinem mu go nie wybijesz. Już nas nawet i desperacya brała, bo te rzeczy stały tak blizko, żeśmy się bali, ażeby ojciec za pierwszem lepszem natarciem starosty, zwłaszcza też kiedy parę kubków naleje, nie kazał klęknąć Maryni z nim na kobiercu. Otóż w tej desperacyi posłałem ja zaraz milczkiem po Rudnickiego, który lubo z wielką trudnością dostał urlop, przyjechał przecie i jest. Starosta dzisiaj przyjedzie, myślimy tedy coby tu zrobić, a trza coś zrobić koniecznie, bo Rudnicki do konfederacyi powracać musi, a jak tu zostawi starostę, wszystko weźmie w łeb i przepadnie na wieki.

— Tak to jest, panie bracie? — rzekłem ja na to — no więc cóż macie za projekt?

— My mamy różne projekta — mówi mi kasztelanic — ale wszystko to warte nie wiele. Chyba żeby aż się miał bić z nim Rudnicki, ale to *dubius eventus*.

— A żeby też jakim sposobem tego pana starostę na dudka wystrychnąć? co?

— Ba! gdyby to można! ale to trudno, bo się ma na baczności i człek zgoła nie głupi, a podobno mu i na fantazyi nie braknie, kiedy tego będzie potrzeba.

— A gdyby też z tej fantazyi korzystać, jeśli pewna?

— O! — zawołał kasztelanic — otóż my to właśnie myślimy i to poprostu w ten sposób, żeby go do konfederacyi zawezwać. On do konfederacyi nie pójdzie, bo na przeciwnej drodze widzi swoją karyerę, a mój ojciec znowu jest *anima et corde* za konfederacyą, więcby się na tem niezawodnie rozeszli. Ale jakże to zrobić? toby trzeba zrobić jakoś dosyć publicznie, żeby też z tego został płat wyraźny na panu staroście, a tu na nieszczęście nie masz nigdzie blizko konfederatów. Ja tu trzymam umyślnie kilkunastu szlachty w gościnie i nie puszczam ich z domu, ale to wszystko na nic się póty nie przyda, póki nie będziemy tu mieli choć kilkunastu konfederatów. Jabym ich może gdzie i odszukał, bo się tu kręcą tędy owędy, ale jakże mnie znowu wypada sprowadzać konfederatów tutaj?...

Rudnicki się boi odstąpić stąd choćby na chwilę, bo jest zdecydowany bić się w końcu choćby i na śmierć z starostą, a z tych szlachty wysyłam już kilku, ale to do niczego.

— Czekaj-no, panie bracie — rzeknę ja na to — może to będzie z trudnością, może się jakoś namyślimy inaczej, ale musimy my temu zaradzić koniecznie. Pierwsza rzecz jest, żebyście mnie stąd nie puścili. Mój ojciec jutro pewnie wyjedzie, niech-że więc sobie jedzie, bo to i lepiej będzie; mój ojciec-by pewnie ważył za starostą, bo i sam jest konfederacyi przeciwny. Ale mnie już nie puśćcie na żaden sposób...

— Ale nie puścimy cię, o to bądź pewnym.

Jakoż to mówiąc, kiwnął zaraz na podkomorzyca, który też w ten moment do nas przystąpił i tak we trzech zaczęliśmy się dalej naradzać. Ten tedy tak radzi, a ten owak, a podkomorzyc powiada:

— Ale co tam te długie ceregiele! To do niczego! Wezmę ja tu *breviter* tego perukarza na szable i kurtę mu skroję taką, że go rodzona matka nie pozna... ot! i krótka sprawa, i po wszystkiemu!

Ale podkomorzyc odmawia, i ja też także, myślę zaś sobie: Niech też pierwej obaczę subjektum, może też potem i sam poradzę.

Ale wtem, kiedy tak radzimy, zajeżdża wielka i zgoła pańska kareta w dziedziniec, a bardzo to szumno i hucznie. Foryś, Kozaki, złoto-lite liberye, cug sześcio-konny i zgoła huczno za katy. Ciągną mnie tedy za poły i powiadają: starosta! — Zbliżamy się więc pomału do tego pańskiego powozu, jakoż widzimy zaraz wysiadającego zeń pana starostę i widzimy także, jako wieje chustką ku niemu kasztelan, wita go z afektami, każe przynosić kielichów, a co więcej, każe grać salwy trębaczom.

Myślę sobie: nie dobrze.

A tymczasem starosta się wita, prezentuje na wszystkie strony, prawi komplimenty jak z płatka. Przypatruję mu się więc bliżej, lecz widzę, że to także figura. Był on wprawdzie ubrany z francuzka i miał dziwnie kędzie-

rzawą i wypudrowaną perukę na łbie; ale pod peruką twarz wcale piękna, oko czarne otwarte, wzrost wysoki chociaż trochę przycienki, ale postawa śmiała i swego pewna. Idzie tedy do dam. Nuż dopiero tam w komplimenty! ale to tak, że ażem się zapomniał. Bo to na wszystkie tony, jakby grała kapela. Więc i jejmości, i pannie, i innym damom, i mężczyznom się tam dostało, a każdemu nie skąpo, każdemu składnie i coraz innym językiem. Więc do dam po francusku, do kanonika po łacinie, a do Włocha malarza po włosku. Aż inny duch wstąpił z nim w całe koło, jakby kto różdżką tknął czarodziejską.

Myślę sobie: to jeszcze gorzej.

Nasłuchawszy się tedy tej rozmowy do syta, odstąpiłem cokolwiek i zacząłem się przypatrywać jego ekwipażom, bo za karetą był jeszcze i kocz oprócz tego, Bóg to już sam wie na co. Aleć on musiał wiedzieć. Przypatruję się tedy temu, ale i tu wszystko ładne i rozumne, i składne. Konie jak katy, służba, rozpakowująca bagaże, skrzętna, powozy szklące jak lustra i nowiuteńkie jak z igły. A na powozach pomalowane herby. Przypatruję się tedy bliżej i widzę tarczę dwoistą. Na jednej z nich Pomian, żubrza głowa krótkim mieczem przebita a rączka miecza bez kółka, jak to właśnie noszą ci, którzy się piszą z Rejowa. Ale druga tarcza herbowna próżna, a jest.

Myślę sobie tedy: to już najgorzej. Bo już to miejsce na herb kasztelanki i musi też kawaler mieć już jakieś obietnice, kiedy sobie tak postępuje jawnie.

Przypatrywałem się tedy jeszcze jakiś czas harcom, lecz lubo piękne były, nie wiele mnie one zajmowały pod ową porę, bom miał już głowę nabitą starostą. Wkrótce też przybiegł do mnie Kazimierz i powiedział mi, że w tej chwili odebrał wiadomość, że Przemyślanie i inna szlachta z tej strony Sambora mieli dnia wczorajszego *conventiculum* we Felsztynie i że radzili nad tem, jakby się mieli skonfederować i z którym konfederackim oddziałem połączyć. Prezydował tej sesyi jmć pan Gadomski i miano go tam obrać marszałkiem, ale z tego wszystkiego na końcu

nic, bo się po staremu porozjeżdżali do domów, nic nie zrobiwszy.

Tedy na to bardzo kasztelanic narzekał. Ale ja jemu mówię:

— Poczekaj-no jeszcze, panie bracie. Bo z tej wiadomości nie można sądzić o tych ludziach napewno. Trudnoż, mieli zaraz trąbić przed całym światem, choć też i co uradzili.

A on na to:

— Masz racyę, to chyba ja jeszcze poszlę do Felsztyna i to już do samego Gadomskiego.

— Na każdy wypadek poszlij. Wszakże to stąd do Felsztyna nie więcej, jak mila. A z tem już i wieczór się zbliżył. Jeźdźcy pozsiadali z koni i jedni poszli się przebierać, drudzy wprost na pokoje, gdzie ich już gospodarstwo czekali. Poszedłem też i ja do przeznaczonej dla nas kwatery, gdzie przyszedł także mój ojciec. Ale on wziął tylko pas paradniejszy i kontusz karmazynowy na siebie, ja zaś musiałem się całkiem wystroić, bo mi powiedziano że będą tańce, które zawsze bywają, jak przyjedzie starosta. Ale ani się komu śniło, na jakich to tańcach się skończy!

Ubrawszy się, idę więc i ja na pokoje. Ale pomimo to, że się nie spieszyłem, zastałem dopiero preparatywy. W wielkiej sali na chórze kapela instrumenty stroi — a w przyległej komnacie kasztelan kielichami nastraja fantazyę tanecznikow. Jest też i co przekąsić. Jedzą jak bernardyni, piją jak susły. Patrzę bliżej, co robi starosta? Aleć pije także niczego. Stoi on między kasztelanem, moim ojcem a inną szlachtą zacniejszą, przypowiada, dowcipami strzela, a co przypowieść to jeden kielich, a co dowcip, to drugi. Mój ojciec ciągnie także, jako to po odpuście. Wezmą mnie tedy pomiędzy siebie młodsi, więc i my nalewamy po kropli. Już się też damy zaczynają schodzić do wielkiej sali; już i smyczki się odzywają. Mówimy tedy sobie: trzeba kończyć, bo kiedy muzykanci mają nasmarowane smyczki, to i myśmy się dłużej nie powinni smarować. Już się więc zabieramy, kiedy wtem zrywa się

gwar między starszymi. Słucham lepiej i patrzę, a tu mój ojciec rzuca się wprost do starosty:

— A co to mi waść głupstwa gadasz! patrzajcie go! smyk jakiś! że się utytułował drążkowem starostwem i zawiesił wyproszoną w antykamerze gwiazdę na piersiach, to już nam tu będzie pstrykał w nos, jakby osa! A co to? a kto to waść jesteś taki? he?

Starosta trzymał kielich w ręku i tak skostniał z kielichem. Lecz zaczął mówić:

— Ale panie stolniku, opamiętaj się pan, boś nalał w pałkę...

A to już nadto było dla nieboszczyka, więc kiedy huknie na niego:

— A co to mówisz, k.... jeden! — I tu mu się wyrwało cztery litery, pomiędzy któremi, jako to stary żołnierz, kiedy był w gniewie, nie osobliwie przebierał. Starosta także mu coś odrzucił, a mój ojciec już się aż trzęsie cały. Dobył szabli i w niego. Starosta do szpady. Więc mój ojciec po polsku:

— Hej! dajcie mu szablę, bo rozsiekam tego szelmę w kawałki!

A starosta znowu klnie po francusku i broni się szpadą jak może. Więc my pomiędzy nich. Chwytamy ojca za ramiona, za ręce.

— Puszczaj! kto w Boga wierzy! — woła ojciec — sto dni odpustu, kto mi nie zastąpi!

Ale my nie puszczamy. A tu kasztelan podnosi ręce do góry, woła z krzesła:

— Na miłość Boga! nie dajcie! panie skarbniku! Marcinie! jak mnie kochasz! na zbawienie duszy twojej! On się sumituje! on deprekuje!

My też także wołamy, chwytamy za wyloty. Przecieśmy jakoś zmitygowali. Starosta odżył. Ojciec odstąpił, ale chodzi bokiem, szablę ściska w garści, wąs gryzie. Ale mówi w głos:

— A czy mnie tu dyabli wnieśli do tej nawiedzonej Suszycy! Najeżdżają jakieś wiercipięty, infestują obywa-

telstwo i nawet dla siwej głowy respektu nie mają! A to co takiego?

Tam znowu kasztelan mityguje starostę. Starosta się niby fuka, ale się też i zgina. Ale wnet ojciec znów poskoczy do niego:

— Waszmość się staraj o szablę i o świadka, bo ja się na rożny nie biję, a swego nie daruję! Mam lat siedemdziesiąt z okładem, ale jeszcze cię zgolę razem i ze świadkiem! Popamiętasz waść ruski miesiąc, jaki to trza mieć respekt dla starszych!

A kasztelan i inni tymczasem godzą.

Było wiele gadania — ale ich przecież zgodzili.

Starosta sam przystąpił do ojca i mówił:

— Obraziłem waszmość pana, ale też i przepraszam. Nie mógłbym tego przenieść na sobie, gdybym się bił ze starcem takim sędziwym i tak szanowanym.

A ojciec na to:

— No, więc tego, więc niechaj będzie. Pokora mury łamie, a ja przecie nie z muru. Ale na drugi raz waszmość pamiętaj na to, że starostwa i gwiazdy to rzeczy ludzkie, a człowiek rzecz Boska. Więc to trza przedewszystkiem umieć uszanować człowieka. Albo to zresztą wiesz, co za człowiek w kim siedzi, chociaż gwiazda go nie oświeca? Otóż wiedz o tem, żeś jeszcze rakiem chodził po ziemi, kiedym ja już moje służby odbył w trzech wojskach. I żebym był chciał, byłbym się okrył gwiazdami jak *via lactea* i byłyby się sinekury na mnie posypały jak gwiazdy. Ale snać mi się to nie zdało, kiedym to odepchnął od siebie. Siedzę dzisiaj na roli, chodzę za pługiem i skarbnikuję panom braciom sąsiadom, ale nie olśnię od widoku starosty, ani też wojewody!

I tak mu wypowiedział kazanie, i wypito po parę kielichów, i już było niby to dobrze.

Więceśmy poszli do wielkiej sali. Starosta z nami. Kapela zagrała taniec. Starosta rej wodzi, menuety, figury wymyśla, wykręca się na dwóch piętach, a na czas i na jednej

Widząc to ktoś, mówi sobie:

— Bodaj też upadł!

A podkomorzyc na to:

— Nie upadnie, bo dusza poszła w pięty, więc waży.

Patrzymy więc, a Rudnicki i mało tańcuje, jeno coś bokiem kroi, wąsa kręci, a ma wciąż na oku starostę. Aż gdy taniec się skończył i starosta stanął w małem kółku między damami, gdzie była także i kasztelanka — i im tam coś prawi, chwiejąc się na tę stronę i ową, jako trzcina na wietrze — przystępuje Rudnicki do tego kółka i zrazu milczy i tylko słucha. Ale nareszcie rzeknie głównie te słowa:

— Pachną tu tęgo perfumy, ale słychać nieźle i tchórza.

Ale starosta jakoś tego nie zrozumiał i rzekł do niego:

— Ale mój Rudnicki (a znali się dawniej) — cóż też masz za żarty oryginalne!

A na to Rudnicki, patrząc ostro mu w oczy:

— Oryginalne może, ale prawdziwe pewnie.

— Cóż to jest? — spytał trochę zakłopotany starosta — przecież sądzę, że nie chcesz moją cierpliwością się bawić...

— Jam już się twoją cierpliwością zabawił dosyć...

— Proszę cię bardzo, bo ja takich rzeczy nie znoszę...

— Zniosłeś lepsze dopiero...

— Basta! — krzyknął starosta, ale podkomorzyc, czy to nie rozumiejąc znaczenia tego słowa: basta! choć znane, czy może tak poprostu na krzyk przeciwnika, krzyknął sobie. Jakoż zaraz zgiełk, wrzawa, tumult. Burda nowa.

Idą hurmą do drugiej komnaty. Tam zrywają się starzy. Hałas. Ten to mówi, ten owo, tylko Rudnicki jeden mówi krótko, że się będzie bić ze starostą. Starosta czepia się na nowo mojego ojca, mówi że to z jego przyczyny, woli się bić z moim ojcem. Ojciec woła: bene! bierze szablę, ja też także do szabli, inni sobie — kasztelan ręce łamie, błaga, zaklina, a tu się ruszyć nie może. Krótko mówiąc, sądny dzień wszędzie. Trwa to może z jakie dziesięć pacierzy i dłużej.

A kiedy się tu tak certują, kto się ma z kim mierzyć najpierwej, a już nawet i kasztelan przyznaje, że się

trza zmierzyć koniecznie — zagra nagle kapela w sali. Zaglądamy czemprędzej: a tu dziw niewidziany. Wielka sala, wielka sala, jakby ją nabił nowymi gośćmi, idą zaraz polskiego, a w pierwszą parę pan Gadomski z kasztelanową. Dalej inni, lecz wszyscy jakoś dziwnie ubrani: więc na tym kurta łosiowa, na drugim pancerz, a trzeci też w koszulce drucianej, a wszyscy zbrojni od stóp do głowy.

Wpada Kazimierz do ojca, woła:

— Konfederaci!

Na te słowa kasztelan powstał na nogi; jakoś i podagra ustąpiła przed konfederatami! oparł się kasztelan na synu, ja mu pomogłem z drugiej strony i takeśmy go wprowadzili do wielkiej sali. Tedy go zaraz wszyscy witają, my obstępujemy konfederatów; pan Gadomski nam mówi że się skonfederował i że ku Krakowu pociągnie, zabierając ze sobą wszystkich, kogo tylko znajdzie na drodze.

A na to się odzywa Rudnicki:

— Wszyscy my tu pójdziemy, jeno się pierwej wybijemy pomiędzy sobą.

— A to co znowu? — zawołał marszałek — dałbym ja wam bić się pomiędzy sobą. A czy to nie ma teraz gdzieindziej okazyi narazić zdrowia swego na szwank? A! toby mi się podobało!

— Ale bo tu — rzekł podkomorzyc — posądzono kogoś, że perfumami tchórza gasi, ale go jeszcze nie zgasił.

W śmiech tedy wszyscy. A starosta, jakby go barszczem oblał, jakoż rzucił się zaraz i zawołał:

— Otóż żebym panu dał dowód, jak niewczesne są żarty pańskie, daję rękę jmć panu marszałkowi, że pierwszy się łączę z jego konfederacyą — ale się pierwej rozprawię z panem... na pistolety.

— Słowo i rękę waszmości solennie przyjmuję — rzekł na to z powagą marszałek — ale ani sobie mówić pozwolę o pistoletach. Od tej chwili jesteś waszmość pod moją komendą i w moim obozie, a wiesz waszmość, że to gardłem pachnie pojedynek w obozie?

Ale już ledwie dali tych słów marszałkowi domówić. Krzyk, hałas, *in honorem* starosty, jedni z serca, drudzy też dla krotochwili. Kasztelan przytem nie był, kiedy się to stało, więc kiedy mu powiedziano, aż się porwał za głowę:

— A coś waszmość zrobił, mości panie starosto! — jakoż się zaraz zachmurzył i dodał:

— Dwie sroki za ogon, już też to całkiem nowa moda.

A Rudnicki zaciera ręce i mówi:

— Nic to mu nie zaszkodzi, panie kasztelanie! Przetrzęsie się trochę i woń perfum się rozejdzie od niego, i tchórz wywietrzeje, i wypolszczeje też trochę, bo przyznaj sam pan kasztelan, że zanadto zfrancuział.

A kasztelan śmiał się i mówił:

— Bodaj ciebie! mości Rudnicki! ot! taki to nie ma jak my starzy z wąsami i z swoją własną czupryną! Wiele to razy się tu piło i nie tak jak dzisiaj, a powiedz sam, czy było kiedy choć raz tyle hałasu?

— Bośmy byli swoi — zakończył podkomorzyc — a to widać że cudzy. — Kasztelan pomyślał trochę, ale znów się zachmurzył i dodał:

— I cudzy się może także przyswoić, a wy niby to swoi, a zrobiliście mi jakoby na złość.

Rzeknę ja tedy Rudnickiemu na ucho:

— Jakoś tu widzę koło kasztelana wieje wiatr marcowy, raz pogodno, raz słotno.

A Rudnicki na to:

— Nic to nie szkodzi, po marcu kwiecień, a po kwietniu maj nadchodzi. Ale przecie trochę markotno mu było.

Jednak już nie odstąpił od swego. Były jeszcze tany i hulanka serdeczna, i bawili się wszyscy. I starosta się nawet rozweselił, choć mu tam pewno gorzko było około serca. My już nic, tylko myślimy sobie: będzie tu dopiero nazajutrz robota, bośmy pewni byli, że starosta nie dotrzyma parolu. Aleśmy się w tem omylili. Bo dotrzymał i nawet pięknie: powozy najętymi końmi poodsyłał do domu, a wszystkie swoje bachmaty i ludzie dał marszałkowi do dyspozycyi. Bardzo się to podobało kasztelanowi, jakoż tak czule się z nim żegnał, że aż mu łzy stały w oczach.

Mnie aż się serce krajało, żem nie mógł iść z tą konfederacyą — ale nic nie pomogło. Ojciec był niewzruszony. Kiedy więc już siadali na koń, panna w ganku płakała, a nie wiedziano za kim, bo obadwa to brali do siebie — szepnąłem jeszcze Rudnickiemu:

— Pilnujże tam, panie bracie, jakoś nie źle starostę, bo kiedy sam tutaj wróci, kto wie co będzie.

Ale on na to:

— Już się tam nie bój o to. Będę ja jemu dobrze świecił sam sobą i chybaby to był cud od Boga, żeby choć jeden z nas tam nie został.

I tak tedy obadwa poszli razem na wojnę.

Tu skarbnik przerwał swoje opowiadanie, napił się wina, obudził kapitana, który już znowu zachrapał, i właśnie miał mówić dalej, kiedy wtem zapytała podkomorzyna:

— Jakże? więc koniec na tem? a to chyba zginął starosta bełzki?

— Nie, moje dziecko, zaraz ci to opowiem.

— Ja bardzom ciekawa — rzekła na to podkomorzanka.

— To tem lepiej dla opowiadającego — zauważył Nieczuja — ale pilnuj się dobrze, boby tu długo trzeba rozprawiać, aby wyświecić dalszą starosty historyę, a ja będę mówił krótko i węzłowato, i prawdę mówiąc, nic mi tam do starosty.

— I nas też nie obchodzi starosta — rzekła na to podkomorzyna — chcemy tylko wiedzieć, jak się ożenił Rudnicki.

— O co też i mnie idzie.

— Owóż tedy — zaczął dalej ciągnąć swoje opowiadanie Nieczuja — jakie tam losy spotykały z początku tych obydwóch amantów, tego i nie wiem, bom to musiał siedzieć natenczas w domu i jenom wieści chwytał o wojnie. Ale w niedługim czasie byłem i ja też w tej wojnie. I z różnem szczęściem, jak to zwykle w okazyach, a zwłaszcza pod ladajakimi wodzami; jakoż to szczęście wkrótce skończyło się na tem, że nas w puch

rozbito u Pilzna... Ja i sześciu jeszcze konfederatów uszliśmy jakoś szczęśliwie, a omyliwszy pogoń, dostaliśmy się w góry i tamtędy przerznęliśmy się aż niedaleko Wiśnicza. Mieliśmy zamiar albo dotrzeć do którego z zamków obronnych około Bobrku lub Lanckorony, albo też dostać się do Bierzyńskiego, o którym wielki rozgłos się właśnie wtedy rozlegał wszędzie. Byliśmy bardzo ostrożni, ale jużeśmy się wtenczas nie mieli czego tak bardzo obawiać, bo nasz oddzialik wyrósł był przez drogę do dwudziestu i kilku szabel, konie były tęgie, ludzie także nieszpetni, tylko żeśmy byli zmęczeni bezsennością do tego stopnia, że nam trzeba było koniecznie choć dwudniowego spoczynku. Kiedyśmy więc przyjechali nad Wiśnicz, wielkie nas wzięło łakomostwo do miasteczka zajechać i tam wypocząć, bo to spoczynek najlepszy w mieście. Chodziło tylko o to, żeby się naprzód dowiedzieć, kto tam jest w mieście. Podsuwamy się tedy, łapiemy jakiegoś waszecia: A co tam?

— O panie! — rzecze nam poczciwina — u nas konfederatów kupa. Pozwlekali się gdzieś od gór, co ich tam kędyś rozbito.

Tedy dobra nasza, ale i nie ze wszystkiem — ale już śmiało jedziemy w miasto. Główna rzecz teraz, żeby jakiś dom znaleźć niezły i dość obszerny, aby się w nim wygodnie pomieścić. Patrzę tedy, ten maleńki, ten bez stajen, ów jakiś nadto odarty, ale nareszcie wybrałem jeden niewielki wprawdzie, ale ze szopą i stajnią i z dziedzińcem u przodu. A przed bramą stoi jakiś już podeszły a niewielki człowieczek, ubrany z polska, ale w kapeluszu pilśniowym. Widząc ten człowieczek, że się zbliżamy ku niemu, a jest nas tylu, wyszedł do nas, składa ręce, modli się:

— Ej! panowie! miście mnie, miście! ja ubogi! córkę mam chorą! miejsca niema! już mnie też wszyscy minęli. — A mówi z polska, ale jakoś mięciutko.

Pytam tedy:

— A kto waść za jeden?

— Jestem Francuz — powiada — byłem za fechtmistrza u księcia, a potem za marszałka, a na końcu bur-

grabia. Za tyloletnie moje wysługi książę mi dom ten darował.

— Mości panie burgrabio — rzeknę ja na to — tedy ty nam znów za nasze wysługi dasz pomieszczenie w tym domu.

A tu już zajeżdżają, drudzy zsiadają z koni, pakują się do szopy i odmykają stajnie, inni się pchają do domu. Stary płacze.

— Nie płacz — rzekłem — toż cię tu nikt nie będzie rabował.

— Ej! panie drogi! córkę mam chorą w domu, dzieciątko małe.

— Więc będziemy sprawować się cicho.

Jakoż najęczał się dość staruszek, bo mu pozabierali słomy i siana i do komory się nawiasem dobrali, a roztasowali się po jednej stronie domu, w dwóch małych izbach, które były próżne; ale to nic nie pomogło, bo żołnierz głodny a przymęczony nie ma uwagi na nic. Naniosłszy słomy, kładziemy się spać, choć to było jeszcze jeno pochmurno, i ja położyłem się także; drudzy, na których kolej, czuwają.

Zasnąłem sobie tedy, jak kamień. Kiedym się zbudził, już się zmierzchało. Inni śpią jeszcze. Posnęli też i ci zdrajcy, którzy byli na czatach, alem ich już nie budził, biorąc sam czuwanie na siebie. Ale że mi ckliwo było jakoś w żołądku, poszedłem na drugą stronę do naszego gospodarza. Tam dwie izdebki znowu, schludne dosyć, ale ubogie bardzo. Przy oknie siedziała młoda jeszcze kobieta, i prawie piękna, ale blada jak śmierć. Dzieciątko małe, chłopiec tęgi o czarnych oczach, leżał w kołysce i bawił się jakimś rupieciem. Sam siedział w kącie i był tak smutny, że miał prawie ciągle łzy w oczach. Witam go tedy z francuska. Spojrzał na mnie z zdziwieniem i wypogodniał. Przecie to zawsze dźwięk mowy ojczystej porusza serce. Nabrał też zaraz lepszej ufności ku mnie. Spowiadał mi się, jako był niegdyś dosyć dobrze podszyty, a teraz biedny i bez żadnych widoków. Jeszcześ i dzieciątko mu przybyło na głowę.

Pytam tedy:

— A to żona waszeci?

— Nie — rzecze — to córka moja.

— Zamężna?

— Tak... zamężna...

— A mąż, byłże także Francuz, czy Polak?

— Polak był, ale go już nie ma.

— Gdzież się podział? umarł li albo go też zabito?

— Bodajby go już zabito!

— I skarżył mi się, córka płakała. Żal mi się zrobiło tego biedactwa, jakoż im zaraz przyrzekłem, że nie weźmiemy nic od nich darmo, a cośmy wzięli, zapłacimy jak słusznie. Ściskał mnie za kolana, wyniósł miodu gąsiorek i jakąś przekąskę. Posilamy się, a staruszek tysiączne opowiada historye. Już się tedy dobrze zaczęło zmierzchać. A o mocnym już zmroku, słyszę ja, nowy hałas przed bramą. Biegnę do okna, patrzę, a tam kilku nowych konfederatów na koniach. Kiwają na nas, do bramy się dobijają. Z przodu, na tęgim skarogniadym bachmacie, ale spienionym wskróś, siedzi dzielny jakiś mężczyzna, wąsy sute, konfederatka mu kipi na głowie, i woła do nas:

— Hej! kto w Boga wierzy otwieraj! Dam dwadzieścia czerwieńców za nocleg.

Stary mówi:

— Otworzę.

Ja powiadam:

— Daj pokój.

Ale on taki koniecznie otworzyć i mówi:

— Już mi też wszystko jedno, a dwudziestu dukatów nie znajdę.

Myślę sobie: i to racya, dobrze mu i dwadzieścia czerwieńców. Kiedy wtem spojrzy ona kobieta na okna i krzyknie. Patrzymy, mdleje. Stary do niej, ja też za dzbanek z wodą, trzeźwimy. I dotrzeźwiliśmy ją cokolwiek.

Ale tymczasem na dworze huk coraz większy, walą do bramy, brama puszcza. Pobudzili się nasi na tamtej stronie, wybiegają, wybiegam ja też do sieni. A owi już po-

złazili z koni, prowadzą do stajen; ów mężczyzna w kipiącej konfederatce idzie wprost na mnie. Przypatrzę mu się lepiej:

— Chryste Panie! toż to starosta bełzki! — zawołałem, składając ręce.

— A waść mnie skąd znasz? — pyta.

A ja mówię:

— A toż to niedawno szliśmy razem w taniec u pana Chwaliboga w Suszycy.

Spojrzał na mnie.

— To i waść tam byłeś! Bodaj-że was pozabijano, coście ze mnie zrobili! Starostwo poszło na grzyby, gwiazda w kąt, postrzelono mnie w udo, jeszcze chwała Bogu, żem gardła nie dał! Ot! wasze wojny głupie, z motykami na słońce!

Ale ja puszczam pomimo uszu te inwektywy, z respektem mówiąc, już cale głupie, i pytam:

— Ale skądże się waszmość tu wziąłeś? zapewne z gór? czy was tam także rozbito?

— W puch.

— A pod czyjąż komendą służyłeś?

— A dyabli ich tam wiedzą! niech ich tam piorun z taką komendą!

— A Rudnicki tam był?

— Był, ale już po nim.

— Zginął?

— Oho! jak swego ucha, tak go waść nie obaczysz.

Ścisnęła mnie ta nowina za serce, a on tymczasem bierze za klamkę i chce wnijść do izdebek. Ale jam mu zastąpił, mówiąc:

— Nie idź waść tam, bo tu chorzy.

— I ja chory.

— Ale tam są kobiety.

— To i lepiej, znajdą się łóżka wygodne.

Zastępuję mu jeszcze odedrzwi, ale on taki przycisnął drzwi i wszedł. Ale jeno co wszedł, spojrzał na owego staruszka, spojrzał na kobietę, i zbladł. Stary się rzucił ku niemu, złożył ręce: — Zbawco mój! — Ale starosta jakby

też trutkę zażył, zachwiał się na nogach, zatoczył się do przypiecka i siadł. Złożył ręce przed sobą, patrzy, tamci też patrzą na niego.

Już mi więc i nie trudno domyśleć się całego sekretu.

Patrzę tedy na niego i śmiech mnie porwał zrazu. Mówię więc:

— Rwałeś się tu, panie bracie, do tej izby jak opętany, a teraz, jako widzę, siedzisz w matni jako piskorz. Nie obejdzie się tu bez tego, żebyś się w dank za twoje rycerskie zasługi i nie ożenił.

Spojrzał na mnie dziwnie litościwemi oczyma, — ale staruszek jeszcze litościwszemi, a kobieta prawie już jakby w obraz jaki cudowny, przyczem także rzuciła okiem w kołyskę.

Ja też jeszcze lepiej sobie dworuję, przychodzą inni konfederaci, dowiadują się jaka rzecz, pomagają mi.

Francuz stawia miód przed starostą, częstuje nas, — u nas coraz weselej, a starosta coraz smutniejszy. Zwiądł, jakby powisno lnu, ledwie mu się głowa trzyma na karku.

Wtedy ja wystąpiłem naprzód i rzekłem krótko w ten sens:

— Mości panowie! Oto jest pan starosta bełzki, nasz kolega i brat. A oto jest jego żona, a tam jego synek w kołysce. Ale jako to jpan starosta jest skory do służby około ojczyzny i śpieszył się mocno do konfederacyi, tak i zapomniał z pośpiechu wziąć ślub ze swoją żoną przed wojną. Teraz kiedy się tu przypadkowo zjechali, pan starosta chce to naprawić i prosi waszmość panów na swoje wesele. Niechajże tedy biegnie kto zaraz po księdza, aby tu szedł ze stułą i z organistą, i dawał zaraz ślub.

Wybiegło kilku. Starosta patrzył przez chwilę na mnie i potem wstał. Zaczął się rzucać.

— A to co jest takiego? panowie myślicie mi robić gwałt?

Ale na to wypadła zaraz owa kobieta ku niemu z dosadnemi racyami, a któryś z naszych dobył pistoletu z za pasa i wymierzył mu z lekka w pierś. Starosta znowu opadł, siadł na przypiecku, — i już cicho.

Niebawem też przyszedł ksiądz, ale nie proboszcz tamtejszy, jeno jakiś konfederacki kapelan. Już też wiedział o wszystkiem, a że był frant, więc wystąpił odrazu z gratulacyami jp. staroście i starościnie, i zgoła postępował sobie z powagą jakby nic o niczem nie wiedział. Starosta też już zgłupiał do reszty i sam nie wiedział co robi.

Dano mu tedy ślub formalny, jak przynależy.

Po ślubie, kiedy pić cokolwiek zaczęto, a konfederaci huknęli pieśń staroświecką weselną, biorę ja księdza na bok i mówię mu:

— Wydajno mi jegomość dokument ślubu na piśmie, z pieczęciami i podpisami świadków. Powiada wprawdzie starosta, że Rudnicki zginął, ale żołnierze mają rogatą duszę i czasem powstają z martwych. A kiedyby i zginął Rudnicki, to i tak *documentum* mi nie zawadzi.

Poszedł tedy ksiądz i za jakie pół godziny lub więcej przyniósł mi taki dokument ze srogiemi pieczęciami kościelnemi. Kazałem go tedy podpisać świadkom i schowałem go sobie zanadrze.

I już tam dalej nie wiem co tam zrobili z sobą ci Francuziska, polscy i francuzcy prawdziwi, jeno to mi się widzi, że był tam wart Pac pałaca, a pałac Paca, jakoż i dobrze, że się to pożeniło.

Jeszcze też była z godzina do dnia, kiedy się zrobił alarm po mieście.

Francuzi za piec, — a my na koń i dalej.

Poszliśmy wtedy ku Lanckoronie, gdzie, jak mówiono, trzymał się jeszcze Beniowski.

Ale jeszcześmy do Lanckorony nie doszli, kiedym się dowiedział z pewnością, że Rudnicki nie zginął. Wkrótce też potem przez jednego z konfederatów powracającego do domu wpraktykowałem mu ów dokument, który go zapewne nie pomału ucieszył. Pojechał też zaraz z nim do kasztelana, — i potem w parę miesięcy się z kasztelanką już bez przeszkody ożenił. Wracając raz od konfederacyi na spoczynek do domu, wstąpiłem do Jaćmierza. Przyjmowali mnie Rudniccy jakoby brata. Jakoż zacny to dom był potem, kochany i szanowany powszechnie, a ona sama to

już była wielbiona, jak gdyby jaka pół-święta. Panie Boże, świeć tam jej duszy, — wcześnie biedaczka umarła.

Kiedy skarbnik skończył swoje opowiadanie, trwała chwila milczenia. Każdy coś sobie myślał, ale nikt nic nie mówił. Aż znowu skarbnik zabrał głos, mówiąc:

— Otóż takie to było ożenienie się ojca jp. Jędrzeja. Powiedziałem z góry, żem go wyswatał, jakoż tak było. Więc my to dawni znajomi i mamy sobie przecie coś do podziękowania. Pojadę tedy do niego, zastanę tam pewno Jędrzeja, wyrozumiem go trochę, a może całkiem, a nakoniec, po staremu, otwarcie pogadam sobie ze starym. Przy lampeczce, przy wspomnieniach młodości, przy odświeżeniu afektów, pójdzie to gładko i uczciwie i po swojemu, tak jak to dawniej bywało. A kiedy Pan Bóg pozwoli, to się wszystko ukończy zaraz, słowo się da, słowo się weźmie, i do Zagórza zawitamy z kapelą.

— Bardzo poczciwie to mówi wujaszek — rzekła to na to podkomorzanka z westchnieniem.

A podkomorzyna dodała:

— Ha! kiedyś tak łaskaw, braciszku, to już jedź chyba. Daj Panie Boże, żeby się tak stało. Obeszłoby się w takim razie bez podróży do Lwowa.

Na tych słowach skończyło się posiedzenie familijne, a że to już późna była godzina, wszyscy w najlepszych nadziejach udali się na spoczynek.

X.

Nazajutrz rano skarbnik się wybrał do Jaćmierza. Nie miał przed sobą więcej jak małe cztery mile, toż i zawczasu zajechał. Jakoż już po południu pokazały mu się na wzgórku czerwone dachy jaćmierskiego pałacu, przed nim gęste i wyniosłe kolumny, obok niego, a w połączeniu z nim jakieś gmachy oszklone, przed nim zaś rozległe ogrody, w których różne krzewiny i drzewa, poobwijane starannie w słomę.

— Już też tu dzisiaj inaczej — myślał sobie skarbnik,

skręcając ku pałacowi — czysto, szkląco, po pańsku, albo też po modnemu. Ha! niema co mówić. Wygodniej mieszkać w murowanym pałacu, niżeli w drewnianym dworku, a kogo stać na to, czemu ma sobie żałować! Daj Panie Boże nam wszystkim, abyśmy się pomurowali, kryształami oszklili i pootaczali jak najpiękniejszymi ogrody. A jeśli tylko przez to nie utracimy na naszej cnocie, na fantazyi i sercu, toż to nie będzie z niczyją szkodą, a dla nas pewnie z korzyścią.

Tak sobie myśląc, zajechał właśnie w dziedziniec; woźnica strzelił po staremu dwukrotnie z bicza i stanął jak wryty przed małym gankiem, na czterech słupach opartym i blachą okrytym. Wysiadłszy z sanek, kiedy nikt nie wychodził naprzeciw niemu, zaczął się rozpatrywać po dziedzińcu. Jakoż zaraz go to uderzyło, że tuż przy pałacu stało jeszcze jedno skrzydło starego dworu, odrapane, szczerniałe, pod starym jeszcze, nienaprawionym dachem. Zdało się, jakby umyślnie była pozostawiona próbka tego, co tu było dawniej, aby tem lepiej wydało się to, co już później zrobiono. Skarbnik dziwił się temu, ale już się i nadziwił do syta, i pooglądał wszystkie budynki, stojące wkoło dziedzińca, i nadziwował się dosyć rozległym i kosztownym cieplarniom, — a jeszcze zawsze nikt nie wychodził ku niemu.

Po długiej chwili dopiero zjawił się lokaj, cały w galony zaszyty, w trzewikach, w pończochach, z głową wypudrowaną, i spojrzawszy na niego z góry, spytał przez zęby:

— Pan do kogo przyjechał? do pani hrabinej, czy do starego pana?

— Ja tu nie znam żadnej hrabinej — odpowiedział skarbnik mrukliwie, ale też nie bez zdziwienia — prowadź mnie asan do pana.

— A to tam, do starego dworu — odpowiedział służalec i zaraz zniknął.

Skarbnik stał zdumiony przez chwilę i tak mu się jakoś smutno zrobiło na sercu, że byłby dał jeszcze co za to, gdyby był mógł zaraz z przed ganku nawrócić i także

zniknąć. Skarbnik przeczuł odrazu, co się tu dzieje, — ale przeczucia mylą, — trudnoż zresztą tak od kogoś odjeżdżać, — poszedł więc do starego dworu. Ale i tam jakoś nikt nie wychodził. Wszedł do sieni, pusto, wszedł do antykamery, antykamera wielka, zarzucona rozlicznymi gratami, brudna nad podziw, ale w niej ani żywego ducha.

Wszakże z drugiej komnaty doszły go jakieś głosy, męskie, grube, wesołe. Zrzucił więc szubę ze siebie, otworzył drzwi i wszedł, ale prawie nieśmiało. Wszedłszy niepostrzeżony, zatrzymał się przy drzwiach i najpierwej przypatrzył się temu z uwagą, co mu się tu przedstawiało.

A więc była to wielka komnata, równie brudna jak antykamera, w kącie jej stało łóżko, starą nakryte kołdrą, z poobdzieranym na ścianie dywanem, z wytartym na ziemi niedźwiedziem. Kilka sprzętów staroświeckich i wyszarzanych w komnacie. Pod oknem stół, na nim dzbany cynowe, butelki próżne i kubki. Koło stołu stało krzesło poręczowe, a w niem siedział starzec jakiś, który się oparł o poręcz, głowę na bok przechylił i chrapał. Był ten starzec nie tak ubogo jak wytarto ubrany, z jego pasa litego wisiały już tylko strzępki, jego buty czerwone przybrały kolor szary na nosach i wszystkich fałdach. Był on nie otyły, nie chudy, ale twarz miał nabrzękłą, oczy podsiniałe i pomarszczone, cały wierzch głowy łysy, około którego wisiały siwe włosy dokoła, jak strzecha na wietrze. Przypatrzył się skarbnik bliżej temu starcowi, i ręce załamał przed sobą. Ten starzec bowiem był to ojciec Jędrzeja.

Około niego, tuż koło stołu, stał opasły bernardyn, czerwony jak burak, chwiejący się na nogach, z kielichem w ręku.

Przy bernardynie szlachcic jakiś, w popielatym żupanie, chudy jak szczapa, z zakwitłym nosem, z zielonemi oczyma, z zesiniałemi usty, z wąsami nastrzępionymi do góry, który się trzymał pod boki i kiwał się ustawicznie ku bernardynowi.

Przed szlachcicem i bernardynem stał jakiś mały przysadkowaty jegomość, w długim po kostki, jeszcze z saskich

czasów, granatowym żupanie, który, co chwila trzaskając w palce jak z bicza, coś im tam dowodził.

Czwarty towarzysz leżał na poprzek sofy i spał jak zabity.

Obaczywszy to, skarbnik stał z załamanemi rękami przez chwilę, i nie wiedział co robić. I ból, i smutek, i jakaś trwoga odjęły mu wszelką władzę nad sobą, — zdawało mu się, że jest na cmentarzu i widzi niedomarłych do reszty trupów z epoki saskiej, dobijających kielichami ostatnią iskierkę życia, która im pozostała... Przerażający to widok! Niepogrzebani umarli!

Tymczasem bernardyn dojrzał go, obrócił się z kielichem ku niemu, czerwona twarz mu się roześmiała, i krzyknął:

— Hej! patrzcie jeno! to nasz! to nasz! Jp. skarbnik dobrodziej! człek starej daty, pierwszy biba swojego czasu! hej! a chodźże sam do mnie! z pełną cię czekam, jako w dym do ciebie!

A drugi wołał:

— Skarbniczeńku kochany! rybeńko moja! a chodź-że do nas, ciebie nam brakowało!

A trzeci wtórzył, trzaskając w palce:

— To nasz! to nasz!

Ale skarbnikowi się twarz wykrzywiła na te trupie hałasy, wyciągnął rękę przed siebie jakby się bał, żeby go który z tych ichmościów nie dotknął i wymówił półgłosem:

— Przepraszam... nie mam honoru znać...

— Jakto! więc mnie już nie znasz! — zawołał na to chudy szlachcic w popielatym żupanie — a toż to piliśmy w Bóbrce przez trzy dni, trzy nocy, jeszcze za życia twojego ojca!

— Za życia mojego ojca były szczęśliwe czasy...

— Tfu! — krzyknął tamten — otóż to mi polityk!

— Skarbniku kochaneczku! — zawołał drugi — jak ciebie kocham, pij! Właśnie dlatego, że takie czasy! dobry trunek na frasunek, mówili starzy, a ja powiadam najlepszy! Pij, rybeńko kochany!

— Tfu! — krzyknął jeszcze popielaty towarzysz, a tymczasem gospodarz domu chrapnął mocniej i zbudził się.

Przetarł oczy, spojrzał przed siebie:

— A kto tu?

Skarbnik patrzył na niego i milczał.

— Któż to jest? — powtórzył starzec, przecierając jeszcze raz oczy — zdaje mi się że znajomy, ale żeby mnie kto zabił, nie potrafią sobie przypomnieć. Proszę siadać przynajmniej.

— Panie podkomorzycu dobrodzieju — mówił na to skarbnik — widzę, że pamięć już ci podziękowała za służbę. A pamiętasz-że dom kasztelana w Suszycy?

— Dom kasztelana w Suszycy?... — powtórzył starzec i myślił trochę, ale ocknął się, mówiąc: — Jakże chcesz! przecież stamtąd wziąłem był pierwszą żonę moją.

— A pamiętasz starostę bełzkiego, twojego rywala? Jakeśmy go sztuką do konfederacyi zwabili! jakem ja go potem złowił w Wiśniczu? jak go tam konfederaci do ożenienia zmusili?

— Konfederaci? — mówił starzec, myśląc usilnie, a potem dodał: — konfederacya, tożto była w tym roku, kiedy jednego miesiąca nie było...

— Jakto jednego miesiąca nie było — zapytał skarbnik.

— A nie było, december był zginął...

— Panie podkomorzycu! — rzekł skarbnik na to żałosnym głosem — cóż się też z tobą dzieje?

Starzec wlepił oczy w ziemię, opuścił głowę i milczał.

Inni goście powynosili się tymczasem po jednemu do drugiej komnaty i gdzieś poniknęli.

Skarbnik patrzył z wielką uwagą na starca, starzec milczał. Nareszcie znowu zabrał głos pierwszy:

— Więc nie przypominasz sobie mnie całkiem?

— Coś jak przez sen mi się kręci... przepraszam wpana dobrodzieja... wiek mój, kłopoty...

— Więc nie pamiętasz Nieczuję?

Starzec spojrzał na niego.

— A! Nieczuja! — rzekł wreszcie — coś to się był

u mego teścia porwał do szabli na starostę bełzkiego? o! pamiętam, pamiętam...

— Nie, to nie ja byłem, był to mój ojciec, ale i ja tam byłem. A ja ten jestem, który ci podczas konfederacyi przysłał dokument ślubu starosty...

— Dokument ślubu... — powtórzył starzec — a! prezentowałem go kasztelanicowi, tak, prawda, i potem już żadnej kwestyi nie było. Ale patrzajże waszmość, jak się to zapomniało. Musi też to być bardzo dawno już temu, musi to być już ze dwadzieścia lat najmniej...

— Ale co też gadasz! — zawołał na to skarbnik z żalem — wieleż lat, jakeś powtórnie żonaty?

— O! to już tylko Bóg wie! ale pewnie musi być ze sto pięćdziesiąt, albo i więcej.

Dobrą musi mieć żonę, pomyślał skarbnik.

— A wieleż lat ma syn twój, jp. Jędrzej?

— O! syn mój młody, jeszcze i nie żonaty.

— Gdzież mieszka Jędrzej? bywa tu często?

— Mieszka w Górkach, bywa często; bywałby częściej jeszcze, gdyby nie to, że się jakoś nie lubią z macochą. Prawdę mówiąc, ma też i racyę cokolwiek... Bóg mnie to tak jakoś pokarał...

Tu się starzec znowu zamyślił, ale teraz zaczęły mu widocznie przychodzić jakieś myśli trzeźwiejsze, oko zamglone zaczęło się trochę wyjaśniać, i cała twarz nabierała jakiegoś smutnego wprawdzie, ale zdecydowanego wyrazu. Skarbnik się już wszystkiego dorozumiewał pomału i patrzył coraz z większą uwagą na starca, a ten tymczasem mówił dalej:

— Nie było to jak za mojej nieboszczki! żyliśmy po staremu w spokoju, w zgodzie, w błogosławieństwie Bożem. Dom był stary i mały, ale wiele szczęścia się w nim mieściło. Dziecię się nam pięknie chowało i mieliśmy z niego pociechę. Odwiedzali nas nasi kochani sąsiedzi i dzielili się z nami naszem powodzeniem i szczęściem. Ale nieboszczka umarła... Napłakałem się, nabolałem... ale Bóg tak chciał, trudno się Jemu sprzeciwiać. Pozostała mi jeszcze dziecina, ot! i było to jakoś, i byłoby było do końca.

Ale nieszczęście chciało, że mnie najechał ten nawidzony starosta bełzki. Męczył mnie o jakiś dokument, ten dokument ślubu, o którym mówisz, żeś mi go przysłał. Jakoż miałem go wtenczas, alem go nie dał. Powiedziałem, żem stracił. Ale stąd ze starostą znajomość, ba! i przyjaźń nareszcie. Był on u mnie, pojechałem ja też do niego. Ot! i com sobie stamtąd przywiózł na głowę!

— Cóż to, panie bracie? czyż to żona twoja...

— A jużci siostra starosty.

— Siostra! — zawołał skarbnik.

— Rodzoniuteńka i nieodrodna — powtórzył stary — ot! i tak to się przyszło na biedę.

— Ej! panie bracie — zawołał skarbnik — jeśli tylko tyle nieszczęścia jest w twojem życiu, żeś się ożenił z kobietą, która może trochę rej wodzi nad tobą, jak się tego domyślam, toż to panie bracie niema jeszcze czego rozpaczać. Najzłośliwsza kobieta przecie to zawsze kobieta, a w sercu kobiety dużo jest pereł i złota. O to tylko idzie, żeby je umieć wydobyć.

Ale starzec machnął tylko ręką na to i umilkł.

W tymże momencie wszedł taki sam drugi ugalonowany i upudrowany służący i spytał z progu:

— Pani hrabina pyta, czy jegomość będzie jadł z swoim gościem u siebie, czy przyjdzie do sali?

A zmierzchało się już natenczas, więc pan Rudnicki nie dowidział, a że i nie dosłyszał lub nie uważał, więc służący musiał ponowić pytanie. Starzec myślał przez chwilę, a potem spytał:

— A cóż mówi pani hrabina?

— Pani hrabina prosi.

— A więc chodźmy, panie Nieczujo — rzekł starzec — poznasz też moją żonę.

Skarbnik pomyślał sobie: jeżeli ta pani hrabina wie, jakem ożenił jej brata, to będę jej miłym gościem. Ale może też i nie wie? Powiadają, że na tym modnym świecie nie masz szczerości nawet i pomiędzy rodzeństwem. Wierzmy w to, panie Marcinie, i mając po staremu czyste sumienie, miejmy też i odwagę.

Szli tedy do salonów hrabinej.

Tu już świat całkiem inny.

Nie komnaty, ale salony. Woskowe posadzki, perskie przed kanapami kobierce, ściany od karmazynów i złota, u stropu lustra wielkie, pełno świec białych woskowych. Sprzęty paradne, wielkie po ścianach zwierciadła, kolumny i konsole, a na nich wazy z kwiatami, woń cudzoziemska napełnia powietrze, słychać muzykę z dala...

Kiedy weszli do głównego salonu, zastali tam kilka dam, kilku mężczyzn. Damy w czubach i fiokach, mężczyźni w pończochach, trzewikach, pudrowani, wysznurowani jak lalki. Poważnego robrona, naturalnej czupryny, staropolskiego wąsa ani na oko — dawny, prosty, naturalny obyczaj zastąpiła we wszystkiem cudzoziemska, sprowadzona z zamorza, misterna sztuka.

W tej chwili jedna z dam siedziała przy klawikorcie i wygrywała jakieś piosenki swawolne, jeden z kawalerów wtórował jej na gitarze, drugi trzymał w ręku flotrowers. Bardzo piękna to była muzyka, ale skarbnik na nią nie zważał, — on szukał przedewszystkiem hrabiny. Wyobrażał ją sobie całkiem do brata podobną, a więc chudą, wysoką, o czarnych oczach i włosach, — ale tymczasem było to całkiem przeciwnie.

Pani Rudnicka bowiem była to otyła i bardzo nawet otyła blondynka. Była tak otyła, że chodzenie na własnych nogach stało się dla niej ciężką nad siły pracą, od której uwalniając się, kazała sobie zrobić fotel na dużych, skórą oblamowanych, kółkach i w tym fotelu kazała się wozić nawet po pokojach. Teraz także w tym fotelu siedziała i trzymając w jednej ręce lornetkę, przez którą na grających patrzyła, w drugiej trzymała wyzłacany pierzasty wachlarz, którym około swojej twarzy rumianej ochładzała powietrze.

Właśnie skończono muzykę.

— Ah! que c'est joli! que c'est charmant, n'est ce pas, ma chère?... Monsieur Adolphe, mam'selle Florence, je vous remercie. C'est une chanson à ravir! cela va au coeur! n'est ce pas, ma petite?

A mówiąc to, obracała się ciągle do panny, która przy niej siedziała. Była to jeszcze bardzo młoda panienka, szczupła, blada, bardzo delikatnej przezroczystej cery, szatyna. Patrząc na nią, zdawało się widzieć stworzenie tylko w połowie należące do ziemi, jakiś kwiatek wypędzony stucznie, wychuchany w cieplarniach. Było to najżywsze przeciwieństwo z matką na oko. Mówimy z matką, bo była to córka hrabiny. Ale pomimo to zdania ich zdawały się być aż nadto zgodne ze sobą, przynajmniej teraz powtórzyła zaraz za matką:

— C'est à ravir. Cela va au coeur.

Przez tę chwileczkę skarbnik był już w salonie i stojąc przy drzwiach, widział i słyszał wszystko, co można było widzieć i słyszeć. Kiedy się muzyka skończyła, stary wziął go pod ramię, mówiąc:

— Chodźmyż do mojej żony.

Przystąpili tedy do gospodyni domu, mąż prezentował swojego gościa:

— Jpan Nieczuja prezentuje się tobie.

— A! pan Nieczuja! — rzekła na to hrabina — brat pani podkomorzynej sandomirskiej. Niechże pan raczy usiąść.

— Tak, mościa dobrodziejko, brat rodzony — odpowiedział skarbnik, zabierając miejsce tuż przy niej.

— Le couer me le bisaint bien, que c'est lui — rzekła hrabina do córki — il commence par mościa dobrodziejko, finira par asani. Asan dobrodziej daleko mieszka od Jaćmierza?

— Kilka mil, pół dnia jazdy, jeżeli drogi niezłe.

— Siostra asana dobrodzieja mieszka podobno w Zadwórzu?

— Zagórz nazywa się jej posiadłość — poprawił skarbnik.

— Ah! Zagórz! prawda. Nie mogę nigdy spamiętać, chociaż mój pasierb tak często tam bywa. Pani podkomorzyna ma córkę podobno i bardzo ładna...

— Jaka to szkoda — odezwała się na to panna — że mieszkamy tak daleko od Zagórza. Ja bardzo wiele do-

brego słyszałam o pannie podkomorzance, i bardzobym była szczęśliwą, gdyby mi los zdarzył poznać ją osobiście...

— Patience, ma chère! laisser faire votre frère... il vous procurera cette connaissance... Siostrzenica asana dobrodzieja, o której moja córka tyle dobrego słyszała, podobno ma iść za mąż. Powiadano nam, że ma konkurenta... jakże się to mówi? Ernestynko! poprawże matkę, kawalera podobno... tak przynajmniej mówi nasza panna służąca.

Ernestyna oczy spuściła ku ziemi i mimowoli umilkła. Skarbnik także nie bardzo wiedział co mówić; jeszcze mu się nie zdarzyło coś podobnego widzieć i słyszeć. Wszakże się zebrał nakoniec:

— Mościa dobrodziejko — rzekł on — o pannach nie można nic pewnego powiedzieć, aż póki na kobiercu nie staną. Kręci się ten, kręci się ów, kręcą się różni, ale który z nich szuka żony, a który tylko rozrywki, trudno to z góry powiedzieć. My też nie wiele zważamy na to i nikomu też nie wierzymy...

— I bardzo dobrze państwo robicie — rzekła na to hrabina — osobliwie jeżeli sami tacy wietrzniey u was bywają, jak mój pasierb kochany... O ile wiem, kocha się w trzech pannach odrazu, a ileby jeszcze do tego trza doliczyć mężatek, tego już nie wiem... Doskonały człowieczek! korzysta z swojej młodości, jak może...

To wymówiła hrabina niby z niechcenia i zaraz spytała męża:

— Mój kochanku, a cóż się dzieje z obiadem? czy każesz dawać, czy chcesz, ażebyśmy zaczekali na Jędrzeja?

Stary Rudnicki, który się zdrzymał cokolwiek, siedząc obok skarbnika, ocknął się nagle i rzekł:

— Jak się tobie podoba... a cóż ja...

— Jakto co ty? — spytała, patrząc mężowi w oczy, hrabina — gospodarz domu, twoja wola...

A wtem wszedł Jędrzej do salonu.

Jędrzej od tego czasu, jakeśmy go po raz ostatni widzieli, także się znacznie odmienił. Zmężniał, a może i wy-

rósł nawet cokolwiek; jego twarz młodzieniaszkowata nabrała męzkiego, statecznego wyrazu, jego postać cała jeszcze więcej powagi. Zdawało się nawet, jakby tej powagi było w nim więcej, niżeli odpowiadało jego tak jeszcze młodemu wiekowi, skąd wynikała jakaś jeżeli nie surowość, to sztywność, która wprawdzie nic nie raziła, ale stanowiła w nim cechę jemu tylko właściwą.

Jędrzej zbliżył się najpierw do ojca i z rewerencyą pocałował go w ramię, potem zdala ukłonił się matce, ścisnął siostrę za rękę i zaraz do skarbnika przystąpił.

— Panie majorze! — rzekł on, ściskając go za obydwie ręce — spodziewam się, że pan sobie mnie przypominasz. Mam sobie to za najlepszą przyjemność, że pana znowu i w dobrem zdrowiu oglądam. Moim to było obowiązkiem odszukać pana w Bóbrce i złożyć mu moje uszanowanie, — moją winą, że się to nie stało dotychczas. Wszakże nim się to stanie, proszę i tutaj przyjąć zapewnienie mojego szacunku dla jednego z najzacniejszych obywateli tej ziemi a mojego, że się z tem muszę pochwalić, szanownego kolegi.

— Cenię i ja sobie wysoko tę miłą sposobność — rzekł skarbnik — która mi dozwala obaczyć znowu tego młodego adjutanta, z którym tak osobliwą zrobiłem znajomość, bo prawie w ogniu. Ale jakżeś mi wyrósł, panie adjutancie, jak zmężniał... No, i jakżeż? wyszło się cało z tych praktyk?...

— Jeśli o mnie tu chodzi, to dosyć cało...

— Chwała Bogu i za to — rzekł skarbnik — mnie i to szczęście się nie dostało w udziale. Ja w październiku byłem ranny i wyleżałem prawie do pół listopada.

Śród tej rozmowy hrabina przypatrywała się ciągle przez lornetkę rozmawiającym, a kiedy z jednej i z drugiej strony przypomniano kilka scen z ostatniej wojny, ona się obróciła do córki, cedząc pomiędzy zęby:

— Voilà de bien belles choses! les souvenirs de la guerre!... que c'est interessant!... surtout pour les dames!

— Quant à moi — odpowiedziała na to córka, lubo dosyć nieśmiało — je ne demande pas mieux.

— Oh! grande heroïne que vous êtes!

W tym momencie Jędrzej odszedł powitać inne osoby w salonie się znajdujące, a hrabina się odezwała do pozostałego skarbnika:

— Asan dobrodziej byłeś także uczestnikiem tej wojny?

— Tak, mościa dobrodziejko, cokolwiek, o ile mi pozwoliły moje siły.

— A to należy bardzo powinszować asanu dobrodziejowi, mając zwłaszcza wzgląd na wiek jego. Mój brat służył także niegdyś wojskowo, ale mi powiadał, że aby być dobrym żołnierzem, trzeba być nietylko młodym, ale mieć także i osobliwszą pasyę do tego.

— Brat pani nie miał żadnej pasyi do tego? — zapytał skarbnik z uśmiechem.

Hrabina spojrzała z ciekawością na niego — a wtem dano znać do obiadu. Wszyscy przeszli do sali jadalnej.

Siadano do stołu parami i skarbnikowi wypadło miejsce koło panny Ernestyny. Korzystał z tego skarbnik i poznawszy usposobienie matki, pragnął poznać i córkę, która dosyć milcząca przy matce, teraz siedząc od niej opodal, była wcale rozmowną. Sama nawet zaczęła, mówiąc:

— Pan major poraz pierwszy jesteś w Jaćmierzu?

— Nie, pani — odpowiedział skarbnik — byłem tu parę razy, ale jeszcze za życia nieboszczki matki jmć pana Jędrzeja.

— Wtedy musiało tu wyglądać wcale inaczej. Wyobrażam sobie dokładnie jak tu było. Zapewne tak samo jak w domu nieboszczyka mojego ojca. Staroświeckie komnaty, jakieś ciemne obrazy na ścianach, w większej części dębowe meble, służba ubrana z kozacka, a zresztą w domu po prostu, po staropolsku.

— Mościa panno hrabianko — rzekł na to skarbnik, a ten tytuł jej się z prawa należał, i dlatego tak śmiało wymawiał go surowy w przestrzeganiu należących się tytułów skarbnik, — nie byłbym myślał wcale, żeby dom ojca pani tak był wyglądał.

— Czy pan major znał mego ojca?

— Nie, pani.

— Dlatego pan tak mówisz. Mój ojciec nieboszczyk był to szlachcic starej i bardzo starej daty, bardzo pobożny, bardzo dobry, ale też bardzo surowy. Cały dom nasz był to jakby przez niego samego zrobiony i nakręcany codziennie zegarek, wiedział on o każdem najdrobniejszem kółeczku i każde musiało tak chodzić, jak on mu przykazał. O! pamiętam go dobrze, lubo jeszcze małem byłam dzieckiem, kiedy nas nazawsze porzucił... pamiętam dobrze, jak każdego poranku, obszedłszy sam wszystkie kąciki swojego gospodarstwa, w czem się pomimo wieku nie dał nigdy nikomu wyręczyć, zawsze potem przychodził do mego pokoiku i po całych godzinach się przysłuchiwał, jak mi guwernantka dawała lekcye... Szkoda, że pan major nie znałeś mojego ojca...

— Z tych kilku słów, które się dowiaduję od pani, i mnie już przychodzi żałować tego... Ależ to próżne żale!... Ojciec pani już nas porzucił, a mnie niebawem czeka taż sama droga, toż i znajdziemy się tam obadwa i bodaj czy nie prędzej porozumiemy się z sobą, niżeli wy tu, którzy zostaniecie na ziemi...

— Dlaczego pan major tak mówi? czy pan znajduje, że młodsze pokolenie gorsze jest od tego, które się już chyli do ziemi?

— Tak nie sądzę, bo byłby to sąd wynoszący mnie samego a poniżający innych. Ale tobym powiedział, że już jakoś świat cały się zmienia. Jakoś coraz inaczej, coraz mętniej jest na tym świecie. Stare życie jeszcze nie obumarło, a urodziło się i wyrosło już nowe. Jedna niegdyś rodzina rozdarła się na dwie połowice; ci chcą dwór zająć dla siebie, a drugich wyrugować na folwark: drudzy się opierają jak mogą, i owóż walka krwawa w samym środku dziedzińca. A jest to walka zawzięta i prawie straszna, właśnie jakoby walka w sercu jednego człowieka. Nieszczęśliwy ten, który jej dożył i bodajby nie doczekał jej końca.

— Może ja nie rozumiem dobrze o co tu chodzi — rzekła na to hrabianka — ale tak mi się zdaje, że prawie tylko o suknie...

Na te słowa skarbnik spojrzał z uwagą na Ernestynę, patrzył na nią przez chwilę a potem rzekł:

— Już to mnie staremu to i sukien żal nie pomału, ale jeszczeby to była wielka łaska od Boga, gdyby się tylko na tem skończyło. Być to może, nie przeczę, ale przyznam się pani, że jakoś temu nie wierzę. Ile bowiem dotychczas mogłem zaobserwować, znalazłem zawsze, że co inna suknia to i inny jest człowiek. Jakoż dziwne zaprawdę to rzeczy, bo ci ludzie przecież na tej samej porodzili się ziemi, tym samym mówią językiem, choć podobno nie zawsze, ale zawsze to są gałązki z jednego drzewa, a pomimo to powiem pani otwarcie, że nikt mi nie wydaje się więcej obcym jak oni.

— Czy i mój brat Jędrzej jest panu tak obcym?

To pytanie znowu zastanowiło skarbnika; nie wiedział zrazu co odpowiedzieć, lecz nie wiedząc także, dlaczego miał prawdę ukrywać, odpowiedział nareszcie:

— Nie, pani. Z Jędrzejem zdaje mi się, że jestem bardzo blizko powinowaty.

Tu zdawało się, jakby Ernestyna przez ten czas, nim odebrała odpowiedź, wstrzymała oddech i wyczekiwała tej odpowiedzi nietylko z niecierpliwością, ale z jakimś rodzajem obawy. Potem zaś odetchnęła i odpowiedziała natychmiast:

— Takem to sobie marzyła...

Skarbnik uważał to i stąd różne myśli zaczęły mu się roić po głowie.

Trwała chwilka milczenia.

Po niej znowu zabrała głos Ernestyna.

— Pan major powiedziałeś dopiero, że my młodzi nie potrafimy tak łatwo porozumieć się z sobą, jak się panowie starzy rozumieliście niegdy. Nie wiem jakie pan do tych słów przywiązałeś znaczenie... Ale nie mogę panu tego zamilczeć, iż u nas młodych o porozumienie się z sobą jest tak nietrudno, że czasem bywa ono dziełem jednego momentu. Przytoczę panu przykład... ale zresztą i więcej. Ale najpierwej jeden. Mój brat Jędrzej...

— Za pozwoleniem pani, czy pan Jędrzej jest pani istotnie bratem?

— Oh! i więcej jak bratem! — rzekła na to z uczuciem hrabianka, ale zatrzymawszy się chwilę, dodała — to jest, właściwie wziąwszy, on mi nie jest nawet i krewnym. Bo ja jestem z innej matki i innego ojca, i on także z zupełnie innych rodziców, tylko że matka moja poszła za jego ojca, że pod jednym mieszkamy dachem i do jednej należymy rodziny, więc się nazywamy rodzeństwem.

— Tak i mnie to mówiono — rzekł skarbnik — ale przerwałem pani, słucham tedy z uwagą.

Ale Ernestyna odpowiedziała na to już innym tonem, na pół zarumieniona a na połowę z uśmiechem:

— Chociaż wcale niema co słuchać... ot! szczebiotanie kobiece!

— Bardzo panią przepraszam. Szczebiotanie szczebiotaniu nie równe, ja panią słucham z osobliwszem zajęciem.

— Pan major jesteś zbyt grzeczny... Ale za to szczebiotanie niechże i pan mi coś powie. Coś o pani podkomorzynie, o pannie Stanisławie... bardzoby mnie to zajmowało.

— Cóż ja pani mogę powiedzieć o nich? ot sobie domatorki, siedzą na wsi, chwalą Pana Boga, trochę się bawią gospodarstwem, trochę tam swemi szmatkami... i tak czas przechodzi.

— A! nie muszą to być takie domatorki zupełnie! Ja mam o nich może niezupełne, ale dość szczegółowe wyobrażenie i jestem pewną, że to są bardzo dystyngowane osoby. Przyznam się panu, że mam nawet dla nich osobliwszą sympatyę. Jaka to szkoda, że tak daleko mieszkamy od siebie. Jestem przekonaną, że żyłybyśmy ze sobą w bardzo blizkich stosunkach, a ja z panną Stanisławą w najściślejszej przyjaźni.

Skarbnik patrzył na nią ze zdziwieniem.

— Czy pani widziała kiedy moją siostrzenicę? — zapytał po chwili milczenia.

— Nie, ale wiem najdokładniej, jak wygląda i znam ją tak dobrze, jakbym ją znała w istocie.

— A! to pani musi znać wielu ludzi w ten sposób — rzekł na to skarbnik z uśmiechem.

— Dosyć — odpowiedziała równie z uśmiechem hrabianka — a teraz jeszcze pana poznałam, z czego bardzo się cieszę.

— Pani jesteś zbyt łaskawą na mnie starego — powiedział skarbnik z komplimentem.

— Nie rozumiem, dlaczego pan się nazywasz starym? Ja widzę w panu mężczyznę w samej sile męzkiego wieku. Kto za kilka miesięcy dobija się rangi majora, kiedy inni, jak Jędrzej naprzykład, pozostają przy porucznikowstwie do końca, ten zdaje mi się jest jeszcze młodym i wiele młodszym od innych. Wieleż pan masz lat? jabym panu nie liczyła więcej jak na czterdzieści.

— Bodaj też panią! — zawołał na to skarbnik, z szczerze wesołym uśmiechem. — Bodaj też panią! pani mnie tu gotowa jeszcze za młodzika wystrychnąć. A pięćdziesiąt! i to prawie z okładem. Cha, cha, cha! tak to, tak, mościa pani!

— Ej! pan sobie żartuje!

— Ale to pani sobie w łasce swojej żartuje! a godzi to się! a z takiego starego! a jak to rozumniutko, a misternie, a gładko, oj! kobiety, kobiety!

— A czy to pan się obawia kobiet? — mówiła dalej Ernestyna figlarnie — czy panu zrobiły kiedy co niedobrego kobiety? Nie oneż to są ozdobą tego padołu płaczu, osłodą w tego życia goryczach, pociechą w smutkach i najpewniejszą przystanią w burzy, dla serc stroskanych lub skołatanych boleścią? Pomyśl pan tylko, czemby to był ten świat bez kobiet?

— A jeszcze też bez takich jak pani. Ej! bodajże też panią! to i świat cały się zmienia i wszystko się jakoś inaczej wydaje! ot! i stary się gotów zachmurzyć, ba! a jeszcze odmłodnieć! Ej! ale grzechby to był śmiertelny zbałamucić starego. A prawdę mówiąc, to i nie warto. Bo to właśnie jakoby w samotrzask, nastawiony na ślicznego

szczygiełka, ułapiła się sowa! Cha, cha, cha! a co? może to nie prawda? Dajże mi pani rączkę, niech ją pocałuję serdecznie i będzie kwita.

To mówiąc, skarbnik wziął rączkę Ernestyny i cmoknął ją solennie, jakby kto z bata wystrzelił, in barbam całemu towarzystwu, siedzącemu przy stole.

Na ten trzask nagły wszyscy goście się ocucili. Spostrzegła się hrabianka i jej twarz cała oblała się żywym rumieńcem, — spostrzegł się także i skarbnik i także mu to jakoś nie na rękę wypadło, — ale już było zapóźno. Zaczęły się głośne śmiechy i szepty do koła, a pani domu rzekła w głos, obracając się do skarbnika.

— Pan major dobrodziej, jak widzę, traktuje żołnierkę nawet i przy stole.

Tam do dyabła! — mruknął skarbnik pod nosem, lecz pokręcając wąsa, odpowiedział głośno:

— Mościa dobrodziejko! Nie jest to tak dalece żołnierka, ile raczej turnieje: a gdzie takie damy zasiadają z wieńcami w galeryi, jużby to był nie żołnierz, ktoby kopii nie skruszył.

Ot! i wykręcił się stary skarbnik konceptem. Jakoż wszyscy się śmieli, mężczyźni wołali bravo! kobiety patrzyły z zadowoleniem na zakłopotanego skarbnika, tylko matka Ernestyny skrzywiła usta i wymówiła półgębkiem:

— Voila ce que c'est que recevoir monsieur un tel! fi! le plus mauvais genre que je connaisse!

Ale na szczęście mówiącej skarbnik tego nie słyszał, — jakoż i w tym momencie skończył się obiad i wszyscy wstali od stołu. Wszakże pomimo to nie skończyła się jeszcze indagacya gospodyni domu, która nim jeszcze odjechała ze swoją karetą do bawialnego salonu, przywołała Ernestynę do siebie i szkaradnie ją strofowała. Nie było słychać co jej mówiła, ale było widać, że jej twarz przytem była pełna gniewu i złości, i było widać nawet, że ją uderzyła wachlarzem po ręce. Od tego momentu Ernestyna już ani na krok nie odstępowała od matki, była smutna i zupełnie milcząca, a za niedługą chwilę wyszła i nie wróciła już więcej.

Skarbnik widział to wszystko i rozmaite w nim stąd rozbudziły się myśli, lecz jeszcze rozmaitsze uczucia.

Wszakże pomimo tych uczuć i myśli nie należało mu zapominać, po co tutaj przyjechał.

Jakoż zaraz po obiedzie przysunął się do Jędrzeja i zaczął z nim obszerniejszą rozmowę.

I rozmowa ta była rzeczywiście obszerną i ożywioną, ale nie szła wcale tym torem, jaki jej skarbnik ustawicznie lecz nadaremnie nadawał.

Jędrzej był wymowniejszym i obrotniejszym od niego i z łatwością sobie ster zdobył i utrzymał przy sobie.

Jakoż kiedy mówiono o wojnie i położeniu kraju, o możliwej przyszłości, skarbnik był zupełnie swobodnym i mógł mówić wszystko, co mu się podobało: ale jak tylko, choć zdala, zaczął potrącać o stosunki familijne, domowe, albo też o wspomnienia warszawskie, Jędrzej go podchwytywał natychmiast i sprowadzał rzecz znowu do przedmiotów ogólnych.

Skarbnik się kręcił.

Nie tracąc jednak jeszcze całkiem nadziei, chciał już nareszcie jakimbądź sposobem zbliżyć się do niego, chciał, żeby mu Jędrzej z którejkolwiek bądź strony swoje serce otworzył, myśląc, i słusznie, iż doprowadziwszy go do otwartości na jednej drodze, łatwo go potem wyspowiada na każdej. Ale i to mu się nie udało. Jędrzej był najotwartszym co do myśli, zdań, uczuć ogólnych, — ale co do rzeczy prywatnych, dotyczących jego własnej osoby, albo stosunków rodzinnych, zamknął się w sobie, jakby ślimak w swym domku, i nie dał skarbnikowi pola ani nawet do żadnego domysłu.

Skarbnik się zgadał, umęczył, spocił, i bez żadnego skutku.

To usiłowanie daremne, to zupełne chybienie celu, wprowadziło go w humor najgorszy. Myślał jeszcze różnie, ale już nic nie mógł wymyśleć. Patrzył tylko na Jędrzeja z pod oka i prawie z wyrazem niechęci. Pomimo to wszystko, nie mógł on wcale tego młodzieńca potępić. Pomimo niechęci bowiem, jaką w nim wywołała taka niewzruszona

ku niemu nieufność, nie mógł on tego zaprzeczyć, iż całe usposobienie Jędrzeja wogóle dosyć mu się podobało. Znalazł on w nim pomimo młodego wieku prawie już dojrzałego człowieka, myślącego szlachetnie, czującego po ludzku, pełnego miłości dla świata i ludzi, pełnego zapału do poświęceń i czynów. Widział on w nim wprawdzie już bardzo wiele nowego, wiele tak zwanych nowatorskich opinii, ale te w jego ustach jakoś tak były czyste, tak szlachetne, a nawet tak całkiem swoje, że skarbnik, pomimo całej swej zakrzepłości w zasadach przeszłego wieku, byłby je sam bez wyjątku podpisał. Co więcej nawet, te niby nowe opinie, to rozszerzenie widnokręgu ludzkich myśli i uczuć, to podniesienie się nad zacieśnione dawnych widoków i nadziei granice, które zastał w Jędrzeju, — nietylko go o nim uprzedziło najlepiej, ale nawet samemu, nie podupadłemu jeszcze zupełnie na dawnej fantazyi, skarbnikowi dało jak gdyby jakiś nowy oddech i życie, wlało w jego duszę i serce jakieś ożywiające tchnienie, o którem dotychczas jeszcze nie śmiał zamarzyć starzejący się żołnierz, ostatnią wojną już pochylony do grobu.

Jakoż wszystko to było bardzo ładne, — ale nie o to tutaj chodziło.

Skarbnik, jak wiadomo, przyjechał po to, ażeby Jędrzeja poznał i wyrozumiał, — a tu do tego ani podobieństwa nie było... Dziwno to było staremu, odchodzić z kwitkiem od takiego młodzika; ale nie było na to rady... Skarbnik się jakoś smutnie o tem wszystkiem zamyślił...

Ale ta obopólna rozmowa, choć bezskuteczna zupełnie, trwała jednak dość długo.

Przez ten czas grano i śpiewano w salonie. Macocha Jędrzeja się przewybornie bawiła, — ojciec się jego nudził. Jakoż on to nareszcie do skarbnika przystąpił, mówiąc:

— A co panie kolego? jakże się bawisz?

— Doskonale, nadspodziewanie. Pogadaliśmy sobie z Jędrzejem pewnie z jaką godzinę. Rozumnego masz syna, panie podkomorzycu?

— A! bywał w świecie. Ludzie go chwalą, nawet

moja żona go chwali. Ale to już późna godzina... tutaj assamble trwają do północy... my starzy niezwyczajni tego...

— Służę ci, służę — rzekł skarbnik — bo i ja już mam dosyć... Tylko się trzeba pożegnać.

— Pożegnać? a niech Bóg broni! — zawołał na to prędko staruszek — tutaj niema tego zwyczaju. Moja żona tego nie lubi. Chodźmy prosto i koniec.

Jakoż wyszli natychmiast.

Przeszedłszy apartamenty pałacu, dostali się napowrót do starego komnaty, gdzie skarbnik natychmiast rzucił się w krzesło, ręce założył przed siebie i z głębi piersi odetchnął. Zdawało się, jakby największego ciężaru się pozbył i lżej mu się zrobiło na sercu.

Stary usiadł naprzeciw niego i równem mu zawtórzył westchnieniem.

— Ej! tak to, tak, panie skarbniku! — mówił stary — *tempora mutantur et nos mutamur in illis!* Siedząc tam w tych zaczarowanych pałacach, przypatrywałem się tobie z uwagą, jakoż i przypomniałem cię sobie zupełnie. O! pamiętam, pamiętam! Znałem cię jeszcze żaczkiem małym, znałem młodzieńcem w Suszycy, byłeś tu u mnie już mężem. Żyła jeszcze moja nieboszczka Marynia wtedy... Inneż to były czasy, oj! jakie inne! I gdzie się to wszystko podziało? Jako sen przeminęło i jako sen nawet wyleciało z pamięci.

— Gdzie się to wszystko podziało? mówisz — rzekł skarbnik na to — ot! poszło tam, gdzie wszystko, co było. Ale dlaczego takie skutki zostawiło po sobie, oto jest kwestya, którą radbym rozwiązać.

Stary patrzył na niego.

— Cóż myślisz? — spytał.

— A pozwolisz mi mówić otwarcie, po staremu, tak jak to dawniej...

— Ale mów, czyż to bronię? wszak tu nie ma sekretów?

— Otóż ci powiem krótko, żeś sam winien wszystkiemu. Bo kto to widział, jednej z respektem kądzieli,

że już gorzej nie powiem, dać się wziąć za czuprynę i do tego punktu poniżyć. Hej! hej! żeby to na mnie! Do jednej doby widziałbyś, panie bracie, jakiegobym tu zagrał kuranta i jakby tu wszystko tańcowało po moim smyczku!

— Ej! tak to mówisz!... — rzekł stary z westchnieniem — toż i ja tak myślałem dawniej, a przecież się nie udało. A teraz już mi ani pomyśleć.

— Żeś już dawniej tego nie zrobił, to źle, ale przez to nie widzę wcale, dlaczegobyś nie miał jeszcze dziś wrócić do swego prawa? Czyż to i dzisiaj nie jesteś tak samo panem swojego domu, jak pierwej?

— Oj! nie jestem! nie jestem! Już mnie tu za nic nikt nie ma. Jużem tu nie wart i za hetkę pętelkę. A czy to nie widziałeś? Toż to i sługi nawet mnie nie słuchają, bo i sługi nie moje.

— Ależ to wszystko furda, panie podkomorzycu! a tożbym jednego dnia cały dwór wysadził w powietrze! I miałbym się obawiać jednej słabej podwiki, którą wożą w karecie?

— Ej! nie wiesz, panie bracie — rzekł półgłosem podkomorzyc — to Heród, Heród, mówię, nikt nic z nią nie potrafi. A zresztą tak to mówił i Jędruś, kiedy z wojny powrócił, i tak obiecał, a przecie umilkł.

— Bo i Jędruś musiał się brać słomianą ręką do tego.

— Ej nie! brał on się dobrze, że aż cały dom trzeszczał... powypędzał wszystkie rezydenty, Francuzy, Włochy, bo była tu tego ćma... potłukł nawet niektórych, cha, cha, cha! że aż strzępie leciały, sam to na własne oczy widziałem — ale przecież nakoniec ustał. On powiada jeszcze, że to przecie przerobi, daj mu Boże! ale nie wiem czy się to uda zupełnie. Chybaby to aż wtedy, gdy się ożeni, bo też wtedy i Jaćmierz posiędzie...

— No! i cóż? a jakże? myśli o ożenieniu?

— O! jużci myśli, ale są tu różne przeszkody.

— A jakież może mieć Jędrzej przeszkody? młody, zdrów, fortuny nie brak...

— Ej! bo to różne są bałamuctwa — rzekł stary — a wszystko to moja żona...

To mówiąc, wstał, dobył z szafki jakiejś buteleczki spleśniałej, nalał skarbnikowi kubek i sobie kubek, napił się do niego, przysunął krzesło ku niemu i tak mówił dalej:

— Bo to widzisz, panie bracie, moja żona ma córkę, którą dzisiaj poznałeś... Bardzo to dobre dziecko, oj! nie taka jak matka. Nieraz ona tu do mnie zabiega, aby mnie rozweselić; zabiegałaby częściej, gdyby nie matka. Nieraz mnie ona już ochroniła przed niejedną przykrością, i zawsze chroni, chociaż zawsze też pokutuje za to. Otóż ta córka, mówiąc pomiędzy nami, nie ma żadnego posagu...

— Poczekaj-no, panie bracie — przerwał Nieczuja — dlaczegóż mówisz to pod sekretem?

— A! bo to sekret. Oj! dałaby moja żona, gdyby wiedziała, że ja to mówię. Ona zawsze udaje o swojej córce, że to panna posażna.

— A tak nie jest w istocie.

— A jużci nie jest. Bo ona miała fortunę, to jest, moja żona ją miała, trochę po mężu, a trochę swojej, ale jak po śmierci swojego pierwszego męża, wyjechała do Włoch, a nuż potem do Francyi, więc i straciła wszystko. Oj! i na tem ja się złowiłem, bom to o tem nie wiedział, anim się tego domyślał, byłbym nigdy tego nie zrobił, bo gdzieżbym był tak krzywdził Jędrzeja.

— A teraz jakże? nie zapisałeś jej nic z twego majątku?

— Nic, ani grosza — odpowiedział z tajemniczym tryumfem starzec — ani złamanego szeląga. Już to co było gotówki w kasie to wzięła, ale ze ziemi nic. A nawet jest i tak jeszcze gotówka na skryptach, a to tego już nie tknie.

— Ej! ale to jeszcze nie koniec — rzekł na to skarbnik — bo ona kiedykolwiek ciebie podpadnie i zapis przecie wymoże.

— O! już co to, w żaden sposób nie ugryzie ani zębami.

— Tak to się gada.

— O! co nie, to nie. Słuchaj panie bracie, a nie powiesz nikomu? bo to jest sekret.

— Hm! toż to nie wiesz, jakim jest do sekretów?

— No, więc ci powiem, że już tego nawet zrobić i nie może, bom już ja wszystko na Jędrusia przepisał. Sprowadziliśmy cichuteńko adwokata ze Lwowa, niby to dla jakichś spraw innych, ja pojechałem do Górek, napisała się tranzakcya po formie, adwokat ją dał zaciągnąć do ksiąg tabularnych, położono pieczęć i koniec. Niech że się teraz i na głowie postawi,..

— A, to widzę pan Jędrzej niby-to młody, ale gdzie dotkniesz, to niech się schowa i stary.

— O! Jędruś ma! ma tu, tak jak trzeba — mówił z uciechą starzec, przepijając do gościa.

— O! ma! — powtórzył skarbnik — no, ale miałeś mi mówić o córce twojej żony...

— Otóż tedy Ernestyna właściwie nie ma żadnego posagu — mówił dalej ojciec Jędrzeja — a moja żona, wiedząc o tem najlepiej, chciałaby ją jakoś tak wydać za mąż, żeby to dobrze było. Otóż upatrzyła sobie do tego Jędrusia...

— No, a Jędrzej?

— A Jędrzej... ot! już i nie wiem na pewno, jak to tam teraz stoi. Z początku, jak jeno przyjechał, bardzo się jakoś nie lubił z moją żoną... były nawet i awantury... powypędzał Francuzy, Włochy, pobił...

— To już wiem, a teraz?

— A teraz jakoś to trochę przycichło. Może też i doprawdy Ernestynka mu się podoba, ja tam już nie wiem, bo to i z Jędrzejem nie tak się łatwo dogadać...

— I tobie także nie łatwo?

— A zapewne, że nie tak łatwo. Już to ja się nie mogę na niego skarżyć, dobry jest, poczciwy i zawsze z respektem, ale, prawdę mówiąc, panie bracie, już-bym ja jemu darował ten respekt, żeby tylko był trochę otwartszy przedemną...

I stary westchnął, skarbnik także westchnął, a stary mówił dalej:

— Już to ja się domyślałem potrochę, czemu on mi nie powiada wszystkiego... bo to ja teraz ot! i napije się czasem, i zapominam się często... a tacy ludzie nie do sekretów. Ot! i ma racyę mój Jędruś.

— Ale panie bracie, a czemuż tak pić, żeby się aż zapominać?

— Et! tak się to gada! przecie dawniej tego nie było. Ale teraz — bieda człeka przyciśnie, żona sadła za skórę zaleje, przyjdą inne frasunki, to i co robić? Wypije się jeden kubek, za nim drugi, a kiedy przyjdzie trzeci, to już i więcej nie trzeba. Bo to ja stary już teraz, panie bracie, i styrany, i słaby, to tam nie wiele potrzeba.

— Hej! hej! panie podkomorzycu! co się to z ciebie zrobiło! Kiedy sobie ciebie przypomnę, jakiś był jeszcze przed dwudziestu laty, prawie wierzyć teraz nie mogę że mam tego samego przed sobą!

— Ej! panie bracie! bo się też to i czasy zmieniły. Gdzie to dawniej, jacyż przyjaciele, sąsiedzi, zgoła ludzi huk było zawsze koło mnie; dzisiaj, ot! patrz co za ludzie! Jakieś małpy się kręcą, jakby jakie straszydła, człek nie ma do kogo ani słowa przemówić... to i sam nie wie, co już ma począć ze sobą. A do tego jeszcze i żona! to już żeby rycerz, kuty z samego żelaza, pewnieby nie wytrzymał.

— Ha! tak to, tak — mówił skarbnik z westchnieniem — idzie nam starym na świecie! Jednego żona, drugiego rana odniesiona na wojnie, trzeciego utrata fortuny, czwartego znów co innego, dość, że nie to, to owo, i tak nas wszystkich coś domęcza powoli. Ale mówiliśmy o Jędrusiu. Więc tedy nie wiesz, czy mu się Ernestyna podoba, czy nie?

— Już tego nie wiem. Widzę tylko, że ustał w sporach głośnych z macochą, i z Ernestyną w wielkiej żyje przyjaźni; ale niechby już i to było zresztą. Jabym nie miał nic przeciw temu, bo choćby się i z nią ożenił, to jużby zawsze odebrał dom i fortunę na siebie, a jejmość taki przecieby złożyła koronę.

— To zapewne — rzekł skarbnik — ale to mi się

jakoś nie zdaje. Mówiłem ja z Ernestyną i z tej rozmowy tak mi się zdaje, że Ernestyna ma serce wolne. Jakoż i to mi się zdaje, że Jędruś jakoby był zajęty gdzieindziej. A ty, panie bracie, nic nie wiesz o tem, czyli Jędrzej nie konkurował, albo też jeszcze teraz nie konkuruje o którą inną?

— O! otóż to jest! a jakżebym nie miał wiedzieć? przecie to już tak jak po słowie.

— Po słowie? — zapytał skarbnik zdziwiony — a z kim-że?

— A jużci przecie z wojewodzianką inflantską.

— Z kim? z kim? — zapytał jeszcze raz skarbnik.

— Z wojewodzianką inflantską, córką wojewody hrabi Rogalińskiego...

— Tfu! niech-że was tu sam dyabeł! — krzyknął na to Nieczuja i zerwawszy się z krzesła, zaczął się przechodzić po komnacie.

— Czy to czary, czy kołtun, czy opętanie! no! jako żyję, nic podobnegom nie widział!... — mruczał sobie skarbnik pod nosem i przechodząc się niecierpliwymi krokami, dziwnie był niespokojny. Ale się upamiętał po chwili i przystąpiwszy znów do starego, spytał łagodnie:

— Ej! panie bracie! czy tylko znów ci december nie zginął?

— A jak to myślisz?

— Jużci tak myślę, że mi coś mówisz, co nie jest prawdą. Bo jużci to żadną miarą nie może być, żeby Jędruś był po słowie z wojewodzianką.

— Otóż masz! przecie wiem dokumentnie, pisał do mnie sam wojewoda, pisałem ja też do niego. Pisała nawet i moja żona.

— Jakże? więc twoja żona pisała do wojewody i zezwoliła na zaślubiny Jędrzeja z wojewodzianką, a tu znów swoją własną córkę swata za niego?

— Już ja tam tego nie wiem, jak to jest teraz, jeno to ci powiadam, że wojewoda go sobie życzył i wojewodzianka była także za nim, i już to miało przyjść do skutku na pewne... ale potem wybuchła wojna...

— Więc te zrękowiny się odbyły jeszcze przed wojną?

— O! przed... to jeszcze przeszłego roku, albo też nawet i dawniej...

— I taki były zrękowiny?

— Już to czyli formalne, to tego nie wiem...

— Ej! ot pleciesz trzy po trzy, sam nie wiesz co. A może też i prawdę, ale licho cię tam zrozumie... Już to w tym domu pono wszystko kury czubate. Bodajbym był... dyszel złamał pierwej, nimem tutaj przyjechał.

Tak mrucząc sobie pod nosem zniecierpliwiony skarbnik przechadzał się znów po komnacie, kiedy wtem do komnaty wbiegł Jędrzej. Był on już do odjazdu przygotowany i widocznie się spieszył.

— Zagadałem się tam z tymi panami — zaczął on zaraz od progu — i zapomniałem o tem, że panowie starsi lubią wczesny spoczynek. Ale chwała Bogu — zastaję jeszcze pana majora na nogach i mogę się z nim pożegnać.

— A myśmy się tu znów zagadali z tatulem — rzekł na to major — ale jakoś nie bardzo trafiamy z sobą do ładu.

— Mój ojciec — powiedział na to półgłosem Jędrzej — ma już troszeczkę za słabą pamięć...

— Tak... — rzekł na to z powagą skarbnik — ale tu jakoś i inni, którzy mają i mocną pamięć i dosyć bystre rozumy, nie bardzo jaśni są dla mnie. Wogóle mówiąc, ten nasz świat młody podobno bardzo mętny jest jeszcze.

To zastanowiło Jędrzeja, lecz odpowiedział w ten moment:

— Pomimo to, jestem pewny, że się wyklaruje zupełnie.

Skarbnik spojrzał mu w oczy i rzekł:

— Życzę mu tego całem sercem, chociaż nie mogę powiedzieć, ażebym tak wierzył.

Na te słowa Jędrzej tak nagle się zmienił, że jego twarz cała przybrała inny zupełnie wyraz. Zdawało się, jakby go kto skrycie pchnął nożem pomiędzy żebra i on

uczuł ten ból okropny, i utłumił go w sobie. Jakoż już innym głosem wymówił potem te słowa:

— Ha! to smutno zaprawdę, kiedy się nie ma wiary, ale na to nie masz ratunku. Trzeba czekać cierpliwie, póki się wiara nie stwierdzi czynem.

I nie dając już majorowi pola do drugiej podobnej uwagi, dodał natychmiast, podając mu rękę:

— Ja się żegnam z panem majorem, ale mam nadzieję, że go jutro jeszcze tutaj zastanę.

— Bardzo tego żałuję, ale muszę tę nadzieję omylić, bo jutro jaknajrychlej wyjadę. Moja siostra wyjeżdża tymi dniami na całą zimę do Lwowa, więc mi ją trzeba wyprawiać.

— Pani podkomorzyna wyjeżdża do Lwowa... — powtórzył Jędrzej, ale to takim głosem, że kto nie chciał to widział, jak niespodziewane, a silne zrobiła ta wiadomość na nim wrażenie. Co więcej, Jędrzej zbladł teraz jak ściana i zachwiał się na nogach do tego stopnia, że aż się musiał przysunąć do stołu i oprzeć ręką o krawędź. Wyglądał w tej chwili tak jak ten, który się dowiedział niespodziewanie, że go omyliły odrazu jego wszystkie rachuby.

— Pan mi powiadasz wcale niespodziewaną nowinę — mówił on dalej jeszcze zawsze tym samym głosem — która mnie dziwi o tyle więcej, ile że miałem przyjemność być u pani podkomorzynej w przeszłym tygodniu i nie było o tem ani wspomnienia.

A skarbnik na to z swoją zwykłą krwią zimną i konsekwentną powagą:

— Nie rozumiem wcale, dlaczego to pana zadziwia, pana, który tak dobrze wiesz o tem, że się nie zawsze to mówi, co się ma w sercu lub w głowie.

Ta zabijająca uwaga jeszcze więcej zmieszała Jędrzeja.

Wstrząsł się, zbladł jeszcze bardziej, spojrzał w twarz skarbnikowi, ale zaraz spuścił oczy ku ziemi. Zdało się, jakby cierpiał piekielnie.

Jakoż dziwne zaprawdę było położenie Jędrzeja w tej

chwili: był obwinianym w oczy, czuł się niewinnym, a usprawiedliwić się nie mógł.

Zdaje się jednak, iż chęć usprawiedliwienia odzywała się w nim raz za razem, lecz również raz za razem powstrzymywała ją silna wola; widać przynajmniej było, iż jakaś zawzięta walka w nim się toczyła, której wszystkie przejścia odbijały się w twarzy. Wszystko to wszakże trwało tylko króciutką chwilkę.

Pełna żywego uczucia i ufności w swe siły, młodość ma ten przywilje, że jako prędko pod ciosem niespodziewanego wrażenia pada, tak równie prędko się z takiego upadku podnosi.

Jakoż i Jędrzej już w okamgnieniu się znów ocucił i kiedy twarz jego rozpromieniło nagle czy to uczucie zapału, czy odważne postanowienie, równające się zapałowi, rzekł do skarbnika te słowa:

— Ha! kiedy tak już koniecznie, tedy żegnam pana majora, ale mam tę nadzieję, że niebawem się obaczymy. Tymczasem zaś proszę pana zawieźć moje ukłony pani podkomorzynie, a jeśli łaska, pannę podkomorzankę poprosić, ażeby dla swego sanockiego sąsiada zachowała pierwszy taniec na balu u pani kasztelanowej Kamieńskiej.

I nie dając już skarbnikowi czasu do wymówienia ani jednego słowa, ścisnął go za obydwie ręce, nie żegnał się nawet już z ojcem, który drzemał w krzesełku, i wybiegł prędko z komnaty.

Skarbnik stał jeszcze przez chwilę na swojem miejscu i patrzył we drzwi, które się za Jędrzejem zamknęły.

Zdaje się, że musiał myśleć nad jego ostatniemi słowami, czyli sobie choć przez nie niepotrafi tej zawikłanej kwestyi rozjaśnić; ale za wiele ta kwestya zawierała w sobie rzeczy nowych dla starego i niewtajemniczonego w intrygi nowego świata szlachcica, ażeby je mógł do jakiegokolwiek sprowadzić ładu.

Mówił jeszcze potem jaką godzinę z ojcem Jędrzeja, ale i od niego już się nic nie dowiedział.

Przespał się tedy u niego — nazajutrz do Zagórza

powrócił, a w parę dni potem podkomorzyna z córką wyjechały na zimę do Lwowa.

XI.

Zjazd na zimę onego roku był bardzo liczny we Lwowie. Lwów, stawszy się przed dwudziestu i kilku laty stolicą całkiem odosobnionej prowincyi, podniósł się znacznie, ożywił się i wyrobił sobie właściwą i wcale odrębną od innych miast fizyognomię. Do niedawna jeszcze będący głównie tylko znacznym składem towarów i siedliskiem bogatych kupców, zamożnych mieszczan i Żydów, dzisiaj się prawie przepełnił magnatami i znakomitszą szlachtą, którzy nie mając już nic do czynienia na dawnych swoich urzędach koronnych i wojewódzkich, już choćby tylko dla rozpędzenia nudów, ściągali się zwykle na całą zimę do miasta. Zima ta wszakże przynosiła nietylko zwykłą miejską rozrywkę na długie wieczory, lecz przynosiła także zwykle dość huczne i wesołe zapusty, a co ważniejsza, przynosiła także kontrakty.

W tym roku, po dokonanym ostatecznym podziale, przybyło jeszcze więcej nudzących się, chcących się rozweselić lub kontraktowe sprawy mających; popowracało wielu, którzy jeszcze do lat ostatnich zajmowali urzędy w Warszawie; poprzybywali i ci, którzy piastowali stopnie wojskowe. Ludność napływowa, złożona po największej części z zamożnej szlachty, a zresztą z dymisyonowanych wojskowych, z różnorodnej młodzieży i ich licznych służalców, wzrosła teraz do takiej liczby, że zrównoważyła prawie dawnych stałych mieszkańców.

Całkiem też inaczej wyglądało dziś miasto.

Pustką stojące do niedawna pałace zaludniły się dzisiaj nanowo, ledwie nie każda kamienica przy rynku i ulicach główniejszych była wynajęta jakiemuś ze wsi przybyłemu domowi, a nie stały próżno większe mieszkania i przy ulicach innych. O którejkolwiek wyjść było godzinie, spotykało się mnóstwo najrozmaitszych powozów: tu

czterokonna kareta, otoczona Kozakami w barwie pańskiego herbu — tam kocz angielski, zaprzężony czterema angielskimi końmi w pozłocistych szorach z czubami, poprzedzony przez forysia i wiozący za sobą dwóch ugalonowanych lokai — tędy się wlecze ciężka danglowska karoca, ciągniona przez olbrzymie fryzy — tamtędy sunie jakaś arka Noego, opleciona złoto-zielonym wieńcem, ozdobiona rzeźbionymi ptakami albo głowami po rogach, obsadzona pajukami i huzarami, jak sikawka podczas pożaru. Pomiędzy powozy przebiegają jeźdźcy-panowie i jeźdźcy-słudzy, po chodnikach tłumią się piesi — tu kontuszowa szlachta w niedźwiedzich szubach, tam mieszczanie w długich kapotach, baranich czapkach i pasach litych, tu poważni Ormianie w tułubach. Niemcy z harcapami w trójgraniastych kapeluszach i płaszczach, Żydzi w atłasach i kitajach, żołnierze, Kozacy dworscy, liberya, przekupki, ulicznicy, żebracy. A wszędzie zgiełk, tartas, wrzawa o wszystkich godzinach i po wszystkich ulicach.

Po domach różnie, jak Bóg dał, jak czas przynosi, albo jaka czyja fantazya. Więc tutaj długie i poważne gawędy o ostatnich wypadkach, o politycznych sprawach — tam rozgłośne wspomnienia świeżych wojen, bitew i szturmów — indziej wesołe uczty, tańce i zabawy — a pomiędzy to wszystko szumi gra zapamiętała, szalona — pienią się kubki i roztruchany, rozpaczliwe na rozpacz lekarstwo — i jak wąż jadowity, z nadkąszonem jabłkiem rajskiem w plugawych zębach, przesuwa się, w kłębach swych zaraźliwych, rozpusta. — Tylko w świątyniach Pańskich, przed obrazami ukrzyżowanego Chrystusa i Matki Jego bolesnej, widać klęczące postacie z ciężkim smutkiem na licu, z cichą łzą w oku, z krwawą żałobą w sercu. Jakoż widać zarazem, że pod owymi zewnętrznymi objawami codziennego, gwarnego, hucznego życia, płyną całe strumienie krwawego bólu, ukrywające się przed oczyma całego świata, jawne tylko samemu Bogu.

W domu wojewody inflanckiego jednostajna powaga i cisza, jak zawsze. Wojewoda jeszcze przeszłego roku, przewidując nadciągające chmury groźne na polityczny ho-

ryzont, a wiedząc, że im nie potrafi zaradzić, usunął się zawczasu z Warszawy i zamieszkał swój pałac we Lwowie. Tu przeczekał on wszystkie przez ten czas zaszłe wypadki, tu przebolał wszystkie nieszczęścia ogólne i inne, swoje własne zawody, nie wypadłszy przytem ani na chwilę z swej równowagi klasycznej. Wojewoda dzisiaj był taki sam, jak przed półtora rokiem — ta sama postać chuda, wysoka, chłodna, ta sama twarz pełna uprzejmej powagi — tylko gęste brwi jego były teraz trochę ściągnięte i jedna zmarszczka przybyła na czole. Ale też tyle było wszystkiego — więcej zmian po nim żadne nie dostrzegało oko i żadnych zmian też nikt się nie domyślał.

Wojewoda dzisiaj prowadził dom taki jak zawsze. Przyjmował wszystkich, którzy tylko mieli prawo do jakiejkolwiek dystynkcyi. Ale pomimo to, że jego pokoje były otwarte dla zwykłych gości po kilka razy na tydzień, nie było w nich nigdy natłoku. Wojewodę już i w Warszawie znajdowano zanadto poważnym, a jego dom trochę zachłodnym, ażeby się nadto licznie gromadzono do niego — a cóż dopiero teraz, gdzie jednocześnie poczynały się bale i kontrakty, i cóż dopiero tutaj, gdzie było tyle domów i wystawniejszych, i szumniejszych, i większych, a oprócz tego jeszcze gry, maskarady i Bogusławskiego reprezentacye sceniczne? — Wojewody recepcyjna komnata była tu pustą najczęściej.

Dziś był to już wieczór, w głównej komnacie paliło się sześć świec woskowych na podłużnym przedkanapowym stole i rzucało jakieś smętne światło na ciemno-adamaszkowe obicia, na orzechowe i mahoniowe sprzęty, na wiszące gęsto na ścianach malatury olejne, po największej części szkoły staro-niemieckiej. Tylko nad kanapą wiszący obraz Chrystusa, modlącego się na górze Oliwnej, błyszczał jakąś wyższą, promienistą jasnością, ale i tutaj myśl uderzająca z tego obrazu jak nie obiecywała pociechy dla człowieka w tem życiu, tak nie rozweselała światła komnaty. Komnaty tej atmosfera była jakaś ciężka, duszna, przytłumiająca oddech i swobodne uczucie.

Koło stołu w staroświeckiem, głębokiem krześle, sie-

dział wojewoda. Siedział on, jak zwyczajnie, z nogą założoną na nogę, z głową podniesioną do góry, trzymając w ręku złotą tabakierkę z portretem Stanisława Augusta.

Naprzeciw niego, w drugiem takiemże samem krześle, siedział gość jego. Był to mężczyzna, o ile się zdawać mogło, dosyć słusznego wzrostu, wyciągnięty i chudy jak wojewoda, ale młodszy od niego. Ile miał lat, trudno było odgadnąć; wiele tam było sztuki, która zakrywała naturę. Siwiejące albo może już osiwiałe włosy zmusił staranny puder do trwałego milczenia, twarz ściągłą, chudą odmłodniła brzytew angielska i maście, a brwi czarne jak węgiel i równie czarne lubo już trochę przyćmione oczy, same przez się nie wydawały wieku. A choćby zresztą ze zmarszczków około oczu i z przeglądającej przez delikatne bielidła zielonkowatej cery, można było wnosić na jaką pięćdziesiątkę lub więcej — toż znowu za to ubiór jego francuski, elegancki do najwyższego stopnia, nadawały tyle lotnego wdzięku całej tej niezdecydowanej figurze, że gdyby był jej ktoś dawał tylko lat pracowitych trzydzieści, to także trudno było zaprzeczyć. — My wszakże, kiedyby nam o to chodziło, moglibyśmy się prawie dokładnie tych lat doliczyć, albowiem tym gościem był nam znany już dawniej starosta bełzki.

— Mości panie starosto! — mówił wojewoda z powagą, prowadząc dalej już od pół godziny się toczącą rozmowę — tedy pan masz, jak mówisz, niezachwiane postanowienie *coûte que coûte*, zakończyć tę swoją dotychczasową samotność. Jest to myśl tedy której ja wcale nie ganię, i owszem, chwalę. Bo jakkolwiek tam miłym może być z wielu względów stan wolny, jednak zawsze pokazuje się w końcu, i to nawet bardzo dowodnie, że człowiek już od Pana Boga stworzony jest do małżeństwa. Ale znów z drugiej strony, przy zawieraniu małżeństwa, bardzo być trzeba uważnym i z tysiąca rozmaitych względów, ani jednego nie spuszczać z oka, albowiem wszystkie są ważne. Te rozmaite względy trzeba jeszcze o tyle więcej brać na uwagę, ile że nawet i największa ostrożność jeszcze nie daje rękojmi, że się nie mylimy. Ja w mojem

życiu po dwakroć zawierałem związki małżeńskie i lubo mogę to o sobie powiedzieć, że ani razu nie zawierałem ich bez statecznego namysłu, przecież raz tylko trafiłem tak, że mnie moje przewidzenia nie omyliły. W drugim moim związku małżeńskim odkryły mi się po ślubie rzeczy całkiem niespodziewane, które kogo innego byłyby może nawet o niespokój domowy przywiodły; jednak ja, dostrzegłszy ich dosyć zawczasu, tak szczęśliwie umiałem mogącym z nich wyniknąć skutkom zapobiedz, że byłem potem całkiem zadowolony. Tę tylko muszę zrobić z moich doświadczeń uwagę, iż tam, gdzie miałem główny wzgląd na urodzenie i wychowanie, nie omyliłem się ani o jedną jotę w rachubie; tam zaś, gdzie dla obfitszego wyposażenia przymrużyłem jedno oko na urodzenie, pokazały się wkrótce zawody. I tak to bywa zawsze podobno!

— Pan hrabia nabyłeś tego przekonania przez doświadczenie — odpowiedział na to z równą powagą, ale i z przymileniem starosta — które już ja od lat wielu mam za principium. Dobre jest bardzo odpowiednie wyposażenie, ale główny wzgląd zawsze powinniśmy mieć na pochodzenie i wychowanie. Każdy żeniący się zresztą powinien sam mieć tyle majątku, ile do utrzymania domu, odpowiedniego jego imieniowi i towarzyskiej pozycyi, potrzeba. Ja, z mojej strony, przyznam się nawet panu hrabiemu, iż gdybym był w położeniu wybierania pomiędzy partyami, z którychby jedna miała posag zanadto wielki, a druga żadnego zgoła posagu, *caeteris paribus*, jak mówią łacinnicy, daleko dłużejbym się zastanawiał nad wejściem w związek małżeński z osobą zbytecznie bogatą, niżeli z całkiem ubogą. Jest to może rodzaj przesądu we mnie, ale nie waham się tego powiedzieć, iżby mi to było nie miło, gdyby mówiono o mnie, żem się ożenił bogato.

— Bardzo szlachetne masz pan starosta sentymenty — rzekł wojewoda z uśmiechem zadowolenia — i bardzo słuszne. Nie miło jest, kiedy się ma komuś do podziękowania fortunę, a jeszcze nie miłej, kiedy ta fortuna należy z prawa do żony. W takim wypadku nie jest się do pewnego punktu tem, czem bywali nasi ojcowie, a do

których żony mówiły: Panie i mężu mój! — jak nam o tem piszą historykowie.

— Tak, mości hrabio! — mówił dalej starosta — z tego też punktu wychodząc i ja w mojej żonie pragnąłbym znaleźć tylko urodzenie i wychowanie. O urodzeniu już się samo przez się rozumie, że jest koniecznem, bo mezalians, podług mego rozumienia, jest to moralne samobójstwo! co do wychowania zaś ani nawet pojmuję, jak można zawrzeć związek z kobietą, która nie byłaby w stanie robić honorów domu tak, jak nasz dom tego wymaga. Z tego względu, wyznam to panu hrabiemu otwarcie i proszę tego nie brać za czczy kompliment, za wzór takiej doskonałości uważam pannę hrabiankę Melanię. Szczęśliwy ojciec, który w swem dziecku potrafił zgromadzić tyle nieporównanych przymiotów!

— Pan starosta dobrodziej! — rzekł na to wojewoda z uśmiechem nieutajonej wdzięczności — jesteś zbyt łaskaw na mnie. W istocie rzeczy — i dlaczegóżbym nie miał tego wyznać otwarcie, kiedy mi to tak znakomity znawca przyznaje? — Melania jest bardzo poczciwem dzieckiem; jak długo żyje, nie dała mi jeszcze do najmniejszego nieukontentowania powodu, a w naukach postąpiła nawet daleko wyżej nad moje własne żądania. Jakoż śmiem się spodziewać, i to nie bez słusznych powodów, że kiedy jej Pan Bóg pozwoli wyjść za mąż, zasłuży sobie nietylko na szacunek męża i całego koła znajomych, ale zdobędzie sobie nawet pewne nieobojętne stanowisko w całem towarzystwie, do którego będzie należeć.

— Jestem o tem przekonany najmocniej — mówił dalej starosta — i nawet przyznam się panu hrabiemu otwarcie, że od niejakiego czasu myśl ta mnie bardzo żywo zajmuje. Poznawszy cokolwiek bliżej pannę Melanię i jej znakomite i świetne wychowanie, wyobrażam sobie, i to z coraz żywszem uczuciem prawdziwej rozkoszy, jak niewymownie szczęśliwym ten będzie, któremu się skarb taki dostanie. Myśl ta nawet — mówił dalej, mieniąc się trochę, starosta — prześladuje mnie ciągle tak uporczywie, iż zdając sobie z niej sprawę, nie mogłem inaczej

osądzić, jak tylko że to nie jest myśl sama, ale najżywsze i dość niespokojne, a pod postacią myśli się objawiające, uczucie... Nie wiem jakby kto inny postąpił sobie w tym razie, ale ja, który mam zwyczaj każdą rzecz zgłębić do gruntu i wybadać wszechstronnie, tak też sobie postąpiłem i tutaj...

Mówiąc te słowa, starosta patrzył ciągle na wojewodę, czy się nie zlituje nad nim i nie zechce się reszty domyśleć: ale wojewoda był także mężem gruntownym i z nielitościwą krwią zimną czekał dalszego ciągu.

— Jakoż rozważywszy całą tę sprawę dokładnie — mówił dalej starosta — i zestawiwszy wszystkie możliwe okoliczności i skutki, znalazłem u siebie, iżby to może nie było nieodpuszczonym grzechem z mej strony, gdybym tę myśl prowadził prosto do urzeczywistnienia...

Tu się znowu starosta na chwilkę zatrzymał i już na wet litościwem okiem spojrzał na wojewodę, ale wojewoda patrzył tylko uważnie na niego i czekał końca. To już trochę zmieszało starostę, bo mu się zdawało, że w tem miejscu wojewoda powinien był mu koniecznie dopomódz — lecz mówił dalej:

— Tu znowu nie wiem, jakby sobie był który inny postąpił, ja jednak, nie zapominając nigdy o tem, komu się w jakiej sprawie pierwszeństwo należy, lubo jeszcze zupełnie nic o tem nie wiem, jakie tę propozycyę moją napotkają gdzieindziej trudności, postanowiłem sobie udać się z tem najpierwej da ojca i wyznawszy moją intencyę otwarcie, jego o zdanie zapytać.

Tu wstał starosta i nareszcie dokończył:

— Racz tedy, mości hrabio, całą tę sprawę nieomylnem ocenić zdaniem, a ponieważ nie masz w tem nic nagłego, chciej łaskawie oznaczyć, kiedy mam przyjechać po twoją światłą decyzyę, która mi każe albo o równe ojcowskim względy starać się u hrabianki, albo też, zarzuciwszy zamiar nieodpowiedni, zachować się na zawsze w dotychczasowej tylko dla niej i jej zacnego ojca przyjaźni.

Teraz dopiero wojewoda wyciągnął rękę ku niemu i odpowiedział:

— Mości starosto! Wpan dobrodziej dajesz mi dowody bardzo wysoko cenionych przezemnie względów, głównie przez to że tak zaszczytne miejsce w swem sercu dajesz mojemu domowi, ale niemniej i przez to, iż postępujesz sobie przytem z tak rozsądnem uwzględnieniem rodzicielskiej powagi. Jakoż proszę mi wierzyć, iż za to wszystko znajdziesz we mnie nietylko wdzięczność, ale i najlepsze chęci dla siebie...

Starosta ściskał powtórnie ręce wojewody i dziękował mu, mówiąc:

— Słowa te nie zapewniają mi jeszcze stanowczego przyjęcia, ale otwierają mi drogę do dalszego działania. Pozwól tedy jw. hrabio...

— Tak, kochany starosto — przerwał mu wojewoda — z miłą chęcią otwieram panu z mojej strony tę drogę i daję moje ojcowskie pozwolenie postępowania umiarkowanym krokiem dalej ku powziętym zamiarom. Mówię wszakże wyraźnie: umiarkowanym krokiem, albowiem umiarkowanie jest tutaj z wielu względów konieczne, o których to względach pomówimy ze sobą obszerniej.

To mówiąc, wojewoda zadzwonił, a kiedy wszedł na głos dzwonka służący, spytał go:

— Czy panna Melania już powróciła od księżnej?

— Już, jaśnie panie.

Dawszy znak służącemu ażeby odszedł, rzekł wojewoda do swego gościa:

— Moja córka już powróciła i zapewne niebawem tu przyjdzie. Nie jest tedy pora poczynać nową debatę, a to o tyle więcej, ile że ważny traktując przedmiot, dosyć wiele zabierze się czasu. Jeżeli ci tedy, panie starosto, na tem zależy, ażebyśmy się z sobą porozumieli zawczasu, to czekam pana kiedykolwiek w tych przed południem.

— Nie omieszkam zaraz jutro służyć panu hrabiemu — odpowiedział starosta, a wtem weszła do komnaty Melania.

Melania była dzisiaj bardzo ładnie ubrana. Koronki, ciemnego koloru jedwab i złoto, dobijały się o pierwszeństwo w elegancyi jej stroju. Pomimo to jednak ogólne

wrażenie, jaki jej strój na patrzącym wywierał, nie było ani wesołe, ani pretensyonalne; przeciwnie nawet, było coś dziwnie smutnego, coś, że tak powiem, tragicznie poważnego w jej całej postaci, do czego strój jej się nie mało przyczyniał. A ta jakaś przejmująca tragiczność najmocniej uderzała z jej twarzy. Twarz jej była dziś całkiem inna, niżeliśmy ją widzieli w Warszawie. Nie możemy powiedzieć, żeby Melania wprost wyładniała, ale zrobiła się jakaś tak dziwna metamorfoza z całym wyrazem jej twarzy, że zdawało się, jak gdyby całkiem inne myśli i inne uczucia ożywiały jej rysy. Ale nie masz się temu co dziwić. Ciało jest tylko formą, w której duch wszechwładnie panuje. Jak ten duch się podnosi, jak pada, jak się uszlachetnia lub zwierzęceje, jak się wyższem ożywia natchnieniem, albo jakie przechodzi zawody i bóle — wszystko to się na jego formie wiotkiej wyciska i niezatarte pozostawia po sobie ślady. Najpiękniejsze z natury twarze napełniają nas czasem obrzydzeniem i zgrozą — najbrzydsze nieraz pociągają jakąś nieznaną siłą nasze serca ku sobie, wzbudzają ufność bez granic i wymuszają na nas cześć i szacunek. W Melanii, któż wie, jaka czynność jej ducha wywołała taką odmianę w twarzy; pewną wszakże jest rzeczą, że musiało to być przynajmniej jakieś uczucie czyste, pełne szlachetności i siły, kiedy wyciśnione przezeń ślady na twarzy wypadły tak na jej korzyść.

Zmianę tę musiał dostrzedz już dawniej starosta bełzki, kiedy, nie będąc wcale wielbicielem pogardzającego zewnętrznemi formami ducha, postanowił zgłosić się o jej rękę: dziś wszakże musiała mu się Melania wydać jeszcze stokroć piękniejszą, bo jak tylko ją zoczył, ledwie jej pozwolił przywitać ojca, posunął zaraz ku niej z całą wiązanką najgrzeczniejszych i najpiękniejszych słówek, które też tak jak kwiatów wiązankę rozwiązał przed nią i po ziemi rozsypał.

Wojewodzianka wszakże za te wszystkie rzeczy tak piękne nie nagrodziła go nawet tak zdawkową monetą, jaką jest uśmiech w salonie, i zdaje się, że te grzeczno-

ści musiały zrobić na niej w tej chwili nawet nieprzyjemne wrażenie, bo aby się już powtórzyć nie mogły, sprowadziła natychmiast rozmowę do jaknajpoważniejszych przedmiotów. Grzeczny kawaler dał się swej damie sprowadzić na tor jej odpowiedni z uprzedzającą skwapliwością, i rozmawiał o rzeczach ważnych. Wszakże nie dosyć było tego Melanii. Była ona w tej chwili w jakiemś usposobieniu tak rozdrażnionem, obecność starosty tak jej była zbyteczną, że co kiedyindziej byłoby jej nawet na myśl nie przyszło, teraz byłaby w stanie nawet niegrzecznością pozbyć się gościa z komnaty. Tak też się toczyła rozmowa. Melania mówiła o dzisiejszych, okropnych, straszliwych, zabijających czasach.

— Tyle klęsk, tyle nieszczęść — mówiła z osobliwszym zapałem Melania — tyle zniszczenia do koła i my jeszcze żyjemy! to prawdziwie cud Pana Boga. Ale że się ta cudem uratowana iskierka życia tylko wesołym gwarem, zabawami i nawet tańcem objawia, to już przechodzi moje pojęcie. Wracam teraz od księżnej. Jakie stroje, jaka wystawność, jaki zbytek we wszystkiem, a do tego jakie wesołe twarze, jakie uśmiechy, jakie rumieńce, to niech się schowa nawet Warszawa w najświetniejszych swych czasach. Być może, że to jest jakieś nienaturalne, a może nawet nieprzyzwoite uczucie we mnie, ale przyznaję się do tego, żem się patrzeć na to nie mogła. Trudno winę tego kłaść na kobiety, bo one już dawno są usprawiedliwione z swego zamiłowania w strojach i wesołych rozrywkach — ale widzieć dziś młodych mężczyzn pływających w koronkach i unoszących się w sztucznej woni róż i fijołków, to jest w istocie nad moje siły. Jeszcze do tego, jak się odezwała kapela, dosyć że nie mogłam dłużej dosiedzieć w salonie.

Przy wspomnieniu o koronkach u mężczyzn wojewoda z zadziwieniem spojrzał na córkę, a starosta przebiegł wzrokiem po swoich własnych koronkach, ale zaraz rzekł na to z bardzo uprzejmym uśmiechem:

— Pani mówisz cudownie! słuchałbym panią dzień

i noc, i nigdy nie miałbym dosyć. Lubo ja sam jeszcze nie mogę się pozbyć zupełnie koronek...

— Ach! doprawdy, nie uważałam...

— Nic to nie szkodzi — mówił dalej ciągle uśmiechniony starosta — owszem, owszem, ja się zupełnie piszę na zdanie pani, a to o tyle więcej, ile że pani czynisz zarzut z koronek tylko mężczyznom młodym, a ja się do nich wcale nie liczę. *Mais à present, vous voila dans un dilemme!* Bo jeśli pani mi zechcesz powiedzieć, że jeszcze nie jestem tak bardzo stary, to mnie pani musisz uczynić winnym koronkowego zarzutu: a jeśli mnie zechcesz od zarzutu uwolnić, to musisz przyznać żem stary. A co? — pytał z uśmiechem zadowolenia starosta — złapałem panią, nieprawda?

— A! panno Melanio! — odezwał się wojewoda — trzebaby jakoś wybrnąć z tej niebezpiecznej zasadzki.

— Ale bo pan starosta... w samej istocie... — mówiła zakłopotana Melania.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to dobrotliwie starosta, całując z gracyą rękę Melanii — niechże się pani tem nie kłopocze. Wierny jej sługa i najwierniejszy przyjaciel tylko z prawdziwą rozkoszą przyjmie od pani tak koronkowe zarzuty, zwłaszcza że te koronki tak prawdziwie brabanckie.

— Ale pan starosta — mówiła dalej, wychodząc powoli z zakłopotania, Melania — nie mógłbyś wcale wziąć tego zarzutu do siebie. Bo ja to mówiłam tylko do młodzieży, a pan starosta, który zajmujesz tak stateczną pozycyę w świecie, który jesteś nie kawalerem, lecz wdowcem...

— Ja? — przerwał pomimo woli dosyć raźnie starosta, lecz mówił dalej najzwyczajniejszym tonem — ja wdowcem? pani sobie z łaski swojej żartuje...

Tu się Melania jeszcze gorzej zmieszała, a wojewoda zapytał:

— Jakto? panie starosto? więc nie byłeś nigdy żonaty?

— Jak długo żyję! — odpowiedział starosta — cha, cha, cha! wiecie państwo, że to jest doskonałe! I czy pan

hrabia byłeś rzeczywiście tego przekonania, że ja jestem wdowcem?

— Odkąd pana znam — rzekł wojewoda — zawsze miałem taką opinię.

— A! to jest dobre! to ledwie do uwierzenia! ale przecie ciekaw jestem, skąd się mogło wziąć to mniemanie, które mnie dziwi, tem bardziej ile że mi się już parę razy zdarzyło, że mnie miano za wdowca.

— Kto mnie dał to wyobrażenie o panu — mówił wojewoda, tego już nie pamiętam, bo też i dawne to czasy... to jest, tak — poprawił wojewoda — lat temu kilka, wszakże jestem pewny, że musiał mnie ktoś o tem upewnić, kiedy miałem dotychczas tę opinię. Ale, ażeby, jak to moim zwyczajem, i z tak drobnego szczegółu wyciągnąć dla siebie naukę, owóż dowód najlepszy, jak mało można budować na długoletnich a tylko pobieżnie uzyskanych opiniach.

— A rzeczywiście! — mówił na to starosta — jak nie wiele są warte, choćby też najlepszy kurs mające opinie, tylko ten może wiedzieć, który każdą wiadomość ważniejszą usiłuje sprawdzić dowodnie.

W tym sensie mówił starosta i dalej, ale już i wymowa jakoś mu nie bardzo służyła i nie miał się zresztą czegoś osobliwego spodziewać po tym wieczorze, chyba jeszcze jakiej osobliwej przymówki. Postanowił tedy wynieść się jaknajprędzej — i za chwilę już go nie było w salonie.

Wojewoda został sam na sam z córką.

Jak tylko drzwi się zamknęły, Melania odetchnęła swobodnie, jakby jej jaki ciężar spadł z serca, a ojciec się do niej odezwał:

— Moje dziecko, zrobiłaś dotkliwą przymówkę staroście. Widzisz, jak to trzeba być zawsze uważną i jak mało można ufać naturalnemu biegowi myśli, nie strzegąc go jaknajpilniej rozumem.

— Ach! mój ojcze — rzekła na to z westchnieniem Melania — już ja sama dziś nie wiem, co mówię.

— A, to jest bardzo niedobrze. Ale czy są tego jakie osobliwe powody?

— Oh! i jak ważne do tego!

— No, i cóż to być może? czy jest może jaka od Jędrzeja wiadomość?

— Nie od niego, lecz o nim.

— Cóż ci powiadano?

— Ojcze! — zawołała Melania ze łzami w oczach i załamując ręce z boleści — on się kocha w kim innym!

Wojewoda patrzył przez chwilę na córkę i nawet ruszył się trochę z miejsca, lecz odpowiedział poważnie:

— Siadaj-no, moje dziecko, nie trza się zbytecznie unosić.

— On się kocha w kim innym! — powtórzyła jeszcze raz biedna dziewczyna, jak gdyby nie była pewną, czy ją ojciec zrozumiał.

Ale ojciec rzekł z flegmą:

— Siadaj-no moje dziecko; takiego rezultatu należało się dawno spodziewać.

— O! czyż się mogłam tego spodziewać po nim! — zawołała z płaczem Melania, upadając napowrót w krzesło.

— Ja się sam tego nie spodziewałem pierwej, ale kiedy z Drezna powrócił i nie zabawił nawet dwóch dni zupełnych, i do Wilna odjechał, to już wtedy należało nam się domyślać, że na stateczności jego sentymentu dla ciebie nie wiele można budować.

— Nie, ojcze, ja jeszcze wtedy byłabym przysięgła za niego!

— A już ja wtedy zacząłem wątpić i nawet tę myśl moją natrąciłem ci delikatnie, ale, o ile sobie przypominam, nie chciałaś mnie jeszcze zrozumieć.

— Bo nie mogłam tego zrozumieć! Bo nie mogłam zrozumieć — mówiła dalej Melania — ażeby człowiek, z którym się poznałam prawie jeszcze w kolebce, z którym jak siostra z bratem przeżyłam wszystkie lata dziecięctwa, z którym mnie potem tak nierozerwana, tak tkliwa, tak otwarta wiązała przyjaźń, żeśmy oboje prawie tylko jedną myśl mieli i jedno w naszych sercach uczucie; nie rozumiałam tego, ażeby taki przyjaciel, taki brat mój rodzony, mógł

mnie potem opuścić! Ojcze! czy tacy to są ludzie na świecie?...

— Uspokój-no się, Melanio — mówił wojewoda zawsze jednostajnym swym głosem — albowiem widzę że jesteś jeszcze zanadto wzruszoną tą jakąś tam wiadomością, a to jest wcale nie dobrze. W takiem usposobieniu będąc, nie można mieć jasnego widzenia rzeczy, a rozmawiając śród zawieruchy uczuć i myśli, w której bez ładu i składu mącą się z sobą przedmioty, zaledwie na coś może się przydać rozmowa. Idźmy tedy porządkiem. Więc cóż ci powiedziano o Jędrzeju?

Ale Melania nie odpowiedziała nic na to, tylko spojrzała dziwnie bolesnym wzrokiem na ojca i z głębi serca westchnęła.

— Powiedziano ci, że afekty swoje obrócił ku innej. I czy to jest dowiedzione?

— Nie wiem, mój ojcze, nic już nie wiem... Tak mi mówiono... Wiem tylko tyle, żem dziecinną była natenczas, kiedym sobie roiła, że w nim znalazłam przyjaciela, który mi towarzyszyć będzie do grobu. Dziecinną byłam, bom nie zwracała na to uwagi, że oprócz duszy składa się człowiek i z ciała. Zdawało mi się nieszczęsnej, że nasza postać zewnętrzna jest tylko na to, ażebyśmy się widzieć mogli nawzajem, a nasze życie, nasza cała istota, to jest duch tylko, to nasze myśli, nasze uczucia, nasze zasoby i bogactwa moralne... O, jakże byłam nieszczęśliwie naiwną!

— Jeżeli byłaś tego mniemania — rzekł na to wojewoda — to rzeczywiście rozminęłaś się z prawdą. Albowiem z ziemi jesteśmy wszyscy i rzadki to zaprawdę pomiędzy nami człowiek, w którym nie przeważałaby ziemia. Znajdują się nawet częstokroć ludzie, którzy tak żyją, jak gdyby się składali tylko z samego ciała, i takiem życiem bywają bardzo szczęśliwi. Częściej nawet pomiędzy nimi przebywa szczęście, niżeli pomiędzy tymi, którzy czynią uszczerbek swojej połowie doczesnej na korzyść wiecznej. Wszakże w każdym wypadku odwrócenie uwagi od ziemi, od warunków naszego czysto ludzkiego istnienia, czyli ina-

czej mówiąc, zaniedbanie rzeczywistości, nie może żadnych innych przynieść owoców, oprócz zawodów, cierpień, boleści, a w ostatku nieszczęścia. Nie przeczę temu, iż jeśli to umartwienie ciała wypadnie rzeczywiście na korzyść ducha, znajdzie się za to nagroda po śmierci; ale niemniej jest rzeczą pewną, iż co się tutaj opuści, nie powróci się nawet i w niebie.

Melania słuchała tych istotnie po ziemsku rozumnych słów, ojca, tak jak się słucha muzyki, harmonijnej wprawdzie, ale nie przemawiającej do serca. Wojewoda czekał przez chwilkę efektu, a kiedy nie było żadnego, mówił dalej:

— Lecz powracajmy do rzeczy. Jest to tedy jeszcze rzeczą niedowiedzioną, że Jędrzej swoje afekty zwrócił ku innej. Ja wprawdzie tego podania niekoniecznie zaprzeczam, bo lubo niedowiedzione, jest ono jednak bardzo do prawdy podobne. Ale znów z drugiej strony trzeba dać miejsce i tej, także bardzo prawdopodobnej myśli, że niestały młodzieniec, jak się prędko odwrócił od ciebie, tak się może odwrócić od tamtej. W takim zaś razie, jest znów to do prawdy podobne, że odwróciwszy się od tamtej, znów się do ciebie nawróci. Tak bywa w świecie, i tak samo może być tutaj. Ostateczny więc wniosek podług mojego zdania jest ten, że nie należy jeszcze zupełnie porzucać dawnej nadziei. A ponieważ czynności ludzkie jakiegokolwiek rodzaju tylko wtedy mogą zaprowadzić do celu, jeżeli są skutkiem roztropnego namysłu, jest więc rzeczą dla nas konieczną zastanowić się nad wszystkiemi okolicznościami i względem dalszego postępowania z Jędrzejem, jakoż i z innymi, mogącymi się w naszym domu pojawić z podobną Jędrzejowi intencyą, taki ułożyć plan, wskutek którego nie porzucalibyśmy jeszcze zupełnie Jędrzeja, a pomimo to przecież nie zamykalibyśmy drogi i innym.

Przy tych słowach Melania wzdrygnęła się mimowoli i spojrzała na ojca wzrokiem takim, jakby nie dowierzała, że te słowa wyszły z ust jego; ale wojewoda nie uważał tego, zażywał właśnie tabakę, a potem mówił dalej:

— Tak postępują sobie wszyscy ludzie roztropni, i nam tak postępować należy, a to o tyle więcej, ile że jedynie takie postępowanie potrafi nas ochronić od szkody, jakaby mogła wyniknąć z doświadczonego od Jędrzeja zawodu. A postępowanie to będzie niezmiernie łatwe, bo też i samo z siebie wynika. My, gdybyśmy nawet chcieli, to nie moglibyśmy, nie mamy nawet prawa całkiem odrzucić Jędrzeja. Sądząc bowiem jego postępowanie sumiennie, nie możemy jeszcze powiedzieć, że nas porzucił stanowczo, nie możemy nawet go o to obwinić dowodnie. Wyjechał on wtedy z Warszawy nagle i równie nagle znów do Wilna odjechał, ale to jeszcze nie może mu być policzone za obojętność dla nas...

— O! nie, mój ojcze! ten wyjazd wtedy tak nagły i te ciągłe potem podróże tylko mu zaszczyt przynoszą...

— Tak... niezupełnie... — mówił wojewoda — ale da się to wytłumaczyć. Więc wtedy podczas tych tam podróży, nietylko nie dał nam swego zapomnienia dowodu, ale, przeciwnie nawet, ciągle o nas pamiętał. Pisywał do mnie. Jego listy mam zachowane w biurze. Potem wybuchła wojna. Jędrzej wstąpił napowrót w służbę, inaczej też być nie mogło. Ale i podczas wojny nie zapominał o nas. Z tego czasu mam dwa listy od niego. Po wojnie powrócił na wieś, do siebie. Osiadł tam stale, siedzi już trzy miesiące z okładem i nie był jeszcze ani razu we Lwowie. Jakoż tutaj dopiero zaczyna się epoka, w której w istocie rzeczy może mieć miejsce zobojętnienie dla nas z jego strony, a z naszej słuszne podejrzywanie go o to. Wszakże i tutaj jeszcze niepodobna nic konkludować z pewnością. Jędrzej bowiem, pomimo to, że się nam sam nie pokazał, dawał nam jednak od czasu do czasu wiadomość o sobie. Pisał tedy do mnie raz, jak tylko z wojny powrócił. Ten list, pamiętasz to pewnie, jak wielką tobie przyniósł uciechę. Dowiedziałaś się bowiem z niego nietylko o tem, że szczęśliwie z wojny powrócił, ale także i o tem, że podczas wojny nawet o nas ciągle pamiętał, a ów zwrot tego listu ostatni, w którym mówi, że swoje zdrowie i całość, wyniesione z tych niebezpieczeństw śmier-

telnych przez które przeszedł, ma tylko do podziękowania szczerym życzeniom, a zapewne i modlitewkom swoich wiernych przyjaciół; ów zwrot, powiadam, — bardzo nawet szczęśliwy pod względem stylu, — ma tak niewątpliwe znaczenie, że go nawet umyślnie niepodobna wypaczyć.

— To też tych kilka słów, to już wszystko — rzekła na to Melania — co mam od niego po wojnie! A i to jeszcze raczej jest ostatniem wspomnieniem dawnego i już wygasłego uczucia, niżeli nowy objaw żywej jeszcze przyjaźni... Był to ostatni promień oliwnej lampy, która dogorywając już długo, w końcu jeszcze raz całą komnatę oświeca — i gaśnie... Przy tym płomieniu ujrzałam jasno całą piękną przeszłość mojego życia, ale teraz widzę tylko tem lepiej, jaka mnie ciemność otacza...

Te słowa wymówiła Melania z taką rzewnością w głosie i takim głębokim smutkiem na twarzy, że wojewoda się zastanowił. Obracał tabakierkę w ręku, patrzał na córkę i milczał.

— Moja córko kochana — zaczął on mówić po chwili — ty jesteś jeszcze ciągle pod wpływem tego wrażenia, jakie na ciebie uczyniła ta dzisiejsza wiadomość. Wrażenie to, jak widzę, jest dla ciebie bardzo bolesnem. Nie dziwię się temu, bo młode serca mają to do siebie, że się dają porywać uczuciom; owszem nawet, przyjmuję to i dzielę sam z tobą tę boleść; jednak nie mogę ci tego nie wyznać, że mi to wielką sprawia przykrość. Mamy dzisiaj dzień ważny, wypadki i okoliczności, a nawet sama przyszłość prowadzenia się naszego wymaga tego, abyśmy pomówili ze sobą rozsądnie...

— Nie, ojcze! — zawołała na to Melania — tu już niema co mówić. Już ja wiem wszystko... ja się domyślam... Ale ja nie chcę żadnych środków używać, aby Jędrzeja przyciągnąć... Gdzie moje własne nie wystarczyło serce, oh, i jakież tu jeszcze pozostały mi środki! Ja nie mam żadnych...

Tu łzy silne i łkanie stłumiły jej dalszą mowę. Zakryła twarz łzami zalaną obydwiema rękami, zapadła w głąb krzesła i łkała.

Wojewoda patrzył w ziemię i milczał.

— Dwoje nas tylko wyszło w świat z tego domu — mówiła dalej Melania — nie możemy oboje, niech choć jedno będzie szczęśliwem...

Tu znowu łzy, coraz mocniejsze i obfitsze, zalały głos jej.

Wojewoda się ruszył nareszcie, przychylił się ku niej:

— Ale, moje dziecko kochane, przez Pana Boga zaklinam ciebie, nie poddawaj się rozkiełzanym uczuciom! Wszakże to egzaltacya, co mówię! to rozpacz prawie...

— Nie, ojcze! — mówiła na to spokojniejsza trochę Melania — to nie jest rozpacz! o! to nie rozpacz! to jest jeden akt tylko, to mała scena z życia kobiety...

— Ach! ale jakżeż wyobraziłaś sobie to życie!

— Tak, jak jest... jak jest rzeczywiście. Już je znam teraz... przeczułam je... widzę... widzę całą przyszłość do końca, oh! i pewnie dróg jej nie chybię...

Wojewoda sam nie wiedział, co ma począć ze sobą.

Wstał i zaczął przechodzić się po komnacie. Co chwila rzucał okiem na córkę, chciał zapewne twarz jej obaczyć, ale tej widzieć nie mógł, bo Melania się chustką zakryła i cisnęła tę chustkę obydwiema rękami.

Chciała zapewne tym sposobem łzy swoje powstrzymać i stłumić łkanie, ale nadaremne były to chęci. Łzy się lały pod chustką, a łkanie przeszło w jakiś rodzaj konwulsyjnego drgania...

Widząc to, wojewoda, zapewne w przekonaniu że najlepsza na takie gwałtowne wzruszenia jest samotność i cisza, wyszedł cicho z komnaty.

Melania długo tak jeszcze siedziała.

Nareszcie łzy wyczerpały się do dna, uspokoiło się trochę wzruszenie.

Melania wstała, oparła się ręką o stół i patrzyła dokoła.

Cisza była jak w grobie, i Melania samą była w komnacie.

Wtedy spojrzała dziwnie żałośnym wzrokiem na drzwi, któremi wyszedł był ojciec, i zawołała prawie rozdzierającym głosem do siebie:

— Oh! tyle czuć, tyle cierpieć, i nie mieć ani jednego serca na całym świecie, któreby mnie pojęło... o Boże!...

Tu znowu się zachwiała na nogach i zdawała się padać pod nawałem boleści, — ale wola jej była jeszcze mocniejsza niż boleść, — zebrała więc wszystkie siły i wyszła wolnym krokiem z komnaty.

XII.

Nazajutrz był bal u pani kasztelanowej Kamieńskiej.

Pani ta, celująca przy formach trochę rubasznych niepospolitym rozumem i zacnością obywatelską, nie miała nigdy usposobień bardzo karnawałowych, a tem mniej jeszcze teraz. Miała ona nawet pierwotnie zamiar nie dać żadnego balu w tym roku. Zważywszy wszakże, iż takim środkiem ujemnym nie potrafi dokazać tego, ażeby się nie bawiono zupełnie, a widząc znów z drugiej strony, iż jest tak wielka i powszechna do zabawy ochota, że z łatwością przestąpić może zakreślone owoczesnemi okolicznościami granice, — odstąpiła od swego pierwotnego zamiaru i postanowiła sama karnawał rozpocząć, ale rozpocząć go tak, ażeby balem u siebie danym wskazać miarę odpowiedniej ówczesnemu położeniu ochocie. W tym celu zaprosiła na bal do siebie całe towarzystwo znakomitsze, znajdujące się podówczas we Lwowie, zawezwała wszystkich, nawet przypadkowo przyjezdnych, nie ominęła nikogo, ktokolwiek tylko był jej prezentowanym, — ale na cały wieczór zapowiedziała tylko dwa tańce i zapewniła z góry, że na więcej nie pozwoli pod żadnym warunkiem. Jeżeli jej się zdarzyło kogoś osobiście zapraszać, to mówiła wyraźnie:

— Proszę waści do siebie na wieczór, ale tylko na bigos i kubek miodu, bo na więcej mnie nie stać w tych czasach. Zrobili w moich wioskach turbarium i puścili mnie na torbarium, więc chuda fara. Ale jeśli waść bardzo skoczny, to już wcale nie proszę, bo kapeliści tak się pomor-

dowali grając Niemcom sztajery, że ich nie stanie u mnie na więcej, jak na dwa tańce.

Tak mówiła kasztelanowa, a mówiła waść każdemu bez różnicy stanu i wieku; zdarzyło jej się nawet przed kilką laty w Warszawie powiedzieć waść samemu królowi. Kasztelanowa Kamieńska miała już lat przeszło sześćdziesiąt i była z domu Potocka.

Pomimo to wszakże przybyli wszyscy. Kasztelanowa mieszkała w pałacu u świętego Jura i miała tam bardzo obszerne salony. Wszystkie te salony napełniły się gośćmi do tego stopnia, że był tłum formalny, od drzwi wstępnych aż do ostatnich. Między tym tłumem można było widzieć najświetniejsze imiona i najpierwsze osoby kraju. A więc znajdowali się tam książęta Czartoryscy, Jabłonowscy, Lubomirscy, Ponińscy; Potocki krajczy koronny, pisarz koronny Rzewuski i Lanckoroński; Mniszchowie, Krasiccy, Stadniccy; Tadeusz Dzieduszycki cześnik koronny i Antoni pisarz wielki litewski; dalej Starzyńscy, Komorowski generał, Baworowski starosta trębowelski, Dobojewscy, Skarbkowie... i któżby wszystkich wyliczył? — Pomiędzy nimi duchowieństwo wyższe łacińskie i ruskie, tłumy szlachty zamożnej wiejskiej i zamieszkałej we Lwowie, matrony, damy, panny — a wszystko to w strojach najrozmaitszych, przedstawiających najdziwaczniejszą pstrociznę. Wziąwszy cały ten tłum balowy odrazu na oko, zdawało się widzieć istotnie nie reprezentacyę jednego narodu, ale jakąś kolosalną redutę, jakiś karnawał starodawny wenecki, w którym brakowało tylko larw kitajkowych, bo na malowanych pewnie nie brakło. Równą rozmaitość przedstawiały stroje mężczyzn, jak kobiet. Więc tu mogłeś widzieć kontusz karmazynowy długi, osadzony na złoto-litym lamowym żupanie, a opasany pasem kapiącym od złota, — tam znowu strój polski, przycięty trochę, albo i więcej, ciemno-błękitnego koloru, seledynowego albo ceglastego zupełnie, bramowany srebrnymi lub złotymi sznurami, z pętlicami i guzami z węgierska, — gdzieindziej suknie francuzkie albo niemieckie, od olbrzymich peruk, pamiętających jeszcze czasy Saskie, przez wszystkie mody

różnorodnych piżonów i katagonów, aż do naturalnych czupryn krótko strzyżonych a pudrowanych. Do tego stroje najrozmaitsze: haftowane fraki aksamitne, ciemno-zielone lub granatowe, z emaliowanymi lub kameryzowanymi guzikami, kamizelki z kolbertynami, koronkowe żaboty, — to znowu nowomodne fraki sukienne z wązkimi kołnierzami a szerokiemi klapami, kamizelki à la Robespierre, długie włosy, spadające w kędziorach na plecy, a fryzowane w krótką czuprynę nad czołem. Tu i owdzie, obok fioletów biskupich i poważnych czarnych sukni prałatów, pokazywała się już i skromna czamara, a gdzie niegdzie nawet przesunął się siwy mundur generała w cesarskiej służbie, stąpających na nogach, ubranych w sukno gorąco-czerwonego koloru i złote galony. Wszakże większą jeszcze rozmaitością odznaczały się stroje kobiet. Tu niesłychany przepych i najwykwintniejsze kolory, najżywsze kwiaty rzucane to na grubych jak deska, to na pajęczej delikatności tkaninach. Najwięcej sukien podwójnych, z których jednej obadwa końce przeciągane przez kieszenie, albo też układane w fałdy olbrzymiej objętości, najzgrabniejszego rysunku. To moda. Wszakże nie brak i na niepodległych modzie, swobodnych, fantastycznych ubiorach. Jakoż tu widać jakieś oryentalne ubranie głowy, nakształt zawojów odalisek sułtańskich, tam prosty i skromny strój starożytnej greczynki, gdzieindziej jakaś osobliwsza fryzura, ubrana w kwiaty żywe, w korale, perły albo brylanty. Przy tych strojach, aż oko znieść nie może, tyle blasku drogich kamieni i złota, całe dyademy i kolie z szmaragdów, rubinów, pereł uryańskich i białych. Wszakże pomiędzy temi wysileniami bogactwa, mody i najlepszego smaku, tu i owdzie pokazuje się także i ta i owa parafialna fantazya, objawiająca się jakiemś piórem ogromnem, przewieszonem nad czepcem osobliwszego kalibru, a przypominającem zarazem i średniowiecznych rycerzy i prażnikowe obiady; to znowu jakimś kornetem z bursztynu albo korala, wyobrażającym korab lub jakieś zamorskie ptaszątko; albo nareszcie jakąś babilońską, przedpotopową fryzurę; — ale pomiędzy to wszystko przesunie się także i staroświecki,

poważny robron jakiejś stuletniej babki, która przypatruje się skromnie tym nowomodnym przepychom i opowiada nawiasem jakiś bal taki z czasów Leszczyńskiego, Karola XII i Augusta drugiego.

Pani kasztelanowa była całkiem czarno ubrana, całkiem po staroświecku i miała nawet czarny czepiec na głowie. Siedziała ona w głównej środkowej sali, tuż przy wielkiej kanapie, w dużem poręczowem dosyć wysokiem krześle i, lubo gospodyni, nie wychodziła nikogo witać aż do drzwi, tylko naprzeciw poważnym damom zbliżała się ku środkowi salonu i tam ich witała. Ale teraz już nie ruszała się z miejsca, rozmawiając to z damami obok niej siedzącemi, to z całem gronem mężczyzn, które mieniając się ciągle, ciągle też jej nie porzucało. Działo się to po części dlatego, że pani kasztelanowa, kobieta nieprzebranych konceptów i osobliwszego dowcipu, była ciągle rozmowną, mówiła o wszystkiem i o wszystkich i żadnej myśli swojej nie obwijała w bawełnę, jak było zawsze jej zwyczajem. Jakoż stojąc tu obok kasztelanowej, moglibyśmy się różnych najciekawszych rzeczy dosłuchać, — ale i my, tak jak wszyscy, oprócz samej zabawy, mamy jeszcze nasze partykularne cele na tym balu i nie możemy o nich zapomnieć.

Na tym balu mamy naszych znajomych.

Jakoż najpierwszego z nich spotykamy skarbnika, który założył jedną rękę za kontusz, a drugą oparłszy na karabeli, przechadza się wszędzie po wszystkich salach. Na ten bal świetny, i do tak zacnej i szanownej przez siebie matrony, skarbnik się ustroił jak drugi Radziwiłł: więc miał na sobie kontusz karmazynowy z ogromnymi turkusowymi w złoto oprawnymi guzami, żupan srebrno-kwiecisty lamowy (ten to sam jeszcze, w którym się po raz pierwszy pokazał, kiedy szedł w konkur o swoją nieboszczkę Zofię), na nim pas w karpią łuskę, który pamiętając kilku pradziadków, jak w lata, tak był i w złoto bogaty, a do tego karabela z rękojeścią z drogich kamieni i czapka z piórem czaplem o brylantowej spince. W takim stroju bardzo paradnie wyglądał, ale że było wielu jeszcze para-

dniej ubranych, więc to nie zwracało niczyjej uwagi i skarbnik mógł sobie swobodnie chodzić po wszystkich salach i czynić obserwacye bez żadnej przeszkody. Jakoż obserwował on wszystkich i wszystko, notując sobie swoje spostrzeżenia w pamięci, przyczem też także nie zapominał pomówić z każdym dawniej znajomym — a znajomym starszym, osobliwie też szanowanym przez siebie, nie zaniedbał się i przedstawić.

W tej chwili stał właśnie przed księciem generałem ziem podolskich i panem Tadeuszem Dzieduszyckim, cześnikiem koronnym, który będąc bardzo lubionym i szanowanym przez księcia, oprowadzał go pod ramię po salonach. Staremu księciu prezentowało się na tym balu mnóstwo panów i szlachty, co ułatwiając im, książe chodził sam pomiędzy nich wszystkich i prawie z każdym rozmawiał. Książę sławnym był z tego, że znał wszystką prawie szlachtę całej niegdyś Rzeczypospolitej; czasem jakiemuś wcale nieznanemu szlachcicowi wyliczył wszystkie jego pokrewieństwa i powinowactwa... Przy takiej pamięci i przy znanej swojej uprzejmości, ozdobionej prawdziwie miodopłynną wymową, a nadewszystko przy zawsze żywej chęci utrzymania się przy popularności, nie dziw że sobie umiał tak stanowczo podbijać serca, i nie dziw także, że na każdem liczniejszem zgromadzeniu tyle miał do czynienia. Tu zaś miał do czynienia jeszcze daleko więcej, bo tutaj prawie w połowie spotykał nowe już pokolenie, które dopiero poznawał. Teraz zaś mówił dalej ze skarbnikiem:

— Dziwię się, panie majorze — mówił książę — żem cię dotychczas nie znał. A takie to mi znane nazwisko! Bo i komuż nie znane w Polsce, dla której tyle się krwi ich wylało po różnych wojnach? Ale cieszę się za to, żem tak dobrze, tak blizko i w tak ważnych wypadkach znał twego szwagra, niegdyś jeszcze za kawalerskich czasów stolnikiewicza, później podkomorzego sandomirskiego. Jeśli mnie moja pamięć nie myli, było mu Krzysztof na imię. Był to mąż wielkiej zacności i niepospolitej głowy, jak wszyscy Michałowscy; konferowałem z nim w ważnych sprawach i zawsze byłem pełen uwielbienia dla jego zna-

jomości kraju, nauki i bystrości pojęcia. Umarł młodo, — wiadomość o jego przedwczesnej śmierci dotknęła mnie do żywego. Została żona, także podobno młoda, a tak piękna, żeśmy przed nią klękali w Puławach, a pan podkomorzy wąsy kręcił z radości, chociaż za to nie mógł potem sypiać po nocy. Czy pani podkomorzyna żyje jeszcze? czy pozostały dzieci?

— Moja siostra, która się tutaj znajduje — rzekł skarbnik...

A na to książę:

— Jakto? jest tutaj? A! panie majorze, już też mi tego nie odmówisz, ażebyś mnie jej przypomniał.

To mówiąc, podał książę generał ramię skarbnikowi i szedł z nim ku podkomorzynie. Podkomorzyna ze Stasią znajdowały się w głównej sali. Stasia, ubrana biało z koralowemi i złotemi ozdobami we włosach, wyglądała prześlicznie. Zrobiła nawet pewne na młodzieży wrażenie i to do tego stopnia, że pani podkomorzyna, odkąd weszła do sali, była jakby jakąś kapliczką, do której ciągła się odbywała procesya. Co chwila przystępowała do nich młodzież, prezentując się i rozmawiając z matką i córką. Przez te ciągłe i coraz nowe rozmowy, podkomorzyna nawet dotychczas nie mogła znaleźć dla siebie miejsca i stała ze Stasią prawie na środku sali. Kiedy książę się do nich przybliżył, młodzież rozsunęła się z uszanowaniem i zrobiła poważnemu starcowi miejsce. Książę witał podkomorzynę, prawił komplimenty i matce i córce naprzemian jak młody, piękność Stasi pod niebiosa wynosił, a młodzież słuchająca zdaleka zazdrościła wymownemu staruszkowi i jego płynnej wymowy i swobody w grzecznościach, i zazdrościła mu pewnie wszystkiego — prócz wieku. Skarbnik stał przy nich i czasem jakie słowo do konwersacyi dorzucił, wszakże z daleko większem zajęciem przypatrywał się młodzieży, po której widział, że zbliżenie się i tak poufała rozmowa księcia z podkomorzyną jeszcze większe zrobiła na tej młodzieży wrażenie, niż piękność Stasi. Czy to, czy owo, zawsze to skarbnika cieszyło, że kiedy już się tyle trudów i kosztów podjęło, aby do Lwowa poje-

chać, przynajmniej pierwszy krok na tej nowej drodze udał się nieźle. Jakoż tutaj to trzeba powiedzieć, że ten bal u kasztelanowej tak dobrze podkomorzynie posłużył, iż nietylko już zaraz tutaj zwróciła się na Stasię jak najpowszechniejsza uwaga, ale nawet i dom podkomorzynej stanął odtąd na tem stanowisku w opinii całego towarzystwa, na którem czuje się zupełnie swobodnym co do urządzania się w dalszych towarzyskich stosunkach.

Wszakże kiedy Nieczuja, dorzucając po kilka słów do ogólnej rozmowy, z takiem zadowoleniem przypatrywał się twarzom obok stojącej młodzieży, — nagle, prawie tak jakby zadrgnął, i w jednego z nich wpatrzył się tak gwałtownie i bystro, jak gdyby kogoś dawno zmarłego, albo ducha, albo upiora obaczył.

Ale w tem miejscu nie stał ani duch, ani umarły, tylko młody człowiek, wyglądający bardzo po ludzku i bardzo nawet elegancko ubrany. Miał bowiem na sobie nie błyszczący, ale bardzo wykwintny i najlepszego smaku ubiór francuski, pajęczej delikatności i śnieżnej białości żaboty, i cała jego figura zresztą, była raczej zanadto delikatna i wiotka, niż straszna. Ale ten młody człowiek miał twarz tak bladą, jakby z kości słoniowej, a oczy duże, czarne jak gałki, i temi oczyma z takim ogniem, z taką namiętnością się wpatrzył w Stasię, że widząc to, można się go było rzeczywiście przestraszyć. Wszakże skarbnik miał jeszcze daleko więcej powodu istotnie go się przestraszyć: tym młodym człowiekiem bowiem nie był kto inny, jak Flawiusz.

Lecz w samej rzeczy skarbnik się go nie przestraszył, bo go się nie bał nigdzie, a tem mniej tutaj — a jeśli zadrgnął i tak gwałtownie się wpatrzył w niego, to podobno tylko dlatego, że go niespodziewanie obaczył w miejscu, w którem nie mógł go się spodziewać, — a może więcej jeszcze dlatego, że obaczył człowieka, do którego strzelał niewinnie...

Bądź co bądź, Flawiusz spostrzegł to nagłe wzruszenie, któremu skarbnik uległ, ujrzawszy go niespodzianie, i po tem spostrzeżeniu lekki uśmiech przeleciał po jego

twarzy... wszakże w ten moment znowu wzrok zwrócił ku podkomorzynie, rozmawiającej z księciem, i twarz jego znów spoważniała i nawet obciągnęła się jakimś wyrazem smutku. I smutek ten bardzo był naturalny: podkomorzyna przez swoje sukcesy wznosiła się coraz wyżej. Flawiusz zostawał zawsze na swojem miejscu: im większe oddalenie, tem więcej niepodobieństwa...

Tymczasem, kiedy się to działo, o parę kroków od Flawiusza stanęło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był niskiego wzrostu, w szambelańskim mundurze, z jakimś znakiem honorowym na piersiach; ten był nieznajomy. Drugi był słuszny, także niemłody, lecz wyświeżony i ubrany po francuzku, ale bardzo bogato i strojnie. To był starosta bełzki. Ci obadwa panowie trzymali się pod ramiona i przypatrując się z wielką uwagą Flawiuszowi, rozmawiali ze sobą.

— Więc to jest ten jpan Flawiusz? — mówił starosta bełzki — i to ma wszystko być prawdą?

A tamten na to:

— *On dit... vous savez...* ja ci za nic nie ręczę. Ale że mason, to pewna. *A présent il est une espèce* sekretarza czy pełnomocnika u chorążego koronnego, *mais il y a bien à dire...* Chorąży za granicą, podobno w Wiedniu, a on tutaj. I powiadam ci, że jest to coś osobliwego. Gdyby nie to, że mówi także po polsku, przysiągłbym że to Francuz. Włada zarówno obudwoma językami, a jak mówi! o co zaczepisz, *á fond.* A jaka wymowa, jaki sposób ujmowania sobie serc ludzkich, jaka argumentacya; nic podobnego! Spotkałem się z nim już kilka razy i zawsze mu się nie mogłem nadziwić. Tak też i inni, bo już go tu zna mnóstwo osób. A przytem wszystkiem niemasz żywego ducha, któryby wiedział, kto on jest w samej rzeczy. Niby to obywatel warszawski, niby ma tam kamienicę, niby ma gdzieś, kiedyś, jakieś odbierać sukcesye, niby ma jakieś kapitały we Francyi i co chcesz, wszystko; ale co jest w istocie, nikt tego nie wie. Dlatego też różne dochodzą domysły...

— A to istotnie rzecz dziwna — rzekł na to starosta

bełzki — lubo mnie to nic nie obchodzi, sam jestem mocno ciekawy przynajmniej poznać to indywiduum. Czy znasz go, szambelanie?

Ale w tym momencie, kiedy to mówił starosta, książę generał, już skończywszy swoją rozmowę z podkomorzyną i znowu wsparty na ramieniu cześnika koronnego, kiedy tuż koło Flawiusza przechodził, powitał go ręką i rzekł:

— Jak się masz, panie Flawiuszu?

— Do usługi waszej książęcej mości — odpowiedział Flawiusz z ukłonem — mam się tak jak wszyscy w tych czasach.

— Tak, tak, kochany panie — rzekł książę — a cóż tam twój biedny ksiądz Hugo?

Tu się książę trochę ku niemu nachylił i powiedział słów kilka, których nikt nie mógł dosłyszeć. Flawiusz odpowiedział na nie równie półgłosem, na co wszakże książę rzekł już cokolwiek głośniej:

— Osierociałeś, panie, ale bądź nam spokojny. Robi się wszystko, aby ci jak najprędzej powrócono twego ukochanego ojca...

Tę rozmowę słyszeli wszyscy i zrobiła ona o tyle tylko wrażenie na słuchających, o ile mogła być zaszczytną dla młodego i nieznanego człowieka zwrócona nań uwaga starego księcia.

Ale słuchający także tej rozmowy starosta bełzki, przy ostatnich słowach, wymówionych przez księcia, zmieszał się i zbladł tak nagle, jak gdyby te słowa mieściły obrazę jego własnej osoby. Pod tem wrażeniem starosta aż się cały przechylił naprzód, jak gdyby chciał słyszeć jak najwyraźniej, co jeszcze dalej powie książę generał; ale książę na tem już skończył i poszedł dalej...

Tymczasem zaś rzekł szambelan:

— Jak to nasz książę kochany jest łaskaw i uprzejmy dla wszystkich i jak o najdrobniejszych rzeczach pamięta! Trzeba ci bowiem wiedzieć, starosto, że ksiądz Hugo opiekował się jp. Flawiuszem i żył z nim w najlepszych stosunkach. Ksiądz Hugo teraz siedzi zamknięty w ołomunie-

ckiej fortecy; książę zapewne swoimi rozległymi wpływami stara się o to, ażeby jego uwolnienie uzyskać...

Starosta bełzki odetchnął.

— Ale podobno chciałeś poznać Flawiusza? — zapytał nagle szambelan.

— Och! nie, wcale nie... tak, może kiedyś, przy jakiejś sposobności...

— A czyż może być lepsza sposobność? — zawołał na to usłużny dla każdego szambelan — poczekaj, ja to zrobię, tak, niby z niechcenia...

Jakoż trzymając starostę pod ramię, zawołał głośniej:

— *Monsieur Flavien, comment vous va?*

— Ach! pan szambelan! — zawołał Flawiusz na to, obracając się zręcznie na jednej nodze i ściskając podaną sobie rękę — *vous me faites l'honneur, de me remarquer dans cette foule...*

— *Mais comment voulez vous,* żebym pana nie spostrzegł! No i jakże się pan bawisz? jak znajdujesz nasze towarzystwo? czy jest przynajmniej podobne do warszawskiego, bo o paryzkiem już ani wspominam.

— *Mais je vous assure,* że jestem pełen podziwu. To co tu widzę, mogłoby się nietylko mieścić, ale równy podziw obudzać nawet i w Paryżu. *Que voulez vous?* takie imiona, takie znakomitości, tyle wdzięków, a na nich tyle pereł, drogich kamieni i złota! A do tego jeszcze *tant de bon goût,* i to we wszystkiem... Ja w samej rzeczy, im więcej się przypatruję i przysłuchuję, tylko coraz więcej rosnę w admiracyi, i chciałbym teraz być jak najprędzej we Francyi, ażebym opowiedział moim przyjaciołom tamtejszym, co to jest Polska. Nie mają oni o tem ani wyobrażenia. Ale podobno i my sami sądzimy się nazbyt skromnie, bo pomimo to, że znam Francyę na wylot, szczerze to mówię panom, że Polska ma to wszystko co Francya, a oprócz tego ma jeszcze coś więcej...

— A już też grzeczny jesteś, panie Flawiuszu — rzekł na to szambelan — i bodaj czy nie nadto. Cóż powiadasz, starosto? Ach! ale panowie się podobno nie znają? pan Flawiusz, pan starosta bełzki.

Flawiusz się kłaniał, a starosta, wyciągając niedbale rękę ku niemu, mówił powolnym głosem:

— *Monsieur, je suis enchante de faire votre animable connaissance... Y a-t-il longtemps que vous êtes dans la capitale de ce triste pays?*

Mówiąc te słowa, starosta nie patrzył na Flawiusza, tylko poprawiając białe wiązanie u szyi, jak był słusznym nad wielu, rozglądał się po nad głowy innych po zgromadzeniu. Czy starosta szukał kogoś ze znajomych, a przez tego znajomego może pozoru do jak najprędszego urwania tej konwersacyi, która się zanadto podobała szambelanowi, aby mu w tem dopomógł — to nie wiadomo: rzecz wszakże pewna, że nim jeszcze Flawiusz dokończył swojej krótkiej odpowiedzi na jego smutne pytania, starosta się zerwał, zawołał:

— Ach! pan generał! *Pardon messieurs!* — i wziąwszy kogoś z przechodzących pod ramię, zniknął z nim w głębi sali.

Flawiusz został z zamarłemi słowami na ustach i ze skrzywioną twarzą na miejscu. Wszakże, litując się nad nim, grzeczny dla wszystkich szambelan wynagrodził mu to ile swojej możności i wziąwszy go pod ramię, także z nim zginął gdzieś w tłumie. Ale niedostateczna podobno była to dla Flawiusza nagroda. Rozmawiał on z szambelanem, ale miał humor najgorszy. Nie mogło też być inaczej. Jeżeli bowiem takie lekceważenie, doznane od bełzkiego starosty, byłby uczuł każdy inny znajdujący się w tem towarzystwie, toż daleko głębiej musiał go uczuć młodzieniec taki, który czując się ciągle i nawet wszędzie upośledzonym i mając tę ranę zawsze otwartą, był też z natury rzeczy najdrażliwszym ze wszystkich. W skutku tego nie potrzeba już prawie nadmieniać, że starosta tą salonową drobnostką napełnił serce Flawiusza nietylko dosyć cierpką goryczą, ale wpoił weń nawet przez to pewną ku sobie odrazę; ale to znowu za to godzi się zauważyć, iż jeżeli starosta tak się obszedł z Flawiuszem z wyrachowania, to trzeba mu przyznać niepowierzchowną znajomość ludzi, a nadewszystko ową przebiegłą zręczność na polu

towarzyskiej intrygi, która zdaleka zabiegając wszystkiemu, umie częstokroć jednem ziarenkiem piasku, rzuconem w drogę jakiemuś towarzyskiemu niepowodzeniu albo zgoła nieszczęściu, odwrócić je od siebie na zawsze.

Ale powróćmy do skarbnika i podkomorzynej.

Kiedy książę odszedł, rzekł skarbnik do siostry:

— A co, kochana Jadwisiu? czy dobrze zrobiłem, żem ci tu księcia sprowadził?

— Ale nic nie mogłeś zrobić lepszego! — mówiła pełna radości podkomorzyna — było to arcydzieło z twojej strony i obaczysz, co stąd będą za skutki. Są to może śmieszności, ale są, a ja znam świat i wiem o nich.

— A więc widzisz — rzekł skarbnik — że taki to nie były żarty, kiedym ci mówił, że chociaż skarbnik niechętnie jedzie, ale kiedy już jedzie, to się też na coś i przyda. Bo to skarbnik niby bury szlachcic z zagona, na wielkim świecie nie bywały a po szlifowanych posadzkach nawet i stąpać nie umie; ale większy to świat był, moje dziecko, w którym ja się obywał i więcej ślizka była ta ziemia podemną, która krwią wylaną oślizła, a jeżelim tam umiał dać sobie radę, toż mi jej i tutaj nie braknie. Otóż teraz jeszcze tę daję ci radę, abyś się potem jeszcze raz do kasztelanowej zbliżyła i pomówiła z nią trochę swobodniej...

— Ale już ja to zrobię — przerwała prędko podkomorzyna — tylko proszę cię, poradź co na to, jeżeli Jędrzej nie przyjdzie. Stasia odmówiła wszystkich tancerzy, tu już się stroi kapela a jego niema i niema... Cóż, Stasiu? będzie wstyd sprzedawać pietruszkę?

— Niech mama będzie spokojna — odpowiedziała Stasia — Jędrzej pewnie przyjdzie...

— Ale moje dziecko, kiedy-bo jego jeszcze może niema i we Lwowie...

— O! już jest pewnie...

— Dziwną-bo doprawdy masz wiarę... przyznam ci się, że nawet tego już nie rozumiem... chyba że masz jakie tajemne wiadomości od niego?...

Piękna dziewczyna się na to zarumieniła, ale odpowiedziała przytomnie:

— Przecież wiem, że takich wiadomości mi się przyjmować nie godzi, a gdyby zresztą przyszło do tego, to mama pierwszaby o tem wiedziała...

Tak się spodziewam... ale powiedz że mi, cóż robić, jeżeli Jędrzej nie przyjdzie? bo koniec końców mógł mieć najszczersze chęci, ale mógł mieć także przeszkody...

— Ja myślę — rzekł na to skarbnik żartując — że kto ma dwóch amantów, ten nie powinien być nigdy w kłopocie... Niemasz Jędrzeja, jest jmć pan Flawiusz.

— Ale prawda — zawołała podkomorzyna — widziałam go, stał tu dopiero... Dziwna rzecz, jakim sposobem on się tutaj znajduje... Ale co jeszcze dziwniejsza, czy uważałeś? książę generał z nim tak poufale rozmawiał, jak z każdym innym, i nawet mu coś szeptał do ucha... To już doprawdy jakaś osobliwsza zagadka.

— Ja w tem wcale żadnej zagadki nie widzę — rzekł skarbnik — bo jużci księciu także ktoś piórka skrobie, a kiedy mu je ladajako oskrobie, to mu to książę także powie do ucha... Ale że się tutaj ten jegomość znajduje, to mnie trochę zadziwia. Jeśli niemasz w tem jakiej myłki, albo jeśli się nie wszrubował niezaproszony, toż to nie może być bez kozery. Pani kasztelanowa nie lada kogo zwykła przyjmować u siebie. Jakoż będę się starał o tem cokolwiek dowiedzieć. Ale cóż, czy i tu ci się takim strasznym wydaje, jak tam kiedyś w kościele?

— Strasznym... nie... wcale... jeśli mam prawdę powiedzieć, to przypatrzywszy mu się z blizka, nawet nie wiem, dlaczegom go się tak bała...

— A widzisz jejmość — rzekł na to skarbnik — nie taki dyabeł straszny, jak go malują, a ten nawet, trza przyznać, w tych różnych koronkach i owych woskowanych trzewiczkach, wcale to jeszcze delikatny dyabełek... A kiedy przyjdzie się wam zaprezentować?

— O! już tego nie będzie!

— Ale być może, bo to nie w twojej mocy. Więc

kiedy przyjdzie i przyprowadzi go który kasztelan lub wojewoda?

— No... no to cóż? to jużciż trudno... przecież nie będę scen wyprawiać publicznie...

— A panna Stanisława co zrobi?

— Ja będę z nim rozmawiać, jak z każdym innym.

— Żeby się jeszcze lepiej rozszalał? co?... oj! kobiety! kobiety! Ale rozmawiać trzeba, tylko proszę zdaleka. I zdaleka z wszystkimi, bo to zresztą wie Pan Bóg, co tam siedzi i w którym innym. A ja idę tymczasem na zwiady.

To rzekłszy, skarbnik znowu sobie odpłynął.

Wysunął się teraz na środek sali i zaczął zdaleka krążyć koło kasztelanowej, upatrując zapewne chwili, w której mniej będzie osób koło niej, aby się do niej przybliżyć. Istotnie teraz, kiedy już tylko przybywali ci, którzy się opóźnili, kasztelanowa była coraz swobodniejszą. W tej chwili nawet nikt nie stał przed nią. Roznoszono kawę białą w maleńkich filiżaneczkach i wszyscy byli kawą zajęci; dla kasztelanowej przyniesiono filiżankę winnej polewki. Skarbnik się zbliżył.

— A waść nie kawiany? — spytała go gospodyni.

— Nie, mościa kasztelanowo dobrodziejko — odpowiedział Nieczuja — jeszczem nie przywykł do tego specyału, chociaż już inni i żyć nie mogą bez niego.

— A sadzisz waść szwaby u siebie?

— I tegom się jeszcze nie nauczył.

— No, to zażyjże waść tabaki z mojego rożka i siadaj przy mnie, pogadamy sobie uczciwie. *Uczciwszy uszy*, lubię takich ludzi, którzy jeszcze kawy nie piją i szwabów nie sadzą.

To mówiąc, skończyła właśnie swoją filiżankę polewki, podała skarbnikowi tabaki, który ją zażywając i siadając przy kasztelanowej, dodał:

— Nie trzeba to koniecznie sadzić takich rzeczy, które i same się rodzą.

— A kichnij-że waść na to — rzekła kasztelanowa — bo co prawda, to prawda.

Jakby na zawołanie, skarbnik, zaczmielony tabaką, wypalił z nosa jak z pistoletu, a kasztelanowa dodała:

— Otóż to jest! daj Boże zdrowie! Powiedzże mi waść teraz, jak ci się podoba ta pstrokacizna, która, *uczciwszy uszy*, napełniła moją chałupę.

— Niema co mówić — odpowiedział Nieczuja — a prawie tylko podziwiać. Mam teraz dopiero dobre pojęcie o tem, jak należy szanować dom, który na zawołanie gromadzi pod swoim dachem tyle drogocennych klejnotów.

— A co waść klejnotami nazywasz?

— Jw. pani! dwoiste bywają w naszej Polsce klejnoty: jedne są zapisane w Paprockim a drugie nam przysyłają z za morza. I tych i owych jest tu miarka nieszpetna.

— Otóż powiem waści, że są jeszcze trzecie klejnoty, a to klejnoty serca, a i tych tu nie braknie, choć się to pozakrywało, *uczciwszy uszy*, różnemi pstrokatemi szmatami.

— Nie wątpię o tem — rzekł na to skarbnik — ale o tych klejnotach mogę najmniej powiedzieć, bo, prawdę mówiąc, krom tych naszych znakomitości, które mi się zdarzyło poznać niegdy po różnych wojnach, mało kogo znam nawet i z nazwiska. A gdyby mi przyszło po tem sądzić każdego, czym go widział gdzie w ogniu, to podobnoby niezawsze był mój sąd sprawiedliwy.

— *Uczciwszy uszy*, możeby to i niekoniecznie myliło.

W tej chwili, pomiędzy przeciągającemi osobami przez salę, dostrzegł skarbnik Flawiusza, który ze swoim szambelanem pod ramię właśnie się ku nim przybliżał; korzystał więc z tego i mówił dalej:

— Przecież jabym się nie poważył na taki sąd wiele budować, jak też na żaden sąd taki, który sądzi na oko. Ot i tutaj przed nami mamy teraz dwóch panów, z których żadnego nie przypominam sobie, abym go widział gdzie w ogniu...

— A! bo to, *uczciwszy uszy*, funkcye ich obydwóch są z respektem za piecem. U tamtego widzisz waść sam klucz szambelański za kłębem, to już niema co mówić; a ten drugi... otóż powiem waści, że to mój prawdziwy dobro-

dziej. Bo to trzeba waści wiedzieć, że mi to już oddawna siedziało w głowie, czego też te Francuzy chcą, że, *uczciwszy uszy*, tak się tłuką pomiędzy sobą, a dowiedzieć się o tem fundamentalnie ani rusz od nikogo. Plecie ten swoje a tamten swoje, ale, *uczciwszy uszy*, jeden głupszy jak drugi; możnaby się tego doczytać w książkach, bo już i książki pisano o tem, ale do książek u mnie oczy już słabe. Otóż mi mówi na to chorąży: poczekaj pani, przyszlę tu pani człowieka, który to wszystko opowie, bo też i był tam. Otóż i przysłał mi tego. I powiadam to waści, że mnie ten chorążego człowieczek niepomału zadziwił, bo to, *uczciwszy uszy*, młokos jeszcze, jako waść widzisz, ale mnie starą jeszcze i rozumu nauczył. Mieszczański to synek z Warszawy, ale żeby to było w mojej mocy, tobym go zaraz zrobiła szlachcicem, bo też i serce po temu... Szkoda, że nasz stolnik litewski już ten miecz odpasał od boku, którym na rycerzy pasował, bo on, który tak dobrze umiał płacić za rozum, jak pilno go potrzebował... Ale patrz-no waść, czy to nie wojewoda inflancki tam wchodzi? A! *uczciwszy uszy*, to wojewoda z jmć panną Melanią...

W tej chwili w samej istocie wojewoda już się zbliżał do kasztelanowej. Prowadził on córkę swoją pod ramię. Wojewoda wyglądał jak zwykle, ale Melania była niesłychanie bladą i odmienioną. Zdawało się, jakby dzisiaj dopiero z długiej powstała choroby, tak cera jej twarzy stała się przeźroczystą i cała postać tak chwiejną. Gdyby był kto wiedział, wskutek jakiej boleści nastąpiła ta zmiana, byłby się musiał, lubo obojętny zupełnie, z całego serca nad nią litować: ale nikt się tego nie mógł nawet domyślać: im większa boleść, tem głębszą zwykle pokryta jest tajemnicą. Dlatego też i Melania z tą swoją bladością w twarzy zdawała się wszystkim bardzo dziś zajmującą, szeptano nawet sobie i tu i owdzie, jak była piękną.

— Mości wojewodo! — rzekła kasztelanowa do niego — już też zdesperowałam o waści. A byłoby mi było bardzo markotno, gdybym była waści dziś nie widziała a osobli-

wie mojej ulubionej Melanii, na którą tu już pewnie i inni niecierpliwie czekają.

Wojewoda odpowiadał z wysadzoną grzecznością kasztelanowej i przedłużał rozmowę, do której także i Melania się przyczyniała, lubo zapewne ostatnie kasztelanowej słowa nie jedną myśl w niej wzbudziły. Skarbnik wstał ze swego miejsca, usunął się trochę i przypatrywał się z ciekawością Melanii. Stała bowiem w tej chwili przed nim wojewodzianka inflancka, niezawodnie ta sama, z którą, podług wiadomości wywiezionej z Jaćmierza, miał być już niby po słowie Jędrzej. Byłby on był niezmiernie ciekawy poznać ją bliżej, zdawało mu się nawet, że jest to dla niego potrzebnem, jakoż myślał już nad tem jakby to, zrobić, — ale skarbnik nie potrzebował dzisiaj myśleć nad niczem, bo mu się wszystko samo z siebie winęło jak z płatka. Ledwie też o tem pomyślał, kasztelanowa sama go z wojewodą poznała, dodając w końcu do prezentacyi:

— Poznajcie się waszmoście ze sobą, boście obadwa poczciwi ludzie i obadwaście równo pracowali dla kraju, chociaż, *uczciwszy uszy*, na różnych drogach.

— Bardzo wysoko sobie cenię tę chwilę — rzekł na to skarbnik, zwracając się do wojewody — w której mam zaszczyt prezentować się panu. Imię to jest u mnie zapisane w złotej księdze moich najdroższych pamiątek; miałem bowiem zaszczyt służyć razem z Tadeuszem Rogalińskim, i chwile te lubo tak nieszczęśliwe, liczę jednak do najprzyjemniejszych mojego życia.

— Pan major dobrodziej — mówił na to wojewoda — dajesz mi dowody osobliwszej swej uprzejmości... Tadeusz był to mój synowiec, którego i ja sobie często wspominam a zawsze z prawdziwą przyjemnością. Dał on dowody niepospolitej odwagi i poświęcenia się bez granic, na co, niestety! nie wszystkich nas stać było w owych czasach...

— Ale spodziewam się, że pan dobrodziej tu dłużej zabawisz i przez to nastręczysz mi nader miłą przyjemność odświeżenia sobie w pamięci...

Tu kasztelanowa coś przemówiła do wojewody, a tym-

czasem Melania, która dotychczas rozmawiała z kasztelanową, odezwała się do skarbnika:

— Pan major także przybył do nas na całą zimę, czy tylko w przejeździe?

— Owszem, pani — rzekł skarbnik — zabawię tutaj najmniej kilka tygodni. Zima przykrą jest na wsi a osobliwie wtedy, kiedy się jest samotnym.

— O! zima na wsi jest nie do przebycia. Czy i siostra pana majora, pani podkomorzyna sandomierska, jest tutaj?

— Jest także.

— Zapewne z córką, która była na edukacyi w Warszawie i bawiła u pani podczaszynej przemyskiej, naszej dawnej znajomej. Ale i panią podkomorzynę ja kiedyś znałam. Kiedy dzieckiem będąc, wyjeżdżała z rodzicami czasem na lato do Albigowej, przypominam sobie, że państwo podkomorstwo raz u nas byli. Jeżeli się nie mylę, była natenczas z nimi i mała Stasia, która teraz na pannę słuszną wyrosła i ma być tak niezrównanie piękną, że jeszcze tu nic podobnego nie widziano.

— Nie wiem, pani — rzekł skarbnik, pokręcając wąsa — o ile moja siostrzenica jest piękną, ale to wiem z pewnością, że nie jest piękniejszą od pani.

— O! pan major jesteś zbyt grzecznym... — odpowiedziała Melania z zarumienieniem, ale dodała zaraz — a o ile w tej grzeczności jest zbytku, będziesz się pan mógł najlepiej przekonać, kiedy nas jedną przy drugiej obaczysz. Co zapewne wkrótce się ziści, bo się spodziewam, że mnie nie ominie przyjemność odnowienia tej tak dawnej i całkiem zapomnianej już znajomości...

W tej chwili zbliżył się do Melanii raźnym krokiem starosta bełzki, pełen słów nietylko tak grzecznych, ale zarazem i tak obfitych, że ją zajął już wyłącznie dla siebie.

Skarbnik wtedy się jeszcze dalej odsunął i przypatrywał się z natężoną uwagą staroście, — był to także jego dawny znajomy.

Zostawmy tutaj skarbnika, a powróćmy jeszcze do jego

siostry i siostrzenicy. Kiedy skarbnik od nich odstąpił, żeby się przysunąć do kasztelanowej, odezwała się matka do córki:

— Jeżeliby miało przyjść istotnie do tego, żeby nam ktoś zaprezentował tego pana Flawiusza, tobym się tylko jednej rzeczy obawiała od niego, a to jest...

— Cóż mamo?

— To jest, żeby nie wspomniał co o tej scenie warszawskiej.

— Ale gdzieżby on o tem wspomniał!

— Nie powinienby, ale ty nie znasz ludzi...

Podkomorzyna, obrócona w tej chwili do córki, chciała coś dalej mówić, ale wtem ze strony przeciwnej huknął jakiś głos nad nią:

— *Madame!*

Podkomorzyna się obróciła i ujrzała stojącego przed sobą jp. starostę halickiego, który trzymał Flawiusza za rękę:

— Prezentuję pani jp. Flawiusza — mówił starosta — jeden danser więcej nie zawadzi na balu...

Pomimo to, że już była na to przygotowaną, podkomorzyna się przecież zmieszała i odpowiedziała półgłosem:

— Bardzo się cieszę...

Starosta halicki, powiedziawszy jakiś kompliment Stasi, odszedł; Flawiusz został.

— Ja miałem przyjemność — mówił Flawiusz — widzieć panią niedawno... Bawiąc się u pana chorążego koronnego, przejeżdżałem zagadkowo przez Zagórz i wstąpiłem do tamtejszego kościoła. Właśnie odprawiała się suma, a między modlącymi się byłyście i panie...

— Mając kościół tak blizko, nie opuszczamy zwykle żadnego nabożeństwa...

— Bardzo to jest budujące... osobliwie dla mnie, który przebywając najwięcej w mieście, odwykłem już od widoku tych naszych wiejskich kościołków, które jak tylko są otwarte, zawsze pełne są ludzi, modlących się cicho, skromnie, a często nawet z owemi najcenniejszemi ze wszystkich łzami, które są tak wzruszające, że niepodobna im także łzą niezawtórzyć...

— Nasz lud wiejski jest bardzo nabożny...

— Tak jest istotnie. Uważałem to we wszystkich moich po prowincyi podróżach i spostrzeżenie to przynosiło mi zawsze niewymowną pociechę. Jest bowiem rzeczą pewną, że to serce silne, czyste, dziewicze, ta niezachwiana, przeważająca nad wszystko inne wiara naszego ludu, jest niezawodną rękojmią jego wielkiej przyszłości. Wszystkie najwspanialsze zdobycze naszego napuszonego rozumu, wszystkie misterstwa naszego wszechstronnego umysłu, niczem są wobec tej jednej, prostej lecz świętej myśli, która jest jako perła wielka osadzona w olbrzymiej skale i całe szeregi takich skał niezwalczonych ma na swoje rozkazy...

— Pan bardzo pięknie mówisz o tej myśli wielkiej i nieskończonej, którą Bóg natchnął serca nasze, abyśmy znachodzili w niej przystań pewną we wszystkich burzach naszego życia.

— I mówię z serca... chociaż podobno nie wszyscy uwierzyliby temu, którzy byli wtedy w zagórskim kościele...

— Niezupełnie pana rozumiem...

— Pani mnie zrozumiesz zupełnie — odpowiedział z uśmiechem Flawiusz — jeżeli dodam, że mnie ludzie tamtejsi oglądali z osobliwszem zdziwieniem i bodaj czy niektórzy nie żegnali się przedemną ukradkiem...

— Pan zapewne żartujesz — rzekła równie z uśmiechem podkomorzyna — ale gdyby się nawet coś podobnego zdarzyło, nie powinnoby to pana zadziwiać. Lud nasz jeszcze nie jest obyty z widokiem francuzkiego ubioru...

— A powinienby być daleko więcej obyty z tem wszystkiem, co przynosi cywilizacya, niż każdy inny. Przyjeżdżając przez Zagórz, widziałem tam między ludem daleko większą i nawet pokaźniejszą zamożność, niż w wioskach innych... Jest to niewątpliwa zasługa dworu, który, o ile słyszałem, wzorowo prowadzi gospodarstwo u siebie i wzorowo się opiekuje swoją pracowitą gromadą.

— Pan jesteś bardzo grzeczny — rzekła na to nie bez zadowolenia podkomorzyna — ale istotnie, mogę to sobie przyznać bez samochwalstwa, że mam trochę staranniejszy u siebie porządek, niż we wielu sąsiedztwach...

— Staranność nagradza się zwykle obfitością. Wyobrażam sobie, że w gospodarstwie u pani musi być prawie tak samo, jak u pani kasztelanowej na balu. Czy tylko może przynieść zaszczyt, pożytek, ozdobę, a wreszcie i konieczną rozrywkę, wszystko się tu znajduje. Przyznać wszakże potrzeba, że najpiękniejszych kwiatów dostarczyła temu balowi prowincya, jak tego panie same jesteście już najniezaprzeczeńszym dowodem.

— Oh! pan i mnie nawet liczysz jeszcze do kwiatów!

— Szczerze to pani mówię, bo nawet nie jest to moja myśl własna, ale najpowszechniejsza opinia. Panna podkomorzanka zadziwia, pani imponujesz nam wszystkim. Nam mówię wszystkim, którzy mamy szczęście po raz pierwszy panią oglądać, a cóż dopiero tym, którzy będąc niegdyś gośćmi księcia generała, dzisiejsze swoje uwielbienia podnoszą jeszcze tak świetnemi wspomnieniami przeszłości...

— O! te czasy dawnej świetności Puław! — Panowie młodzi nie możecie mieć o tem nawet wyobrażenia i nie możecie nabyć go nigdy, bo coś podobnego już pewnie się nie powtórzy.

— Wierzę temu i bardzo. Czasy te się nie wrócą, choćby tylko dlatego, że ta młodzież ówczesna, wykształcona po największej części na dworze francuzkim i prawie tylko żyjąca na to, aby hołdy oddawać piękności, dzisiaj już prawie całkiem zniknęła. My, rubaszniejąc ciągle po służbach wojskowych, to tetryczejąc przy pracach innych, a w ogólności garbiąc się pod ciężarem nieznanych dotychczas bólów, już nie mamy tej świeżości umysłu i serca, która do takiej służby konieczną.

— Tej uwagi nie mogę panu potwierdzić zupełnie, bo pomimo to wszystko, w czem pan możesz mieć słuszność, młodzież dzisiejszą znajduję tak grzeczną, tak nawet uprzedzającą, że na porównaniu ze swymi poprzednikami nie tylko nic nie traci, ale może nawet jeszcze zyskuje.

— Zdania tego nie jestem w stanie pani zaprzeczyć, bo muszę się przyznać otwarcie, że moja uwaga była tylko pobieżną. W każdym razie tylko mi żałować przychodzi w imieniu tejże młodzieży, że nie będzie miała dzisiaj do-

statecznego pola do potwierdzenia tej tak pochlebnej dla siebie opinii... pani kasztelanowa pozwala tylko na dwa szczególne tańce i jestem pewny, że swego postanowienia nie zmieni...

Tu obrócił się Flawiusz do podkomorzanki i spytał zaraz:

— Pani chętnie tańcuje?

— Ja.., dosyć chętnie... uważam taniec za bardzo zajmującą rozrywkę...

— Jestem z panią najzgodniejszy w tem zdaniu, co mi niewymowne przynosi szczęście, ale byłbym jeszcze daleko szczęśliwszym, gdybyś mnie pani obdarzyła zaszczytem służenia jej do jednego z dzisiejszych tańców...

Na to wezwanie Stasia się zarumieniła, ale odpowiedziała przytomnie:

— Do pierwszego tańca jestem już zamówiona... ale drugi chętnie będę tańcować z panem...

Flawiusz się kłaniał uszczęśliwiony i mówił:

— Podział zrobiony przez panią jest najszczęśliwszy: taniec polski dostanie się Polakowi, a Flawiuszowi francuski...

— Czy pan istotnie jesteś Francuzem? — spytała Stasia.

— Nie pani. Matką moją jest Polska, Francya była mi tylko najtroskliwszą piastunką...

— Ale pan porzuciłeś piastunkę i powróciłeś do matki, i spodziewać się należy, że ją już nie porzucisz...

— O! nigdy! chybaby mnie nie poznała i odtrąciła od siebie...

— O to niech pan będzie spokojny — odpowiedziała podkomorzyna — nie postąpi tak nigdy prawdziwa matka...

Kiedy to mówiła podkomorzyna, muzyka uderzyła pierwszy takt poloneza. I matka i córka spoglądnęły na siebie i obydwie pobladły.

Ale w tymże samym momencie, roztrąciwszy prawie tłum zgromadzony przed temi damami, zjawił się Jędrzej.

W jego ruchach, wyrazie twarzy i całej postaci widać było ten cały pośpiech, z jakim pędził, ażeby się w sło-

wie postawił. Stanąwszy przed podkomorzyną i Stasią, nie był w stanie ani słowa wymówić, tak był w tej chwili zmęczony i tak pełen wzruszenia — kłaniał się tylko po kilka kroć matce i córce. Tak samo wzruszona była podkomorzyna i Stasia, wszakże pierwsza podkomorzyna odzyskała równowagę umysłu i serca i rzekła do Jędrzeja z uśmiechem:

— Nie mogę panu zarzucić, żebyś nie był słownym... ale też i trudno zataić, że słówność tylko na jednej wisiała sekundzie...

Ale Jędrzej już tylko uśmiechem odpowiedział podkomorzynie, w tej chwili bowiem podał ramię Stasi i przycisnąwszy je na rachunek ściskającego ich tłumu jak najmocniej do siebie, zniknął w głębi sali pomiędzy ustawiającemi się do tańca parami...

Flawiusz został jakby olśniony na miejscu i założywszy ramiona, patrzył za szczęśliwym Jędrzejem dziwnie osowiałemi oczyma...

W tej chwili stał tam także i skarbnik, który, przypatrzywszy się już temu, jak jego siostrzenica poszła w taniec z nagle zjawionym Jędrzejem, a jego siostra z jakimś innym jegomością poważnym zaczął się teraz przypatrywać, jak się organizował poważny, staroświecki polonez, do którego w pierwszą parę stanął książę generał z gospodynią domu.

Kiedy Jędrzej, porwawszy Stasię od boku matki, uniósł ją z sobą pomiędzy tłum ludzi, był tą zdobyczą tak uszczęśliwiony, tak się cały oddał upajającym go uczuciom wzruszonego do głębi serca, że wcale nic nie wiedział i nie chciał wiedzieć, co się działo około niego. Trzymającemu silnem ramieniem uwielbioną przez siebie dziewicę, zdawało się w tej chwili, jakby już wszystkie stojące mu do tego szczęścia na drodze trudności ostatecznie zwyciężył, nieoceniony przez siebie skarb zdobył i ramię w ramię ze swoim aniołem wstępował właśnie na ten uścielony kwiatami gościniec życia, który go długoletnią wędrówką przez najpiękniejsze krainy miał zaprowadzić kie-

dyś do bramy rzeczywistego nieba i z którego przechodząc do nieba, nie miał nawet czuć żadnego przechodu...

— Powiedz mi pani szczerze — mówił Jędrzej do Stasi, stając z nią w korowodzie par tańcujących — czy pani byłaś pewną tego, że się postawię w słowie? czy obudziła się w sercu pani wątpliwość?

— Byłam pewną — odpowiedziała Stasia.

— O! dziękuję pani! pani mnie uszczęśliwiasz nad wszelki wyraz. A powiedzże mi pani, cóżby było natenczas, gdybym był się nie stawił?

— Byłam tak pewną, że pan przyjedziesz, żem nawet o tem nie pomyślała...

— Pani ufność — rzekł Jędrzej, postępując za szeregiem par tańcujących, podnosi mnie stokroć wyżej, niżelibym się zdołał podnieść o własnych siłach. Pani byłaś dotychczas mojem natchnieniem, lecz odtąd będziesz źródłem, z którego będę czerpał me siły, których o! jakżeż wiele jeszcze mi będzie potrzeba!... Ale przecie, cóżbyś pani była pomyślała o mnie, gdybym był nie przyjechał? Byłabyś mi pani nie uwierzyła już nigdy?

— Nie wiem... lecz gdybym była miała dosyć władzy nad sobą, aby usłuchać rozsądku, to nigdy.

Jędrzej spojrzał na nią trzeźwem okiem namysłu, ale w ten moment znowu wpadł w zapał i mówił dalej:

— Nie mów tak pani, i na tej drodze, na której wierzysz, nie słuchaj nigdy rozsądku. Wiara niech ma miejsce pierwsze, niechaj ma głos pierwszy i głos ostatni, i niechaj trwa niewzruszona na wieki! Taka powinna być wiara w Boga, który jest wszechmogący i mogąc nam każdego momentu dać dowody swojej nad nami opieki, przecież czasem nas tak ciężko i długo doświadcza... a cóż dopiero wiara w słabego człowieka, który tysiącem okoliczności jest tak skrępowany, że nie jest pewien jednego kroku...

— Dlatego też wiara w człowieka — odpowiedziała Stasia nie może być nigdy tak trwałą, jak wiara w Boga...

— Nigdy? — zapytał Jędrzej.

— Bóg jest jeden na wieki, człowiek zmienny nawet w swem krótkiem życiu...

— Nie może nigdy? — spytał jeszcze raz Jędrzej, patrząc w oczy dziewczynie.

— Może... nie wiem, czasem bywają wyjątki — odpowiedziała Stasia, płoniąc się i spuszczając oczy ku ziemi, ale w ten moment znowu spojrzała mu w oczy i rzekła wesoło: — Ale bo pan jesteś nielitościwy... a to bardzo niełądnie.

Reflektując się wszakże, że niekoniecznie potrzebnie to powiedziała, dodała zaraz:

— Pan mnie wprowadzasz na jakieś takie kwestye, które tyczą religii, a to są rzeczy, w których żądne kwestye nie powinny mieć miejsca. Poczekajże pan, otóż za to teraz ja będę pana kwestyonować i będę także nielitościwą.

— Im pani więcej będziesz nielitościwą, tem ja będę szczęśliwszy. Słucham panią.

— Więc ja pana będę egzaminować — mówiła Stasia — i będę bardzo nielitościwą. Najpierwej spytam pana, dlaczego pan, mając być na dzisiejszym balu, przyjechałeś tak późno, że gdyby się tylko koło złamało na drodze jużby było po balu?

— Otóż na to odpowiem pani, że dlatego nie mogłem wybrać się wcześniej, bo miałem bardzo ważne zajęcie w domu. Trza pani bowiem wiedzieć, że sprzedaję jaćmierskie państwo i właśnie teraz miałem kupca u siebie. Sprzedaż taka jest rzeczą bardzo ważną i trudną, a tem trudniejszą dla mnie, bo oprócz trudności, jaka leży w samej sprzedaży rozległego majątku, miałem jeszcze i w tem trudności, że macocha moja się wprost temu sprzeciwia.

— Pan sprzedaje Jaćmierz? a nie szkoda to będzie?

— Może i szkoda, ale byłaby większa szkoda, gdybym go tak zostawił.

— Kiedy pan tak mówi, to tak musi być; bo już nie chcę być całkiem nielitościwą. Ale będę jeszcze nielitościwszą dalej. A więc jakimże znowu sposobem to się stało, że pan, siedząc w Jaćmierzu, wiedziałeś o dzisiej-

szym balu i jakim sposobem, nie będąc tutaj, zostałeś nań zaproszony?

— O! jakże pani jesteś nielitościwą! — rzekł z uśmiechem młodzieniec — a więc cóż już mam robić? muszę pani powiedzieć, że miałem tutaj mojego agenta we Lwowie, który mi nietylko doniósł sztafetą o dniu tego balu, ale mi i to wyrobił, że mnie nieobecnego na ten bal zaproszono...

— To bardzo ładnie... ale przecie, żeby się było koło złamało...

— Pani koniecznie chodzi o koło — zawołał z uśmiechem Jędrzej — ha! to już muszę i to pani powiedzieć, że mi się koło złamać nie mogło, bom jechał pocztą od stacyi do stacyi a mój powóz wysłałem tygodniem naprzód...

— Bardzoś pan sobie dobrze poradził; ale ja jeszcze będę nielitościwą...

Ale kiedy te słowa mówiła Stasia, krajczy koronny odbił damę księciu generałowi, a w tej chwili i na Jędrzeja przyszła kolej oddania damy swojej swemu poprzednikowi. Patrząc z żalem na Stasię, oddał ją Jędrzej i nie widząc wcale, komu podaje rękę, podał już tę rękę damie następującej i jeszcze ciągle patrzył na Stasię...

Spostrzegłszy się wreszcie, że już czas przestać patrzeć na Stasię, a spojrzeć na swoją damę teraźniejszą, obrócił głowę i spojrzał w samej istocie...

Ale to spojrzenie było zabijające dla niego...

Jędrzej zbladł tak nagle, jakby piorun uderzył tuż koło niego, zachwiał się na nogach i stracił przytomność do tego stopnia, że zaraz oczy spuścił ku ziemi i nawet nie przywitał swej damy.

A powinien to był jaknajprędzej uczynić, damą tą bowiem nie był kto inny, tylko — Melania, która od samego początku ciągle postępowała za nim ze starostą bełzkim.

Widok jej, tak niespodziany i tak bezpośredni po Stasi, odebrał mu zmysły zupełnie. Do tego jeszcze starosta bełzki nachylił mu się do ucha i rzekł mu te słowa:

— Jak się masz, Jędrzeju... proszę cię nie mów tak głośno, bo słychać cię o pięć kroków.

Była to niepotrzebna przestroga, bo Jędrzej nie był w stanie przemówić coś choćby najciszej — ale ta przestroga go do reszty dobiła. Melania każde słowo słyszała, które mówił ze Stasią!

Tak też było w istocie. Pomimo to jednak, widać było po Melanii, że pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobiła ta podsłuchana rozmowa, już teraz przeszło — żal jej może było, że stanęła umyślnie tuż za Jędrzejem i przekonała się o tem dowodnie, o co go dotychczas tylko podejrzywała — ale i to już przeszło... i Melania w tej chwili była zupełnie spokojną i miała całą władzę nad sobą. Jakoż odezwała się pierwsza do niego:

— A teraz ja będę nielitościwą nad panem...

— Pani! — przemówił Jędrzej, ale reszta słów pozostała mu w gardle.

Melania postanowiła mścić się i mówiła dalej:

— I mam nawet prawo być nielitościwą nad panem, bo nie raczyłeś mnie nawet przywitać...

— Przepraszam panią — wymówił półgłosem Jędrzej.

— Przebaczam panu. Pan dopiero wysiadłeś z powozu... Pędziłeś przez cały dzień i noc pocztą, aby być na tym balu: słuszna więc, że bal odniósł pierwszeństwo przedemną...

— Tak... istotnie... ja dopiero co wszedłem do sali... właśnie muzyka się odezwała...

— Ale tak jest... wszakże ja to sama widziałam...

— Pani widziała...

— Od tego momentu, jak pan wszedłeś do sali; i widzę pana odtąd bez przerwy, niewidziana przez pana...

— Pani mi raczy łaskawie przebaczyć... przecież sama pozycya moja...

— Nie pozwalała panu mnie dojrzeć... I dlaczegóż pan mi takie rzeczy powtarzasz? czy pan sądzisz że i ja panu nie wierzę?

— O ile się mogę domyślać z słów pani...

— Jakto? więc pan sądzisz istotnie, że ja panu nie

wierzę? ja, która pana znam od dziecięctwa, która znam każdą myśl pana, każde najdrobniejsze uczucie, która się podejmuję powiedzieć naprzód, jak pan sobie w każdym a każdym wypadku postąpisz; jażbym miała nie wiedzieć o tem, że pan jesteś jako skała, na którejby można drugi kościół budować?...

Jędrzej westchnął z głębi piersi, Melania mówiła dalej:

— Fe, panie Jędrzeju! tej wątpliwości o mojej wierze w pana nie byłabym się nigdy spodziewała po panu...

— O! pani! a czyż ja mówię...

— Pan tego nie mówisz, ale pan tak postępujesz, że już nic mówić nie trzeba...

— Pani! pozwol mi... ja się usprawiedliwię...

— Ale proszęż pana, jak pan jesteś zabawny! Czy pan sądzisz, że mnie potrzeba jakichkolwiek usprawiedliwień od pana. Powiadam panu otwarcie, że pana znam tak dawno i tak gruntownie, że mojej opinii o panu nic zachwiać nie zdoła, nietylko to, cobym od kogo słyszała, nietylko to, cobym sama słyszała, ale gdybym nawet na własne oczy widziała... Ale na cóż tu mówić? pan wiesz aż nadto dobrze, jak daleko posuwam ufność moją i jak głębokie są moje przekonania...

— Pani jesteś rzeczywiście nielitościwą...

— Jakże? to pan tego nie lubisz? wszakże zdaje mi się, że dopiero co prosiłeś panny podkomorzanki, aby była nielitościwą nad panem, a przedemną skarżysz się na to?...

W tym momencie polonez się skończył. Ale Melania jeszcze miała dosyć siły nad sobą, jakoż oparła się na ramieniu Jędrzeja i rzekła:

— Ale kiedy pan tego nie lubisz, to ja pana od tego uwolnię i będę litościwszą nad panem. Proszę więc pana teraz, żebyś mnie zaprowadził do pani podkomorzynej sandomierskiej i zaprezentował mnie jej i jej córce... Mój ojciec już się przedstawił tym damom... wypada więc i mnie poznać się z niemi. Przyznam się panu nawet, że pannę podkomorzankę jestem bardzo ciekawa poznać... po konwersacyi waszej uważałam to, że musi to być bardzo wysoko wykształcona panienka... Ja, w mojej prostocie

ducha, nie potrafię zapewne wszystkich jej przymiotów ocenić, ale już samo zbliżenie się do niej będzie dla mnie pełne korzyści, a ile mi to szczęścia przyniesie, tego już panu nawet nie potrafię powiedzieć...

Jędrzej nie wiedział już zupełnie, co się z nim dzieje. Szedł on jak pijany i dał się Melanii prowadzić do podkomorzynej, która z starościną halicką i Stasią siedziała na sofie w samym rogu środkowej sali.

Tam przyszedłszy, miał przedstawiać Melanię tym damom, ale słowa mu marły na ustach. Nie miał nawet tyle przytomności i siły, ażeby wymówić imię wojewodzianki inflanckiej — stał przed niemi blady jak ściana, chwiejący się na nogach, i osłupiałemi oczyma wpatrzony w ziemię, jak zbrodzień, przyprowadzony do wysłuchania wyroku śmierci...

Melania, znajdująca przytomność w władzy nad sobą, a tę władzę w czystości swego sumienia, widziała dobrze to pomieszanie Jędrzeja i miała teraz jeszcze daleko obszerniejsze pole do zemsty: ale anielskie to serce nie znało zemsty prawdziwej. Melanii żal już było i tego, co Jędrzejowi powiedziała dotychczas i nie miała już serca pastwić się nad nim dalej lub mścić się... Jakoż opuściła jego ramię natychmiast i sama się przypomniała podkomorzynie i Stasi.

Korzystał z tej niespodziewanej swobody swojej Jędrzej i ścisnąwszy się swoją ręką ogromnie za czoło, jakby tym sposobem chciał utłumić palące go pod czaszką płomienie, usunął się prędko od towarzystwa i zniknął w tłumie. Przebijał on się przez ten tłum z gwałtownością uciekającego zbrodniarza, ażeby tylko jak najprędzej wydobyć się z tej duszącej go atmosfery i jak najprędzej zwarzoną piersią orzeźwiającego zaczerpnąć powietrza...

Ale tak uciekającego schwycił go niedaleko odedrzwi starosta bełzki.

— A ty gdzie tak prędko uciekasz? — spytał starosta.

— Najokropniejsza migrena...

— O! jakże cię żałuję... no a cóż? moja sztafeta przyszła zawczasu?

— Bardzo... bardzo... dziękuję...

— I wszystko dobrze? podkomorzanka pod niebem... Ale wiesz że to cudowna ta twoja bella... idę natychmiast ją poznać... czy są w tej sali?...

— Są... są... wszystkie razem... bardzo się dobrze zabawisz... — odpowiedział Jędrzej i wyrwawszy się prawie gwałtem z rąk brata swojej macochy, pobiegł czemprędzej dalej.

Starosta popatrzył za nim, pomyślał chwilkę i potem powolnym krokiem zbliżył się do Melanii, która z tamtemi trzema damami mieniała zwykłe konwencyonalne grzeczności. Przybliżywszy się do nich, starosta przedstawił się podkomorzynie i Stasi, urządził małe kółko w kącie salonu i zasiadłszy w tem kółku obok Melanii, rozpoczął swoją wymowną, klasycznie-grzeczną, złośliwie dowcipną, francuzko-ślizką rozmowę. Mitygowała go Melania ile możności w jego nieklasycznych wybrykach, ale niewiele to pomagało: starosta był w najlepszym humorze...

My wszakże musimy wrócić jeszcze raz do skarbnika. Kiedy poloneza zagrano, skarbnik, jak to już wiemy, stał przypadkiem tuż obok Flawiusza i przypatrywał się parom, poczynającym taniec. Taniec się rzeczywiście rozpoczął, wspaniałe pary malowniczym korowodem przesuwały się po przed niego i skarbnik przypatrywał im się niby z wielkiem zajęciem, lecz w samej rzeczy daleko z większem jeszcze zajęciem przypatrywał się Flawiuszowi — a lubo to uczynił ukradkiem i, jak to mówią, z pod oka, widać jednak było, że skarbnik bardzo pilnie badał całą figurę, budowę, wzrost tego ciekawego dla siebie młodzieńca, a jego twarzy przypatrywał się z taką pilnością, jakby chciał odgadnąć znaczenie każdego jej rysu i stąd złożyć sobie albo całkowity jej wyraz, albo dojść tym sposobem jakichś zakrytych przed sobą i zagmatwanych tajemnic. Widać też było po skarbniku zarazem, jakby go coś wyraźnie ciągnęło, aby do Flawiusza przemówił ale także, jakby go nieśmiałość lub jakaś inna siła powstrzymywała od tego.

Kręcił tedy wąs stary szlachcic i sam nie wiedział co robić; ale nareszcie chrząknął mocno i rzekł niby do siebie:

— Niemasz to przecie tak poważnego tańca w żadnym innym narodzie...

Na te słowa Flawiusz się oglądnął i widząc, że przy skarbniku niemasz więcej nikogo, odpowiedział mu obojętnie:

— W samej istocie, jest to najpiękniejszy taniec na świecie...

Tu widać było, że Flawiusz miał także niezmyśloną ochotę zbliżyć się do skarbnika, ale się wahał; jednak, jak to zwykle bywa u młodych, wahanie to trwało li jedną sekundę, jakoż zaraz rzekł Flawiusz:

— Ale cóż też ja robię? wszakże to pan major Nieczuja...

— Tak, mości dobrodzieju, a pan dobrodziej?

— Jakto? czy pan major mnie nie poznaje? wszakże to parę tygodni dopiero temu, kiedy miałem zaszczyt siedzieć z panem przy jednym stole...

— A to pewnie na leskim zamku?

— A naturalnie...

— Patrzajże waćpan dobrodziej, jak to u mnie pamięć już słaba... albo raczej winą temu te wasze stroje. Nieprzyzwyczajony wzrok do nich nie umie was pod nimi rozróżnić...

— Ja miałem przyjemność — mówił dalej Flawiusz — prezentować się siostrze pana majora, pani podkomorzynie sandomierskiej, i przyznam się panu dobrodziejowi, że już pana szukałem po wszystkich salach, ażeby jednocześnie i panu złożyć moją atencyę...

— Co się odwlekło, to nie uciekło — odpowiedział skarbnik — jakoż bardzo panu dziękuję... pan już dawno we Lwowie?

— Ja przyjechałem tutaj razem z panem chorążym. On wyjechał do Wiednia a ja pozostałem...

— Więc pan nie stale trzymasz się chorążego?

— Tak... niby stale i niby nie stale... Wiążą mnie bardzo dla mnie zaszczytne z panem chorążym stosunki, ale nie wiążą mnie stąd żadne takie obowiązki, którymbym się musiał całkowicie poświęcić...

— Powiadano nam, że pan miałeś wziąć od chorążego pełnomocnictwo do zarządzania jego majątkiem...

— Ja? ale gdzież tam! ani mowy o tem nie było, anibym przyjął na siebie coś podobnego: bo nietylko, że nie czuję się powołanym do takiej funkcyi, ale tego nie potrzebuję... Niezawisłość zresztą, chociażby mierną, przenoszę nad wszelkie najpiękniejsze w zawisłości widoki.

— Tak zapewne, jest to i moje zdanie... pan tedy we Lwowie bawisz sobie tylko z upodobania, czy może odtąd stałe już tutaj założysz sobie mieszkanie? Lwów jest to piękne miasto, i jak widzę, bardzo się teraz podnosi.

— Ja nie wiem wprawdzie jeszcze, gdzie się stale osiedlę, ale wątpię, ażebym Lwów miał wybrać do tego. Gdybym już wreszcie miał koniecznie zamieszkać w mieście, to prędzej obrałbym sobie Warszawę, gdzie mam mój dom własny i gdzie zresztą tak długo mieszkałem...

— I gdzie pan urodzony zapewne?...

— O! nie, panie. Ja nie jestem urodzony w Warszawie.

— Tedy na prowincyi, tak jak i my wszyscy; i także z polskich rodziców?

— Mój ojciec był Polakiem — rzekł na to Flawiusz mieszając się trochę i pragnąc jaknajprędzej zwrócić na inny przedmiot rozmowę, ale moja matka była Francuzką. A pan dobrodziej zabawisz tu przez całe zapusty, czy tylko do końca kontraktów?

— Ja zapewne zabawię i dłużej.

— Pan dobrodziej bardzo dobrze bawić się będziesz. Jak widzę, znalazłeś tu mnóstwo znajomych.

— O! już to na znajomych nie braknie, ale nie z każdym to znajomym dobra zaraz zabawa. O ile słyszę bawią się tu po największej części w takie sposoby, które dla mnie nie ze wszystkiem przystępne. Tańce, a ja już nie do tańca — karty, a ja nie wiem, co tuz a co kralka — gawędy o Paryżu, o królach i ich oblubienicach, a ja o tem tylko tyle, co z wieści. A prawdę mówiąc, możeby też i warto co pogadać o Francyi, tylko nie pod tym względem. Pani kasztelanowa bardzo mi pana chwaliła,

żeś jej wiele rzeczy rozumnych powiedział o Francyi i ostatnich tamtejszych zdarzeniach...

— Pani kasztelanowa kazała sobie zdać sprawę dokładną z rewolucyi francuzkiej; nie pozostało mi nic, jak wedle mojej możności spełnić jej wolę.

— Ale bardzo to pięknie musiałeś się pan wywiązać z tego zadania, kiedy sobie zasłużyłeś na pochwałę matrony, takim celującej rozumem, a nie celującej wcale komplimentami. Ja z mojej strony bardzo tego żałuję, że mnie przy tem nie było, bo lubo się to wie dokumentnie, o co tam temu narodowi chodziło, jednak nie złą byłoby rzeczą, słyszeć o tem od naocznego świadka.

— A to rzecz niestracona. Zostajemy obadwa we Lwowie i jeżeli panu majorowi coś na tem zależy, to możemy znaleźć nie jedną tak swobodną godzinę, że się da w niej opowiedzieć to wszystko co być może ciekawem.

— Bardzo mnie pan tem zobowiążesz. Ale to waćpan dobrodziej młody, a tu teraz zapusty, toż i trudno wiele wymagać... Jednakże jeśliby kiedy wolna się zdarzyła godzinka, to proszę mi ją darować, a będę ją umiał należycie ocenić. Ja mieszkam wprawdzie razem z moją siostrą, ale mam parę komnatek osobnych. Moja siostra na górze, a ja sobie na dole... przyznam się panu, że nie lubię pomieszkania na piętrach; nie przywykłem do schodów i robi mi to subiekcyę...

Kiedy to mówił skarbnik, już było po polonezie i rozpierzchające się towarzystwo roztrąciło rozmawiających tak daleko od siebie, że już dalsza rozmowa stała się im niemożliwą. Mieli też podobno obadwa dosyć na dzisiaj, jakoż nie szukając się wzajem, rozeszli się w swoje strony: Flawiusz nad spodziewanie swoje uszczęśliwiony, a skarbnik z miną także dosyć zadowoloną, lubo zamyśloną cokolwiek...

W tem zamyśleniu przeszedł on się po wszystkich salach, potem zaczął się rozpatrywać, jakby szukał kogoś z znajomych, a nareszcie obaczył siostrę i do tego całego kółka, w którem ona coraz z innemi damami rozmowy starosty bełzkiego słuchała, wolnym krokiem przystąpił.

Obaczywszy skarbnika, i starościna halicka, i Melania, i podkomorzyna, i Stasia, przemówiły po słowie do niego — tylko jeden starosta przypatrywał mu się z niechcenia i milczał.

Staroście ani się śniło, że to jest jego tak blizki i tak niebezpieczny znajomy — ale skarbnik wiedział już dobrze, kogo ma tu przed sobą, jakoż po krótkiej chwili zwrócił się ku niemu i rzekł do niego:

— Jeśli mnie moja pamięć nie myli, to podobno będzie jw. starosta bełzki?

— A tak... niewątpliwie... — odpowiedział starosta, zrywając się z miejsca — ale niechże mi wolno będzie zapytać, od kogo mnie spotyka ten zaszczyt?

— Jakże, panie starosto? więc nic a nic zgoła mnie sobie nie przypominasz?

— A czy jesteśmy znajomi?

— Oh! i jak dawni znajomi!

— Jak honor kocham, ani cienia wp. dobrodzieja nie mogę znaleźć w pamięci...

— A pamiętaszże panie starosto, dom nieboszczyka Chwaliboga w Suszycy?

— Dom Chwaliboga... tak... to pamiętam... czy pan Chwalibóg?

— Ale skądże też znowu? toż nie pamiętasz panie dnia tego, kiedy pan Gadomski marszałek się tak nagle był zjawił...

— Ach! pamiętam coś trochę... pamiętam... czy pan Gadomski?

— Ale gdzież znowu? — zawołał skarbnik, śmiejąc się — przejdźmy tedy w czasy późniejsze. Więc już pewnie pamiętasz konfederacyę barską...

— Konfederacyę barską? jakże chcesz, panie, przecież sam w niej służyłem...

— Otóż to jest. A przypominasz-że sobie miasteczko Wiśnicz, i ów domek mały przy drodze, i owego staruszka Francuza...

— Ach! to waćpan dobrodziej jesteś! — zawołał nagle starosta i porwawszy równie nagle skarbnika pod ra-

mię, odprowadził go w ten moment od towarzystwa — to waćpan jesteś, kochany kolego! jakżeż... jakżeż się cieszę! Ale patrzno pan, drogi panie, jak to mijają czasy! jak to pamięć człowieka nie pewna! jak my się to zmieniamy! oh! niewymownie, bez pamięci się cieszę, że pana widzę... a jakeś mi pan zdrów, jak czerstwo wyglądasz, jak silnie... ale to i nie dziwno, ciągle na wsi, ciągle w ruchu, ciągle na koniu... Wszakże pan Nieczuja?

— A któżby inny?

— Brat pani podkomorzynej?

— Rodzony...

— A to dyabli mnie tam zanieśli... — mruknął sobie starosta pod nosem, a dodał głośno — pani podkomorzyna jakaż to miła, jak przyjemna, jak wykształcona osoba! a panna podkomorzanka jaka śliczna, to już doprawdy nie do opowiedzenia! Krótko mówiąc, jak długo żyję, tak doskonałej piękności nie zdarzyło mi się spotkać ani tu, ani nawet w Paryżu... Cały świat jest nią zachwycony; gdyby chciała tylko, cała młodzież-by jej u nóg leżała. I pewnie będzie, bo pani podkomorzyna tu przez cały karnawał zabawi. A i pan także?

— A już to i ja zapewne.

— Tedy w dwójnasób się cieszę... bo to takiego starego znajomego nie codzień się spotyka. A spodziewam się przecież, że się będziemy często widywać. Słuchaj, panie kolego, u mnie są męskie zgromadzenia co piątek. Wybrałem piątek, bo to dzień, w którym nigdzie się nie gromadzą. Tedy cały świat u mnie. Znajdziesz wszystko co zechcesz, jest partya na każdą cenę, znajdzie się i maryaszek, albo ćwik, kto go lubi; nie obchodzi się nigdy bez poważnej gawędki, a dla takich starych i poczciwych przyjaciół są kordyaliki, słowo ci daję, specyalne, bo to jeszcze z piwnicy mojego dziada. Oprócz tego poznasz tam jeszcze nietylko całą naszą arystokracyę, ale i wszystką młodzież, a to koniecznie potrzebne dla kogoś, który ma na wydaniu taką kuzynkę, o którą, ręczę za to, wszystko będzie konkurować, co żyje. Jakże tedy, mogę liczyć z pewnością na piątek?

— Ha! kiedy tak, to i owszem, nie omieszkam i ja też...

— Ale to pewnie, *sacro-sancte*, parol, jak to mówiono w konfederacyi?

— Ha! to i parol.

— Tedy bardzo się cieszę, żem sobie złowił takiego zacnego gościa. Jakto moja młodzież cieszyć się będzie ze starego konfederata... Na rękach pana nosić będą, daję słowo honoru, a to jeszcze tem pewniej, ile że podobno do ostatniego momentu nie odpasałeś pałasza... Co to jest, kiedy w kim jest z urodzenia ten duch rycerski, tak wspaniały po wszystkie czasy, a tak dzisiaj już rzadki! No, a cóż tam w tej teraźniejszej wojnie? czyście także tak dokazywali, jak niegdyś w konfederacyi? a pamiętasz to Wiśnicz, kolego?

— Cha, cha, cha! jużci pamiętam — rzekł na to skarbnik — ale spodziewam się, że ci to na złe nie wyszło? Jesteś pewnie szczęśliwy...

— Ha! może byłbym! — rzekł z westchnieniem starosta — bo ci się przyznam, żem się w końcu przekonał... ale Pan Bóg nie dopuścił mi tego.

— Cóż? czy umarła?

— W parę miesięcy potem.

— A synek?

— Także poszedł za matką! Już co tego, to do dziś dnia wyżałować nie mogę!... Byłbym miał teraz z niego pociechę, byłbym tak jak ty pewnie zdrów, rumiany, wesoły... a tak, ot! kwaszę się, tetryczeję i już nareszcie zgorzkniałem do tego stopnia, że tylko toby mnie chyba mogło postawić na nogi, gdybym się jeszcze ożenił.

— Ha! to smutno jest, panie bracie!

— A zapewne, że smutno, ale cóż robić! Może się też miarkę przebierało za młodu, toż teraz Pan Bóg taką samą miarką odmierza. Ale słuchaj mnie, panie kolego! nie wspominaj tam nikomu o tym waszym figlu wiśnickim. Niech wam Pan Bóg tego nie pamięta i ja wam już nie pamiętam, ale na tem niech będzie dosyć. Bo trzeba ci wiedzieć, że się to jakoś tak szczęśliwie ukryło, że się nikomu ani śni o tem. Byłem kawalerem i jestem nim do

dziś dnia... Ale nawet niepotrzebnie to mówię, bo chybabym nie wiedział z kim mam do czynienia, żebym miał coś podobnego przypuszczać... Cóż kochany kolego?

— Ale nie ma o czem mówić. Przecież nie jestem babą...

— No! oczywiście! — zawołał uradowany starosta — jesteś mężem nie dzisiejszym, żołnierzem szanowanym przez cały świat nasz, a jeszcze do tego moim, pochlebiam sobie, szczerym przyjacielem... Dajże mi tedy rękę na piątek, bo oto już grają menueta, a ja jestem angażowany... Taki stary, a jeszcze tańcuje! cha, cha, cha! a co panie! — zakończył starosta i dodał jeszcze cicho — ale nie wydawajże mnie i z wieku. Do widzenia więc w piątek!

Tak zażył skarbnika giętki na wszystkie strony starosta.

Tymczasem w sali zorganizował się już menuet i zaczęto go tańczyć. Stasia stanęła z Flawiuszem. Flawiusz odznaczał się w tym tańcu osobliwszą zręcznością i gracyą, i to do tego stopnia, że cała grupa gości stała około niego, przypatrując się jego wystudyowanym formom, które umiał nadawać swojej zgrabnej figurze, a po których na pierwszy rzut oka można było poznać ów nieporównany talent i ochotę do tańca, co jeżeli nie jest wrodzone, da się nabyć tylko bardzo za młodu i tylko na ziemi oświeconej słońcem południowego nieba. Nietańcująca młodzież zazdrościła Flawiuszowi z całego serca tej zręczności francuzkiej w tańcu, ale może jeszcze daleko więcej zazdrościła mu pięknej podkomorzanki, która teraz niezrównaną pięknością swoją zwróciła tak powszechną uwagę na siebie, że w całem zgromadzeniu nie mówiono o niczem innem, jak o niej, i przepowiadano niestworzone rzeczy o różnych dobrach i milionach w gotówce, które to po matce, to po jej kontuszowym wujaszku miały przypadać na nią.

Skarbnik stał na boku i przypatrywał się także tańcom, ale podobno nie wiele widział, bo dziwnie był zamyślony w tej chwili. Tysiące najróżniejszych domysłów i kombinacyj snuło mu się po głowie, które chciał konie-

cznie przyprowadzić do ładu, co, kiedy mu się nie udawało tak łatwo, rodziło w nim pewien niepokój i niecierpliwość. Do tej niecierpliwości przyczyniała się także i ta uwaga, że Jędrzeja nie mógł nigdzie obaczyć w sali. Jędrzej, jak wybiegł po polonezie z sali, tak do tego momentu się nie pokazał.

Wszakże wkrótce taniec się skończył.

Skarbnik chciał się w ten moment zbliżyć do siostry, aby ją o Jędrzeja zapytać, ale było to niepodobnem. Znajdując się w towarzystwie, jest się jego niewolnikiem. I podkomorzyna i skarbnik musieli każde z osobna zajmować się gośćmi, którzy przystępowali do nich z powinszowaniami i grzecznościami z powodu szczęśliwego wrażenia, jakie zrobiła Stasia.

I trwało to tak jeszcze z godzinę.

Aż dopiero kiedy po północy zaczęły się sale wypróżnać i podkomorzyna wraz z bratem i córką wychodzili także za tłumem gości, szepnęła ona do niego:

— Proszę cię, i cóż się stało z Jędrzejem?

— Jak mi Bóg miły, tak nie wiem — odrzucił skarbnik — nawet prawdę mówiąc, trochę mnie to zadziwia.

— A mnie nie trochę, bo po prostu nie mogę tego rozumieć. Powtarzam ci moją starą piosnkę, że się tu w tem jakieś osobliwsze kryją tajemnice, a może nawet i jakie intrygi.

— Nie będzie tu zapewne nic tak bardzo osobliwego — zakończył półgłosem skarbnik — lecz w każdym razie trzeba nam się będzie nad tem sumiennie naradzić. Tylko nie wspominaj na teraz nic o tem Stasi, bo jak uważam idzie tu już o nią nie żartem, a może się też waży i szczęście całego życia.

XIII.

Bal u pani kasztelanowej Kamińskiej, był, jakeśmy to widzieli, nadzwyczaj ważną chwilą niemal dla wszystkich osób, występujących w naszej powieści.

Nie jedna sprawa, dotychczas tylko podrzędna albo tylko domyślna, wystąpiła tutaj na jaśnią i nabrała właściwego sobie znaczenia, nie jedno postanowienie, dotychczas tylko błąkające się w myśli, tutaj ostatecznie dojrzało — nie jedno uczucie zresztą, dotychczas ciemne i niezrozumiane, wydobyło się z swego ciemnego zamknięcia i zawołało głosem grzmiącym o swoje prawa.

Chcąc sobie dokładną zdać sprawę ze wszystkich zmian tych, które nietylko zaszły już rzeczywiście na owym balu, ale które także zrodziły przez się zarody do dalszych, może niespodziewanych zupełnie, ale nie mniej przeto nieodzownych wypadków: należałoby nam teraz, bezpośrednio po balu, być wszędzie, wszystkich podsłuchać w ich własnych domach i wszystko przejrzeć od razu.

Ale niestety! nie wystarczy takiemu zachceniu myśl ludzka — a nie dopiero pióro...

Nie pozostaje nam tedy nic innego, jak poddać się koniecznej w takich wypadkach kolei, która nas, lubo na dłuższej cokolwiek drodze, jednak zawsze do tego samego zawiedzie celu.

Przy tem wszakże, lubo kolejnem zdawaniu sprawy, będziemy główny wzgląd mieli na to, ażeby bieg sprawozdania nie tamował biegu dalszych wypadków.

Zaczynając zaś od Jędrzeja, uda się to z łatwością.

Owóż tedy Jędrzej, usunąwszy się tak nagle z balowych tłumów, wybiegł najpierw w galeryę. Paliło mu się w głowie, niesłychaną dusznością ściskało serce — trzeba mu było powietrza...

Ale lubo otwartej galeryi miał aż nadto i to nawet dosyć mroźnego powietrza, nic mu to zgoła nie pomagało. Jego członki aż kostniały na zimnie, mroźny wiatr obejmował całą postać jego w lodowate ramiona, a pomimo to przecież kipiała mu krew koło serca i zawracała się głowa pod coraz odnawiającymi się ciosami odebranych dopiero wrażeń...

Ochłodziwszy się trochę na zimnie, Jędrzej po kilka razy się zapędzał, aby do sal balowych powrócić: ale ani razu nie doszedł dalej, jak do progu antykamery. Jak

tylko z tego progu rzucił okiem w głąb komnat, oświeconych jarzącem światłem, i przypomniał sobie, że w tych komnatach znajduje się i Melania i Stanisława: to go zaraz jakaś taka obejmowała trwoga, jakieś tak straszne go opanowało uczucie, że tracił od razu całą ufność w siebie i w swoje siły, i nazad na galeryę powracał...

Powróciwszy nareszcie po raz ostatni od tego fatalnego progu, zbiegł ze schodów, wsiadł do powozu i kazał się zawieźć do siebie.

Znalazłszy się sam na sam w swem pomieszkaniu, odetchnął trochę swobodniej, a będąc pewnym przynajmniej tego, że w tej chwili ani zabrnie głębiej w miłość dla Stasi, ani usłyszy cierpkich i rozdzierających mu serce, a tak sprawiedliwych wyrzutów Melanii, zaczął się zastanawiać nad swojem położeniem.

Położenie to było w samej istocie fatalne.

Położenie to stało się już niebezpiecznem natenczas, kiedy Jędrzej poznał Stanisławę w Warszawie i dawszy rozwinąć się swojemu młodzieńczemu uczuciu dla niej, nie pomyślał natychmiast o tem, jakimby sposobem miał się odsunąć od wojewodzianki i podkopać zawczasu rachuby, jakie wojewoda, głównie zaś jego córka, zakładali na nim oddawna. Gdyby był Jędrzej w tych rachubach widział tylko istotnie samo zimne wyrachowanie, byłby był bezwątpienia nie wahał się ani chwili cały swój stosunek z domem wojewodzińskim nietylko podkopać, ale nawet zerwać odrazu i na zawsze. Jego uczucie dla Stasi było już natenczas tak silne i tak dla niego konieczne, że byłby mu nietylko przyjaźń jednego domu, ale nawet i przyjaźń całego świata poświęcił. Ale o zimnej i sam tylko interes na celu mającej rachubie nie mogło tu być ani mowy. Dom wojewody lubo nie błyszczący osobliwemi bogactwy, był jednak domem senatorskim; Jędrzej, lubo miał przed sobą znacznej możności widoki, był jednak zawsze tylko zwykłym szlachcicem, jakich było miliony w Polsce — senatorska córka mogła zawsze znaleźć sobie takiego szlachcica i nie potrzebowała nigdy do znalezienia go tak dalekich używać zabiegów. W swojej skromnej o sobie a naj-

lepszej o innych opinii tak myślał Jędrzej — a lubo może w tym względzie, przynajmniej co do wojewody, cokolwiek się mylił, nic nam jednak do tego — tak myślał Jędrzej, a właściwie mówiąc, nawet wcale nie myślał, bo myśl o zimnych rachubach nie postała mu w głowie. Przeciwnie nawet, jeśli go wojewoda jeszcze dzieckiem przyjął do swego domu i uważał ciągle tak jak najbliższego krewnego i nie ledwie jak syna, miał to sobie Jędrzej za zaszczyt, za łaskę prawie, za którą oprócz szczerej wdzięczności, żadnego innego nie znajdował w sobie uczucia. Wszakże ta wdzięczność była jeszcze niczem przeciwko temu, że przeżywszy tak długie lata w tak otwartej, tak szczerej, bo dziecięcej jeszcze przyjaźni z Melanią, i znając ją przez wszystkie te lata tak czystą, tak nieskalaną, tak anielską istotą, sam, w samej rzeczy, w samej głębi swojego serca, tak stanowczo się do niej przywiązał, że tego przywiązania nie mógł w żaden sposób utaić, nie mógł nigdy się zaprzeć przed sobą. Przyjaźń ta nawet była donośniejszą, niżeli wiemy z dotychczasowych wypadków: ileż to bowiem razy Jędrzej i Melania, będąc jeszcze półdziećmi, marzyli sobie o swojej, ubarwionej wprawdzie wyobraźnią dziecięcą, lecz nie mniej przeto rzeczywistej przyszłości! Ileż to razy, budując pyszne pałace z kart, budowali je zawsze tak, że jedna połowa była przeznaczona dla niej, a druga dla niego! Ileż razy układali sobie plany paradnych, niewidzianych dotąd ogrodów, które mieli razem zakładać, razem w nich szczepić drzewka, razem hodować kwiaty, razem wspaniałe stawiać altany i razem potem kiedyś, już w zgrzybiałej starości, pod cieniem drzew tych i altan, rozpamiętywać dzieje długoletniej wędrówki, ręka w rękę ze sobą odbytej od kolebki do grobu! Ileż to razy układali projekta dalekich gdzieś za morze podróży, wojen wielkich i długich, lub jakichś wypraw drugich po złote runo, wyobraźnią dziecięcą tworzonych; a w tych podróżach, wyprawach, a nawet wojnach, wszędzie byli oboje, wszędzie w tem nierozdzielnem zbrataniu, które jak się zdawało nie mieć w ich pamięci początku, tak miało być i bez końca! — Tych zwierzeń

i planów i rojeń dziecięcych, opowiadanych sobie nawzajem z najrzetelniejszą wiarą w ich prawdę, słuchał nieraz wojewoda z kanapy — słuchał i czasem sam im pomagał, a w końcu zawsze przybliżał się do nich, całował w czoło oboje i mówił:

— Cieszcie się moje dzieci i Bogu dziękujcie, że wam dozwala tak wcześnie rozpoczynać budowę szczęścia na całe życie.

Wszystkie te sceny, wiążące się z sobą w jeden długi łańcuch nierozłącznych od siebie ogniw, a wzmocniony jeszcze tak wyraźnemi słowami ojca, Jędrzej pamiętał tak dobrze, jak się pamięta wszystkie pierwsze wrażenia, a co więcej, Jędrzej uczuł ten łańcuch na sobie, czuł go na swoich rękach i nogach, i widział siebie przykutym nim do tej istoty, którą przypadek czy przeznaczenie rzuciło jeszcze dzieckiem w jego objęcia.

W późniejszym czasie, kiedy Jędrzej już dorósł, kiedy więcej ziemi weszło w jego organizm, kiedy jego umysł trochę więcej otrzeźwiał i lepiej rozwinięte zmysły zaczęły się stawać czulszymi na kształty i formy zewnętrzne: kiedy mówię natenczas spojrzał czasem na Melanię tem okiem, jakiem zwykle najpierwej ogarniamy każdą wzrokowi naszemu podlegającą istotę, to wtedy nieraz różne, zupełnie nowe, nasuwały mu się myśli, czasem nawet dość dziwne się obudzały uczucia. Jakoż już wtedy nietylko to przychodziło mu na myśl, że Melania formami swoich objawów zewnętrznych nie odpowiada wcale formom marzonych przezeń i częstokroć tak już gorąco pragnionych ideałów, skąd się w jego duszy zaczął odzywać jakiś rodzaj niesmaku; ale, co daleko ważniejsza, Jędrzej zaczął coraz więcej czuć na sobie ów łańcuch, którym na samym wstępie do życia był tak nielitościwie związanym. Młodość, pełna zapału w sercu, pełna wyobraźni w gorącej głowie, pełna jakichś niezrozumiałych pragnień w tej otwierającej się piersi, którąby chciała albo cały świat nowy wyrzucić z siebie, albo przynajmniej zburzyć spleśniałe twierdze starych opinii i wyznań — młodość, mówię, nie lubi żadnych więzów na sobie. Chociażby na nic nie miała użyć

swojej nieograniczonej swobody, świadomość jednak, że tej swobody nie ma, tłumi jej serce i dławi oddech w jej piersi. Takiego samego uczucia doświadczał także i Jędrzej. Patrząc na innych, jako są wolni i jak mogą na wstępie do życia rzucać się na każdą drogę, która im się podoba i na tej drodze marzyć najbujniejsze nadzieje — i patrząc znowu na siebie, jak jest już teraz związany i z każdej drogi będzie musiał w końcu nawrócić do przygotowanej dla siebie niewoli — mówił tylko do siebie:

— Czemuż nie jestem jak oni! — i wtedy ciężkie mu się z ściśnionej piersi wydzierało westchnienie.

Uczucia te jednak, lubo czasem dotkliwe, były tylko przelotne. Melania jeszcze wtenczas miała wiele okoliczności za sobą. Najpierwej tedy pomagało jej miejsce, pomagały jej czasy. Miejsce, Warszawa i czasy jej szalonego zepsucia, które może tylko z tem większą łatwością byłyby jej zaszkodziły u innego młodzieńca, stały się silnym puklerzem dla niej w czystem i szlachetnem sercu Jędrzeja. Widział on wprawdzie, codzień to nowe, codzień wspanialsze piękności, ale widział zarazem, jak zatrutem powietrzem oddychały te twarze anielskie, w jakim błotnistym kale walały się te perły błyszczące. Im znakomitsza piękność, tem więcej brudna, więcej grzązka była koło niej ziemia. Ta myśl zrażała i utrzymywała na wodzy Jędrzeja. Tą myślą rozczarowany ze swych ideałów, powracał on do Melanii, już nie jak do przygotowanej dla siebie niewoli, ale, jakeśmy o tem już wspomnieli powyżej, jakby do brzegu zielonej, orzeźwiającej oazy. Drugą okolicznością, która stała na straży Jędrzeja na rzecz Melanii, była jej miłość. Miłość ta, która się w niej rozwinęła trybem zwyczajnym a rozwinęła się wcześniej, niż to zwykle się dzieje u kobiet, nie była już oddawna tajemnicą dla niego. Tę miłość czuł on w każdym jej oddechu, widział w każdem spojrzeniu, słyszał w każdem jej słowie — a lubo czuł to zarazem, że tej miłości nie odpłaca równą miłością w swem sercu — szanował ją jednak z serca, musiał być wdzięcznym za nią i z wdzięcznością przyjmować. Atoli trzecią i najważniejszą zape-

wne okolicznością, przeważającą natenczas całą sprawę na korzyść Melanii, było to, że Jędrzej do zejścia ze swojej dotychczasowej kolei nie miał żadnego powodu. Jakoż rzeczą jest pewną, że gdyby się był taki powód nie znalazł, Jędrzej byłby nigdy z tej kolei nie zboczył i byłby zapewne już dzisiaj najszczęśliwszej żony dosyć zadowolonym mężem. Ale taki powód się znaleźć musiał, nie tu, to owdzie, nie dziś, to jutro, albo może aż po zajutro, coby było jeszcze daleko gorzej. Taki powód musiał się znaleźć już dlatego samego, że ideały choćby najszczęśliwszej wyobraźni młodzieńczej, nie są nigdy tak bardzo wybredne, ażeby daleko piękniejsze jeszcze pierwowzory nie mogły się znaleźć w naturze; — ale jeszcze więcej dlatego, że Opatrzność nie zbudowała żadnej z dróg prowadzących do cnoty w ten sposób, ażeby po jej obudwóch stronach nie było daleko więcej choć pozornych powodów, kuszących nas do zboczenia z niej, niżeli jest u jej celu pokusy do wytrwania przy niej do końca. Tak jest i zawsze być musi — bo inaczej cnota nie byłaby cnotą, a przynajmniej nie byłaby żadną zasługą.

Bądź co bądź wszakże, taki powód się znalazł.

Jędrzej poznał Stanisławę, i jakeśmy to widzieli, znalazł w niej żywy pierwowzór dawno marzonego przez siebie ideału. Już same zewnętrzne formy tej młodziutkiej jeszcze naówczas dziewczyny zrobiły na nim tak silne wrażenie, że mu się oprzeć nie mógł na żaden sposób — ale wzajemne udzielenie się jej sercem i duchem podbiło go dla niej do reszty. Miłość ta, do której go od lat tylu przygotowywała i usposabiała Melania, a która się w nim żadną miarą obudzić nie mogła, obudziła się teraz w jednej sekundzie, obudziła się i wulkanicznym rozgorzała płomieniem — ale się obudziła i rozgorzała dla Stasi.

Pod wpływem tej tak długo tłumionej i tak nagle wybuchłej miłości, Jędrzej był jak pijany; tak się zwykle bywa, kiedy się ma lat dwadzieścia, serce mogące zmieścić w sobie świat cały, a kocha się jedną tylko dziewczynę i kocha się po raz pierwszy...

W pierwszych dniach Jędrzej nie zdawał sobie żadnego rachunku — był jeszcze zawsze pijany...

Po kilku dniach przyszła mu myśl o Melanii. Ta myśl go przestraszyła, ta myśl go taką przejęła trwogą, że nie wiedząc co ma począć ze sobą, uciekł od niej...

Dawniejsze jego stosunki nastręczyły mu łatwą do tego sposobność.

Potem wybuchła wojna.

Podczas wojny ta trwoga przed którą uciekł, uciekła sama od niego. Wypłoszyły ją grzmoty dział ustawiczne i trudy wojenne; wypłoszyła ją wreszcie inna trwoga, owa olbrzymia, rozpaczliwa, śmiertelna trwoga, która jak duch złowieszczy zawiesiła się w powietrzu i powiewając strasznym całunem śmierci, konwulsyjne sprawiała drżenia w całym narodzie.

Nie było czasu myśleć wtedy o kochających dziewczętach, nie było serca dla innej trwogi.

A lubo czasem przy obozowem ognisku, kiedy sen zmorzył strudzone ciało, pokazały się duszy jego czarne myślące oczka, albo zawiała przed nim w powietrzu biała z koralowemi ozdobami sukienka — toż to było tylko senne marzenie, podobne raczej przelotowi białego anioła nad uśpionym żołnierzem, i nie mające w sobie ani jednego tchnienia zatruwającej grozy...

Po wojnie Jędrzej wrócił do domu.

Jakoż tutaj dopiero zaczyna się epoka, w której warto jest śledzić i godzi się z całą surowością sądzić jego myśli i jego uczynki; do tego czasu bowiem Jędrzej już dojrzał zupełnie i odtąd myśli o sobie i powinien wiedzieć co robi. Pierwszem też jego postanowieniem, gdy osiadł na wsi, było zbadać dokładnie siebie samego, zbadać swe położenie i wytknąć sobie nadal pewną drogę postępowania. I Jędrzej zrobił to wszystko. Jakoż skutkiem tego zbadania siebie, była najpierw ta pewność, że nie może się zaprzeć miłości, którą miał i żywił dla Stasi. Miłość ta była miazgą jego uczucia, słońcem dla jego myśli i stała się przez to warunkiem dalszego życia. Żyć bez tej miłości, a wcale nie żyć, było mu dzisiaj już jedno.

Z takiem usposobieniem oczywiście nie miał już myśleć co o Melanii. Oddać się jej natenczas, kiedy się już nie należało do siebie, nie było podobieństwa — a zmusić siebie do tego koniecznie, nie widział wcale, ażeby to mogło choćby i dla niej samej przynieść pożądane owoce. Pomimo to jednak żal mu było Melanii. Wiedział on dobrze, że taki zawód z jego strony będzie ją bardzo wiele kosztować — ten zawód bolał go nawet bardzo dotkliwie, bo czuł to, że jego własne postępowanie przez cały ciąg swojej młodości w takim razie upoważni Melanię do głębokiego żalu do niego, upoważni ją nawet do bardzo usprawiedliwionych zarzutów. Ale pocieszał się w tem Jędrzej natenczas. Pocieszał się rozsądkiem Melanii, pocieszał się wrzekomym chłodem jej umysłu i serca, pocieszał się jej charakterem, który najwyższą sumiennością natchniony, potrafi w końcu przecież sprawiedliwie osądzić jego położenie i nie zechce wymagać tego od niego, ażeby za dziecięce uczucia swoje pokutował bólem i skrzywieniem drogi całego życia.

Tak rozumował Jędrzej i wskutek tego postanowił nieodmiennie odsunąć się od Melanii na zawsze. A ponieważ wiedział to dobrze, że raptowne zerwanie tak zadawnionych stosunków mogłoby tylko nadto dotkliwe jej przynieść bóle i smutki, a tych smutków chciał jej jaknajwięcej oszczędzić, więc postanowił sprawę tę odbyć jaknajpowolniej. Stosunków swoich z Melanią nie chciał on zerwać, ale chciał je rozchwiać po mału i tak je póty rozchwiewać i ziębić, póki się nie rozlezą i nie oziębią zupełnie. Z takim zamiarem w myśli pisał on listy do wojewody, które zaczął jeszcze śród wojny. O listach tych wiemy już z rozmowy wojewody z Melanią; ale nie były to takie listy, jakimi się nam wtedy wydały. Listy te bowiem w istocie rzeczy były nadzwyczaj zimne i coraz jeszcze zimniejsze, a ktokolwiekbądź obojętny je czytał, nie mógł nie rozumieć ich celu. Jakoż wojewoda, ważący każde słówko na wadze subtelności klasycznej, rozumiał je bardzo dobrze i ich cele ocenił tak trafnie, że to w skutek tych listów, a nie czego innego dopuścił starostę beł-

zkiego do siebie tak blizko, z najgłębszem przekonaniem w gruncie swojego serca, że niebawem nadejdzie ta chwila, w której go będzie mógł jeszcze bliżej dopuścić. Że Melania inaczej rozumiała te listy, nic w tem dziwnego, bo wszakże zawsze z nie zanadto wyraźnych listów, zwłaszcza gdzie przeważa nad nami uczucie, wyczytujemy to tylko, czego sercem pragniemy; a że wojewoda z powodu tych listów odzywające się w Melanii niedobre przeczucia przeciwko swojemu przekonaniu uspokajał i przeczył, było to tylko wynikiem troskliwości ojcowskiej.

Jednak postępowanie wojewody, wskutek tych listów, nie zadowalało wcale Jędrzeja. Wojewoda rozumiał te listy, ale odpisywał na nie tak, jakby ich nie rozumiał. Wojewoda wypracowywał swoje odpowiedzi z nadzwyczajną starannością — były to w swoim rodzaju najmisterniejsze noty dyplomatyczne, w których każdy niemal okres miał znaczenie dwoiste: jedno puste, ogólnikowe i nic nie znaczące, które się zawierało w samychże wierszach; a drugie bardzo dobitne, które się wprawdzie znajdowało między wierszami, ale nie mniej przeto było dla Jędrzeja aż nadto jasne. Temi dyplomatycznemi notami przypuszczał wojewoda formalny szturm do Jędrzeja, bo lubo na pozór były to tylko grzeczne korespondencye starego przyjaciela, jednak w gruncie rzeczy stary przyjaciel czynił nieraz ciężkie wyrzuty młodemu, i kiedy go jedną ręką jaknajczulej przyciskał do swojej piersi ojcowskiej, drugą najnielitościwiej go chłostał, przyczem wszakże ani najlżejszym cieniem nie przypuszczał tej myśli, jakoby Jędrzej mógł w samej rzeczy zerwać tak długoletnie i taką przyszłość przed sobą mające stosunki. Były to prawdziwie klasyczne korespondencye — szkoda, że zanadto dla nas podrzędne, abyśmy je mogli tu powtórzyć w całości.

Otóż korespondencye te niewymowny Jędrzejowi przyniosły smutek; — powziął bowiem z nich przekonanie, że zerwanie stosunków z Melanią nie da się uskutecznić tak łatwo i wymagać będzie jeśli nie trudnych, toż jednak daleko dłuższych zabiegów.

Widząc to, Jędrzej ugiął się pod tem ciężkiem prze-

znaczeniem swojego losu, lecz się nie złamał. Czas jeden tylko mógł być tutaj skutecznem lekarstwem, i Jędrzej postanowił jaknajcierpliwiej czekać. A, ażeby to lekarstwo skutkowało tem lepiej, postanowił zarazem ani na krok nie wyruszać z domu, a przynajmniej żadną miarą się nie pokazywać we Lwowie, i był tego jaknajpewniejszym, że nim zima przeminie, wojewoda się podczas karnawału całkiem inaczej namyśli i do wiosny może dotychczasowego pretendenta do swojej córki na innego zamieni.

Jakoż był to środek niezawodnie najlepszy, a przynajmniej najspokojniejszy.

Ale wykonaniu go przeszkodziła stanowczo niecierpliwość podkomorzynej.

Niespodziewaną wiadomością o jej zamiarze wyjechania do Lwowa Jędrzej nie bez powodu był uderzony tak silnie i tak boleśnie, że się aż cały zmienił i nie wiedział przez chwilę, co ma na to skarbnikowi powiedzieć.

Ale Jędrzej, lubo bardzo wrażliwy jak wszyscy ludzie żywego serca, miał jednak nie małą ufność w swe siły — postanowienie jego było w oka mgnieniu gotowe.

Nie było tu zresztą pomiędzy czem tak bardzo wybierać. Wyjazdu podkomorzynej do Lwowa powstrzymać nie mógł, bo byłoby się to stać mogło tylko natenczas, jeśliby był zaraz do Zagórza pojechał i zrobił oświadczenie po wszelkiej formie; a jakże znowu mógł się oświadczać o rękę Stasi, nie będąc rozwiązany z Melanią? — Nie pojechać zaś za podkomorzanką do Lwowa i zostawić ją przez cały karnawał na opiece Boskiej, kiedy nie miał od niej żadnego innego zapewnienia, oprócz tego, co mu mówiło serce, było także niepodobieństwem. Nie potrzebował się więc wcale nad tem namyślać, czyli ma jechać do Lwowa.

Ale jadąc do Lwowa wyobrażał on sobie swoją rolę tamtejszą wcale łatwiejszą, niżeli być miała w istocie. Znając Melanię łagodną, więcej chłodną niżeli porywczą, wielką mistrzynię w cierpliwości i panowaniu nad sobą, ani po myślał o tem, żeby Melania mogła go spotkać inaczej, jak zwyczajnym, pełnym spokoju uśmiechem; a jeżeliby mu

miała czynić jakieś wyrzuty, to mu je poda w formach jak najskromniejszych i to kiedyś dopiero, przy sposobności, po czasie...

Ale tak rozumując, zapomniał o tem, że pod spokojną powierzchnią ukrywają się zwykle niezmierne głębie, a w tych głębiach wrą częstokroć wulkany! — Tak rozumując, Jędrzej o wielu innych rzeczach zapomniał, a głównie o tem, że już samo znalezienie się jego na balu, na którym o Melanię ani zapytał, a stanął zaraz do tańca z podkomorzanką, było postępkiem takim, którego nie potrafiłaby przenieść spokojnie żadna kobieta — a cóż dopiero Melania, która, stanąwszy w polonezie, czy to z woli podstępnego starosty, czy też z własnej ciekawości tuż za jego plecyma, całą jego rozmowę ze Stasią co do słowa słyszała.

Z tych różnych zapomnień, owóż jaka niespodziewana dla niego, lubo zresztą całkiem naturalna, wywiązała się scena.

Scena ta wszakże, a mianowicie jego rozmowa z wojewodzianką, jakby już dla każdego innego była niezmiernie dotkliwą, tak dla niego stała się niemal zabójczą. Jędrzej bowiem znał doskonale Melanię — on znał to wszystko i widział, że to nie żal, nie smutek, nie uczucie wiary nawet przemawiało z niej wtedy — ale była to boleść najstraszniejsza, najkrwawsza, jakiej zaledwie zdolnem być mogło jej serce — była to rozpacz z rozdartem sercem, z trupią bladością w twarzy, gotowa każdej chwili rzucić się w ową otchłań okropną, na której dnie leży śmierć lub szaleństwo!

Widok takiego stanu Melanii przeraził go do tego stopnia, że drażliwy z natury, stojący i tak już na dosyć ślizkim gruncie młodzieniec, stracił teraz całkiem ziemię z pod siebie, stracił wzrok na otaczające go okoliczności, stracił nawet świadomość samego siebie.

Znalazłszy się sam w swojem mieszkaniu i rozmyślając nad tym niespodziewanym wypadkiem, nie wiedział sam, coby miał myśleć.

Położenie jego właściwie było jasne — ale jasne bla-

skiem piekielnych płomieni, które je oświecały. Pod ustawicznem działaniem tych piekielnych płomieni, Jędrzej rozgorzał gorączką i wtedy najdziwaczniejsze myśli mu przychodziły.

Więc jednej chwili chciał pójść poprostu za popędem swojego serca, bez żadnego względu na milczące zobowiązania i dziecięce przyjaźnie — ale wtedy widział Melanię upadającą pod ciężarem zgotowanej przez niego boleści, widział ją wyciągniętą na katafalku i patrzącą umarłemi oczyma na niego, widział już grób jej i z pod grobu słyszał jej śmiertelne westchnienia, przynoszące mu klątwę na całe życie!

Żal mu było Melanii. Czuł to, że nie byłby w stanie poświęcić ją z zimną krwią swemu szczęściu i życiu. Miał więc chwile, w których pragnął poświęcić się dla niej. Lecz w takim razie cóż się stać mogło ze Stasią? Czyż nie taka sama, czy nie silniejsza jeszcze jej miłość, niż miłość Melanii? Kiedy starsza, trzeźwiejsza, wytrawniejsza Melania nie będzie w stanie swej miłości przeboleć, czyż ją łatwiej przeboli, młode, słabiutkie, samem sercem tylko żyjące dziewczątko?

Na tę myśl łzy stawały mu w oczach i wylewały się strumieniami na lice... i wtedy myślał już siebie dla nich obudwóch poświęcić. Jakaś podróż za morze, jakaś wojna w Egipcie, nad Renem albo we Włoszech, miała być w takim razie jego ucieczką. Ale czy ta ucieczka mogła być także ratunkiem? Podobno najmniej. Natenczas bowiem zamiast jednej, byłoby trzy ofiary, trzy nieuleczone boleści, a może nawet trzy śmierci...

Niecierpliwy z natury, heroicznego usposobienia serca, nie umiał Jędrzej zrazu znieść tego położenia, które tak straszną miało teraźniejszość, a jeszcze straszniejszą przyszłość, i chciał koniecznie jakieś *heroicum*, jakiś Aleksandrowski miecz znaleźć, którymby rozciął ten węzeł.

Ale ten węzeł był tego rodzaju, że nie było na niego miecza.

Pod zabijającym wpływem tej myśli, w ustawicznej

walce najgorętszej chęci z nieubłaganą niemożnością, przebył Jędrzej noc całą.

Po nocy nastąpił świt ranny ze snem pokrzepiającym, a po śnie chłodny poranek, z jasnością dzienną w powietrzu i takiej samej jasności udzielający myślom.

W tych myślach przechodził Jędrzej znowu swe położenie, — a lubo teraz tak samo jak wczoraj nie mógł wynaleźć żadnego środka, zapomocą którego pewnie, czysto i cało mógłby siebie wydobyć z tej niebezpiecznej toni, — jednak niekoniecznie tak czarno widział wszystkie możliwe jej wynikłości.

Dzisiaj już stawiał on sobie pytania, który były dowodem znacznego otrzeźwienia się z wczorajszej gorączki i zarazem dowodem odradzającej się w nim ufności. Więc pytał siebie: czy rzeczywiście ludzie umierają z boleści? czy nieszczęśliwa miłość musi pociągnąć za sobą nieszczęście na całe życie? nie masz że na to żadnego na całym świecie lekarstwa? czemże się leczy połowa, może trzy czwarte, a może nawet jeszcze liczniejsza część całej ludzkości ze swoich cierpień i bólów? — I te pytania dawały Jędrzejowi otuchę, przynosiły mu nawet nadzieję.

Tak się uspokoiwszy cokolwiek, kiedy już nie mógł żadnego wynaleźć środka, którymby mógł czynnie do wydobycia siebie z tej niebezpiecznej pozycyi dopomódz, wypadało mu odtąd tak się w swojem dalszem postępowaniu urządzić, aby przynajmniej swojego dzisiejszego położenia jeszcze bardziej nie zepsuć. W tym względzie nie mógł on postanowić nic innego, jak zachowanie się bierne, — i to postanowił.

Ażeby jednak i temu biernemu zachowaniu się, — które tak po ostatniej rozmowie ze Stasią, jak po ostatniej scenie z wojewodzianką, wcale nie było już łatwe, — ile możności uścielić drogę, postanowił i tutaj czas wysłać przed sobą i przez kilka dni pierwszych nigdzie się nie pokazać.

Jakoż przez kilka dni następnych siedział zamknięty u siebie.

Ile przez tych dni kilka przemienił uczuć, ile znicował

myśli, ile się nad różnemi kombinacyami nasilił, długoby o tem rozprawiać, — to wszakże możemy powiedzieć krótko, że pomimo największych wysileń, nic nowego nie wydobył ani z serca ni z głowy, i trwał stale jak przedtem — w przyjaźni dla wojewodzianki, a w miłości dla Stasi.

Przez tych dni kilka wszakże przykro mu było niezmiernie, że go nikt nie odwiedził. Nie miał on żadnej wiadomości ani od podkomorzynej, ani od wojewody, nie miał nawet żadnej wiadomości ze świata. Bo świat ma pod tym względem, a niezawodnie pod wielu innymi, osobliwsze przeczucia. Kiedy jesteśmy zdrowi, weseli, kiedyśmy dobrą odebrali wiadomość, albo mamy jakąkolwiek pociechę, pewnie się zjawi u nas jeden i drugi i dziesiąty przyjaciel, i mamy zawsze w takim razie naszą uciechą z kim się podzielić, — ale kiedy nas nagła nawiedzi słabość, kiedy nas spotka jakie nieszczęście, kiedy nas obejmą boleści lub zatrują jakiekolwiek zgryzoty: stu przyjaciół przyjdzie natenczas po pod wrota naszego domu i pewnie ani jeden nie wstąpi. Tak też było i u Jędrzeja, i to go gryzło cokolwiek, bo już go zniecierpliwiło wreszcie to dobrowolne zamknięcie; byłby zresztą chciał wiedzieć przynajmniej co się dzieje na świecie. A gryzło go to jeszcze o tyle więcej, ile że już podług swojego mniemania mógłby był pokazać się bezpiecznie i tu i owdzie, a nie mógł się zdecydować na żaden sposób, gdzieby miał się pokazać pierwej.

Wszakże od tej niepewności uwolnił się własną siłą nareszcie, i dnia jednego wieczorem do wojewody pojechał.

Jechał on tam wprawdzie ledwie nie tak jakby na ścięcie; częstokroć dziwne jakieś przejmowały go dreszcze, ale był on już teraz ochłodzony zupełnie, miał całą władzę nad sobą, a zresztą sztukował się po staremu fantazyą, czyli — oddając nowszym wyrazem nowsze rzeczy pojęcie, — znajdował wielką pomoc w bujnej swej wyobraźni, która i utrzymywała w nim dobre rozumienie o sobie samym, i przedstawiała rzecz jeszcze niepewną w dosyć jasnych kolorach.

Jędrzej tedy przyjechał do wojewody i jak gość każdy inny kazał się anonsować.

U wojewody tego wieczora było kilka osób w salonie. Był starosta bełzki, który teraz bywał już niemal codziennie, — był pan cześnik koronny, dawny urzędowy kolega wojewody, gość ze wszech miar znakomity i równie jak wojewoda znakomity amator nowomodnego naówczas l'hombra, — i było jeszcze ze dwie osób, mniej znanych i obojętnych.

Pomiędzy temi osobami znajdowała się także wojewodzianka. Na wielkim przedkanapowym stole przygotowywano właśnie herbatę i Melania była gospodarstwem zajęta.

Wojewoda był w swoim zwykłym humorze, zawsze w równej strojny mierze, — nigdy go też podobno nie obaczymy innym; — ale Melania była dziś jeszcze bledszą, niżeliśmy ją widzieli na balu, a lubo ta bladość nadawała nadzwyczaj zajmujący charakter jej twarzy, jednak kto ją znał dawniej, z cerą zdrową i pełną kolorów, ten mógł się jej dzisiaj nawet trochę przestraszyć. Pomimo to wszakże była dość ożywioną i krzątając się koło herbaty, dosyć różnorodną, ale przytem bardzo przytomną i wymowną prowadziła z różnymi gośćmi rozmowę. Patrząc na nią i widząc, jaki kontrast ta szczęśliwość moralna stanowiła z bladością jej twarzy i wiotkością całej postaci, zdawało się, jak gdyby od niejakiego czasu jej duch ciągle się wzmacniał i wzrastał, ale tem wysileniem swojem trawił zarazem ciało.

W tej chwili wszedł lokaj i zaanonsował Jędrzeja.

Ale w tej chwili także Melania nagle krzyknęła i wypuściła z ręki nalewkę, która, padając na filiżankę, stłukła i ją i siebie w drobne kawałki. Jednak jeszcze zawsze w tej samej chwili Melania lewą dłoń przyłożyła do czoła i zawołała całkiem przytomnym głosem:

— Ach! jak też jestem niezgrabną!

Starosta bełzki patrzył na to wszystko, spojrzał potem z uwagą wojewodziance w oczy, i — żaboty poprawił.

Wojewoda powiedział głośno: — prosić! — ale zarazem wstał z krzesła i postąpił o parę kroków naprzeciw

gościa, co było wielką osobliwością w tym razie, i czemu się starosta jeszcze z większą przypatrywał uwagą.

Kiedy wszedł Jędrzej, wojewoda go witał.

— Ach! jak się masz, kochany Jędrzeju! przecież raz, przecie, wybrałeś się do nas z tej tam twojej ziemi Sanockiej, czem nas niewymownie pocieszasz, bo jużeśmy myśleli żeśmy cię na zawsze stracili!

To mówiąc wojewoda objął go w swoje ojcowskie ramiona i całował go w głowę. Niema co mówić, powitanie takie serdeczne musiało być dla Jędrzeja bardzo rozczulające.

— Ale powiedz-że nam — mówił wojewoda bez przerwy — cóż się stało u Pana Boga, żeś się nam nie pokazał dotychczas? dowiaduję się dzisiaj, że już od kilku dni bawisz we Lwowie.

— Mimo najszczerszej chęci — odpowiedział Jędrzej, trzymając się z całej siły — niepodobna mi było krokiem wyruszyć z domu. Od tego nieszczęśliwego balu takiego nabawiłem się przeziębienia...

— Jakto? — zawołał wojewoda — alboż byłeś na balu u pani kasztelanowej? A wszakże i myśmy tam byli...

— Wiem o tem, ale ja byłem tylko jedno oka mgnienie...

— A! jaktamkolwiek bądź temu... już też gotów byłbym gniewać się za to — rzekł wojewoda i miał mówić coś dalej. Jakoż zdaje się, że Jędrzej już tu zaraz na wstępie byłby przebył klasyczną łaźnię, ale przeszkodził temu przytomnością swoją starosta bełzki, na którego się wojewoda obejrzał i umilkł.

Jędrzej poszedł witać Melanię. Podał jej rękę, — i ona jemu podała. Ale Jędrzej popatrzywszy jej w oczy, przeląkł się jej niesłychanej bladości. Nie potrzeba mu było pytać się długo, skąd pochodzi ta bladość. On jednym rzutem oka ogarnął wszystko i odgadł wszystko. I jeżeli serdeczne powitanie ojca przejęło go na wskróś lodowatym dreszczem, to widok córki jakby go nożem pchnął w serce.

Ale Melania była w tej chwili znów całkiem inną. Miała uśmiech radosny na twarzy i była prawie wesołą. Jędrzej nie był w stanie przemówić pierwszy, ona zaczęła:

— Ach! jakże się cieszę, że pana znów przecie widzę! Nie wspominam już o tem, jakieśmy przechodzili o pana obawy jeszcze za czasu wojny, ale powiem panu otwarcie, że widząc pana na balu, a nie widząc go przez tyle dni u nas, nie mogliśmy tego zrozumieć. Gdybyśmy byli wiedzieli, gdzieś pan zamieszkał, bylibyśmy niezawodnie posłali do pana...

— Bardzo pani dziękuję...

— Ale to nie dość na tem — mówiła dalej z coraz lepszym humorem Melania — bo wiesz pan o tem, że się gniewam na pana. Bo jakżeż można zachorować tak nagle, stać w domu obcym i nie zawiadomić o tem swoich starych i takich wiernych przyjaciół...

— Mogę panią najuroczyściej zapewnić — mówił, dławiąc się, Jędrzej — że nie było tego potrzeby...

— Ale nie mów pan nic, proszę pana, bo mi się nigdy z tego nie wytłumaczysz. Niewdzięczny pan jesteś i poczekaj pan, srogo pana za to ukarzę. Nie zdmuchnę panu pałacyku z kart, jak się to niegdyś robiło, kiedyśmy takie pałacyki stawiali, ale wymyślę jakiś inny figielek, którym panu dokuczę... A będzie tu pole do figielków szerokie, bo to teraz karnawał, panien ładnych mnóstwo a pan Jędrzej podobno ma dosyć tkliwe serduszko.

W takim tonie mówiła Melania dalej...

Wszyscy obojętni, którzy tę rozmowę słyszeli, rozumieli ją tak, jak ją rozumianą mieć chciała Melania, bo kochająca kobieta nie mówi nigdy takim tonem do tego, w którym istotnie się kocha, albo na którym zakłada sobie sakramentalne nadzieje: ale Jędrzej, mający na tej drodze pewną przeszłość za sobą i będący w tej chwili pod tem, jakie nam już znane, wrażeniem, rozumiał Melanię jak najzupełniej przeciwnie. Zdawało mu się na razie, że go traktowano w tym domu tak, jakby już klamka zapadła — i był ciągle jak struty... Jakoż, lubo inni całkiem obojętnie, z wielką jednak ciekawością przysłuchiwał się tej rozmowie starosta. Wielki mistrz salonowej komedyi, czuł swoim komedyanckim instynktem, że się tu także ja-

kaś odegrywa komedya, ale kto ją gra i dlaczego, nie mógł jeszcze zrozumieć...

Tymczasem okrążono stół i zajęto się głównie herbatą. Konwersacya urywkowa, ogólna, dozwoliła Jędrzejowi odetchnąć, zebrać rozpierzchnione swe siły i odzyskać humor, tak konieczny w salonie a już wcale niezbędny dla niego. Udało mu się to nawet do takiego samego stopnia, do jakiego dopiero co przedtem się udało Melanii, — ale także tak samo, jak niespodziewany humor Melanii zbił z tropu Jędrzeja, tak znowu teraz jego humor napełnił nieutajonym smutkiem Melanię. Dostrzegł tego Jędrzej i istotny stan serca Melanii zaczął mu się coraz więcej rozjaśniać.

Po herbacie, kiedy już ucichł brzęk łyżek, talerzy i nożów, wojewoda, zażywszy uroczyście tabaki ze swojej złotej tabakiery z portretem króla Stanisława Augusta, zaczął kontynuacyę przed herbatą urwanej a z cześnikiem koronnym prowadzonej rozmowy, o charakterze, przymiotach i całej polityce Fryderyka Wielkiego. Wojewoda był wielbicielem tego niepospolitego człowieka i króla, i przebaczając mu całą przewrotność jego rozumu i całe pogaństwo serca, a przez to samo stawiając się na stanowisku bezwzględnem, unosił się nad znakomitą rolą, odegraną przez niego na scenie świata. Zgodnym z wojewodą w opinii był także starosta bełzki, — ale cześnik koronny, mąż głęboko religijny i zacny, i tych dwóch przymiotów przedewszystkiem wymagający od wszystkich, nie mógł żadnym sposobem Fryderyka wielbić i przeciwko zimno rozumowym zdaniom wojewody występował z wymową ciepłemi uczuciami rozegrzanego serca. Z tego przeciwieństwa opinii wyniknął spór walny, który się toczył w ścisłych granicach umiarkowania, ale pomimo to w bardzo ożywionej rozmowie.

Z tego zajęcia się ojca i gości korzystała Melania i siadając na bocznej kanapce za stołem, odezwała się do Jędrzeja:

— Panie Jędrzeju! co tam panu po tych filozofach głębokich, w których końcu każdy przy swojem zostanie zdaniu... Siadaj pan lepiej tu przy mnie i opowiadaj mi

dzieje tego całego roku, w którym nie widziałam pana ni razu, a w którym tyle ważnych zaszło wypadków...

Jędrzej siadł przy Melanii.

— Powiedz-że pan mi — mówiła dalej Melania — jak się panu powodzi? gdzie pan mieszkasz? co robisz? co myślisz? jakie masz plany? jakie widoki przed sobą?... Czy pan mieszkasz ciągle jeszcze w Górkach, czy już w Jaćmierzu?

Bardzo zadowolony z tych pytań, Jędrzej tak mówił:

— Ach pani! co myślę, co robię, jak mi się wiedzie, księgi by o tem spisywać. Mieszkając w Warszawie, wyobrażałem sobie zawsze, że ta chwila, w której się na wieś sprowadzę i na wsi stale zamieszkam, przyniesie mi nie mówię wielkie szczęście, ale przynajmniej wielką pociechę. Przeczuwałem to wprawdzie, że nim ta uciecha nastąpi, przyjdzie przeżyć zapewne kilka dni mniej pociesznych, a może nawet i smutnych, ale miałem to przekonanie, że się te smutki dadzą przenieść z łatwością. Wszakże było to tylko o tyle szkodliwe dla mnie złudzenie, o ile mniej do niego podobną okazała się rzeczywistość... Co do mego mieszkania niby to w Górkach, ale najwięcej czasu trawię w Jaćmierzu, zwłaszcza też teraz trawiłem, robiąc przedwstępne umowy o sprzedaż tego majątku...

— Jakto? więc pan Jaćmierz sprzedajesz? spodziewam się przecież, że się to nie dzieje wskutek jakiejś konieczności?

— Nie, pani, czynię to dobrowolnie, ale czynię dlatego, ażeby takiej konieczności, którąby w dzisiejszym położeniu rzeczy musiała kiedyś i to może już wkrótce nastąpić, jeszcze dość wcześnie zapobiedz.

— Pan jesteś bardzo przezornym...

— Czy to źle, pani?

— Oh! nie... i owszem! wszakże to wielka cnota, konieczna w życiu, dla każdego potrzebna a dla młodego nawet bardzo zaszczytna.

Tu Melania lekko westchnęła, myśląc przytem zapewne: Ach! czemuż ja nie byłam równie przezorną! — Ale w ten moment rozweseliła się znowu, mówiąc dalej:

— No więc cóż? więc pan Jaćmierz sprzedajesz? a kiedy sprzedasz, czy na nowo się myślisz zakopać w Sanockiem? czy może masz zamiar przenieść się do tamtego majątku, który macie na granicy szlązkiej?

— Co wtedy zrobię, jeszcze dziś nie umiem powiedzieć z pewnością, wątpię jednak, ażebym kupował ziemię, a przynajmniej nie teraz. Własność ziemi wkłada na nas niezliczone obowiązki, a przyznam się pani, że teraz nie jestem w stanie, nie miałbym poprostu sumienia, przyjmować jakiekolwiek obowiązki na siebie. Ten rok ostatni, te różne przejścia, te niewymowne zgryzoty i niepowodzenia domowe, jakie w tych czasach przeszedłem i pod któremi jeszcze ciągle się garbię, tak mnie zmęczyły, tak potargały we mnie wszelką moralną siłę i do tego stopnia podkopały ufność w siebie samego, że jeżeli komu, to mnie pewnie trzaby koniecznie odpocząć. Dlatego myślę, że jeśli się ułatwię z tą moją sprzedażą i rodziców moich, jak sobie tego życzą, urządzę w mieście, to sam zapewne wyjadę przynajmniej na rok za granicę...

Na te słowa Melania spojrzała dziwnym wzrokiem na niego, wzrokiem takim, o którym nie można było powiedzieć z pewnością, czy to było niedowierzanie, czy otwarty zarzut prostego kłamstwa, czy może jaki słaby odblask nadziei, uderzający ją z takiego zamiaru podróży; wszakże był to tylko jeden rzut oka, jedna malutka chwilka, po której Melania odpowiedziała:

— Wyjazd za granicę byłby zapewne bardzo skuteczny dla pana...

Na te słowa Jędrzej zarumienił się i spuścił oczy ku ziemi; Melania uważała to i mówiła dalej:

— Podróż za granicę, będąc jedną z najprzyjemniejszych rozrywek, jest zarazem najwięcej odżywiającym spoczynkiem... Ale czy to koniecznie zaraz tak silnych a nadewszystko sztucznych chwytać się lekarstw? czy niema innych środków tuż pod ręką, które równie dobrze, równie łatwo a daleko jeszcze gruntowniej, leczą czczość serca... zbolałą duszę i moralne zmęczenie?...

Tu Melania zaczęła się mieszać cokolwiek; było wyra-

źnie czuć zmianę w jej głosie, ale ufała jeszcze siłom swoim i mówiła dalej:

— I ja sądzę, że takie lekarstwo się znajdzie... Mamy przecież karnawał, zjazd taki liczny, panien ładnych, młodych tak wiele...

— Nie myślę o tem zupełnie... — rzekł Jędrzej z wzrokiem wlepionym w ziemię.

— Nie myślisz pan? — mówiła dalej Melania, ale głosem już coraz słabszym — a to źle bardzo. Niech pan się rozmyśli, rozweseli, rozpatrzy... trzeba pooddawać wizyty, trzeba bywać na balach... to się potem znajdzie samo ze siebie...

— Bale tegoroczne — rzekł Jędrzej — już podobno dla mnie przepadły... przyjechałem późno... strawiłem cały tydzień na niczem...

Tu Melania spostrzegła się, że zaczyna wypadać z swej roli, jakoż zebrała wszystkie siły, promiennym uśmiechem twarz rozjaśniła i zaczęła mówić wesoło:

— Ale nie mówże pan tak smutno, bo doprawdy gotowam pana jeszcze... o hipokryzyę posądzić; a posądzać pana o hipokryzyę, byłoby taką samą niedorzecznością, jak mnie posądzić... o co? oto na przykład o zazdrość. Mówisz pan smutno, a skądże znowu tak nagły smutek? widziałam pana przecież na balu u pani kasztelanowej i szczerze to panu mówię, serce mi się radowało li tylko dlatego, żem pana tak wesołym widziała. Ale ten smutek dzisiejszy bodaj czy nie pochodzi ze zbytku wesołości balowej. Bo ta panna podkomorzanka coś zanadto wesoło rozmawiała mi z panem. Ej, panie Jędrzeju! czy tylko na samym wstępie w tegoroczny karnawał nie znalazło się samo z siebie owo najskuteczniejsze na czczość serca lekarstwo, o którem dopiero co wspomniałam! Ale jeżeli tak jest, i jeżeli tem lekarstwem miałaby być podkomorzanka, to bardzo panu winszuję. Mówię to z głębi mojego serca i z najgłębszego przekonania, że bardzo panu winszuję podkomorzanki. Poznałam ją, wychowana wybornie, rozsądna nad podziw, a jaka piękna, nie ma już o tem co mówić. Kiedyście ramię w ramię ze sobą przeciskali się przez tłum gości, aby

się do poloneza ustawić, było wam jakoś tak ładnie, tak zgodnie, tak do twarzy ze sobą, że piękniejszej pary trudnoby w całym Lwowie wynaleźć. Powiedzże mi pan, panie Jędrzeju, czy podobała się panu panna Stanisława?

Ale Jędrzej tylko westchnął z głębi piersi i odpowiedział jeszcze smutniej:

— Mogę pani zaręczyć, że wszystko to, co pani mówisz, tylko się pani zdawało...

Wszakże tu już się całkiem skończyła i przybrana rola Melanii. Jej twarz, zamiast pogodnego uśmiechu, oblała się wyrazem niewymownej boleści, jej usta zbladły, w jej oczach zaćmionych stanęły łzy; jakoż z największem wysileniem wstała z kanapki, położyła rękę na ramieniu Jędrzeja i rzekła do niego:

— Postępuję z panem jak siostra rodzona, a pan mi się tak czarno wywdzięczasz...

To powiedziawszy, wyszła Melania z salonu.

Jędrzej został na swojem miejscu, jak odurzony.

Znał on bowiem nadto dobrze Melanię, ażeby nie wiedział, że te słowa naiwne, że cała ta niby obojętność dla niego, były to wszystko tylko szlachetne kłamstwa na jego korzyść.

Jędrzej widział jeszcze daleko więcej. Cały ten smutek bowiem tak ciężki, cała ta boleść tak krwawa, cała ta rozpacz tak czarna, która rozdarte serce Melanii trawiła, a którą ona z najwyższem natężeniem sił wszystkich chciała przed nim ukryć koniecznie, była dla niego tak widoczną, tak jasną, że nie mógł wątpić o tem ani na chwilę.

I jak z jednej strony te, tak pożerające Melanię cierpienia obudziły w nim litość serdeczną — tak z drugiej strony jej szlachetna chęć poświęcenia się całkiem dla niego, o której teraz już wcale nie wątpił, tak go pochwyciła za serce, że drżał cały z wzruszenia — i gdyby w tej chwili było tylko trochę silniej naprzeć na niego, to byłby niezawodnie pod wrażeniem nadmiaru chwilowego uczucia ani sobie przypomniał Stasię i podał rękę Melanii na zawsze!

Jakoż i tak, bez żadnego silniejszego skądinąd napar-

cia, uczucie litości nad cierpiącą Melanią i uwielbienia dla niej za jej chęci najszlachetniejsze dla niego, tak go wzruszyło do głębi i tak go uniosło w tej chwili, że postanowił sobie — wobec obrazu Chrystusa Pana, modlącego się na górze Oliwnej, który wisiał tuż przed nim nad wielką kanapą na ścianie — postanowił sobie najświęciej nie przyjąć na żaden sposób tego szlachetnego poświęcenia się od Melanii, i jeżeliby miał tylko wyznać otwarcie podkomorzance miłość swą dla niej, wyznać ją wtedy dopiero, kiedyby wiedział, że Melania swoją boleść już przetrawiła zupełnie i mogła całkiem obojętnie znieść na sobie wiadomość o jego ślubie ze Stasią.

To postanowienie, jak każdy choćby tylko trochę poczciwy uczynek, przyniosło wielką ulgę Jędrzejowi i uspokoiło go znacznie, a kiedy w chwilę potem wojewoda, skończywszy swoją filozoficzną z bezwzględnego stanowiska prowadzoną rozmowę, zaprosił go do partyi l'hombra z cześnikiem i starostą bełzkim, Jędrzej zasiadł do gry królewskiej i grał przyzwoicie, jakby nigdy nic nie było.

Tymczasem Melania, jak tylko weszła do swojej komnaty, padła bezwładna na sofę i zakrywszy oczy obydwiema rękami, w nieutulone łzy wybuchnęła. Płacz ten trwał kilka minut, trwał może kwadrans, i był tak niesłychanie gwałtowny, że wydarłszy w pierwszej minucie cały zasób łez z jej rozbolałej piersi, przeszedł potem w konwulsyjne drganie całego ciała i głośne łkanie, które Melania napróżno usiłowała utłumić.

Patrząc na nią i wnosząc z poprzedzających wypadków na jej usposobienie w tej chwili, zdawało się, że do dnia dzisiejszego lubo już wszystko mówiło za odstępstwem Jędrzeja, w jej sercu jednak, żyła jeszcze jakaś iskierka nadziei. Teraz i ta ostatnia iskierka już zgasła — wszystkie najstraszliwsze domysły i trwogi stanęły przed nią na jawie i piekielna ciemność ją otoczyła dokoła. Płacz jej był płaczem za ostatnią iskierką nadziei — był najstraszliwszym ze wszystkich — płaczem na własnym grobie.

Biedna, o! bardzo biedna była wtedy Melania!

Lecz idźmy dalej. To głośne łkanie zwróciło uwagę

jej panny służącej, jej powiernicy, jmć panny Krzywieckiej. Panna Krzywiecka, było to stare i prawie zgrzybiałe, ale bardzo poczciwe pannisko, dawna służąca wojewodzinej — niegdyś domowa mentorka Melanii, dziś jedyna jej przyjaciołka, ostatnie serce jeszcze szczerze otwarte dla niej, ostatnia zielona gałązka na tej ziemi, zamienionej w jej oczach w puszczę bezludną, wysuszoną i głuchą.

Obaczywszy Melanię, jeszcze łkającą ostatkiem głosu, załamała ręce poczciwa jej przyjaciółka i zawołała:

— Ach! przez Pana Boga żywego, cóż się to dzieje!

Na głos obcej osoby, Melania przestała łkać, popatrzyła na nią suchemi oczyma i rzekła:

— Nic mi już... nic mi, moja kochana Krzywiecka.

To mówiąc, usiłowała powstać ze sofy, ale nie miała do tego jeszcze dość siły; tylko usiadła prosto i oparłszy się ręką o poręcz, w ziemię patrzyła.

Widać było po niej, że przesilenie minęło.

— Nic mi już teraz — rzekła Melania słabym wprawdzie, ale dość czystym głosem — już wszystko się stało... Znałaś mnie żywą dotąd, widzisz mnie teraz umarłą... Nie masz już duszy we mnie — uleciała... Odtąd będę już tylko wegetować... Ale i to już nie długo: przyjdzie jesień i koniec...

— Ale panno hrabianko! — mówiła na to Krzywiecka — jak pannę hrabiankę kocham, tak niepotrzebna ta desperacya. Ja pani przysięgam na wszystko, że on panią kocha tak samo jak pierwej. Zawieruszył był sobie głowę cokolwiek, ale już i zapomniał. Odkąd jest tu we Lwowie, nie był jeszcze ani razu u podkomorzynej; codzień tam jestem dwa razy, codziennie się dowiaduję: tam taka sama desperacya o niego, jak tutaj...

— Nic, nic mi już nie mów... proszę cię, ani słowa. Nie chodź nigdzie, nie dowiaduj się... proszę cię, nie dowiaduj mi się o niczem: już ja wiem wszystko!

Melania wymówiła to takim głosem, że Krzywiecka nie miała już odwagi ani słowa przemówić.

Trwała dłuższa chwila milczenia. Melania nad czemś przemyśliwała.

— Słuchajno mnie, Krzywiecka — rzekła wreszcie po tym namyśle — czy ja bardzo blado dziś wyglądam? ale powiedz mi prawdę, bardzo blado?

— Nie, panno hrabianko! tak, cokolwiek, ale nie tak bardzo.

— O! nie prawdę ty mi powiadasz... ja musiałam bardzo blado wyglądać, jak śmierć... Musiało być wszystko widać na mojej twarzy... On poznał po mnie i dlatego mi nie uwierzył... Ach! nieszczęśliwa ta moja twarz! Kiedym chciała być piękną i zajmującą dla niego, byłam czerwoną i tłustą i zdrową: a dziś, kiedy mi jak zbawienia potrzeba czerstwości, wesołości, rumieńców, jestem bladą jak ściana... Ale słuchaj mnie, moja Krzywiecka, niektóre damy używają różnych olejków, którymi nadają świeżość swym twarzom i za pomocą różu robią sobie sztuczne rumieńce... One się tak malują, aby kogoś znęcić do siebie — a ja się wymaluję, aby jego odpędzić: wszakże to wolno?... proszę cię, pokup mi wszystkie te rzeczy... Nie będę się pokazywać tylko wieczorem — będę rumianą, zdrową, wesołą — on mi musi uwierzyć...

I Melania, ciesząc się tym pomysłem, jakby odgrzebała połowę szczęścia, powróciła do przytomności zupełnej.

Lżej jej nawet było teraz na sercu niżeli przedtem, niżeli wczoraj i od tygodnia...

W niedługą chwilę potem była już napowrót w salonie.

Widząc, że goście są jeszcze ciągle przy partyi, siadła do fortepianu i zaczęła grać najszaleńsze krakowiaki pod słońcem — a starosta bełzki i nawet sam wojewoda, nie mogli się dosyć nacieszyć z tego, że Melania była w tak wesołym humorze.

KONIEC TOMU SIÓDMEGO.

WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
68567
Biblioteka WSP Kielce
0182245